

KS. JAN BAPTYSTA LEMOYNE

**MEMORIE BIOGRAFICHE
DI DON
GIOVANNI BOSCO**

**TOM I
1815 - 1841**

TLUMACZ KS. CZESŁAW PIECZEŃCZYK SDB

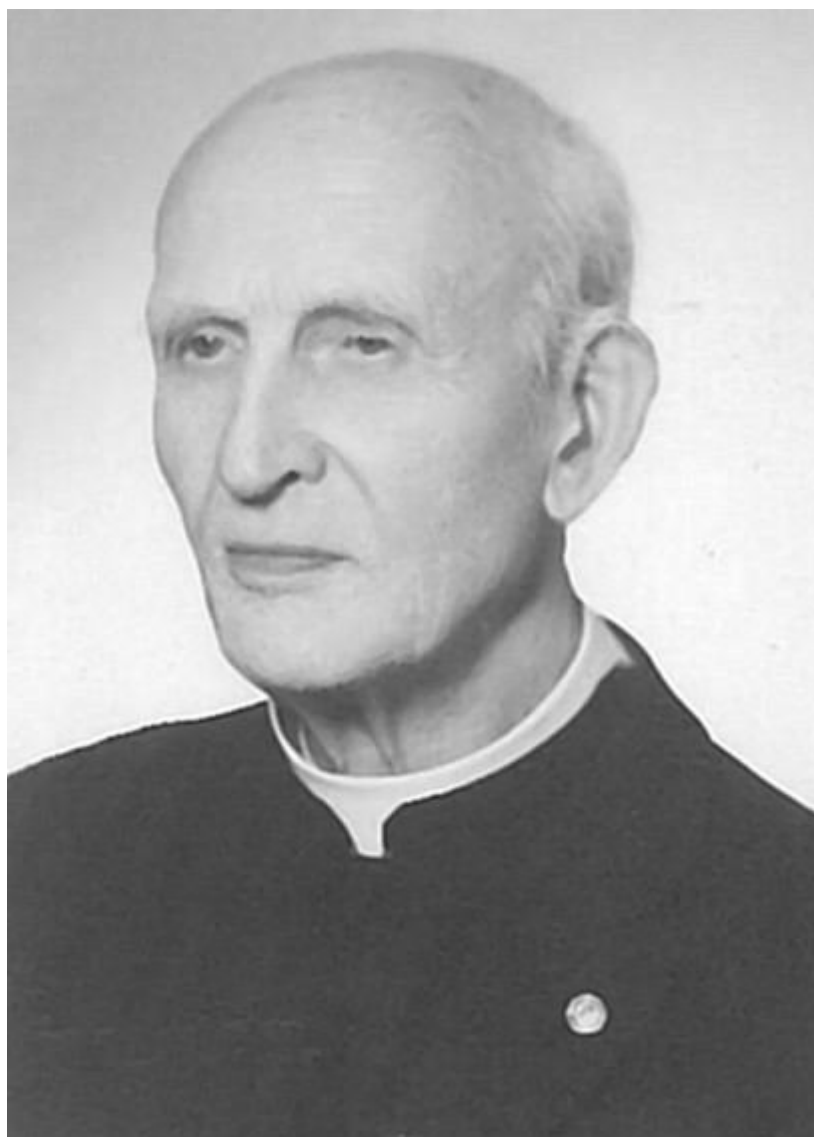
POGRZEBIEŃ 1968

Słowo wstępne

W roku 2009 Zgromadzenie Salezjańskie obchodziło 150 – lecie swego istnienia, a obecnie przygotowuje się do kolejnej ważnej rocznicy: w roku 2015 minie 200 lat od narodzin św. Jana Bosko. Ojciec i Nauczyciel Młodzieży jest żywy i wyraźnie widoczny w dziełach salezjańskich na całym świecie. Odczuwamy jednak potrzebę odkrywania na nowo naszego Ojca poprzez osobiste i wspólnotowe studium przekazów o Jego życiu. Najbardziej obszernym opracowaniem biografii ks. Bosko jest *Memorie Biografiche di San Giovanni Bosco* autorstwa ks. Giovanni B. Lemoyne i innych. Dzieło zostało przetłumaczone z oryginału przez salezjanina śp. ks. Czesława Pieczeńczyka i udostępnione w nielicznych egzemplarzach oprawionego maszynopisu. Winni jesteśmy ks. Pieczeńczykowi wdzięczność za wieloletnią żmudną i pokorną pracę nad tłumaczeniem. Proszę jednak spróbować wypożyczyć to dzieło do osobistej lektury – niewykonalne wręcz zamierzenie, chyba, że jest się nowicjuszem lub studentem w seminarium salezjańskim. W tej sytuacji należy oddać honor ks. Stanisławowi Łobodźcowi, dyrektorowi Domu p.w. św. Jana Bosko w Lubinie i Ks. Stanisławowi Gorczakowskiemu, którzy zainicjowali przepisanie całego dzieła i umieszczenie go również na nośniku elektronicznym. Jest to dla Rodziny Salezjańskiej w Polsce wydarzenie doniosłe na drodze wyznaczonej przez Kapitułę Generalną 26: **powrócić do Księdza Bosko**. Niech Pan Bóg błogosławi wszystkim, którzy zaangażowali się w umożliwienie szerokiego dostępu do Pamiętników Biograficznych, a ich czytelnikom życzę głębokiego spotkania ze św. Jana Bosko.

Ks. Alfred F. Leja - Inspektor

Twardogóra, dnia 19 czerwca 2010 roku



Ksiądz Czesław Pieczeńczyk – przetłumaczył osiem tomów Memorii
/krótki życiorys/

W swoim stosunkowo długim życiu, bo zmarł mając 81 lat, z tego jako profesor 64 lata i jako kapłan 53 lata, nie zajmował żadnego eksponowanego stanowiska, oprócz rocznego pełnienia obowiązków kapelana sióstr w Świebodzicach (1958/1959). Stale służył jako pomoc duszpasterska lub jako sekretarz.

Przez 16 lat pomagał w Pogrzebieniu ks. Ślósarczykowi w jego pracy kronikarskiej dotyczącej inspektorii polskich i tłumaczeniu Memorii Biograficznych. Przetłumaczył od nowa osiem tomów Memorii, a dziesiąty tom uzupełnił poprawkami i dokonał jego korekty. Jest to ogromnie dużo, gdy się zważy, że był samoukiem i języka włoskiego nie uczył się we Włoszech.

Na pewno miał zdolności językowe, bo znał dobrze grekę, łacinę, niemiecki i włoski, Uczył się również języka rosyjskiego, bowiem, jak sam wspomina w liście do Ks. Inspektora w 1965 r., swego czasu złożył podanie o wyjazd na misje, by jeszcze i tam zrobić coś dobrego. Prośby jego jednak nie przyjęto z powodu słabego zdrowia. Zaczął, więc uczyć się języka rosyjskiego, by udać się do pracy apostołskiej na terenie ZSRR.

Inną jego pasją była praca w pasiece przy ulach. Był okres, gdy miał ich od 30 do 50, co sprawiało mu wiele radości, ale wymagało ogromnego nakładu pracy i czasu.

Pochodził z rodziny rolniczej. Miał jeszcze dwie siostry i trzech braci. Urodził się 15 stycznia 1912 r. w Kuźnicy k/ Sokółki w województwie białostockim z rodziców Jana i Józefy z d. Peterson. Mając 13 lat (1925 r.) rozpoczął gimnazjum w Różanymstoku. Po trzech latach pobytu w gimnazjum zostaje przyjęty do nowicjatu w Czerwińsku.

W roku beatyfikacji Księdza Bosko składa pierwsze śluby w Czerwińsku (29.07.1929 r.), ponawia je w Marszałkach w 1932 r., a wieczyste składa w Oświęcimiu w 1935 r. Podanie jego o śluby wieczyste poparł podczas wizytacji kanonicznej ks. Piotr Tirone.

Po ukończeniu filozofii w Marszałkach w latach 1921 – 1931 udaje się jeszcze do Sokołowa na asystencję, skąd na własną prośbę po trzech miesiącach przenosi się do Oświęcimia jako asystent rzemieślników i pomaga w prowadzeniu biura Księdzu Dyrektorowi. Po wakacjach zostaje asystentem studentów.

Mimo poważnych trudności w asystowaniu czego był świadomy, bo pisał do Ks. Inspektora: „nie mam należytej powagi i posłuchu u chłopców, jakbym sam tego pragnął – otoczenie mówi mi, że jestem uparty. W sprawie mego powołania rzeczywiście dotąd jestem i byłem uparty, żeby wytrwać i pozostać do śmierci salezjaninem”.

Teologię studiuje w Krakowie na Łosiówce (1935 – 1939 r.). 17 lutego 1940 r. z rąk J.E. Ks. Biskupa Stanisława Rosponda otrzymuje święcenia kapłańskie.

Dla przedstawienia pełnego obrazu obecności w szeregach salezjańskich zmarłego Współbrata należy wspomnieć jeszcze o miejscowościach, w których pracował.

Po święceniach został skierowany do Oratorium w Krakowie przy ul. Tynieckiej. W 1941 r. przechodzi do Kielc jako katecheta i do pomocy w duszpasterstwie. Od 1945 r. do 1950 r. przebywa w Oświęcimiu prowadząc sekretariat Pomocników Salezjańskich skąd jedzie do Lubina w charakterze katechety. Od 1950 r. do 1952 r. jest w Środzie Śląskiej jako katecheta Niższego Seminarium i profesor języka łacińskiego. Potem przez trzy lata pomaga we Wrocławiu w Parafii św. Antoniego, a od 1955 r. jest w Chocianowie. Przez rok jest kapelanem sióstr w Świebodzicach (1958 – 1959), a potem w Pogrzebieniu przy boku ks. Śłósarczyka. Od 1973 r. aż do śmierci jest w Marszałkach jako rezydent.

Był człowiekiem naprawdę dobrym, chętnym do pomocy i zastępstw. „Nie należę do wybitnych i uzdolnionych kaznodziei, ale więcej zdaję się na Bożą pomoc niż sam na siebie. Taka jest moja psychika. Jestem wrażliwy”. Tak szczerze i świadomie pisał o sobie do Księdza Inspektora w 1954 r.: „ale chętnie gram z młodzieżą w siatkówkę ...” i to była ta nieustanna obecność wśród młodzieży – asystencja. Miał świadomość bycia salezjaninem i chciał być nim aż do śmierci, która nawiedziła go w czasie, gdy pojechał do swoich krewnych do Grójca. Zasłabł tam i został przewieziony do szpitala, gdzie opiekował się nim lekarz z rodziny i Siostra.

Mszę św. pogrzebową odprawiono w Marszałkach, a przewodniczył jej Ks. Inspektor Stanisław Semik. Kazanie wygłosił Ks. Marian Dziubiński. Licznie zebrani Współbracia Inspektorii Wrocławskiej i Krakowskiej towarzyszyli mu w tej ostatniej drodze. Pochowany został w nowym grobowcu na cmentarzu w Marszałkach.

Z listu pośmiertnego opracowanego przez Ks. Franciszka Sochę

PRZEDMOWA AUTORA

Przedstawiam Drogim Współbraciom Salezjanom biografię naszego ukochanego Ojca i Założyciela Księdza Jana Bosko. Od dłuższego czasu oczekiwano ukazania się tej pracy, którą zlecili mi Przełożeni. Obecnie cieszę się mogąc zaspokoić słuszne życzenia niniejszym pierwszym tomem. Następne ukażą się stopniowo, w miarę jak czas na to pozwoli.

Nie pominąłem niczego, co doszło do mej wiadomości. A jest to naprawdę niezmiernie bogaty zbiór wydarzeń, w których jak by namacalnie ujawnił się *Digitus Dei* w dziejach współczesnych, dla naszej pociechy oraz jako pokrzepiająca zapowiedź na przyszłość.

Opowiadanie niniejsze jest rzetelne. Nader rzadko zdarza się, by ktoś był tak kochany jak Ksiądz Bosko przez swych synów duchownych. Dlatego tak wielkie mamy bogactwo przekazów od współczesnych, którzy widzieli i słyszeli, o czym piszą.

Ja sam począwszy od roku 1864 do 1888 notowałem pewne godne upamiętnienia szczegóły. Wiele wiadomości czerpałem z osobistej z Nim konwersacji w ciągu lat przeszło 24, kiedy dane mi było obcować z Nim poufale.

Muszę zaznaczyć, że co dotyczy jego osoby, nie napomknął ani słówkiem względem własnych zasług i cnót, nie ma najmniejszej sugestii na dowód, że otrzymał od Boga szczególne dary nadprzyrodzone. Uzupełnili to na szczęście inni, którzy żyli przy jego boku: przyjaciele, osoby postronne, jak również setki Pomocników, z których wielu gotowych było przysięgą poprzeć swe zeznania.

Mimo, że dane mi czerpać z tak obfitych źródeł, słyszę nieustannie, że życie jest zbyt krótkie na to, by wszystko zebrać i spisać i co dnia przekonują mnie, że przedmiot, który traktuję jest niewyczerpany.

Żeby moja praca mogła być kompletna, trzeba najpierw by została zakończona. Proces kanoniczny o życiu Księdza Bosko, żeby można było korzystać ze świadectw i zeznań zaprzysiężonych, co możliwe jest tylko po zakończeniu sprawy. Mimo to jednak mam nadzieję, że Salezjanie i z tych kart rozpoznają swego Ojca i będą zadowoleni ze świadectw w nich zawartych.

Nie fantazja, lecz serce kierujące się rozumem, po długich badaniach, korespondencjach, konfrontacjach podyktowało niniejsze stronicę. Opowiadania, rozmowy, wszystko, co uznałem za godne upamiętnienia, przedstawiono dosłownie, zgodnie z tym, co zeznali świadkowie.

Być może, niejeden rozdział wyjdzie zbyt rozwlekły, przeładowany szczegółami, niektóre akty cnót kilkakrotnie powtarzane, mimo że występowały w odrębnym kontekście. Myślałem jednak, że postępując inaczej zagubi się wiele interesujących wiadomości, na co Współbracia słusznie mogliby się żalić. Z drugiej strony miałem wyraźny rozkaz od Przełożonego Generalnego ks. Michała Ruy, by nie pomijać nawet najmniejszej wagi szczegółów. Zawsze będzie czas na syntezę, gdy przedmiot potraktuje się wszechstronnie i wyczerpująco.

Zajmowałem się dłużej pewnymi zdarzeniami z życia Małgorzaty Bosko Matki Założyciela Pobożnego Towarzystwa św. Franciszka Salezego. Uważałem to za nieodzowne dla należytego udokumentowania biografii jej syna, zwłaszcza w okresie jego dzieciństwa i młodości. Cnoty, bowiem matki uwydatniły się doskonale w życiu Księdza Jana Bosko.

Opowiadam swobodnie, jak to się czyni w rodzinie; pragnieniem moim jest skreślić portret Księdza Bosko na żywo tak jak był w rzeczywistości.

W wasze ręce, Najdrożsi Współbracia, oddaję moją pracę. Oświadczam jednak, że dzieło to nie jest przeznaczone do użytku publicznego; więc nie należy je tłumaczyć na obce języki, robić wyciągi, streszczenia, opracowania dla jakiegokolwiek celu. Nie należy dawać osobom spoza Zgromadzenia, nawet gdyby się nim posłużyły dla wysławiania Założyciela, dopóki Stolica św. nie wyda o jego życiu ostatecznego wyroku, a Przełożony Generalny wyraźnego zezwolenia na piśmie. Dzieło to pozostanie pod ochroną obowiązujących praw jako wydawnictwo dokumentalne prywatne. Dla zadowolenia coraz liczniejszych głosów naszych byłych wychowanków i niezliczonych Dobrodziejów i Przyjaciół zostanie wydana osobna książka.

Moi Najdrożsi Współbracia! Na tych stronicach, w których będzie mowa o Księdzu Bosko jako chłopcu, studencie, kleryku, kapłanie, założycielu Oratoriów świątecznych, schronisk, warsztatów, kolegiów, zgromadzeń zakonnych, misji zagranicznych – odczujemy potężny bodziec dla naszego uświęcenia oraz naszych

wychowanków, znajdziemy regułę postępowania w każdej okoliczności życia, wzór cnót chrześcijańskich, kapłańskich i zakonnych. Znajdziemy jego ducha, jego serce, jego system wychowawczy, nienasycone pragnienie zbawienia dusz; we wszystkich zaś jego pociągnięciach, wierne przywiązanie do Kościoła Katolickiego i Stolicy Apostolskiej Rzymskiej oraz do osoby Wikariusza Jezusa Chrystusa na ziemi.

Doznamy podniety do powiększenia chwały naszego Pobożnego Towarzystwa, zaufania i oddania względem naszego Przełożonego Generalnego księdza Michała Ruy, któremu dedykuję niniejsze tomy, które od niego wzięły swe natchnienie i aprobatę, nadto posłuszeństwa wielkodusznego i skorego jakby samemu Księdzu Bosko, który zwraca się do nas nieustannie w swym liście pożegnalnym:

„Wasz Główny Przełożony umarł, lecz zostanie wybrany inny, który będzie miał o was troskę i o wasze zbawienie wieczne. Słuchajcie go, kochajcie, bądźcie mu posłuszni, módlcie się za niego, tak jak modliliście się za mnie”.

Wreszcie będziemy w sercu żywić nieustannie czułą miłość i wdzięczność do Matki Najświętszej Wspomożycielki Wiernych, która w sposób to cudowny prowadziła Księdza Bosko na każdym kroku jego życia, by okazać przez to i nam swą dobroć macierzyńską.

Turyń – 15 sierpnia 1898 r. W Uroczystość Wniebowzięcia NMP

Ks. Jan Baptysta Lemoyne SDB

ROZDZIAŁ I

Wojna sekt przeciw Papiestwu.

Na początku biografii księdza Bosko wypada dać perspektywiczny obraz stanu społeczno – politycznego współczesnej Europy zarówno jak i Kościoła na przełomie wieku XVIII i XIX. Wszystko streścić można w dwóch słowach: wojna z Papiestwem. Książęta protestancy wzbogaceni złupionymi dobrami kościelnymi panując nad narodami protestanckimi przywłaszczywszy sobie władzę duchowną stawali się zaciekłymi wrogami Stolicy Apostolskiej i Papieża. Panujący zaś katolicy wierząc przeciwko ciężącej nad nimi jurysdykcji kościelnej przy każdej sposobności pretendowali do tego, by Papież zrzekł się swych uprawnień wynikających z jego posłannictwa Bożego. Masoneria zaś światowa z szatańską premedytacją, wraz ze swymi współnikami żydowsko-protestanckim i renegatami spośród katolików sprysięgła się by wymazać z ziemi Królestwo, a nawet samo imię Jezusa Chrystusa. By dopiąć tego celu, uznano za środek najpewniejszy pozbawić Papieża jego władzy doczesnej i tym bardziej skrzępować go i pomniejszyć jego wpływ na mocno zlaicyzowane społeczeństwa. Zdradzając interesy panujących i narodowe, zdołała zwerbować pod swymi rozkazami i wprowadzić do gabinetów europejskich zaprzędanych sobie popleczników, by ci rozdmuchiwali żar nienawiści przeciwko Rzymowi. Niestety, wiadomo z historii powszechnej, że im się to w znacznej mierze udało, pomimo wysiłków Ojca chrześcijaństwa, by grozę sytuacji uświadomić panującym.

I musiał nastąpić nieodwołalnie moment tragiczny, kiedy zrewoltowane ludy straciły z tronu królów, którzy pierwsi dali im przykład buntu przeciwko Bogu.

Pierwszy upadł tron we Francji w 1793 r. Zbrodnie popełnione w czasie krwawej rewolucji we Francji przypisywane masonerii tak dalece przekroczyły miarę, że nawet w samej protestanckiej Anglii opinia publiczna domagała się pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej koryfeuszów łóż masońskich.

Burza rozszalała nad Europą wnet ogarnęła i półwysep Apeniński, gdyż tu właśnie był Rzym. Przez cztery lata wojska austro – sardyńskie broniły oddziałom

rewolucyjnym francuskim dostępem przez przełęcz alpejskie. W tym czasie Karol IV król hiszpański pretendował oddać prowincję rzymską swemu zięciowi księciu Permy, dla siebie zaś chciał uzyskać księstwa Benewentu i Pontecerve; w swym zapamiętaniu nie cofał się nawet przed nawiązaniem pertraktacji z królobójczym rządem republikańskim we Francji celem uzyskania jego zgody. Równocześnie zaś cesarz austriacki Franciszek II zamyślał opanować trzy legacje: Bolonię, Ferrarę i Rawennę.

W roku 1796 generał Bonaparte pokonawszy sprzymierzone armie austro – sardyńskie wkroczył do Piemontu, zdobył Lombardię, Wenecję, następnie Genuę, zabrał Papieżowi trzy wspomniane legacje oraz monarchię Ankońską, potem wysławszy swe wojska przeciw pozostałym państwom włoskim wyruszył do Egiptu. Niebawem Dyrektoriat nakazał zająć Rzym, w 1798 r., który został złupiony i obrabowany ze swych skarbów i arcydzieł sztuki, podobnie jak inne miasta. Pius VI zaś jako 82-letni starzec został wywieziony do Walencji, gdzie niebawem zmarł 29 sierpnia tegoż 1798 roku. Koniec z papieżem! Podniósł się wrzask sekt triumfujących.

Rzym nasz!

Tymczasem ludy włoskie wsparte flotą angielską oraz wydatną pomocą wojsk rosyjskich i austriackich powstały przeciwko najeźdźcom, którzy wyparci zewsząd zdołali się utrzymać jedynie w Genui. Król neapolitański ze swym wojskiem wkroczył do Rzymu i zajął państwo kościelne rzekomo w imieniu przyszłego Papieża, z zamiarem jednak nie zwrócenia już w przyszłości Terraciny i Benewentu. Austriacy zaś ze swej strony ignorując prawa Papieża obsadzili swymi wojskami legacje, Marchie oraz Umbrię ustanawiając w nich odrębne rządy.

Okupacja ta jednak nie trwała długo. Bo oto generał Bonaparte wróciwszy nagle z Egiptu, proklamowany pierwszym konsulem Francji, ze znacznym wojskiem zjawił się w Piemontcie w 1800 r. i pokonawszy Austrię pod Marengo, zmusił ją do ustąpienia nowo obranemu Papieżowi Piusowi VII o oddania przywłaszczonych prowincji; równocześnie nakazał Neapolitańczykom ustąpić z Terraciny i Benewentu. Były to jednak posunięcia taktyczne dyktowane nowymi wymogami polityki. Na skutek zawarcia konkordatu z Francją, Kościół zyskuje niebawem swobodę kultu publicznego i podnosi się z ciężkich, krwią męczenników okupionych strat we Francji. Pius VII udaje się w 1804 roku do Paryża na koronację cesarza Francji Napoleona I.

Zwycięski nad całą prawie Europą w wojnach trwających od 1805 r. do 1812 r., w niepohamowanej pysze imperator zażądał od Papieża zrzeczenia się jego władzy doczesnej oraz niepozbywalnej władzy ustanawiania biskupów. Papież oparł się zdecydowanie tym żądaniom, na skutek, czego Rzym wraz z państwem kościelnym został okupowany i ogłoszony prowincją francuską. Pius VII zaś w roku 1809 zostaje uprowadzony jako więzień polityczny do Savony, następnie do Fontainebleau i trzymany 5 lat w odosobnieniu wśród szykan i cierpień moralnych i fizycznych.

Przyszła jednak kara Boża na prześladowców Kościoła. Przeciwno Napoleonowi, który stracił swe armie wśród mrozów pod Moskwą, stanęły wojska sprzymierzonych państw z Północy. Pobity przez przeważające siły, został zdetronizowany. Wyznaczono mu na rezydencję małą wysepkę Elbę, Pius VII zaś uwolniony wraca triumfalnie do Rzymu wśród aplauzu tłumów w 15 maja 1814 r.

Dla uporządkowania spraw europejskich zebrał się kongres monarchów we Wiedniu. Niestety, wszyscy oni byli mniej lub więcej przejęci duchem i błędami Napoleona, którego w pewnych okolicznościach można było uważać nawet za lepszego od nich. Wiadomo na przykład, że sugerowano Napoleonowi ze strony dworów rosyjskiego i angielskiego, a nawet austriackiego, by ogłosił się głową religijną swych poddanych we Francji i krajach sąsiednich. Napoleon jednak odrzucił tę lehcącą propozycję.

Tymczasem Kościół musiał ponosić w imieniu nowego porządku zaprowadzonego przez Kongres Wiedeński wiele strat i cierpień. I tak na przykład, Austria pretendowała do trzech legacji; Prusy domagały się, by oddano je królowi saskiemu, ambasador Toskanii proponował oddanie Bolonii, Ferrary i Rawenny księżnej Marii Luizie, królowej toskańskiej. Kongres zdecydował wreszcie oddanie Austrii ziem Ferrary po rzekę Pad, z obowiązkiem ustanowienia załóg wojskowych w Ferrarze i Comacchio. Prócz tego Kościół tracił hrabstwa Voisia i Avignon. Wszystkie biskupstwa katolickie dotąd niezależne księstwa kościelne, zostały poddane obecnie władzy książąt protestanckich; terytorium biskupstwa bazylejskiego złączone zostało ze Szwajcarią; Anglia zaś odbierała Zakonowi Maltańskiemu jego posiadłości na wyspie Malcie. Dzielono się zgodnie łupami, przeciwko czemu bezskutecznie protestował Papież.

A tymczasem jedna część łóż masońskich popierała Napoleona jako przyszłego władcę królestwa włoskiego ze stolicą w Rzymie druga zaś opowiadała się za Joachimem Muratem, byłym królem neapolitańskim ustanowionym przez Napoleona, przyrzekając mu zdobycie całego półwyspu, byle odebrał Papieżowi Rzym; obie partie były gotowe zdradzić przy sposobności jednego i drugiego, gdyby to nie odpowiadało ich rachubom. Próżne jednak były ich zamysły. Napoleon wylądowawszy we Francji panował tylko przez dni sto; armie jego zostały pobite przez sprzymierzonych pod Waterloo, a on sam jako więzień Anglików został deportowany na wyspę św. Heleny, gdzie musiał pokutować tyle czasu, ile trwała udręka Papieża Piusa VII. (Zmarł w roku 1823 pojednany z Bogiem-uwaga tłumacza).

Samozwaniec Joachim Murat najechawszy państwo kościelne, z zamiarem uwięzienia Papieża w Gaecie, pokonany przez Austriaków i wyrzucony ze swego państwa, został ostatecznie rozstrzelany wyrokiem sądu wojennego jako zbrodniarz polityczny.

Wydawać by się mogło, że Europa wreszcie odetchnęła. Niestety, państwo kościelne wciąż narażone było na zakusy wrogów. W roku 1816 wszechwładny minister Metternich popierając niektórych stronników w legacjach papieskich, zamierzał po wszczęciu rozruchów po śmierci Papieża Piusa VII opanować prowincje, przyłączając jedną z nich do Toskanii, później zaś do Lombardii. Lecz kardynał Consalvi odkrył zawczasu te machinacje uprzedzając o nich ambasadora francuskiego.

Od roku 1817 następowały raz po raz zamachy na urzędników wiernych Papieżowi. W Marchiach powstała sieć stowarzyszeń sekciarskich gotowych poddać się raczej, jakiemu bądź obcemu zwierzchnikowi niż Papieżowi. Chwymano się truczyny i dynamitu. Ustalono już termin wybuchu powstania zbrojnego, gdy na skutek nieopatrznych posunięć w Macerata, policja wpadła na trop i spisek stłumiono.

W ślad za Hiszpanią, gdzie przywrócono konstytucję z roku 1812, zmuszając Ferdynanda VII liczyć się z wolą narodu, zrzeszenia sekciarskie w poszczególnych państwach europejskich próbowały podjudzać do podobnych wystąpień tłumi, by łączyć w mętnej wodzie i wywołać powstanie w samym Rzymie. Udało się zrewoltować garnizon neapolitański, gdzie wielu oficerów i żołnierzy należało do łóż masońskich. Król przestraszony możliwą rewoltą zgodził się nadać konstytucję hiszpańską, po czym uszedł z Neapolu; tymczasem parlament uchwalił zaciąg

ochotniczy dla obrony rewolucji. Na skutek klęski poniesionej od Austriaków, niebawem przywrócony został spokój w państwie.

W Piemoncie lud wierny swemu władcy Wiktorowi Emanuelowi I nie myślał o rozruchach. Na skutek jednak rozkazów otrzymanych od Wysokiej Loży Paryskiej, na tajnym zebraniu sekciarzy w Turynie pod egidą ambasady francuskiej i hiszpańskiej oraz posła bawarskiego, naradzano się nad sposobem zmuszenia króla do nadania konstytucji podobnej do hiszpańskiej. Wyraźnie utrzymywano łączność ze spiskowcami w Mediolanie, Rzymie i Neapolu. Powzięto decyzję, by po ogołoceniu miast lombardzkich z garnizonów wojskowych, wysłanych do Neapolu, wojska piemonckie poparły rewoltę w Lombardii, aby pochwycono za broń, po czym proklamować w Rzymie republikę. Policja austriacka odkryła jednak spisek w 1820 r., uwięziła wielu sekciarzy, którzy skazani zostali na karę śmierci, względnie ciężkie więzienie. Niemniej w Turynie młodzież studencka demonstrowała publicznie swe sympatie za powstańcami tak, że interweniowało wojsko i poląła się krew. Szły pieniądze z Genewy dla podsycania buntu wśród garnizonów, buntowały się załogi w Aleksandrii i Turynie. Wiktor Emanuel w marcu abdykował na rzecz swego brata Karola Feliksa, a 13-tysięczna armia austriacka przy pomocy 6-tysięcy wojsk piemonckich wiernych koronie uśmierzyły powstanie trwające 30 dni.

Sekciarze w Państwie Kościelnym wykonując przedłożony im program, gdy zbuntowały się Benewent i Pontecorvo, stanęli na czele rządu tymczasowego ogłaszając upadek państwa kościelnego. Uzbrojone bandy grasowały w okolicach Ascoli, obwoływały Wolną Italię, rabowały skarb publiczny i prywatne mienie obywateli, wypuszczały więźniów, musiały się jednak ukrywać, gdyż znikąd nie miały poparcia. Niemniej posługiwano się mordem skrytobójczym, usiłując zastraszyć urzędników, czy przysięgłych, by nie śmiano wykonywać wyroków na mordercach. Związki Karbonariuszy ogłaszały powołując się na art. 33 ich paktu socjalnego, że w Zjednoczonej Republice Włoskiej religią panującą będzie wyznanie chrześcijańskie, dość mętnie przez nich rozumiane.

Na przykład, w art. 37 głoszono: „Aktualny Papież będzie zaproszony, by przyjął godność Patriarchy Ausonii i jako odszkodowanie za dotychczasowe dochody z państwa kościelnego, będzie otrzymywał pensję dożywotnią, która jednak nie będzie

przysługiwała jego następcom. Jeśli po śmierci Papieża kardynałowie wybiorą nowego, ten winien przenieść swą stolicę poza granice republik”.

Pius VII bullą z dnia 13 września 1821 r. ekskomunikował „la moltitudine di uomini scelerati riuniti insieme contro Gesu Cristo affigliata alla carboniera e altre società segrete”.

Panujący europejscy w obawie powstających rozruchów zebrani w Weronie w październiku 1822 debatowali nad bezpieczeństwem swych krajów. Książę Modeny Franciszek IV doradzał protegować religię, przywrócić przywileje arystokracji, powściągać prasę, zmniejszyć liczbę studentów na uniwersytetach, podnieść autorytet władzy ojcowskiej, skrócić procedurę sądów politycznych. Nie posłuchano go; stąd szerzyło się bardziej wrzenie rewolucyjne mając oparcie wśród bezrobotnych adwokatów, lekarzy, inżynierów i wszelkiego pokroju intelektualistów rzucających się w objęcia sekt, oddziaływujących destrukcyjnie na młodzież, agitujących wśród tłumów, by próbowano szczęścia w rozruchach. Wobec groźnego fermentu, sfery rządzące były przekonane, że wystarczy dla zwalczania ruchów sekciarskich uciec się do więzień i szubienic.

Tak, więc od roku 1821 – do 1830 mnożyła się sieć tajnych związków sekciarskich, zwłaszcza w Romani, posługujących się często sztyletem, by usunąć lub sterroryzować niewygodnych urzędników i obywateli. Gdy prałat Invernizzi w roku 1830 zdemaskował je, w tym czasie Ludwik Bonaparte przyszły Napoleon III, syn Ludwika ex króla Holandii, skazanego na banicję, wszedł w porozumienie z karbonariuszami i masonami celem przywrócenia królestwa włoskiego. Za jego plecami odbywano zebrania na placu św. Piotra w Rzymie, planowano napady na arsenały wojskowe, defraudacje wielkich sum z banku św. Ducha, uwolnienie więźniów, zajęcie Kapitolu i przeprowadzenie nowych wyborów. A tymczasem Pius VII przyjmował Ludwika Bonapartego na audiencji. Władze jednak wpadły na trop spisku, pozmiały załogi, uwięziły niektórych spiskowców i wyгнаły z miasta Napoleona wraz z jego stronnikami.

Sekciarze nabrali otuchy w jego protekcję, gdy Ludwikowi Filipowi d’Orleans udało się w zamachu lipcowym zdetronizować Karola X Burbona i na barykadach paryskich obwołano go królem francuskim. W roku 1831 ponowiono próbę stworzenia w Bolonii nowego rządu rewolucyjnego, podczas gdy emisariusze sekt przebiegali

w tym czasie Romanię, by podburzyć lud. Niebawem legacje, Marchie i Umbria przyłączyły się do powstania. Rzym jednak odżegnywał się od tego. Ludwik Bonaparte pospieszył dołączyć się do rewolucjonistów. Papież Grzegorz XIV nie mając wojska dla obrony przed napastnikami zwrócił się o pomoc do króla Neapolu gotów łożyć na żołd, lecz Ferdynand II odmówił. Wówczas wojska austriackie wkroczyły na terytoria papieskie, lud zaś po ucieczce rewolucjonistów zatknął na nowo sztandary papieskie. Arcybiskup spoletański Jan Marie Mastai (późniejszy Papież) dopomógł Napoleonowi w ucieczce, który mu się później za to godnie odwdzieczył.

W 1832 r. wybuchły rozruchy w Romani, a wojska austriackie i tym razem zgasiły bunt posuwając się aż do Rawenny. Rząd francuski nie chcąc dopuścić, by zasługa stłumienia powstania przypadła wyłącznie Austrii, nawet wbrew woli Papieża wysłał flotę do Ancony, polecił brutalnie zająć cytadelę, wypuścić więźniów politycznych, protegował bandytów, pozwolił bezkarnie na zabójstwo gonfaloniera, rabunek obywateli, profanacje kościołów, znieważanie księży, szykany z religii i inne bezeceństwa.

Austria i Rosja gotowe były wypowiedzieć wojnę Francji, lecz lord Palmerston, jawny przeciwnik Papieża, zaaprobował postęпки Francuzów, insynuował konieczność reform w Państwie Kościelnym; następnie przyjął postawę obojętną, tając na inny czas swą protekcję udzielaną buntownikom we Włoszech. Widząc jawną wrogość Anglii oba mocarstwa zaprzestały kroków interwencyjnych. Francja zaś zmyliła czujność zagranicy zadawalając się jedynie ustanowieniem załogi w Rzymie do roku 1838, kiedy Austriacy opuścili ostatecznie terytoria papieskie. W 1831 r. Giuseppe Mazzini koryfeusz sekciarzy założył stowarzyszenie La Giovine Italia. Gromadząc zwolenników związał ich przysięgą i ścisłym sekretem; wypowiadał wojnę wszelkiej religii pozytywnej, zwłaszcza stawał w otwartej opozycji do Papieża rzymskiego rzekomego wroga jedności Włoch, którego chciano ograbić z jego własności, a nawet usunąć w ogóle, o ile nie zechce podporządkować się ustanowionemu porządkowi.

W krótkim czasie sekta jego rozprzestrzeniła się po całych Włoszech a Mazzini posługiwał się innymi, by nie narazić własnej skóry, w zatwierdzaniu wyroków kapturowych na swych podkomendnych, gdy ci nie chcieli podporządkować się jego rozkazom. W roku 1833 zamierzano wtargnąć z paru tysiącami zwolenników do

Savoir, zdemoralizować wojsko, zagrozić Austrii, podczas gdy równocześnie miała nastąpić inwazja na Rzym ze strony Neapolu, zagrabienie dóbr kościelnych oraz ogłoszenie zjednoczenia Włoch. Lecz w Neapolu policja wykryła i ukarała spiskowców; w Piemoncie aresztowano około 100 sekciarzy, ponad dwustu umknęło za granicę, kilkunastu rozstrzelano; w 1834 r. paruset mazzinianów wkroczywszy do Savoi osamotnionych schroniło się do Szwajcarii, nie czekając na wojska królewskie.

I tak raz po raz ponawiały się zakusy sekciarskie opanowania władzy i zrzucenia rządów papieskich. Fanatyczny sekciarz Ricciardi w swym paszkwilu pt. „I Martini di Cesenza” otwarcie podjudzał do marszu na Rzym, by zniweczyć pontyfikat, siedlisko oszustwa i bezceństwa, które ponad 18 wieków zaraża świat! Lecz garnizony były wierne Papieżowi, a policja bacznie czuwała.

Gdy spełzły na niczym wrogie knowania, zrozumiano, że bez regularnego wojska, przy którym mogłyby się skupić siły sekciarzy, na nic nie zdadzą się ruchy wolnościowe we Włoszech. Lecz który z książąt panujących da im posłuch? Massiao d’Azzelio wskazywał na Karola Alberta i Piemont. Książę ten może dałby się wziąć na lep niepodległości Włoch; mętne zasady oraz fakty dokonane nazwałoby się wymogami polityki i racji stanu, dyktującymi wypowiedzenie wojny Rzymowi, Kościołowi, a nawet samemu Bogu.

Taki byłby obraz sytuacji, kiedy na arenie pojawił się Ksiądz Bosko. On to jak nikt inny kochając swą Ojczyznę i jej dzieje rozumiał doskonale swe czasy, przenikał, do jakich klęsk doprowadziłoby zburzenie opatrnościowego porządku, w jakim Bóg umieścił w Italii Rzym oraz niezawisłe papieństwo. Dzieje ojczyste i kościelne, jakie z takim zamiłowaniem studiował, przekonały go dowodnie, że ilekroć jakiś naród występował przeciw Namiestnikowi Jezusa Chrystusa, tylekroć sprawdzały się słowa Izajasza Proroka: „A ziemia splugawiona jest od mieszkańców swoich, gdyż przestąpili Zakon, odmienili prawo, złamali przymierze wieczne. Dlatego przekleństwo pożre ziemię...”. /Iz 24,5.6/.

ROZDZIAŁ II

Małgorzata Occhiena, matka Księdza Bosko, jej młodość, charakter, czasy burzliwe; Wybitne cnoty tej niewiasty.

Gdy ciężkie chmury rewolucji spowiły Kościół katolicki i na widnokręgu nie ukazywał się nawet nikły promyk nadziei, oko Boże przenikające w głąb serc ludzkich z rozkoszą spoczywało na tyłu promiennych duszach, nieznanych wprawdzie światu, lecz które swym ofiarnym życiem i płomienną modlitwą przyczyniały się do triumfu nad bezbożnością. To zasługa matek katolickich, które wszczepiając w serduszka swych dzieci ziarno pobożności, przysposabiały je do przyszłej misji, którą Bóg im powierzał. Czytać można życiorysy Świętych, a znajdzie się potwierdzenie tej prawdy. I wiek XIX dał Kościołowi nie mniejszą liczbę Świętych prawdziwych bohaterów chrześcijańskich niż wieki poprzednie.

Jedną z tych matek wybranych przez Boga była Małgorzata Occhiena, mamusia Księdza Bosko. Jej ojczyzną było Capriglio, wioska licząca coś około 400 mieszkańców, w diecezji Asti, położona w niewielkiej kotlinie podgórskiej, okolona łańcuchem gór porośniętych lasem, w odległości 6 mil od Chieri. Była córką Melchiora Occhiena i Dominiki Bossone, urodzona 1 kwietnia 1788 r. i w tymże samym dniu ochrzczona. Oboje rodzice dostatecznie majątni rolnicy, jako największe bogactwo posiadli bojaźń Bożą. Pan Bóg pobłogosławił ich małżeństwo i Małgorzata była z kolei trzecim dzieckiem spośród pięciorga rodzeństwa. Nauki i przykład osobisty rodziców wyrzeźbiły w delikatnych duszach dzieci poczucie obowiązku i godności osobistej tak, że w okresie burzliwej młodości układały swe życie zgodnie z wolą Boga.

Najmłodsze lata Małgorzaty kształtowane były przykrymi przeżyciami. Mając dziewięć lat musiała słyszeć ponurą propagandę emisariuszy francuskich podsycających bunt motłochu plebejskiego przeciw prawowitemu królowi Karolowi Emanuelowi IV i proklamujących republikę. Wierna swemu panu ludność wiejska pospieszyła z pomocą oddziałom wojska w tłumieniu rewolty, tak, iż niebawem

trzystu schwytych z bronią buntowników zawisło na szubienicy w Chieri, a dziewięciu wojskowych sądził trybunał wojenny.

W następnym roku obywatele Asti rozwścieczeni miotali przekleństwa na Francuzów, którzy podstępnie zajęli Turyn i zmusili ich króla do abdykacji. Nie mogąc dłużej znosić jarzma rządu demokratycznego w roku 1799 porwali za broń i uderzyli na garnizon francuski w Asti. Francuzi odparli z łatwością atak, otoczyli sąsiednie wioski i wielu obywateli wziętych z bronią rozstrzelano. Szerzył się więc terror i żałoba w wielu rodzinach.

Nowy, daleko większy smutek ogarnął serca katolickie na widok bolesnej kawalkady uprowadzającej nocą z 24 na 25 kwietnia Piusa VI jako więźnia w towarzystwie komisarza francuskiego, do cytadeli w Turynie. Sędziwy ciężko chory 82-letni Papież skazany został przez Dyrektoriat na wygnanie do Valenzy w Delfinacie, zmuszony zimą przebywać mroźne Alpy poprzez ziejące przepaściami przełęcze.

Do tych boleści dołączył się niedostatek, jaki cierpiała uboga ludność piemoncka, już to z powodu kłopotów swego władcy wciąż potrzebującego kontyngentów w ludziach i pieniądzach w utarczkach z Francuzami; dalej ze strony samych okupantów łapczywie zagarniających wszystko, co wpadło w ich ręce. Zawieszenie broni w Cherseco zawarte 28 kwietnia 1796 r. wstrzymało chwilowo działania wojenne. W ślad za tym poszły nałożone ciężkie daniny, nieustanne rekwizycje, podatki i grzywny za nieposłuszeństwo obywateli i gminy wzbraniające się ponosić niesprawiedliwe świadczenia wojenne. W ślad za tym przyszła inflacja oraz konfiskata dóbr kościelnych. Ciągłe rekwizycje żywności i odzieży dla wojska, brak produktów konsumpcyjnych na rynku, pomór wśród trzód i ludzi dopełniały resztę miary.

Te smutne koleje musiały dotykać też i rodzinę Occhiena, lecz niezachwiana ufność w Opatrzność Boską oraz wzorowe sprawowanie się dzieci dodawały otuchy rodzicom. Małgorzata wzrastająca w szkole swej matki pośród tylu kłopotów i braków rokowała nadzieję, że wyrośnie na doskonałą gospodynię.

Jeszcze jako młoda dziewczynka umiała dzielić swój czas na modlitwę i pracę. Kościół parafialny, dokąd zwykła często chodzić dla spełnienia swych obowiązków religijnych, był najmilszym dla niej miejscem i ośrodkiem zainteresowań. Z natury

wyniosła usposobienie rezolutne i śmiałe, co przy pomocy łaski Bożej dawało gwarancję przezwyciężenia wszelkich trudności na drodze życia. Regulując stale swe czyny zewnętrzne zgodnie z prawem Bożym znajdowała normę i granice swej wolności. Kierując się prawym sumieniem regulowała należycie swe stosunki z ludźmi; bystra i żywo reagująca, potrafiła znaleźć się należycie w każdej okoliczności.

W pobliskiej wiosce mieszkał pewien gospodarz podziwiany dla swej wspaniałej postury i atletycznej budowy; kiedy ukazał się w wiosce, ludzie wyglądali z domów by go podziwiać, a dzieci wprost biegły za nim jak za kimś niezwykłym. Musiały mu się znudzić owe zachwyty, skoro pewnego razu, na widok Małgorzaty przypatrującej mu się ciekawie powiedział:

Ma per baco! Czy już nie mam być panem siebie? Wciąż mnie podglądają i śledzą. Czekaście! Musicie mi powiedzieć, co tak niezwykłego widzicie we mnie. Małgorzata z całą swobodą odpowiedziała na to: A no, dla tej samej racji, co pies ze zdumieniem ogląda biskupa; jeśli więc psu wolno spoglądać nań z podziwem, to chyba więcej mnie, która jestem czymś więcej od psa.

Ta odpowiedź znamionująca niezwykle rozgarnięcie, jak na dziewczynę w tym wieku podobała mu się.

Małgorzata we wszystkich czynnościach objawiała niezwykłą energię. Dla potwierdzenia tego przytoczymy jeden fakt znamienity. Otóż w czasie walk Austriaków z Francuzami w Piemencie zdarzyło się, że w pobliskim miasteczku Asti żandarmi uwięzili kilkunastu księży wraz z dziekanem i przeorem Serwitów, prowadząc ich skutych z Turynu do Aleksandrii. Panowała wielka drożyzna, brak było chleba, gdyż Austria wydała zakaz wywozu zboża z Lombardii. W takich warunkach słabło już nawet przywiązanie ludności do swego monarchy, pałano za to z nienawiścią do jego sprzymierzeńców Austriaków.

Małgorzata, choć nie umiała nienawidzić, musiała jednakże podzielać nastroje współrodaków. Było to we wrześniu, w czasie żniw kukurydzy, której snopki powiązane suszyły się rozstawione obok jej domostwa rodzinnego. Traf chciał, że nadjechał szwadron kawalerii austriackiej. Żołnierze puściwszy samopas konie pokładli się dla odpoczynku. Konie z miejsca ruszyły na kukurydżę. Małgorzata pilnująca jej w pobliżu, krzyjąc z kijem w rękę próbowała odpędzić konie uderzając

je. Cóż, kiedy zgłodniałe bestie nie chciały słuchać i smacznie zjadały tak ponętny furaz. Ułani przyglądający się temu biernie drwili sobie z jej wysiłków. Dziewczyna rezolutnie w swym języku zwraca się do nich, by lepiej pilnowali swe konie i nie robili szkody biednym ludziom.

Wy się jeszcze śmiejecie, wykrzykiwała, nie wstyd wam, że konie zżerają nasz plon wartości 14 lir za korzec? Was nic nie kosztuje ta kukurydza, a my musimy się pocić nad nią przez cały rok. Cóż będziemy jedli tej zimy, z czego zrobimy polentę? Taki gwałt nam czynicie! Zabierzcie precz swe konie!

Ja, ja – odpowiadali ułani nieludzką mową.

Małgorzata doprawdy zdenerwowała się, zrozumiała, bowiem, że oni sobie z niej drwią. Niektórzy coś do niej mówili swym językiem, lecz ona tak samo go rozumiała, jak oni jej włoski. Nie chcąc pozostać dłużną odpowiedziała na ich: „ja, ja swoim „bo, bo”, bo to wyrazy w piemonckim narzeczu wyrażają twierdzenie z pewnym odcieniem ironii, jak w pewnej piosence, gdzie jeden drugiego pyta: Dokąd idziesz? a zapytany odpowiada: Niosę ryby!

Zdenerwowana na dobre Małgorzata podniosła głos: Si, si (tak, tak) – bo e ja wy jesteście boje /z piemonckiego łotrzy/ bo niszcycie nasze pola i kradniecie nam plony! Było to otwarte wypowiedzenie wojny. Małgorzata wiedząc, że jej słowa są jak groch o ścianę, a kukurydza znika w paszczach koni, porwała za widły i uderzała styliskiem konie a widząc, że i to bezskuteczne poczęła kłuć je po bokach i nozdrzach. Na ten widok żołnierze, którzy w innych okolicznościach nie puściliby tego płazem, teraz powiązali konie do drzew i tak skończyło się pomyślnie to starcie żołnierzy z 11-letnią dziewczynką.

Na skutek zwycięstwa odniesionego przez Napoleona nad Austrią pod Marengo, wojska austriackie musiały opuścić Piemont, który stał się prowincją francuską. Wtenczas nastał spokój dla ludności podalpejskiej. Ścigano bandy dezertarów włóczących się i grasujących po wsiach. Obywatele dla własnej samoobrony musieli również łączyć się w gromady z bronią, unikając miejsc ustronnych i lesistych. Śmierć groziła każdemu, kto wpadł w podejrzenie, że należy do bandy.

Władze francuskie prowadziły bezwzględną walkę ze wspomnianymi bandami oczyszczając teren i zapewniając obywatelom bezpieczeństwo. W czasach imperium

ustały również samowolne rządy prefektów prowincji. Żelazna wola i sprężysta administracja jedynowładcy utrzymywała ład w całym imperium.

Zaszły w międzyczasie pewne wydarzenia rozjaśniły nieco życie religijne obywateli. W roku 1803 nastąpiły uroczyste obchody cudu z roku 1453. Odrestaurowano wspaniałe świątynię Corpus Domini; na placu przyległym wzniesiono trybunę. Głosili z niej kazania najznakomitsi mówcy; odbywano procesje eucharystyczne z udziałem Rady Miejskiej i garnizonu francuskiego. Nagła śmierć jednego z tych, co drwili sobie z pobożności Turyńczyków wzniciła ogólną bojaźń oraz uczucie żywej wiary i pobożności zarówno w Turynie jak i na prowincji.

12 listopada przejeżdżał przez Turyn w drodze na koronację cesarza, Papież Pius VII, witany z ogromnym entuzjazmem przez tłumy ludu. W drodze powrotnej zatrzymał się Papież przez 3 dni w Turynie i z łoża pałacu królewskiego błogosławił zalegającym place tłumom. Również rodzina Occhiena dając upust swej religijności nie mogła ominąć tej niezwyklej okazji zobaczenia Papieża. Małgorzata liczyła podówczas już lat 17 i uczestniczyć musiała zapewne i ona w podniosłej uroczystości, umiejąc później wpajać w serca synów gorącą miłość do Namiestnika Chrystusowego. Utwierdziło ją w niej niebawem gorące współczucie a zarazem oburzenie na wieść o porwaniu Papieża z pałacu kwirynalskiego w Rzymie i wleczenie go w asyście żandarmów przez Piemont w kierunku Grenoble.

Jej prostolinijny zdecydowany charakter był zawsze gwarancją dla jej cnoty, w połączeniu z trzeźwą roztropnością, która uchroniła ją od fałszywego kroku.

Nierzadko odwiedzały ją koleżanki namawiając na przechadzkę zwłaszcza w święta, do lasu lub w uroczu doliny. Zdawał im się słuszny ten wypoczynek po całotygodniowej ciężkiej nieraz pracy. Małgorzata jednak nie chciała się oddalać spod oczu swych rodziców i umiała zawsze znaleźć odpowiednią wymówkę.

Patrzcie!, mówiła, ja już odbyłam swą przechadzkę dzisiaj. Byłam w kościele na nabożeństwie i nie mam już sił ani chęci do dalszego spaceru. I na nic nie zdały się wszelkie namowy. Nie знаła innej drogi niż tej, która prowadziła do kościoła, dość odległego od jej domostwa.

Wiadomo, ile atrakcji przedstawiają dla młodzieży różne odpusty czy kiermasze parafialne, połączone z tańcami nieraz do późnej nocy. Któż zaprzeczy temu,

że wyrządzają one wiele szkód dla niewinności i obyczajności młodzieży zwłaszcza żeńskiej.

Z takiej właśnie okazji przyszło razu pewnego kilka koleżanek do Małgorzaty z sąsiedniego Capriglio zapraszając:

Vieni Margherita, vieni in nostra compagnia!

Małgorzata oglądawszy je wystrojone od stóp do głów z uśmiechem odpowiedziała: A dokąd chciałybyście mnie zaprowadzić?

Na zabawę! Zeszło się tyle wesołego towarzystwa. Jest muzyka! Spędzisz wieczór wesoło! Małgorzata z powagą odrzekła:, Kto się chce weselić z diabłem, nie będzie mógł cieszyć się z Jezusem Chrystusem! i pożegnawszy je skinieniem wracała do mieszkania wpływając na niektóre, że zreflektowawszy się również wracały do domu.

Przede wszystkim jednak dzielna dziewczyna unikała spotkań z chłopakami. Otóż zdarzało się nieraz, że niektórzy młodzieńcy z jej wioski chcąc dotrzymać jej towarzystwa, gdy spieszyła do kościoła, czekali na nią opodal domu. To jej sprawiało pewien ambaras, gdy musiała pozostać czasem w domu, podczas gdy inni szli do kościoła. Niemniej przykro jej było odmawiać niefortunnym odwiedzinom. Orientowała się również, że może wywołać odwrotny skutek i sprowadzi jeszcze większą liczbę takich, którym nastreczy się okazja do niewybrednych kpiniek. Znalazła, więc wybieg, który skutecznie ją uwolnił od natrętnych młodzieńców: oto wychodziła z domu dużo wcześniej wyprzedzając ich. Przez parę niedziel to się udawało, wnet jednak spostrzeżono się o jej wybiegu. Wtedy Małgorzata zapraszała, jaką starszą gospodynię do towarzystwa. Lecz nie zawsze to się składało. Co wówczas robić? Znalazła i na to radę, nadawała tak mordercze tempo marszowi, pozostawiając w tyle swych zawodników, którzy wnet „puchli”.

Ech, nie warto sobie boków, jechał ją sęk mówili. A Małgorzata po wysłuchaniu Mszy św. dobierała sobie do towarzystwa, jakąś starszą gospodynię, w sam raz trochę garbatą, kulawą i tak szorstką, że gotowa była pokazać zęby każdemu, kto śmiałby ją napastować. Czytamy u Eklezjastyka: „Serce dobrej rady przygotuj sobie, bo ponad je nie masz nic droższego. Dusza męża świętego prawdziwiej niekiedy powie niżli siedmiu stróżów siedzących na wysokim miejscu na straży. A ty we wszystkim proś Najwyższego, aby kierował wprawdzie drogę twoją”.

Małgorzata według wskazań katechizmu umocniła swój charakter i regulowała swoimi czynnościami zgodnie z boskimi przykazaniami, a dzięki temu potrafiła uniknąć niebezpieczeństw i nienagannie spędziła swą młodość.

ROZDZIAŁ III

Franciszek Bosko wzór dobrego ojca rodzin; Oplakany stan Kościoła w Piemontcie; Zaślubiny Franciszka z Małgorzatą Occhiena; Narodziny Janka; Śmierć ojca.

Opodal Capriglio, półtora godziny drogi w kierunku północno wschodnim znajduje się położone wśród pagórków, zasłonięte od wiatrów północnych, miasteczko Castelnuovo d'Asti. Od zachodu styka się z wioskami Pino i Mondonio; od południa ciągną się urodzajne pola i łąki; od zachodu niewielkie wzgórze oddziela je od Moriondo i Lovanzito, okalają zaś przepiękne winnice. Gromada liczy sobie pięć przysiółków; domostwa wznoszą się na stoku pagórka, a wśród nich króluje kościół parafialny. Miasteczko odległe jest od Turynu 25 km i należy do archidiecezji turyńskiej, od Asti zaś 35 km. Jako gmina zbiorowa liczyła w owych czasach trzy tysiące mieszkańców, zajmujących się przemysłem i handlem, zatrudnionych w różnych miastach europejskich. Kopalnie gipsu znajdujące się na jej terenie dawały ludności znaczne zarobki. Klimat niezwykle łagodny, powietrze zdrowe; w porze letniej wietrzyk zachodni od morza łagodzi nadmierne upały. Lud pod tym pogodnym i wspaniałym niebem żyje wesoły i pełen fantazji, z usposobienia otwarty. Odznacza się niezwykłymi zdolnościami oraz słynie z gościnności, dlatego okolica ta ściąga mnóstwo turystów.

Mniej więcej w połowie drogi między Capriglio a Castelnuovo na skraju lasu znajdowały się zabudowania gospodarskie, zwane Becchi, należące do wioski Morialdo. Właścicielem jednego z zabudowań, niezbyt rzucającego się w oczy bogactwem, ale dość przyzwoitego był niejaki Franciszek Bosko, urodzony 4 lutego 1784 r. Skromne gospodarstwo liczyło parę mórg ziemi przylegającej do zabudowań, którą własnoręcznie uprawiał. Ponieważ jednak nie wystarczyło to dla wyżywienia rodziny, dzierżawił jeszcze parę mórg przyległych należących do niejakiego pana Biglione. Mieszkał na gospodarstwie wraz z żoną i synem Antonim, ur. 3 lutego 1803 r. oraz starą matką, którą bardzo szanował. Posiadał dość duże zdolności,

powszechnie szanowany jako wzorowy katolik, świadomy swych obowiązków, dzięki temu uczęszczał pilnie na nauki religijne w swej parafii.

Prawdziwa mądrość pochodzi od Boga i każe człowiekowi nie gubić się w próżnych zamysłach, lecz polegać całkowicie na Boskiej Opatrzności. Dlatego „życie robotnika przystającego na swoim będzie pełne słodyczy i w nim skarb znajdziesz” /Syr 40,18/.

Tymczasem zachorowała niespodziewanie jego małżonka i zaopatrzona przez księdza dziekana Józefa Boskasso, oddała Bogu ducha w ostatnich dniach lutego 1811 r.

Nadmiar tego smutku rodzinnego, bo niebawem zmarł i dziekan ksiądz Boskasso w listopadzie. Franciszek odczuł tę stratę nie mniej boleśnie niż pierwszą będąc wzorowym katolikiem. Wiadomo bowiem, czym jest kapłan, duszpasterz dla swych parafialnych owieczek. Znał on doskonale każdą rodzinę i poszczególnych jej członków, cóż dziwnego, że cieszył się powszechną czcią u swych parafian. Ojcowie rodzin i naczelnik gminy zgodnie z jego pasterskimi wskazówkami wykonywali swą władzę; nierzadko zasięgano jego opinii i w sprawach publicznych. Zjawił się anioł pocieszyciel przy łożu umierających łagodząc ból i smutek u pozostałych. W taki sposób urodziny, życie i zgon każdego wiernego, radości i smutki życia doczesnego nierozłączne były ze wspomnieniem duszpasterza. Zgon duszpasterza odczuwają wierni jak stratę ojca rodziny; zrywa on boleśnie zadzierzgnięte więzy, poufne stosunki i najpilniejsze interesy w sposób doprawdy niepowetowany.

W tych smutnych dla Kościoła czasach wielu świątłych katolików zastanawiało się, kto będzie jego godnym następcą. Wprowadzony, bowiem został świeżo tzw. Kodeks Napoleoński noszący znamię rewolucyjne w stosunkach z Kościołem.

W całych Włoszech powstawały loże wolnomularskie, faworyzowane wydatnie przez rządy. Zakonnicy tułali się w rozproszeniu, wiele klasztorów było zamkniętych, konfiskacie uległy dobra kościelne. Rozwydrzenie moralne szerzyło się wśród społeczeństwa, brakowało powołań kapłańskich; indyferentyzm religijny dawał swobodę szerzenia błędów i herezji. Nie respektowano immunitetów kościelnych; w seminariach wprowadzono gallikanizm, naruszający prawa Papieża. Wydano surowe przepisy karne przeciwko duchownym, którzy odważyliby się przeciwstawić zarządzeniom państwowym; biskupów uważano za urzędników imperatora i wyjęto

ich spod jurysdykcji szkoły, ażeby wpajać bez przeszkody w umysły młodzieży idee polityczne oraz wykoślawione poglądy religijne, zgodne z nowym kursem rządów. Tymczasem Paweł VII był internowany w Savonie.

Prócz wspomnianych wyżej trudności, sprawowanie duszpasterstwa wymagało doprawdy wielkiej roztropności i apostołowskiej gorliwości. Narzucono we wszystkich diecezjach imperium Napoleona wspólny katechizm, który roił się od nieścistości i błędów, dwuznacznych dodatków i opuszczeń; przyznawał cesarzowi najwyższy autorytet także w sprawach religijnych i wewnętrznych Kościoła. Proboszczowi nie wolno było występować nawet pośrednio przeciw innym kultom zaprowadzonym przez państwo. Zabronione było udzielanie ślubów osobom, które nie zawarły wpierw kontraktu cywilnego. Członkowie rady parafialnej musieli być zatwierdzani przez państwo. Wprawdzie biskupowi przysługiwało prawo nominacji proboszczów; cóż, kiedy nie wolno mu było udzielać im instytucji kanonicznej, dopóki najpierw nie przedłożył tej nominacji do zatwierdzenia ministrowi wyznań religijnych. Proboszcz zaś nie mógł wykonywać swej funkcji, dopóki nie złożył przysięgi na ręce prefekta.

Lecz powróćmy do Franciszka Bosko. Miał on poważny kłopot z wychowaniem już 9 letniego syna, będąc zajęty gospodarstwem. Chłopiec pozostawał pod opieką starej matki. Zdecydował się, więc na powtórny ożenek. Przebywając często w pobliskim Capriglio poznał niezwykle zalety Małgorzaty Occhiena, pobożnej i gospodarnej dziewczyny.

Małgorzacie niezbyt uśmiechało się to zamążpójście. Oddana domowym zajęciom i pracy na polu, nie goniła za uciechami i towarzystwem wesołych koleżanek, wśród których znajdowały się często z okazji różnych świąt, również zacne i uczciwe osoby. Liczyła sobie w tym czasie 24 wiosny. Myślała może, że pozostanie tak na zawsze przy swych sędziwych rodzicach. Lecz Pan Bóg przeznaczył jej stan małżeński. „Dobrym działem dobra żona; w dziale bojących się będzie dana mężowi za uczynki dobre; z bogatego i ubogiego serca zadowolone, w każdym czasie twarz ich wesół. Niewiasta mocna rozwesela męża swego i lat życia jego da mu w pokoju dopełnić”. /Syr 26, 3-4.2 /.

Franciszek Bosko poprosił, więc o jej rękę. Małgorzata początkowo wzbraniała się tłumacząc się, że jest zbyt przywiązana do swych rodziców. Ojciec jej jednak uznał za stosowne to małżeństwo i radził wyjść za mąż. Pomimo swego już podeszłego

wieku twierdził, że czuje się na razie dość silny i nie potrzebuje jej opieki. Jędrne zdrowie było doprawdy godnym pozazdroszczenia dziedzictwem jego rodu. Dożył sędziwych lat 99 i osiem miesięcy; zaś młodszy brat Michał – lat 90. Zresztą byli jeszcze w domu inni synowie i córki, zwłaszcza jedna imieniem Marianna, która chętnie podejmowała się opieki nad nim. Tak, więc mimo, że małżeństwo nie obiecywało nadmiernych wygód, było dla Małgorzaty odpowiednie. „Wielkim zyskiem jest pobożność poprzestająca na małym. Lepsza jest odrobina z bojaźnią Pańską niż wielkie skarby a nienasycające”. /1 Tym 6, 6; Przyp 15, 16 /.

W owych czasach obchodzono zaślubiny hucznie, z pompą, procesją z muzyką, iluminacją; przede wszystkim Spowiedź i Komunia św.; oblubieńców błogosławił przy ołtarzu proboszcz w czasie Mszy św. wkładając im obrączki ślubne. Tak też odbyły się i zaślubiny Franciszka i Małgorzaty. Po zarejestrowaniu swego związku w urzędzie cywilnym, wzięli uroczysty ślub w parafii Capriglio, w dniu 6 czerwca 1812 roku. Przestrzegali święcie polecenia św. Pawła: „Niech mąż kocha swą żonę jak siebie samego; żona zaś niech miłuje i czci męża swego”.

Małgorzata od chwili wejścia w dom mężowski w Morialdo, zajęła się małym Antonim jak własnym dzieckiem. Synek ten jednak, mimo że był traktowany z wielkimi względami, wydaje się, iż nie patrzył dobrze na powtórne małżeństwo swego ojca.

W owym czasie, 11 czerwca w karocy, z Savony w kierunku na Aleksandrię ciągnięto schorowanego starca Piusa VII, od lat trzech więźnia Napoleona. Konwojowany przez cesarskiego komisarza przejeżdżał incognito górzyste okolice Asti, Stupinigi, następnie przez przełęcz Mont Cenise przybywał do zamku Fontainebleau, gdzie miały go spotkać gorzkie udręki. Zapewne w przejeździe błogosławił Papież ukochanemu Piemontowi i jego mieszkańcom serdecznie doń przywiązany. A Małgorzata dowiedziawszy się o tym, czyż nie prosiła w głębi duszy Boga, by to błogosławieństwo spoczęło na tym jej nowym stanie?

Była szczęśliwa w pożyciu domowym z mężem, gdyż „myśl bezpieczna jak ustawiczne gody...” /Przyp 15,15/. Stara matka męża przyjęła swą synową z wielką radością pokładając w niej swe zaufanie i miłując serdecznie jak córkę. Małgorzata odwzajemniała posłuszeństwem życzliwość swojej teściowej. Te dwa serca zrozumiały się całkowicie od pierwszego spotkania. Ta sama gorliwość w pracy,

gospodarce, to samo zamiłowanie do oszczędności, identyczne zasady wychowania dzieci. Matka Franciszka z pokroju wiejskiego, była prawdziwą matroną z ducha, statecznego usposobienia i porywów do dobrego.

Pan Bóg pobłogosławił małżeństwo Franciszka i Małgorzaty i 8 kwietnia 1813 ucieszyli się z narodzin pierworodnego ich syna, któremu na Chrzcie dano imię Józef. W sierpniu zaś 1812 parafie objął nowy proboszcz ks. Józef Sismondo.

Radość ta jednak mieszała się ze smutkiem na widok nędznego stanu Ojczyzny i Kościoła. Świątynie były obdarte z ozdób i dzieł sztuki. Milczały wyniosłe wieże pozbawione dzwonów, ponieważ tysiące ich zabrano na odlanie armat. Duchowieństwo podeszłe wiekiem, zubożałe i nadzorowane przez policję. Egzekutorzy byli nieubłagani w ściąganiu podatków. Biedne matki zalewały się łzami na widok swych synów powoływanych pod broń. Poczynając, bowiem od roku 1805 toczyły się nieustanne wojny, choć nieraz daleko poza granicami państwa. Bardzo wielu mężczyzn poległo w wojnach z Niemcami; ze 20 tysięcy w walce z Hiszpanami, 15 tysięcy w czasie odwrotu z Rosji. W owym roku cała północna Europa związała się aliansem z Anglią przeciwko Napoleonowi. Zaciągnięto młodzież 18-letnią do pułków we Francji dla obrony tego despoty, który ich pewnego dnia miał rzucić jako mięso armatnie na rzeź. A w kościołach, jak na ironię, lud słyszał śpiew błagalny: „Domino salvum fac imperatorem nostrum Napoleonem!”

A tymczasem szły w niebo nieustanne modły błagalne dusz sprawiedliwych z prośbą o przebaczenie i ratunek i Bóg miłosierny złamał bicz gniewu, który chłostał narody. Od roku 1815, po klęsce Napoleona nastał wreszcie spokój w Europie. Dumny samowładca resztę swego życia dokonał na wyspie św. Heleny na Oceanie Spokojnym. Ten pyszny nowy Nabuchodonozor musiał w końcu uznać, że Bóg Wszechmocny wkłada i zdejmuje korony z głów panujących!

Dla Piemontu nastał rok szczególnej radości. Wszystkie prawa uciemiężające Kościół zostały zniesione. Pius VII udał się do Savony i w obecności króla Karola Emanuela I, w otoczeniu biskupów, wobec niezliczonej rzeszy, dokonał własnoręcznie koronacji cudownego Obrazu Madonny Łaskawej dziękując za wyzwolenie z niewoli. A w dniu 19 maja przejeżdżając przez Genuę, Novi, Voghera, Moncalieri, przybył nieoczekiwanie do Turynu. Była to jego siódma podróż po krajach podalpejskich. Nieopisany entuzjizm religijny otaczał wszędzie sędziwego Papieża, Męczennika,

którego z hołdem szczególnym przyjmował dwór sabaudzki. Z tej okazji wystawiono publicznie św. Całun. Papież w otoczeniu biskupów podtrzymywał św. Relikwię największą po Drzewie Krzyża św., przy triumfalnym biciu dzwonów w mieście oraz salw artyleryjskich. Papież opuszczał Turyn w dniu 22 maja, po zwiedzeniu świątyni Consolaty.

Tego samego roku, w którym miały miejsce tak doniosłe wydarzenia, w parę miesięcy po ustanowieniu Papieża święta ku czci Matki Bożej Wspomożenia Wiernych, pod wieczór, 16 sierpnia przyszedł na świat drugi syn Małgorzaty Bosko. Został ochrzczony w kościele parafialnym św. Andrzeja Ap. a w dniu następnym, to jest 17 sierpnia, przez ks. Józefa Fasta. Świadcami Chrztu byli: Melchior Occhiena i Magdalena Bosko, wdowa po mężu Secondo. Dziecię otrzymało imiona: Jan, Melchior.

W chwilach groźnych powszechnych klęsk i niepokojów trawiących społeczeństwo, Opatrzność wskrzesza ludzi przeznaczonych jako narzędzia miłosierdzia, podpory Kościoła oraz odnowicieli społeczeństwa.

Świat zdawał się oddychać upragnionym spokojem, lecz niestety krótkotrwałym. Tajne stowarzyszenia prowadziły nadal swą robotę krecią, zagrażającą tronem i ołtarzom; od czasu do czasu groźne pomruki rewolucyjne dawały znać o sobie, aż wreszcie za dopuszczeniem Bożym miał wybuchnąć nowy wulkan wojenny, po pierwsze dla ukarania ich zwolenników jawnych i skrytych, wreszcie dla okazania mocy Bożej.

Dziecię Jan jeszcze bujało się w kołysce w Becchi, a już w Castelnuovo 4 letni chłopiec Jan Józef Cafasso swym pobożnym zachowaniem w kościele uchodził wśród rówieśników jako „un santino”. Ci dwaj chłopcy urosną niebawem na mężów, właśnie w momencie największej walki między dobrem a złem, każdy z nich na własnej pozycji spełni szczególne posłannictwo zlecone od Boga.

Małgorzata była zamięłowana w porządku, milczeniu i skrzętnej pracy, rządna i oszczędna, podczas gdy jej mąż Franciszek trudził się gospodarstwem utrzymując swą 70-letnią matkę, trzech synów i dwóch parobków. Obojga rodzicom nic tak nie leżało na sercu jak wychowanie w bojaźni Bożej swych drogich skarbów, dlatego czuwali nad tym, by zły przykład nie zaćmił ich niewinności.

Oboje cieszyli się opinią wzorowych chrześcijan wśród rodaków, czego pamięć przechowuje się w ich wiosce. To właśnie jest najcenniejsze dziedzictwo dla dzieci. „Sława, bowiem człowieka ze świętości ojca jego...”. Lecz na tym świecie wszystko ma swój koniec. Pan Bóg nawiedził ten dom wielkim nieszczęściem. Franciszek tryskający zdrowiem, wróciwszy z pola spocony niebacznie poszedł do piwnicy napić się czegoś. Zaziębił płuca, dostał pod wieczór silnej gorączki. Na nic się nie zdały wszelkie zabiegi i po paru dniach znalazł się nad grobem. Zaopatrzony w pociechy religijne i zdecydowany na wszystko zachęcał swą żonę płaczącą, by zaufała Opatrzności; wezwawszy ją w ostatnich chwilach mówił: Widzisz, droga, Pan Bóg okazał mi wielką łaskę, że powołuje mnie do siebie w piątek, który jest pamiątką śmierci naszego Zbawiciela, w tej samej godzinie, gdy on umarł na krzyżu i prawie w tych samych latach życia ziemskiego. Polecam ci gorąco naszych synów, lecz w sposób szczególny najmłodszego Janka.

Franciszek zakończył życie mając zaledwie 34 lata, 11 maja 1817 r. W dniu następnym został pochowany opłakiwany przez krewnych i całą wieś. Powyższe dane przekazane przez ks. Michała Rua zaczerpnięte są z ust Matusi Małgorzaty.

Wspominał o tym często Ksiądz Bosko swym chłopcom i wychowankom Oratorium św. Franciszka Salezego, wpajając im szacunek, miłość i posłuszeństwo względem swych rodziców. W pierwszych latach, gdy nie miał jeszcze tak rozlicznych zajęć, zjawiał się często na rekreacji, w otoczeniu setek chłopców. Często sięgał pamięcią lat swego dzieciństwa i młodości. Bywało, ten i ów rzucał pytanie:

Niech Ksiądz nam opowie, co pamięta o śmierci swego tatusia.

Ksiądz Bosko opowiadał: Liczyłem zaledwie dwa lata, gdy umarł mój ojciec tak, że ledwie przypominam sobie jego rysy twarzy. Pamiętam, jak w tym smutnym dniu mamusia wzięła mnie za rękę mówiąc: Mój Janku, ty nie masz już ojca! Wszyscy opuścili izbę, tylko ja sam absolutnie chciałem pozostać. Moja matka wzięwszy garnek z plewami, w którym przechowywały się jaja, rzekła mi: Pójdź, Janku, pójdź za mną biedne dziecko powtarzała z płaczem.

Jeżeli tatuś nie pójdzie ze mną, to ja nie odejdę stąd, odrzekłem.

Mój biedny synku, pójdź do mnie, ty nie masz już ojca.

To rzekłszy rozplakała się i wzięwszy mnie za rękę wyprowadziła z izby; płakałem, gdyż i ona płakała; wówczas, bowiem jeszcze nie mogłem pojąć, jak wielkie

to nieszczęście dla dziecka utracić ojca. Dlatego zapamiętałem sobie na zawsze te słowa matki:

Eccoti senza padre!

Pamiętam również, że mój brat Antoni bardzo wówczas rozpaczał. Więcej nie pamiętam od tego czasu, gdy miałem od czterech do pięciu lat. Później przypominam sobie wszystko, co robiłem.

ROZDZIAŁ IV

Wielki głód w Piemoncie; Bieda w rodzinie Bosko; Obraz chrześcijańskiej wdowy; Mądrość Małgorzaty w wychowaniu synów.

Śmierć ojca postawiła rodzinę w wielkim zakłopotaniu. Na barki Małgorzaty spadło obecnie utrzymanie pięciorga osób, gdyż nie miała serca oddać z domu dwóch parobków. Od roku 1816 panował w całym Piemoncie wielki głód i nędza. Zapowiadające się pomyślne zbiory zostały zniszczone przez mróz, a następnie wypalone przez długotrwałą suszę. Pola, łąki, sady przedstawiały ponury obraz zniszczenia. Produkty żywnościowe dochodziły do bajecznych cen. Za funt żyta płacono 25 lir, funt kukurydzy 16 lir. Współcześni świadkowie podają, że wielu zebrało o garść plew, by z grochem lub fasolą ugotować sobie trochę pożywienia. Znajdowano ludzi zmarłych z głodu z trawą w ustach, w takiej klęsce wielu w gorących modłach błagało Tego, który rządzi naturą, o deszcz, widywano publiczne procesje pokutne z dawnych wieków, pomimo tak wielkiej obojętności religijnej, jaka zapanowała po rewolucji. Lud zbiedzony garnął się do świątyń boso, z powrozem u szyi, z krzyżem na ramionach zanosząc błagania o miłosierdzie Boże. Wracając do domów gromadki nędzarzy napotkawszy zamożniejsze domy, na klęczkach czołgając się błagały o wsparcie. Właściciele dawniej bogaci, obecnie sami doprowadzeni do ruiny, wychodzili do nich z garścią mąki z plewami, którą oni na sucho, łzami zroszoną połykali.

Z powodu nędzy szerzyło się wiele chorób nagminnych, na które padało wielu ludzi. Po miastach, u progu pałaców i kościołów, na ulicach i placach tłoczyli się nędzarze, półnaczy, chorzy na tyfus plamisty budząc swoim widokiem litość i przerażenie. Dodać do tego niebezpieczeństwa na drogach. Pojawiły się masowo wilki, które przywędrowały ze Szwajcarii, gdzie na nie zawzięcie polowano; włóczyły się stadami po lasach pędzone głodem.

Pomimo szczupłych zasobów zacna Małgorzata utrzymywała, jak mogła swoją czeladkę; gdy już wyczerpało się wszystko, zniosła znaczną sumę pieniędzy swemu krewnemu z prośbą by zakupił gdzieś żywności. Nikt jednak za żadną cenę nie chciał pozbywać się i tak szczupłych zasobów. Nikt już nie kupował na rynku bydła ani trzody chlewnej, z braku siana. Wspomniany krewny wrócił po paru dniach uciążliwych poszukiwań z próżnymi rękoma.

Małgorzata nie tracąc ducha sama poszła do krewnych po zakupy, lecz nikt nie był w stanie przyjść jej z pomocą. Pod wieczór wtedy zgromadziwszy swą czeladkę tak przemówiła: Mój mąż przed śmiercią zapewnił mnie o opiece Bożej. Dlatego pójdźcie pomódlmy się gorąco do Boga. Po krótkiej gorącej modlitwie powstawszy rzekła:

W ostatecznych wypadkach należy się chwytać ostatecznych środków. Z pomocą krewnego poszła do obory, zabiła jałówkę i ugotowała posiłek dla swej rodziny. W dniach następnych żywiono się jarzynami, które udało się zdobyć za wysoką cenę w dalszych wioskach. Jak widać, wiele musiała nakłopotać się matusia Małgorzata w owych ciężkich czasach. Dzięki jednak swej niespożytej pracowitości i oszczędności oraz opatrnościowej pomocy, która skądś nadeszła, udało się przetrwać krytyczne czasy.

„Byłem młody i zestarzałem się, a nie widziałem sprawiedliwego opuszczonego, ani potomstwa jego szukającego chleba”. /Psalm/ Wśród takich kłopotów strata matki Dominiki, w wieku lat 60 głęboko dotknęła jej czułe serce.

Gdy ustała klęska głodu i poprawiła się sytuacja gospodarcza rodziny, pani Małgorzata otrzymała propozycję powtórnego zamążpójścia. Zdecydowanie jednak odmówiła: Pan Bóg dał mi męża, którego mi zabrał; przed śmiercią mój mąż powierzył mi trzech synów; byłabym okrutną matką, okrutną gdybym ich opuściła w momencie, kiedy najbardziej potrzebują mej opieki. Odpowiedziano jej, że synowie będą mieć zapewnioną opiekę. Opiekun, odpowiedziała dzielna niewiasta, jest przyjacielem, a ja jestem matką mych synów i za żadną cenę ich nie opuszczę, choćby mi dawano wszystkie skarby świata. Jest moim obowiązkiem poświęcić się ich wychowaniu. Zarazem oświadczyła, że musi dbać o swą starą teściową.

Bóg dał Janowi Bosko prawdziwą matkę chrześcijańską, która miała go uformować według Jego planów. Małgorzata odpowiedziała w pełni swej misji. Duch

Święty mówi: „Masz synów? Pouczaj ich i nagingaj od dzieciństwa...”. /Syr 7,25/; „Koń nieujeżdżony staje się twardousty, a syn rozpuszczony staje się samowolnym”. /Syr 30,8/; „Pieść syna, a przestraszy cię, igraj z nim a zasmuci cię”. /Syr 30,9-11/; „Młodzieniec wedle drogi swej choćby się zestarzał nie odstąpi od niej”. /Przyp 22,6/.

Pouczona o tych prawdach w największej szkole świata, jaką jest Kościół, umiała je zastosować jako matka i wszczepić głęboko w serca swych dzieci. To też syn wiernie odwzorował w sercu jej wiarę, czystość, zamiłowanie do modlitwy, cierpliwość, stateczną odwagę i ufność w Bogu; gorliwość w zbawieniu dusz, prostotę i łagodność w postępowaniu, życzliwość do ludzi, niezmożona pracowitość, roztropność i odpowiedzialność, hart ducha. Wszystko to odblaski duchowe jego matki Małgorzaty, które się w nim odbiły podobnie jak na kliszy fotograficznej przedmioty.

Ten trud wychowawczy podjęła Małgorzata niczym nie przeciwstawiając się, lecz przezornie miarkując i do Boga odnosząc przyrodzone dary i skłonności, którymi był obdarzony przez Stwórcę jej Janek. A był to umysł otwarty, przy tym stateczny i wytrwały; lecz dobra matka nagingała go umiejętnie do posłuszeństwa nie dając miejsca kaprysom i miłości własnej, lecz ćwicząc w przyjmowaniu upokorzeń, do których sposobny jest wiek dziecięcy. Przemyśliwała nad tym, jakby go posłać do szkoły, lecz bez zbytniego niepokoju, zdając się na czas i okoliczności, jakie Opatrzność zdarzy.

Głębokie uczucie miłości, którą miał darzyć w przyszłości wszystkich ludzi, mogło w tym momencie być narażone na pewne niebezpieczeństwa z racji na tkliwe serce, jakim go Bóg obdarzył. Otóż matka Małgorzata świadoma tego nie dała się ponieść uczuciu macierzyńskiej tkliwości i pieszczotliwości kosztem majestatu matki i wychowawczyni karcącej to, co miało choćby cień wykroczenia. Natomiast nie posługiwała się nigdy metodami gwałtownymi, rozgoryczającymi i oziębującymi miłość synowską. Janek od początku posiadał w sobie coś znamionującego pewność przewagę nad tymi, którym miał przewodzić w przyszłości. Mogło to nawet wyrodzić się w pychę i przesadną ambicję. Otóż matka Małgorzata zawczasu tłumiała budzące się w nim kaprysy dziecięce, kiedy jeszcze nie był zdolny brać za nie odpowiedzialności moralnej. Ale gdy ujrzy go przewodzącego dzieciom w igraszkach na to, by móc im uczynić dobrze, będzie przyglądać się uważnie jego postępowaniu, nie będzie sprzeciwiać się dziecięcym imprezom, nawet będzie im sekundować

dostarczając potrzebnych środków. Słowem stwierdzić można, iż cnoty syna są odpowiednikiem cnót matki, godne siebie nawzajem. Nie bez racji, więc Maria Matta, babka księdza Secondo Marchisio salezjanina oraz pani Benedykta Savio, wychowawczynie Domu dziecka w Castelnuovo, dobrze znające Małgorzatę, wyraziły się o niej: **Królowa matek chrześcijańskich!** Obecnie przyjrzymy się postępowaniu tej godnej matki jako wychowawczynie swych dzieci.

ROZDZIAŁ V

Katechizm; Myśli o Bogu; Modlitwa; Pierwsza spowiedź; Zajęcia codzienne; Pierwsze oznaki przyszłego powołania Janka.

Zaledwie synowie doszli do wieku rozeznania, największą troską matki Małgorzaty było pouczać ich o pierwszych zasadach wiary, wdrażać do jej praktykowania oraz do pracy, stosownie do ich wieku.

Dziecko od własnej matki uczy się wstrętu do grzechu, bojaźni kary wiecznej, nadziei nagrody wiekuistej, jej słowa trafiają do serca dziecka i przenikają je głęboko. Żaden wychowawca nie zna większego od niej autorytetu ni skuteczności oddziaływania. Jeśli za dni naszych widzi się młodzież rozpuszczoną, zaniedbaną religijnie i moralnie, to jedną z przyczyn jest brak wychowania religijnego w domu. Katechizacja w parafii, względnie nauka religii w szkole trwa niestety zbyt krótko, a do tego w czasie nieodpowiednim, gdy dziecko ma wiele roztargnień, ostatecznie coś zdoła zapamiętać z katechizmu, lecz nie jest tymi prawami głęboko przejęte. Natomiast wychowanie religijne domowe przez matkę skuteczniej oddziałuje na duszę dziecka i staje się stopniowo jakby drugą jego naturą tak, że jakby instynktownie nabiera wstrętu do grzechu, podobnie jak chęci do dobrego. Stopniowo wzrastają dobre dyspozycje, cnota nie kosztuje już tak wielkiego wysiłku tak, że dziecku dobrze wychowanemu trzeba by gwałt zadać, by go nakłonić do złego.

Małgorzata dobrze знаła moc i skuteczność chrześcijańskiego wychowania, przepajającego młodą duszę Boską nauką, z której wyciąga się aktualne wskazówki i wdraża dziecko do posłuszeństwa. Powtarzała częściej dzieciom prawdy wiary w formie katechizmowych pytań i odpowiedzi, by tym łatwiej je sobie spamiętali. Była to niewiasta pełna ducha Bożego, którego potrafiła przelać w serca swych dzieci. „**Bóg cię widzi**” przypominała im często, chcąc wrazić w pamięć obecność Boga, który będzie naszym Sędzią. Gdy pozwalała chłopcom pohasać nieco, przypominała:

Pamiętajcie, Bóg was widzi! Widząc czasem ich zasepionych lub nadąsanych mówiła: „Pamiętaj, że Pan Bóg widzi nasze najskrytsze myśli”. Gdy spostrzegła, że spytany chciał się czymś wykręcić, zwracała uwagę: Pamiętaj Bóg jest twoim świadkiem! Bezwiednie przywodziła te słowa wyrzeczone do Abrahama: „Chodź ze mną a bądź doskonały”, oraz polecenie dane młodemu Tobiaszowi przez ojca: „Przez wszystkie dni swego życia miej na pamięci Boga, wystrzegaj się złego i przekraczania Przykazań Boga naszego”. To jest wielka prawda, która każe nam odpowiedzieć kusicielowi: Jak mógłbym uczynić ten grzech i zgrzeszyć przeciw Panu Bogu?

Na widok pewnych zjawisk naturalnych budziła pamięć o Bogu. I tak wyprowadzając ich czasem na dwór i ukazując gwiaździste niebo mówiła: Pan Bóg stworzył niebo i ziemię i umieścił na nim tyle gwiazd. Jeśli tak piękne jest sklepienie niebieskie, to jakże musi być cudny sam Bóg? Na widok pięknej pogody rozległych pól, łąk i sadów, pogodnego wschodu, czy zaróżowionego zachodu mówiła: Ileż pięknych rzeczy stworzył dla nas Pan Bóg!

Nie wolno go obrażać! Gdy grad zniszczył zasiewy mówiła: Pan Bóg nam je dał i Pan Bóg zabrał. On jest Panem wszystkiego, On wie, co dla nas najlepsze. Wiedźcie, że to kara za grzechy, bo z Bogiem się nie igra. Gdy plony na polu wspaniale dojrzewały zapowiadając piękne żniwa, mówiła: Dziękujmy Bogu, jak dobry jest Bóg, że nas żywi. W czasie mroźnej zimy, gdy rodzina zasiadała przy kominku wieczorem, na dworze zaś sypał śnieg, mówiła: Jak bardzo wdzięczni winniśmy być Bogu za to, że nas opatruje w tylu potrzebach. Bóg jest Dobrotliwym Ojcem naszym, który jest w niebie.

Potrafiła zręcznie wydobyć naukę moralną ze zdarzeń całego dnia, bądź wesołych, bądź smutnych, zawsze przecież pochodzących z ręki Boga. O tym często wspominał później syn Jan jako kapłan podnosząc, ile miał do zawdzięczenia swej matce.

Uczyła każdego z osobna pacierza, a Janek już od lat wczesnych prócz zwykłego pacierza porannego i wieczornego, odmawiał także cząstkę Różańca, czego później nauczał innych.

Gdy doszedł do lat rozeznania, pobożna matka przysposobiła go do pierwszej Spowiedzi i Komunii św. Towarzyszyła mu do kościoła, sama wpierw wyspowiadała

się, poleciła go spowiednikowi. Wspólnie z nim odprawiała dziękczynienie. Tak czyniła, dopóki nie była pewna, że samodzielnie godnie przystępować będzie do Sakramentów św. W dni świąt szła z nim na naukę katechizmu do kościoła, Janek zaś wróciwszy do domu powtarzał to, co usłyszał.

W późniejszym życiu zachowała nadal wpływ na nich. Z macierzyńska powagą pytała zawsze, czy zadość uczynili obowiązkom religijnym oraz czy odmawiają swój pacierz codziennie; oni zaś odpowiadali jej życzeniom jak małe dzieci. Nawet jako kapłan, Jan szanował wolę Matki. Bywało wracał z pracy duszpasterskiej późno wieczorem i kładł się już do snu. Matka wchodząc do pokoju pyta: Czy już odmówiłeś swój pacierz? On mimo zmęczenia wiedząc, że sprawi tym jej przyjemność, klękał do pacierza. Matka zaś mówiła: Widzisz mój synu, jestem niepiśmienna, a ty wykształcony; ale mimo to twoja matka więcej wie od ciebie: wie tyle, że powinieneś się modlić!

Może, kto powie, że to przesada. Ja zaś powiem, że dla zacnej matysi sprawiało niewymowną radość widzieć, że po tylu latach jej synowie nadal są jak dawniej posłuszni i pobożni. A ile biednych matek żali się i w cichości połyka gorzkie łzy na widok braku szacunku ze strony swych dorosłych synów! Małgorzata zaś czuła się szczęśliwą widząc, że jej synowie są zawsze tacy delikatni dla niej, jak byli w młodości. Lata mijały, a czar niewinnego dzieciństwa zachował się nieskazitelnie. Jakże gorąco dziękowała za to Bogu w cichości serca! Ach, te łzy radości w oczach matek są najdrogocenniejszymi perłami na ziemi! „A jako który skarby zbiera, tak i ten, co szanuje matkę swoją!”. /Syr 3,5/.

Prócz modlitwy i wychowania religijnego, posługiwała się też narzędziem pracy. Nie cierpiała tego, by synowie próżnowali! Dlatego polecała im zawsze jakieś zajęcie. Na przykład, Janek 4 letni musiał czyścić konopie. Gdy wykonał zadanie, brał się do gry w tak zwaną kiczkę, gdy jeden podbija zręcznie klocek do góry, a drugi stara się go złapać lub odbić z powietrza. Nie brak kłótni w tej grze. Lecz Janek występował zawsze w roli mediatora. Nic nie szkodziło, że nieraz oberwał „czyżykiem” w głowę. Biegł do matki by mu opatrzyła draśnięcie. Bywało, że zniecierpliwiona pytała: Widzicie go! Znowuż to samo. Po co bawisz się ciągle z tymi łobuzami?

Ależ mammo, gdy ja jestem z nimi, to oni stają się lepsi, nie mówią złych wyrazów!

No, ale zawsze wracasz do domu z rozbitą głową!

Zdarzyło się przypadkiem.

No niech ci będzie, lecz nie chodź tam więcej.

Mamo.

Czy zrozumiałaś?

Jeśli mamie tak się podoba, nie pójdę tam więcej; lecz gdy jestem wśród nich, postępują jak ja chcę i nie biją się między sobą.

Wiem, że jeszcze nieraz przyjdiesz z rozbitą głową; miej jednak baczenie na to, mówiła kręcąc głową, że ci chłopcy są bardzo zmierzli.

Tak Janek obserwował pilnie, co wreszcie zdecyduje matka; ona w końcu zreflektowana wypowiada: Va pure!

Co za roztropność u tego dziecka! Już wówczas śnił, że jest przywódcą gromady dzieci, które słuchają jego poleceń i przestróg. To wymarzone jego szczęście. Pod wpływem łaski uprzedzającej gotował się do swej przyszłej misji mając w sercu świętą bojaźń Bożą, z której pochodzi wszelka mądrość, która „uprzedza tych, którzy jej pożądata, aby im się pierwsza okazała. Kto koło niej rano wstanie, nie będzie się trudził, bo ją znajdzie siedzącą u drzwi swoich. Myśleć o niej jest doskonałą roztropnością. Bo dla tych, którzy są jej godni, sama się po drogach wesoło pokazuje i zabiega im ze wszelkim staraniem. Początek jej, bowiem jest szczere pożądanie nauki, a troska o naukę miłością jest, a miłość jest zachowaniem jej praw, a zachowanie praw zapewnieniem nieskazitelności. Tak, więc pożądanie mądrości przywodzi do wiecznego królestwa”. (Mdr 6,14,15,17-21).

ROZDZIAŁ VI

Mądra matka; Synowie posłuszni; Powrót z jarmarku; Sprawozdanie.

Małgorzata czuwała nieustannie nad postępowaniem swych dzieci. Jej czujność jednak nie była nudna, podejrzliwa, lecz zgodnie z wolą Bożą ustawiczna, roztropna i pełna miłości. Starła się by synowie czuli się dobrze w towarzystwie matki wprowadzając w czyn zalecenia Apostoła: „Nie wywołujcie gniewu swych synów, wychowujcie ich w karności i przykazaniach Pańskich”. /Ef 6.4/. Nie okazywała znudzenia ich hałaśliwą zabawą, brała w niej niekiedy udział i poddawała nowe sposoby gry. Odpowiadała z cierpliwością na ich natarczywe pytania dziecinne poznając w taki sposób ich usposobienie i charakter. Synowie również nie mieli przed nią żadnych sekretów.

W owych czasach można znaleźć w wielu domach Biblię lub Żywoty Świętych. Był zwyczaj w niektórych domach Capriglio, że gospodarz odczytywał zgromadzonej rodzinie parę wierszy Pisma św. względnie Żywotów Świętych, odnośnie do nagrody, jaka czeka posłuszne dzieci, a kary na występnych. Umiała to objaśnić pięknymi przykładami. W sposób szczególny potrafiła opowiadać interesująco o dzieciństwie Pana Jezusa, posłuszeństwie Matce Najświętszej, stawiając to jak wzór małym dzieciom.

Wiadomo, że młodzież chętnie słucha opowiadań i bajek i jakie one wrażenie wywierają na ich umysłach. To jeszcze jeden sposób dla Małgorzaty, by zdobyć władzę nad duszami swych dzieci i późniejszych wnuków; jedno jej słowo wywierało swój efekt.

Przynieść wody, narąbać drewna, dać siano krówkom, zamieść podłogę, wystarczyło dla niej tylko skinąć na chłopców, a już robota szła z miejsca. Potrafiła ona otrzymać od swych synów to, co dla wielu rodziców mogłoby się wydawać zbyt trudne. Nie życzyła sobie absolutnie, by zawierali znajomość z osobami nieznanymi

oraz by nie wychodzili z domu bez jej wiedzy. Otóż czasem padały słowa: Mamo, przyszedł ten a ten kolega, czy mogę z nim się bawić?

Gdy padła odpowiedź: „Si”, biegli na łąkę pobawić się. Niekiedy odpowiedź była negatywna, wówczas nie wychodzili poza próg kontentując się własnymi zabawkami kupionymi lub własnoręcznie zrobionymi. Czasem matka wyszła na pole, a ktoś namawiał, by wyjść na dwór, bo takie piękne jest słońce. Na to odpowiadali zawsze: Nie, bo nie chcemy robić przykrości mamie.

Czasem Małgorzata szła na jarmark w Castelnuovo, by sprzedać lub kupić coś potrzebnego. Zależało jej bardzo, by chłopcy niczym nie obrazili Boga; dlatego dając im pewne polecenia prosiła zarazem babkę, by miała nad nimi oko. Chłopcy oczekiwali z niecierpliwością powrotu matki, tym bardziej, że przyrzekła im przynieść chleba świętojańskiego. Z daleka już wyglądali jej powrotu, a gdy ujrzeli ją biegli naprzeciw a krzykiem: Il pane genetto, il pane genetto!! Mama przystając z uśmiechem mówiła: Powoli, powoli, nie róbcie rwetesu, pozwólcie mi najpierw zanieść do domu ten ciężki kosz, dajcie mi odetchnąć. Chłopcy biegli za nią do kuchni. Tam Małgorzata siadała na stołku i wyjmując dawała każdemu po strąku chleba świętojańskiego. Chłopcy na wyścigi wyciągali ręce: Mnie, mnie! Mama zaś: Powoli, powoli, dam wam, ale wpierw musicie mi powiedzieć jak żeście spędzili czas.

Chłopcy jeden po drugim zdawali sprawę z wykonanych poleceń. Jednego na przykład, zapytywała: Czy byłeś u tamtej gospodyni po nasiona, jak ci kazałam? A ty spełniłeś to zlecenie, jakie ci dałam, jeśli przyjdzie owa sąsiadka? Czy babka nie prosiła was, o jaką przysługę? Czy chętnie ją posłuchaliście? Czy nie daliście powodu do narzekania na was? Czy był któryś z waszych kolegów? W co bawiliście się z nimi? Jak przeżyliście dzień? Czy między wami panowała zgoda? Czy odmówiliście Anioł Pański w południe? Słowem chciała wiedzieć wszystko, nawet ich myśli. A chłopcy wyjawiali najdrobniejsze szczególiki. Mama zaś każdemu dawała odpowiednią naukę; mówiła na przykład jednemu: Cosi va bene, dobrze odpowiedziałeś. Na przyszłość bądź grzeczniejszy. Nie wiesz, że kłamstwo nie podoba się Bogu? Dowiadując się, że byli posłuszni, mówiła: Si, sono contenta; obchodźcie się dobrze z babką, a Pan Bóg was wynagrodzi. Wreszcie dostawali wszyscy chleba świętojańskiego, który chciwie zjadali.

W taki sposób postępowała zawsze, ilekroć sama, albo synowie byli jakiś czas poza domem i ten zwyczaj zachowała, dopóki nie wyrosli.

Dzięki temu synowie stawali się uważni, przezorni i gdy nawet coś przeoczyli, obiecywali w przyszłości poprawę. Janek zaś w sposób szczególny zachował w sercu nauki swej matki i od niej uczył się pełnego miłości systemu wychowania młodzieży.

Takie właśnie nauki podają wychowawcom księgi sapiencjalne: „Daj mi synu mój, serce twoje, a oczy twoje niech strzegą dróg moich”. Ksiądz Bosko wziął je sobie jako motto, które po tysiącokroć powtarzał zachęcając nas do dobrego. To też widzieliśmy u niego ustawiczną czujność heroiczną nad sobą, tę ciągłą czujną asystencję nad młodzieżą, cierpliwość w wysłuchiwaniu tego, co do niego mówiono, roztropnie stawiane pytania, odnośnie prowadzenia się jego przyjaciół i podwładnych, to wszystko zaczerpnął od własnej matki.

ROZDZIAŁ VII

Upomnienia; Roztropna cierpliwość macierzyńska; Triumfy odniesione.

Małgorzata nie była taką niewiastą, by gderać nieustannie, irytować się, czy poddawać się nagłym wybuchom gniewu. Była zawsze spokojna i pogodna nie okazując złego humoru, dlatego i synowie odwzajemniali jej miłością, jak tylko można sobie wyobrazić. Mimo to nie zaniedbywała upomnień w swoim czasie, jak mówi Pismo św. „Kto oszczędza różgi, nienawidzi syna swego, lecz kto go miłuje, ustawicznie go ćwiczy. Głupota przywiązana jest do serca dziecięcego, ale różga karania wypędzi ją. Dziecię puszczone na swą wolę przynosi wstyd matce swej”. /Przyp 13,24;22,15/.

Pomimo, że Małgorzata posiadała tego ducha słodczy, nie była przecież słabą i synowie wiedzieli, że gdyby uparcie robili coś na przekór, nie zawahałaby się uciec do różgi. Nie wyrzekała się swej władzy karania, czego symbolem była różga stojąca w kącie. Po prawdzie nigdy jej nie używała, ani nie wymierzyła komuś policzka.

Umiała zastąpić to właściwymi sobie wybiegami, które wywoływały swój efekt. Raz na przykład 4-letni Janek ze starszym Józefem wrócili zziązani. Małgorzata postawiła na stole wodę najpierw starszemu Józefowi, a gdy następnie podała Jankowi, ten kapryśnie odsunął napój. Matka spokojnie zabrała wodę i odstawiła. Janek zreflektowawszy się, po chwili milczenia odzywa się nieśmiało:

Mamo, a mnie

Co takiego?

Proszę i dla mnie wody.

Przecież nie chciałeś. Myślałam, że nie masz pragnienia...

Mamo, przepraszam!

Ano, dobrze i podała wodę z uśmiechem.

Kiedy indziej znowu Janek coś zbroił pod wpływem swej żywiołowej natury. Małgorzata zawołała go: Janku, widzisz tam różgę?

Tak, odpowiedział chłopak, stając z respektem.

Przynieś mi ją.

A co mama chce z nią zrobić?

To moja rzecz. Przynieś, a zobaczymy. Chłopiec pobiegł po nią i podając rzecz: Ach, więc to na moje plecy?

A cóż sobie myślisz, jeśli będziesz mi wyprawiał dalej?...

Ebbene, mamma, non le farò piu', przyrzekł skruszony synek.

Małgorzata twierdziła, że syn nigdy nie zasłużył na karę i jeśli coś zawinił przez nieuwagę, wystarczyło jedno upomnienie, by się poprawił. A zawsze dotrzymywał słowa.

Józef natomiast, z usposobienia cichy chłopiec, niekiedy zacinął się w uporze i kaprysił nie chcąc słuchać. Wówczas mama brała go za rękę, pomimo że urwis wywijał nogami i rękoma i wrywał się matce; ona jednak ze spokojem przytrzymywała go mówiąc: Daremnie łobuzie, choćbyś tak cały dzień kaprysił, ja ci nie ustąpię. A gdy chłopak nadal kaprysił i rozrabiał, mówiła spokojnie:

Nie widzisz, że jestem mocniejsza od ciebie. Bądź pewien, że mnie nie pokonasz, a pomyśl, że jeśli będziesz źle postępował, to Pan Bóg cię ukarze, a wtedy nie zdołasz uciec od Niego? Mały widząc, że daremne jego wybiegi, uspokajał się patrząc w twarz matki zawsze pogodną i uśmiechniętą. I tak się wszystko kończyło.

Któż opisze, jaki wpływ ma na dziecko uśmiech matki? Wywołuje on w nim radość i miłość wzajemną; jest to najmiłsze wspomnienie z lat dzieciństwa, skuteczny bodziec własnym ideałom: odblask rajskich radości!

Takich metod trzymała się Małgorzata w wychowaniu swych synów, chcąc zawsze, by kara nie wywoływała rozgoryczenia, nieufności, wybuchów gniewu. Maksymą jej w takich wypadkach było doprowadzić synów do tego, by z miłości czynili, co należy oraz dla przypodobania się Bogu.

Kierowanie się sercem nie nastęcza zbyt wielkich trudności, gdy ma się do czynienia z naturami złośliwymi i upartymi. Lecz i tu Małgorzata odniosła triumf w wypadku swego pasierba Antoniego. Otóż ten był już dość duży i od razu odnosił się do drugiej matki oziębłe uważając ją, jak to czasem bywa, za intruza.

Pieszczoty, jakimi darzył ojciec Józefa i Janka wydawały mu się uzurpowane z jego szkodą. Tym bardziej, gdy trzeba było się podzielić z nimi schedą po równym udziale. Na próżno kalkulował, i nie dziw, że w swej wyobraźni przesadnej rozgoryczał się na widok swej rzekomej szkody, a nawet narzekał na macochę.

Małgorzata po śmierci męża starała się na wszelki sposób mu dogadzać, usiłując przejednać ducha upartego. Zdołała przez to uniknąć scen burzliwych, choć nierzadko zdarzały się wybuchy złego humoru i krnąbrności. Potrzeba było doprawdy bohaterstwa, by znieść cierpliwie tego gwałtownika, który nie uszanował nawet starej babki. Małgorzata jednak nie dała mu się wyprowadzić z równowagi.

Antoni często bił braciszków i Małgorzata musiała wówczas interweniować. Wprawdzie nie odpierała gwałtu siłą wierna swym zasadom i nie dała się sprowokować, choć czuła przecież, jak krew się w niej burzyła na widok krzywdy jej własnych dzieci. W takich wypadkach przybierała pozę poważną i nie zamieniała słowa do niego przez cały dzień.

Po paru godzinach, najczęściej pod wieczór, Antoni przychodził do niej mówiąc: Mamo, co macie przeciwko mnie!

Pozostaw mnie w spokoju, odpowiadała Małgorzata, jestem obecnie zbyt wzburzona, by móc z tobą rozmawiać, jutro pomówimy. Noc jest zazwyczaj matką dobrych rad, to też nazajutrz Antoni stawiał się przed Małgorzatą mówiąc:

Mamo, przebaczenie!

No, więc co sądzisz o zajściu wczorajszym?

Dali mi powód obrażając mnie pierwsi. Ja chcę, by mnie szanowano.

Basta! Jeśli tak mówisz, to koniec! I jeszcze prosisz mnie o przebaczenie?

Ale po mojej stronie była racja.

Racja po twojej stronie, hm... Przypuśćmy nawet, że miałeś rację od początku aż do końca; ale musisz przyznać, że postąpiłeś haniebnie i że powinieneś być sam sobie wymierzyć sprawiedliwość. Zresztą powód sprzeczki dali nie tylko oni, jest on i po twojej stronie. Przyznaj się, więc do swej winy, uznaj błąd i przyrzeknij poprawę. Wówczas będę mogła wierzyć, że naprawdę żałujesz tego.

Wówczas Antoni skruszony odpowiedział: Tak, szczerze żałuję i przyrzekam poprawę.

To i ja ci wybaczam, odrzekła z uśmiechem tak miłym, że Antoni doprawdy był wzruszony.

Zdarzyło się jednak, że kiedyś Antoni absolutnie nie chciał uznać swej winy i odchodząc mruczał gniewnie. Małgorzata milczała do wieczora, kiedy przyszedł czas na pacierz. Antoni stawał na osobności podpierając się. Małgorzata w obawie, że nie przyjdzie na wspólny pacierz podchodziła do niego i biorąc za rękę mówiła: Ebbene, czy myślałeś o tym, co ci mówiłam? Antoni wzruszając ramionami próbował uwolnić się od Małgorzaty i upierał przy swoim. Małgorzata zmieniała temat, nakłaniała, by się pomodlił o błogosławieństwo Boże i pociągała go za ramię do izby, gdzie już wszyscy klęczeli na modlitwie. Skończyło się na tym, że i on klękał do modlitwy. Bywało, że Małgorzata, by go udobruchać, powiedziała jakiś żart lub anegdotę, a wtedy Antoni pod wąsem się uśmiechał.

Wówczas Małgorzata rozpoczynała pacierz. Lecz na słowa: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, przerywała pacierz i zwracając się do Antoniego mówiła: Opuść te słowa, nie powinienes ich wymawiać!

Dlaczego, skoro są w pacierzu?

Ty właśnie nie powinienes ich wymawiać...

Więc co mam mówić?

Co chcesz, tylko nie te słowa! Jakim prawem możesz je wymawiać skoro sam nie chcesz przebaczać swym bliźnim, żywiąc w sercu nienawiść do tego stopnia, że nawet rozbiłeś im głowę. Czy nie obawiasz się, że Pan Bóg cię ukarze, w chwili, gdy wymawiasz słowa będące w twych ustach kłamstwem? Te i tym podobne przestrogi wychodzące z serca szczerzego pragnącego dobra bliźniego sprawiały zazwyczaj swój skutek. Antoni wówczas z płaczem klękał przyznając się: Mamo, zbłądziłem, przebaccie mi. I przebaczenie następowało w tej samej chwili.

Najczęściej jednak Antoni, pod wpływem jakiegoś rozdrażnienia wpadał w furię tak dalece, że nie panował nad sobą. Z zaciśniętymi pięściami przyskakiwał do Małgorzaty, jakby chcąc ją uderzyć, ze słowami: Ah matrigna! lub innymi podobnymi.

Małgorzata, kobieta silna i zdrowa, zapewne łatwo mogłaby te ciosy stłumić i zmusić go do milczenia. Ona jednak nie posuwała się do tej ostateczności. Wysuwając stopę z powagą, swym przenikliwym wzrokiem przeszła pasierba, podczas gdy dwaj malcy z płaczem rzucali się między nich obojga wołając: Nie bój się

mamo! Antoni uspokój się! Małgorzata zaś podejmując: Posłuchaj mnie Antoni. Nie nazwałam cię moim synem, gdyż jesteś synem mego męża Franciszka, który cię zwierzył pod moją opiekę i dlatego jako takiego zawsze cię kocham. Wiesz sam, że gdybym zechciała, mogłabym cię zbić, byś był zmuszony do respektu. Ale ja tego nie uczynię. Zrobiłam postanowienie, by nigdy nie posługiwać się przemocą w stosunku do moich synów, lecz jedynie moralną powagą. Jesteś doprawdy moim synem i nie będę cię biła. Postępuj jak uważasz, lecz licz się ze sumieniem. To rzekłszy wycofywała się. Antoni wobec tych słów miażdżących czuł się zwykle upokorzony, spuszczał głowę i odchodził. Niemało było tego rodzaju wyskoków z jego strony, lecz zawsze został pokonany łagodnością Małgorzaty, która doskonale stosowała w praktyce polecenia Mędrca Pańskiego: „Napominaj swego syna i nie trać nadziei”. /19,18/. Antoni poprzestawał zwykle na swych groźbach, za które przeproszał później, gdy się uspokoił, zwłaszcza na skutek poważnych upomnień ze strony babki. Z biegiem lat zdołał opanować się do tego stopnia, że zostawił po sobie opinię człowieka uczciwego, towarzyskiego i wesołego. Szacunek, jaki żywił względem Małgorzaty, okazał się z okazji podziału ojcowizny. Często odwiedzał swą macochę, zwracając się do niej słowami: „Mamo”. A gdy ona przeniosła się do Turynu, udawał się tam z Becchi od czasu do czasu na pogawędkę, zasięgając chętnie jej mądrych rad.

Tymczasem w szkole tak dobrej swej matki. Janek uczył się i nabywał przedziwnej słodyczy w obcowaniu z ludźmi oraz swej metody zapobiegawczej, co zapewnia wychowawcy posłuch wśród młodzieży.

ROZDZIAŁ VIII

Babcia; Odnoszenie się Małgorzaty do swej teściowej; Jedność rządów w rodzinie; Janek oręduje za swym bratem u babki.

Małgorzata osiągnęła tak wielkie sukcesy w wychowaniu synów nie tyle słowami, co przykładem własnym. Otóż Franciszek jej mąż polecał jej przed śmiercią opiekę nad swą starą matką, która większą część czasu spędzała na krzeselku lub w łóżku. A przecież ta zacna i świątobliwa osoba od młodości przyzwyczajona do pracy, oddawała rodzinie usługi, na jakie ją było stać. Robiła na drutach, cerowała, szyła, nawet przyrządzała posiłki, zmywała izbę; słowem dbała o porządek i schludność w domu. Gdy już nie stawało jej sił na to, a w dom weszła druga synowa, ta ostatnia objęła starania nad porządkiem w mieszkaniu.

Małgorzata przecież uważała niejako za królową domu swą teściową. Czcila ją jak własną matkę, słuchała, zasięgała u niej rady we wszystkim. Gdy zdania się różniły, gotowa była ustąpić ze swego i podporządkować się swej starej matce. Wyszukiwała sposobności, by jej dogodzić, gotując posiłki, które lubiła. W chwilach wolnych zwłaszcza w porze zimowej chętnie dotrzymywała jej towarzystwa. W nocy zwłaszcza spieszyła z pomocą, gdy dręczyły ją bóle. Udając się na jarmark lub kiermasz w okolicy, zawsze coś przynosiła na dowód, że pamiętała o niej, coś smacznego, biszkopik lub nowalijkę. Podobnego szacunku dla niej wymagała od nich: Winnicie słuchać babki, nawet bardziej niż mnie samej. I była nieubłagana, gdy w czymś jej dokuczali lub byli nieposłuszni. Pomimo że tak czule kochała swych synów, nie brała ich strony przeciw staruszce, ani broniła, gdy babka miała coś do zarzucenia: kara wymierzona przez nią spotykała się z całkowitą aprobatą z jej strony.

Tego rodzaju pełna harmonia była potrzebna dla dobrego wychowania synów, tym bardziej, że Małgorzata pochłonięta była gospodarstwem domowym. Na jej głowie leżały uprawy roli, zakupy i różne transakcje. Wykonywała na czas wszystkie pilne roboty w polu, jakie zwykle spełniały niewiasty, niemniej brała się chętnie i do trudniejszych wymagających sił męskich. Brat jej Michał chętnie pomagał ukochanej

siostrze. Zdarzało się jednak, że mimo dobrych chęci sam był zajęty pilną pracą. Wówczas Małgorzata chwyciła za kosę i pług, siała i żęła, stawiała brogi, zwoziła zboże z pola, młóciła i sprzątała ziarno do sąsiedka. Przodowała w pracy wśród najemników tak, że ci musieli mocno się uwijać, by nie dać się wyprzedzić przez niewiastę.

Antoni niezbyt kwapił się do pracy; bywało, więc, że Małgorzata późno w nocy wracała z pola, była jednak spokojna o synów, pozostających pod opieką babki. Były zgodne ze sobą, co do ich prowadzenia i wychowania w bojaźni Bożej. Jak wspomnieliśmy Małgorzata zastała w tym domu podobne metody, w jakich sama była wychowywana.

Otóż babka siedząc na krześle wydawała polecenia wnuczkom, którzy skwapliwie biegli wykonać jej życzenie. Wola jej była dla nich niezłomną normą. Tak bardzo kochali swą babunię zatroskaną o nich, ale wiedzieli też, że nie da się jej oszukać. Gdy któryś coś zbroił, babcia natychmiast woła i każe przynieść różgę stojącą w kącie.

Chcecie mnie wybić, babciu?

Naturalnie smyku, podaj no ją. Mały sięgał po różgę i podawał babci.

Chodź no tu, rozkazywała. Malec stawał speszony i drżący.

Ależ babciu, to nie ja pierwszy zacząłem, to nie ja byłem nieposłuszny...

Dobrze, zamiast jednej różgi, dostaniesz dwie...

Babciu, przepraszam!

To mi nie wystarczy!

Babciu, zawiniłem, więcej nie będę. I malec przyznawał się dokładnie do wszystkiego.

Doprawdy przyznajesz się do winy?

Tak babciu!

Czasem babka już trzymała różgę podniesioną, gdy malec jeszcze się certował, lecz na słowo: babciu przepraszam, cofała dłoń mówiąc: No, odnieś różgę do kąta i na przyszłość nie rób czegoś podobnego. I tak zazwyczaj kończyło się, bo malcy wiedząc, jaka jest droga do uniknięcia kary, wyśpiewali wszystko.

Bardzo rzadko zdarzało się, że karała uderzając raz lub dwa razy różgą, co nie wystarczyło, by poczuć ból należycie; wystarczyło jednak, by malec się rozplakał i nie oddalał ani na krok z domu.

Wiedziano, że babka nie mogła wstać z krzesła; czasem, więc któryś zrobił uwagę: Dlaczego nie uciekacie, wiecie przecież, że babka was nie dogoni?

Dlatego, że nie chcemy zasmucać mamy, odpowiadali.

Pewnego razu babcia spostrzegła, że zginęły owoce, jakie postawiła i podejrzenie padło na najmłodszego. Woła go, więc: Janku! chłopiec najspokojniej biegnie wesoło do babci; ta jednak wskazując z powagą na różgę rzecze: Przynies tę różgę! Malec usłuchał wiedząc dobrze, kto był sprawcą właściwym, dlatego odpowiedział:

Babciu, będę słuchał, lecz wiedz, że nie ja wziąłem owoce.

Dobrze, odparła, powiesz mi, kto to zrobił, a ja ci oszczędzę różgi.

Powiem wam, lecz pod warunkiem, że przebaczycie winnemu.

Dobrze. Przyrowadź tu winnego, a jeśli poprosi o przebaczenie daruję mu.

Antoni, on to był bowiem, uznał za śmieszna tę propozycję babki. Być ukaranym jak małe dziecko, wydawało mu się nie do przyjęcia. Wzruszył tylko ramionami pogardliwie. Lecz Janek nastawał: Chodź, caro mio; nie sprzeciwiaj się babce. Jest ona zazdrosna o swą władzę i byłoby jej bardzo przykro. To prawda, że jesteś już dorosły, lecz niech nie mówią, że nie szanujesz babci. I brat ustąpił, podniósł różgę i podając babce wymamrotał: Non lo faro piu, choć wzrokiem mówił, że nie będzie jak mnich w klasztorze.

Babunia wydawała się bardzo zadowolona i ujmując go mile pod rękę powiedziała: Synku, pamiętaj, że choć jest prawdą, iż łakomstwo zabije więcej ludzi niż miecz, pewne jest, że więcej idzie do piekła z powodu następstw łakomstwa, jak innego grzechu.

Janek ze swej strony bardziej uświadamiał sobie konieczność panującej między wychowawcami w zakładzie wychowawczym harmonii; inaczej, bowiem ujrzymy smutne następstwa rozdzwięków między nimi i sprawdzą się słowa Ewangelii: „Królestwo podzielone upadnie”.

ROZDZIAŁ IX

Małgorzata dba o schludność w ubiorze synów; Przewrotność w postępowaniu i zaprawie ich do życia twardego i umartwionego.

Małgorzata dbała nie tylko o ład zewnętrzny, ale i o czystość duszy swych dzieci, posłuszeństwo i wesołość, które towarzyszyć winny ich czynnościom. Wymagała porządku i schludności dotyczących własnej osoby, zgodnie z zaleceniem Mędrca: „Jedz chleb swój z weselem, a pij wino swe z radością, bo się uczynki twoje Bogu podobają. /Syr 9/. Stąd też i Małgorzata w latach dziecięcych swych dzieci sprawiała im nawet wyszukane ubranka. Zwłaszcza w niedzielę i święta chciała, by byli ubrani w lepsze odzienie, czesała im czupryny w piękne sploty. Potem wzięwszy za rękę prowadziła do kościoła. Czasem pozwalała Antoniemu, by szedł parę kroków przed nią ze starszym Józiem, z poleceniem by zbytnio się nie oddalał. Matki i znajome gratulowały Małgorzacie tych skarbów: Och, i bei fanciulli! - mówiły, Membrano proprio anglioletti! Małgorzacie rosło serce od tych pochwał, musiała w swym sercu odczuwać szlachetniejszą dumę niż matka starożytnych Greków, gdy prezentowała swych synów: Oto moje klejnoty! Synowie zaś na widok niektórych starszych mężczyzn, którzy zwyczajem czasów nosili harcapy, mówili: Mamo, kiedy i nam pozwolisz nosić taki pukiel związanych z tyłu włosów?

Wystarczą wam wasze kędziorki, jakimi was przyozdobił Pan Bóg. Widzę, że chcielibyście puszyć się przed drugimi, co?

No pewnie!

Więc posłuchajcie. Wiecie, dlaczego każę wam przywdziewać te piękne ubrania w niedzielę? Bo wypada nam w ten sposób uczcić Dzień Pański. Chrześcijanin winien czcić Boga także zewnętrznym wyglądem swej osoby, by wyrazić tym piękność swej duszy. Bo na cóżby się przydał choćby bogaty strój, gdyby duszę szpecił grzech. Starajcie się, więc zasłużyć sobie na pochwałę bardziej u Boga niż u ludzi, którym imponuje tylko zewnętrzny blichtr i ambicja. Pan Bóg nie znosi pychy i ją karze. Powiedziano wam, że wyglądacie jak aniołkowie; dobrze, winniście być

nimi zawsze, zwłaszcza, gdy jesteśmy w kościele. Módlcie się na klęczkach i ze skupieniem nie rozglądając się dokoła i nie rozmawiając. Pan Jezus obecny w Najświętszym Sakramencie będzie na was patrzył z zadowoleniem i pobłogosławi wam.

Takimi to uwagami pouczała, jak należy się odnosić do siebie i do drugih w przyszłości. U Jana do późnej starości widać było tę dbałość i schludność dotyczące własnej osoby. Chodził w sutannie zawsze czystej, oglądając ją często, czy nie jest poplamiona, dlatego mógł się pokazać w jakimkolwiek towarzystwie, nawet wśród osób najbardziej eleganckich. Zewnętrzny wygląd jego osoby był odbłaskiem wewnętrznego piękna jego duszy.

Małgorzata zwracała też uwagę na ich postępowanie, gdyż lekkomyślność i nieuwaga są źródłem wielu szkód moralnych i materialnych. Pewnego razu ośmioletni Janek, pod nieobecność matki był mocno zaciekawiony tym, co zawiera naczynie stojące wysoko na półce. Przystawia, więc krzesło, wspina się na palcach i sięga po garnek, który przewraca się i tłucze rozlewając szeroko po podłodze oliwę. Janek próbuje zatrzeć ślady przykrego wypadku, lecz wszystko na próżno. Cóż teraz zrobić? Powziął myśl szczęśliwą by ułagodzić mamę. Pobiegł na podwórze, wyciął kilka różg, związał je i przystroił jak mógł najpiękniej, zrywając korę w różne paski. Gdy mama wróciła, pobiegł jej naprzeciw podając różgę na siebie.

Co się stało, mój synku, pyta zaniepokojona.

Och mammo, dziś zasłużyłem na solidną karę.

Mów, cóż ci się przydarzyło?

Janek opowiedział szczegółowo, co zaszło. Przygotował właśnie różgę na siebie. Podając ją badał pilnie, chcąc wyczytać z twarzy, jakie będzie wrażenie. Mama odpowiedziała:

Przykro mi, że stała się tak poważna szkoda, wszakże wobec twojej szczerości, daruję ci to. Na przyszłość pamiętaj zawsze, co ci mówię: nim coś zrobisz pomyśl wpierrw o następstwach, jakie stąd mogą wyniknąć. Gdybyś pomyślał naprzód, że może się coś wylać, postępowałbyś ostrożnie i uniknąłbyś wypadku. Wiedz o tym, że kto w młodości postępuje nierozważnie, będzie jako dorosły także lekkomyślnym, narazi się na wiele szkód, a nieraz spowoduje obrazę Bożą. Bądź, więc rozsądny! Podobnych rad udzielała przy każdej sposobności synom: „Kto strzeże karności,

roztropniejszym się stanie. /Przyp15,5/. Mądrość, bowiem pozwoli mu ustrzec się karcenia poddając się zasłużonym karom, jak również powetować ich następstwa pokorą i szczerością. Tak właśnie postępował Janek. Czyż nie widać w tym przykładzie, zapowiedzi owej mądrości chrześcijańskiej, z jaką potrafi w przyszłości bronić swych zakładów, wyplątać się z sidła zarzucanych przez przeciwników, nie czyniąc sobie z nich wrogów?

Jakże wielu rodziców nie umie zaprawić swych dzieci do oszczędności i uwagi, podczas gdy z okazji różnych szkód wpadają w furję, biją, przeklinają swe dzieci, jakby się stało jakieś wielkie nieszczęście! A dzieci naturalnie odczuwają to jako tyranie kończąc buntem przeciw władzy rodzicielskiej. Wypacza się zmysł moralny u dzieci, gdy puszcza się płazem kłamstwa, kłótnie, złe rozmowy, nieposłuszeństwa; natomiast niewielkie szkody materialne wywołują grad przekleństw i uderzeń, co tak często jest okazją obrazy Bożej.

Otóż Małgorzata, choć tak bardzo swych synów, nie była nigdy czułościową, przeciwnie od młodości zaprawiała ich do życia twardego i pracowitego. Dzięki temu wyrosli na dzielnych ludzi. Nie przekarmiała ich zbyt. Na wieczerzę podawała im kromkę chleba suchego i na tym koniec. Tak było, gdy Janek już jako kleryk spędzał wakacje letnie w domu.

Pomimo, że w seminarium używano materacy, w domu zaścielała mu zwykły siennik mówiąc: Lepiej, że przyzwyczaisz się spać trochę niewygodnie; człowiek łatwo łąnie do wygod i przyjemności. Także w czasie spoczynku nocnego zalecała pewne umartwienia. Bo mówiła człowiek śpiący wygodnie nie złapie ryb. Zdarzało się nieraz, że jakiś ubogi prosił o nocleg; wtedy zatrzymywała synów do późnej godziny. W rano budziła, by wstawali bez wylegiwania się. Czasem w ciągu nocy budziła, by pospieszyć z pomocą, jakiemuś choremu na wsi. Dzięki temu Jan doskonale nauczył się znosić czuwanie nocne.

Kiedy jednak matka spostrzegła, że nie był dobrze wyspany, kazała mu położyć się w ciągu dnia. Janek słuchał; wsparty na stolku przedzemał parę godzin.

Śpijże, Janku, śpij, mówiła mama.

Ależ tak, mammo ja śpię, odpowiedział mrużąc powieki.

Mama zaś uśmiechając się mówiła: Widzisz synku mój, życie jest krótkie, mamy niewiele czasu na czynienie dobra. A te godziny, które zużywamy na sen

niekończący, są stracone dla Nieba. Wszystkie minuty, jakie możemy odjąć od snu niekończącego, są przedłużeniem naszego życia, gdyż sen jest obrazem śmierci. Ileż w ciągu tych minut możemy uczynić dobrego, nabyć cnót! Te rady były echem słów Pisma św.: „Cokolwiek czynić może ręka twoja, ustawicznie czyń, bo ani sprawy, ani rozum, ani mądrości, ani umiejętności nie będzie w piekle, dokąd ty się kwapisz”. (Syr 9,10). Zobaczmy później, jak Jan potrafił wykorzystać każdą chwilę czasu.

ROZDZIAŁ X

Pewne niedobre zajęcie; Kradzież indyków i lekcja.

Być może, że rzeczy, które opisujemy, wydawać się będą komuś małej wagi; pomimo to nie uważam za stosowne pomijać je, gdyż posłużą do tego, by lepiej uświadomić nam środki, jakimi posługiwała się Małgorzata w wychowaniu synów. Otóż Janek miał zaledwie lat pięć, gdy pasł stado indyków. Przypadkowo przechodził tędy jakiś podejrzany osobnik, któremu przyszła ochota ukraść parę tłustych indyków. Podchodzi, więc do chłopców pytając: Czy nie chcielibyście mi sprzedać jednego indyka? Chłopcy spojrzeli po sobie; nadarzyła się okazja zabawienia się w handlarzy i zdobycia pieniędzy. Ów osobnik proponuje:

Dam pięć soldów za indyka. Pięć soldów! powtórzyli z zachwytem. Suma ta wydawała im się dość duża; bez niczego, więc przyjęli pięć soldów. Ów szubrawiec porwał najtłustszego indyka i schował do worka, podczas gdy ucieszeni chłopcy pobiegli do matki wołając: Mamo, sprzedaliśmy indyka.

Ach! westchnęła matka na tę wiadomość.

Zyskaliśmy pięć soldów! wołali podając pieniądze.

Małgorzacie nie mogło pomieścić się w głowie: Poverette io! Pięć soldów! ładny mi targ, oddać indyka za bezcen, podczas gdy wart jest co najmniej cztery i pół lira...Ów złodziej doprawdy ukradł wam indyka. Chłopcy stali jak wryci; niebawem pobiegli szukać tego nicponia. Nie pomogło wołanie matki. Rozbiegli się po obu stronach pagórka nie dbając o pozostałe indyki, które tymczasem matka przy pomocy sąsiadów pozapędzała do chlewika. A tymczasem chłopcy nie spotkawszy nigdzie złodzieja, jak było do przewidzenia, powracali z głowami spuszczoneymi, zziajani i spoceni do niepoznania. Co za pech! Na łące nie zastali ani jednego indyka!.... Nie było ani żywej duszy. Więc może ktoś z domu, ale nikogo nie widać. Ach, inne też mogły podzielić los pierwszego, myślą sobie. Można sobie wyobrazić ich strapienie, gdy wracali do domu. Ledwie stanęli u progu wołają:

Ach, mammo, inne indyki też zginęły! Małgorzata spojrzała na nich z uśmiechem.

Mammo, dlaczego się śmiejesz, pytają zafrasowani.

Bo indyki same zamknęłam, a wy robicie bez namysłu. Na przyszły raz więcej nie róbcie z własnej głowy, lecz spytajcie tego, który jest od was mądrzejszy, a nie będziecie musieli żałować po nie w czasie. Nie sprzedacie indyka za pięć soldów i nie narazicie się na inne szkody. Bo co byście uczynili, gdybyście tak spotkali prawdziwego łotra?

Tu nie mogę opędzić się myśli, jak Boska Opatrzność przygotowała Janka na skarbnika i szafarza tylu dzieł miłosierdzia.

Kiedy indziej Janek spostrzegł się, że brakowało mu jednego indyka, z tych które pasły się na łące. Nie widać było nikogo w pobliżu; niebawem jednak spostrzegł jakiegoś nicponia, który niby szedł swoją drogą zerkając na lewo i prawo. Janek zdecydowanie zabiegł mu drogę wołając: Nie pójdziecie dalej, jeśli mi nie zwrócicie indyka. Osobnik ów spojrzał spode łba na śmiałka i odpowiedział z przekąsem; Cóż ci strzeliło do głowy? Ja wziąłem ci indyka? Bądź zdrow kochanku!

Nie udawajcie głupiego! Zrozumieliście? Oddajcie mi zaraz mego indyka, któregoście skradli. Nieznajomy rozpinając kurtkę powiedział: Masz twego indyka, gdzieżbym go mógł schować? Lecz Janek niezbity z tropu odpalił; Nie wykręcicie się sianem; powiadam, że żądam mego indyka.

Widzę, że lubisz żartować mój mały, to niedobrze w tym przypadku; nie mam czasu z tobą do tracenia, to mówiąc chciał odejść.

Nie mój panie, nie pójdziecie stąd, nie zwróciwszy mi indyka, inaczej będę wołał na głos jak na złodzieja; i choćby nikt nie przyszedł mi z pomocą, pójdę trop w trop za wami, ale nie puszczę.

Osobnik ów wobec takiej rezolucji, obawiając się, by nie został zdemaskowany, podszedł do rowu, podniósł worek ukryty w krzakach, wydobyl zeń indyka i oddał chłopcu. Zamierzał o zmierzchu zabrać niepostrzeżenie swój łup. Robiąc z konieczności cnotę mówi z udaną uprzejmością: Żartowałem, by wypróbować, czy spostrzeżesz się, że brakuje ci indyka.

Możecie iść teraz swoją drogą, zakończył Janek, lecz nie próbujcie takich żartów na przyszłość, bo to nieładnie.

Wieczorem Janek opowiedział matce o swym wyczynie. Być może inna mama pochwaliłaby spryt syna i zganiała złodzieja, rozgłaszając to w sąsiedztwie. Małgorzata jednak zrobiła uwagę, że zbyt ryzykował i gdyby przypadkiem ów człowiek nie był sprawcą twej zguby, mówiła, dostałbyś lanie od niego.

Ależ ja byłem na sto procent przekonany, że on, nie, kto inny porwał indyka. Nie było nikogo w pobliżu, a indyki widziałem pasące się przed chwilą.

To, że nie widziałeś nikogo, nie jest wystarczającym dowodem na to, by posądzić owego człowieka. Mógł, bowiem ktoś ukryty za drzewami porwać ci indyka.

Gdybym tak rozumował, to już byłoby po indyku.

Posłuchaj mnie Janku: nie byłaby to zbyt wielka strata. Wiesz, że ja nie dochodzę zawzięcie swych praw, ilekroć można narazić miłość bliźniego lub spokój sąsiedzki. Za jedną kiść winogrona lub trochę owoców nie warto robić wojny. Jeśli zajdzie potrzeba, upomina się; zresztą świat się nie zawali dla pewnych drobnostek.

To mama godzi się, by jej zabierano coś, nie protestując?

Też wniosek pochopny, gdyby narażona była sytuacja mojej rodziny, wówczas przekonałbyś się, że nie dam się nawet magnatom.

Przecież to jasne, że ów facet kłamał.

A skąd masz dowód na to? Mógł to być równie dobrze żart z jego strony. Nie masz dowodu przeciwnego.

Ech tam! Mruczał niedowierzająco Janek.

A choćby nawet był winny, mogłeś zadowolić się jego przeproszeniem i zaoszczędzić mu dalszego upokorzenia. Muszę ci zrobić uwagę, że ostatnie twe słowa były zbyt ciche. Od chwili, gdy byłeś w posiadaniu indyka, nie potrzebowałeś niczego więcej.

Cóż, więc złego ja uczyniłem?

Nie twierdzę tego. Twoja intencja była dobra i rzecz udała się. Wystrzegaj się jednak rozmawiania o tym z innymi; a gdybyś spotkał, kiedy tego człowieka, udawaj, że zapomniałeś o wszystkim. Pamiętaj, że mieć choćby jednego wroga, to i tak za wiele!

O ile Małgorzata była mistrzynią roztropności, to przykładem swym nauczyła chłopców odwagi. Dla ilustracji niech posłuży następujący epizod.

Jednego lata skarżono się powszechnie na nieurodzaj w winnicach. Nic dziwnego, że pilnowano starannie swych winnic. Ale cóż? Niemało złodziei plądrowało po nocach ogrody. I Małgorzata mieszkając na ustroniu nie była w stanie ustrzec się rabunków ze strony nieuczciwych ludzi. Należało się liczyć, że ofiarą ich padną najlepsze winogrona; już i tak spostrzegła, że wzdłuż drogi oberwano najlepsze owoce. Miała w sobie coś z męskiej tężyzny, że się tym nie przejmowała. Razu pewnego jednak spostrzegła osobnika obskubującego jej winnicę, jak ktoś, kto w drodze zrywa kłosa; zauważyła jednak, że upewniał się, co do przejścia w płocie. Widocznie myślał o kradzieży. Wezwawszy wtedy synów powiedziała:

Chłopcy, obawiam się, że tej nocy będą chcieli skraść nam winogrona, dlatego bądźmy czujni. Nie mówcie nikomu słówkiem o tym a kiedy dam znak, krzyczcie na cały głos: „al ladro! al ladro!”.

Gdy nastąpiła ciemna noc, Małgorzata wyszła z domu wraz z synami i usiedli opodal w trawie. Po pewnym czasie zjawia się jakiś cień w winnicy, krąży koło płotu, wchodzi do środka i przystaje pod filarem płotu. Małgorzata bacznie obserwuje. Cisza zupełna. Synowie bacznie czekają sygnału. Ów osobnik zdążył już urwać kiść winogron, gdy Małgorzata zawołała: Łotrze! Chcesz iść do piekła za marną kiść winogron? Chłopcy w tej chwili podnieśli głośnie larum wołając: Złodzieje, łapać złodziei! Policja! Policja! i bijąc w jakieś pudło blaszane robili hałas nie z tej ziemi. Na ten zgiewek złodziej wystraszony, porzuciwszy winogrona umykał chyłkiem na łeb na szyję. Małgorzata zadowolona odniesionego zwycięstwa mówiła synom: Widzicie, że bez pomocy strzelby zmusiliśmy do ucieczki złodzieja. Śmiano się do rozpuku. Złodziej ów za swe wyczyny wpadł w ręce sprawiedliwości i dostał się za kratki.

W taki sposób Janek zaprawiał się w odwadze i zimnej krwi, co było mu później tak bardzo potrzebne w różnych niebezpieczeństwach i przygodach, na jakie był często narażony w posłudze kapłańskiej.

Inny dowód nieustraszonej odwagi dał Janek parę lat później. Mama Małgorzata wystrzegła się opowiadać synom straszne nowości, które mogłyby rozbijać ich wyobraźnię, jak to nieraz robią nieroztropne matki, wychowując w ten sposób swe dzieci zamiast odważnych na tchórzów. Otóż pewnej jesieni Janek znalazł się z matką u krewnych w Capriglio. Dziadkowie i krewni przyjęli ich z wielkimi względami. Wieczorem, gdy oczekiwano na kolację, ktoś zaczął opowiadać, że na

strychu działały się jakieś przerażające hałasy, stukania itp. Wszyscy twierdzili, że to sprawa szatańska. Tylko Janek nie dawał wiary tym przypuszczeniom, utrzymując, że można to wytłumaczyć w sposób naturalny, na przykład na skutek wiatru lub czegoś podobnego. Tymczasem mrok zapadł i zapalono lampy. Otóż pewnej chwili ponad sufitem drewnianym, gdzie przechowywano zboże, dał się słyszeć hurkot jakby toczonych kul po ziemi, niesamowity stukot czegoś spadającego w dół. Ucichły rozmowy, wszyscy zastygli w oczekiwaniu czegoś groźnego. Znowu jakieś szurganie. Twarze obecnych pobladły.

Co się dzieje? pytano się nawzajem.

Chodź, pójdźmy stąd, rzecze Małgorzata; mogłoby ci zaszkodzić nieoczekiwane wrażenie.

Ależ, co znowu, powiedział Janek. Muszę się przekonać, co to jest za zjawisko. Tymczasem dziwny hałas nie ustawał. Słyszeć było wyraźnie trzepotanie się jakby ptaka zamkniętego w klatce.

Janek wstał zdecydowanie, zapalił lampę i poszedł do góry po schodach, mówiąc: Chodźmy zobaczyć, co to jest.

Stój, zaczekajmy do jutra! Poradził ktoś.

Co? Lękacie się. Ja się niczego nie boję. To mówiąc wstępował aż na strych po drabinie. Inni za nim krok w krok, z lampami, uzbrojeni w kije, na wszelki wypadek. Postępowali w milczeniu, przejęci strachem. Janek uchylił drzwi od strychu, oświetlił lampą i rozglądnął się dokoła. Cisza. Nie zauważył nikogo. Kilku odważniejszych weszło za nim na strych. Lecz oto dziwne zjawisko: coś się porusza i toczy po podłodze, to przetak pędzony jakąś ciemną siłą! Przetak zatrzymuje się w pewnej chwili, potem toczy się dalej aż do stóp Janka, który postąpił parę kroków naprzód. Podnosi światło bliżej. Wtem wypadła mu lampa i zgasła. Bierze drugą i przyświeca. Wyciąga rękę w kierunku przetaka. Zostaw, zostaw to! wrzasnęły głosy przerażone. Janek nie zważa na nie i podnosi przetak. I co widzi? Śmiech ogólny. Pod przetakiem siedziała kokoszka.

Cóż się stało? Przetak wisiał na ścianie odwrócony stroną wewnętrzną. Widocznie kura przechodząc tędy dziobnęła parę razy ziarno i przetak przewróciwszy się nakrył ją, ot i cała przyczyna strachu. Kura usiłując uwolnić się z niego, tłukła się

z nim po całym strychu. Nic dziwnego, że w ciszy nocnej przetak toczący się po podłodze z desek narobił tyle łośkotu.

Nie mało było śmiechu z tej całej historii kura padła ofiarą tego wieczoru. Małgorzata wzięwszy ją rzece: Więcej nam nie zrobisz strachu i skręciwszy jej szyję i oskubawszy ugotowała na kolację.

Vivat! Wołano, diabełek jest w kotle! Ucztowano, więc wesoło; nikomu już nie chciało się spać tej nocy. Gaworzono, więc ciesząc się, że więcej strachów nie będzie.

Taki był zawsze nasz Janek. Od młodości zawiera się całkowicie Bogu, żyjąc ustawicznie w łasce Bożej.

„Kto się Pana boi, niczego się nie lęka, ani nie boi panicznie bo On jest nadzieją jego. Nie złękiesz się strachu nocnego, strzały lecącej we dnie, nieszczęścia chodzącego w ciemności...”. /Psalm 90/.

ROZDZIAŁ XI

Zamiłowany pasterz; Pokora i umartwianie w pokarmach; Zamiłowanie w modlitwie.

Nim podejmiemy dalszy wątek opowiadania, należy określić bliżej teren, na którym dzieć się będą opisywane wydarzenia. Otóż podróżny idący drogą z Buttiglieria w kierunku Becchi, przysiółka Morialdo, będzie miał po prawej ręce niewielki pagórek, na którym stał domek, u stóp zaś jego w kierunku drogi rozpościera się łączka zacieniona drzewami. Ten właśnie domek był mieszkaniem Małgorzaty i jej synów, którzy na tej łące paśli swą krowę.

„Lenistwo jest matką wszystkich występków” /Syr 33,29/ - kładło się nieustannie tym chłopcom w uszy pouczając ich, by celem uniknięcia obrazy Bożej byli nieustannie zajęci. Było to właśnie staraniem ich matki zająć ich pracą właściwą wiekowi.

Matka Małgorzata zleciła, więc Jankowi pasanie krowy, a on brał swoje zajęcie doprawdy na serio; trzymając w ręce postronek uwiązany za rogi krowy, by nie szła do szkody sąsiadów. Opowiadał pan Filipello jego rówieśnik: Bywało, że ja często towarzyszyłem Jankowi na pastwisko, gdy on miał zaledwie jakieś siedem lat; już zwracał na siebie uwagę wszystkich. Jego skromność i pokora ujmowała patrzących, rozweselała jego żartobliwość i porywała serca. Ja sam mawiałem mu często: Słuchaj Janku, ty naprawdę będziesz miał powodzenie w życiu. On zaś odpowiadał: No, mam nadzieję.

Inny jego rówieśnik, niejaki Secondo Matta, na służbie u pobliskiego gospodarza spotykał się z Jankiem pędząc krowy na pastwisko. Otrzymywał na

śniadanie skibkę czarnego chleba. Janek zaś zagryzał bielutki chleb, jakiego nie skąpiła swym dzieciom Małgorzata.

Otóż pewnego razu Janek zagadnął Matta: Słuchaj, czy zrobiłbyś mi pewną przyjemność?

Bardzo chętnie, odpowiedział zagadnięty.

Czy chciałbyś się ze mną zamienić na chleb?

A dlaczego?

Bo twój chleb jest lepszy od mego i bardziej mi smakuje. Matta w swej prostocie naiwnej myślał doprawdy, że Jankowi smakował lepiej jego razowiec i chętnie godził się na tę zamianę. Od tego czasu przez dwa lata uprawiali taki handel ze sobą na owej łączce. Gdy dorósł opowiadał o tym fakcie swemu kuzynowi księdzu Secondo Marchisio salezjaninowi robiąc uwagę, że motywem tej zamiany dla Janka nie mogło być nic innego, jak jego umartwienie.

Owa swego rodzaju samotność była dla Janka okazją do modlitwy. Nauczył się tego od swej matki widząc, jak codziennie mówiła pobożnie pacierz na klęczkach, a w ciągu dnia wznosiła swe serce w pobożnych westchnieniach ku Bogu. Ci co znali od lat najmłodszych poświadczają jego zamiłowanie do modlitwy, miłość do Matki Najświętszej. Różaniec był doprawdy jego umiłowaniem. Od pierwszych lat Oratorium aż do ostatnich chwil życia chciał, by jego chłopcy odmawiali codziennie Różaniec i nie uznawał żadnego powodu do zwolnienia się od tej modlitwy. Uważał tę praktykę za konieczną, by prowadzić życie wzorowego chrześcijanina, podobnie jak potrzebny jest chleb codzienny do podtrzymania życia fizycznego w człowieku. Ilekroć dzwon na wieży kościoła w Morialdo wzywał wiernych na Anioł Pański, zdejmował czapkę i klęcząc odmawiał modlitwę. Filippello dodawał, że tak wielkie było uniesienie jego pobożności, iż słyszano często jego srebrny głosik rozbrzmiewający pieśniami religijnymi ku czci Matki Najświętszej.

Tak więc modlitwa łącznie z pracą fizyczną utrzymywała czystość jego duszy, tak iż rzec można, był on podobny do Anioła. Nie dziw, więc, że Marianna Occhiena często powiadała Józefowi Buzzetiemu z głębokim przekonaniem, iż Madonna ukazała się jej kuzynkowi, gdy samotnie pasał krowę na łączce i rozmawiała z nim. Nie mamy, co prawda dowodów na to; wszakże potwierdza to opinię, jaką się cieszył Janek od swego dzieciństwa.

Podczas gdy w Becchi miały miejsce opisywane sceny, jednego dnia odbywała się w kościele parafialnym w Castelnuovo niecodzienna ceremonia; oto ks. dziekan miejscowy wraz ze swymi księżmi przy ołtarzu głównym składali przysięgę wierności swemu władcy królowi Karolowi Feliksowi, który wstąpił na tron rok przedtem. Odnośne zarządzenie zostało wydane do wszystkich księży królestwa. Papież zgodził się na żądanie króla, choć było to przecież pewną ujmą dla duchowieństwa powątpiewać w ich wierność swemu monarsze. Wtedy to miał się wyrazić monsignor Franski biskup Possano tymi słowy: „Incidimus in tempora mala”. Przewidywał on przyszłość i orientował się dobrze w usposobieniu dworu i ministrów. Pod ich sugestią monarcha ustosunkował się niezbyt życzliwie do arcybiskupa turyńskiego, monsignora Chiaverotti, pomimo że nie doszło do spięcia. Arcybiskup zresztą zbyt poważał swego monarchę, zaś Karol Feliks był w głębi duszy szczerym katolikiem i szanował autorytet Kościoła. Zresztą w wielu wypadkach okazał się szczodrym i zasłużonym względem Kościoła i nieraz potrafił zmodyfikować pretensje swych ministrów, którzy już nie tak lojalnie przestrzegali praw Kościoła. Z tym wszystkim, nie uszanował niektórych z nich i tak na przykład, potrójny immunitet Kościoła został w zasadzie przywrócony w roku 1814, cóż, kiedy ze względu na nowatorów krótkotrwałe było jego wykonywanie.

Na skutek instancji króla Rzym zgodził się w 1823 roku na to, by duchowni wzywani stawiali się na świadków przed trybunałami świeckimi, choć z pewnymi zastrzeżeniami warunkującymi ich godność kapłańską. Coś więcej, gabinet domagał się w 1824 r., poddania cenzurze państwowej listów pasterskich biskupów żądając by zostały usunięto niektóre drażliwe wyrażenia, zakładając swoje veto, na wypadek gdyby biskup nie poddał się temu zarządzeniu. Król przyznał racje episkopatowi odwołującemu się do monarchy; ministrowie ustąpili w pewnych szczegółach, lecz nie odwołali zarządzeń wzbraniających drukować cokolwiek bez pozwolenia władz cywilnych.

Jego brat Wiktor Emanuel I monarcha pobożny, sprawiedliwy i miłosierny, który przywrócił niektóre zakony w swym państwie miał w otoczeniu pewnych ministrów, jak na przykład hrabiego Peiretti, ambasadora w Rzymie, którzy opiniowali: To, na co liczy Rzym, winno napawać nas obawą i nie można na to absolutnie się zgodzić. Tak, więc tradycje rojalistyczne nie wygasły na dworze

sabaudzkim i doradcy królewscy starali się wyrobić przekonanie u króla, że pewne przywileje kleru są nie do utrzymania w obecnej sytuacji. Sam król Wiktor Emanuel w instrukcjach wydanych hrabiemu Barbaroux posłowi przy Stolicy Apostolskiej dał wyraz swej nieufności względem Papieża jako władcy świeckiego.

Równocześnie dawało się posłuch dyplomatom mocarstw europejskich, a w pałacach ambasadorów Francji i Hiszpanii oraz posła bawarskiego odbywały się tajne narady sekciarskie kierujące wybuchem zamieszek rewolucyjnych w roku 1821, na skutek, których Wiktor Emanuel musiał abdykować na rzecz swego brata Karola Feliksa.

Było to następstwem wszczepianych od dłuższego czasu idei na uniwersytecie turyńskim, streszczających się w tym zdaniu: „Chce czy nie chce Papież, nam to obojętne, my robimy swoje”. Była to również maksyma wyznawana ogólnie przez sekciarzy.

O ileż tedy szczęśliwszy od tych renomowanych doktorów i ministrów był los pokornego pastuszka z Becchi kierującego się według zasad zawartych w katechizmie.

„Mądrzejszy jestem od starców, mógł powtórzyć za Psalmistą, gdy zachowuję Twoje przykazania”.

Istotnie, gdy tamci gotowali zgubę państwu i społeczeństwu, on przygotowywał rozległą odnowę życia.

ROZDZIAŁ XII

Rodzeństwo; Portret Janka; Uczy się czytania i pisania; Nauczyciel ks. Lacqua i postępy Janka; Przebacza zniewagi; Wyczyny wśród chłopców.

Trzej synowie pozostawieni Małgorzacie przez Franciszka Bosko: Antoni, Franciszek i Jan, mieli każdy odrębne usposobienie i zdolności. Antoni gburowaty i szorstki w obejściu, twardego i nieużytego serca, samochwał i gwałtownik, typ hultajski. Nauczył się czytać i pisać, choć chełpił się, że nie chodził do szkoły. Zresztą nie nadawał się do nauki: tęgi i silny jak tur pracował za to wydajnie na roli. Józef z usposobienia łagodny i spokojny, przy tym cierpliwy i rozważny, mógłby być zostać dobrym kupcem, gdyby nie to, że lubił spokojnie życie wiejskie.

Janek zaś to natura zapalna, choleryk; musiał wiele pracować nad sobą, by opanować się i uformować swój charakter. Mniej mówił, a raczej zastanawiał się i obserwował swe otoczenie, badał usposobienie i wyciągał wnioski z czyjegoś postępowania. Miał poczucie humoru z należyтым umiarem. Niezwykle zdolny i spostrzegawczy, szybko i wprawnie naśladował czynności wykonywane przez drugich. Stateczny i wytrwały, cierpliwie osiągał swój cel wbrew wszelkim przeciwnościom. Zgodnie ze świadectwem niejakiego Jana Becchis, jego ziomka, Janek Bosko odznaczał się zadziwiającym posłuszeństwem, tak, iż matki stawiały go za wzór swym dzieciom. Średniego przy tym wzrostu, o twarzy owalnej; czoło szerokie i pogodne znamionowało bystrą inteligencję; nos regularny, wargi rozchylone od uśmiechu; podbródek wydatny, pełen gracji; oczy ciemne i przenikliwe, których odbiciem twarz żywa i wyrazista; oczy ciemne, podobnie jak rzęsy, oto portret przekazany nam przez współczesnych.

Stosunki między Antonim a innymi braćmi były zawsze napięte; między Jankiem zaś i Józefem panowało pełne porozumienie i harmonia: każdy starał się sprawiać drugiemu przyjemność.

Szedł już ósmy roczek dla Janka. Matka wyczuwając, że nie jest on stworzony do pracy na roli, zamierzała posłać go do szkoły w Castelnuovo, gdzie uczono czytania, pisania oraz czterech działań arytmetycznych, nadto gramatyki języka włoskiego i katechizmu. Cóż, kiedy Becchi było zbyt odległe od Castelnuovo, bo aż 5 km. Trzeba się również było liczyć z wydatkami na pensję i przybory szkolne. Próbowała się porozumieć z 20 letnim Antonim. Ten zaś z miejsca przeciwstawił się jej planowi: „Po co dla Janka ta szkoła? Mruczał, niech zabierze się do roboty jak ja!

Posyłając Janka do szkoły nie czynię wyróżnienia dla niego, powiedziała Małgorzata. Także Józef uczył się czytać i pisać, a i ty chodziłeś przecież do szkoły.

No tak, lecz wy mówicie o kolegium.

Posłuchaj; jak dotąd powodzi nam się nieźle w gospodarstwie i Pan Bóg nam dopomaga. Bądź przekonany, że nikt ci nie weźmie twej części schedy. Obecnie wszyscy się uczą, nawet szewcy, czy kotlarze.

Antoni odpowiedział, że urósł na mężczyznę nie potrzebując żadnej szkoły i jest stanowczo przeciwny zdaniu Małgorzaty.

I tu można podziwiać wielką roztropność matusi Małgorzaty. Pomimo, że Antoni był jej pasierbem, miała doprawdy wyjątkowy wzgląd na niego, pierwородnego z rodzeństwa, pomimo, że na to specjalnie nie zasługiwał. Nigdy nie przedsiębrała niczego bez porozumienia z nim, choć wiedziała z góry, że będzie przeciwny; ustępowała mu, choć to, po czym obstawał, nie zawsze było mądre. Dzięki temu panował spokój w domu, będący drugim wielkim dobrem po łasce bożej. Przy sposobności zaznaczyła, że porzuciła zamiar posyłania Janka do Castelnuovo. W głębi duszy jednak utrzymywała, że Janek powinien się uczyć. Antoni był na razie zadowolony.

W sierpniu zapanowała żałoba w Kościele; zmarł Papież Pius VII, 20 sierpnia 1823. Niebawem wybrany został nowy Papież Leon XII, który objął tron Piotrowy wśród radości katolików. Ileż entuzjazmu było wśród Piemontczyków w owych dniach! Tylekroć dzielili smutek z powodu wygnania i męczeńskiego życia poprzednika. Jego portret ze czią znajdował się w każdym domu, znane były jego rysy każdemu dziecku, jeszcze po wielu latach wisiał on w mieszkaniach patrycjuszy. Wrażenie z lat młodości nie tak łatwo się zacierają. Bez wątpienia miłość do Papieża -

Męczennika musiała wzniecić w sercu przyszłego kapłana i wychowawcy te płomienie miłości będące motorem jego poczynań.

Tymczasem Małgorzata za nastaniem jesieni, za zgodą Antoniego powzięła nieco zmieniony plan. Janek miał uczęszczać zimą do pobliskiej szkółki w Capriglio na naukę, czytania i pisania. Nauczał w niej ks. kapelan Lacqua kapłan wielkiej pobożności. Małgorzata poleciła mu gorąco swego Janka. Kapelan wzbraniał się, jako że nie wolno mu było przyjmować uczniów z obcej gminy.

Małgorzata była doprawdy w kropce. Na szczęście, pewien zacny obywatel zaproponował jej, że będzie udzielał początkowej nauki Jankowi. Propozycja została przyjęta i Janek korzystał z lekcji prywatnych w ciągu tego roku 1823/24. Ów zacny pan chlubił się z tego później wobec księdza Michała Ruy.

Tymczasem Opatrzność pokierowała wydarzeniami na korzyść Małgorzaty. W roku 1824 zmarła w Capriglio gospodyni księdza Lacqua, w jej miejsce zajęła Marianna Occhiena siostra Małgorzaty, która kochała bardzo swych krewniaczków i często ich odwiedzała w Becchi. Otóż za jej wstawiennictwem ks. Lacqua zgodził się dawać lekcje Jankowi bezpłatnie. Ciocia Marianna w ten sposób otwarła drogę Jankowi do dalszej nauki, a później po śmierci księdza kapelana, jako starsza panna dokończyła swych dni w Oratorium św. Franciszka Salezego, zajmując się pracą w szatni na rzecz tamtejszych sierót.

Janek, więc czuł się obecnie w Capriglio jakby we własnym domu. Nauka rozpoczęła się po Wszystkich Świętych i trwała aż do święta M.B. Zwiastowania. Janek w tak młodym wieku przebywał codziennie dobre cztery kilometry tam i z powrotem w różnych porach roku. Ksiądz Lacqua polubił bardzo swego ucznia i prócz nauki dbał także o jego chrześcijańskie wychowanie. Zdumiony pojętnością i podatnym usposobieniem Janka do pobożności, rozwijał w nim zarodki cnót wszczepionych przez matkę, pouczał o środkach zachowania i pomnożenia łaski bożej w duszy, zwłaszcza o częstej spowiedzi, wskazywał konieczność umartwiania chrześcijańskiego, przez należyte czuwanie nad sobą i poskramianie swej pychy. Były to wyraźne kroki na drodze doskonałości chrześcijańskiej. Nic dziwnego, że współuczniowie czasem nagabywali Janka, nie szczędząc mu drwinek, widząc jego onieśmienie i trzymanie się na uboczu. Janek jednak nie chciał płacić im zawiązką,

jak to mógł uczynić, gdy się już poznali. Zresztą miał mocne oparcie w swej cioci i nauczycielu, dlatego tym się nie przejmował.

O tym wszystkim opowiadał nam niejaki Antoni Occhiena syn Franciszka, wójt Capriglio, współ kolega Janka z ławy szkolnej. Być może z tego czasu Janek praktykował już tajemne umartwienia, jak wynika ze wspomnianych okoliczności, i za radą swego mistrza próbował naśladować przykłady Świętych Pańskich.

Uczęszczając przez dwa lata do szkoły w Capriglio poczynił wielkie postępy w nauce czytania i pisania. W ciągu lata, w czasie wolnym od nauki pasał jeszcze krowkę i dopomagał bratu Antoniemu w polu. Zgodnie ze świadectwem postronnych osób, opanowawszy naukę czytania, wykazywał wielką gorliwość w lekturze, nawet na pastwisku, a to w tym celu, by jak mówił, zostać księdzem. Jego brat Józef poświadcza, że nawet podczas obiadu Janek trzymał książkę obok siebie i nieustannie czytał.

Ulubioną zaś jego lekturą był katechizm, który nosił zawsze ze sobą, dopokąd nie poszedł do gimnazjum. Ta droga książeczka była dlań źródłem nowych łask. Mówi Pismo św.: „Myśl twą miej w Przykazaniach bożych i zajmuj się pilnie przepisami Jego, a On da tobie serce i mądrość” /Syr 6,37/.

Gdy nadeszła jesień, po ukończeniu prac w polu Janek powrócił do myśli o szkole. Antoni znowu grymasił, a Małgorzata nie uważała za stosowne wtrącać się teraz. Nie brakło powodów, by Janek poszedł do Capriglio, bądź to do cioci Marianny, czy ze zleceniami do dziadka; jakkolwiek było mógł spędzić lata 1825 i 1826 u księdza Lacqua, studiując pod jego kierownictwem lekturę; niestety pewne okoliczności zmusiły go do przerwania stosunków z tym kapłanem. Co za twarda konieczność dla tego, który tak pragnął się uczyć!

Tymczasem rozwijały się w jego sercu ziarna powołania zasiane przez matkę i nauczyciela. Wspomniany pan Secondo Matta składa pochlebne świadectwo względem zachowania się Janka, swego kolegi, w czasie, gdy pasali bydło. Otóż bywało, że kilku innych chłopców pasło krowy na pastwisku. Ci niedbali i lekkomyślni puszczali niekiedy krowy samopas zabawiając się beztrosko. Janek jednak nie brał udziału w ich rozrywkach, lecz albo modlił się lub czytał książkę. Zapraszali go nieraz do zabawy, on jednak grzecznie wymawiał się. Chcąc na wszelki sposób złamać jego upór, otoczyli go kołem mówiąc:

Słuchaj, tym razem musisz się z nami bawić.

Bądźcie tak dobrzy, zostawcie mnie w spokoju, powiedział Janek. Mam, co innego do roboty,

Wiedz, że postanowiliśmy wspólnie się bawić i ty także musisz przyjść.

Wybaczcie, nie wchodzę w wasze plany i nie rozumiem, dlaczego wtrącacie się w moje. Nie przeszkadzam wam i wy także nie powinniście mnie przeszkadzać.

Czy nie rozumiesz, że w taki sposób okazujesz nam wzgardę? Co ty sobie myślisz?

Nie gardzę wami, pilnuję waszych krów, by nie szły do szkody, a w ten sposób oszczędzam wam kary od rodziców.

Ech, o ile chodzi o słowo, to potrafisz nas przegadać, Ale dość tego. Chcesz czy nie chcesz, musisz teraz z nami się bawić. Chodź no bracie!

Chłopcy, bądźcie na tyle rozumni i nie zachciejcie mnie zmuszać do gry. Bawcie się sami, a ja będę pilnował waszych krów, lecz dajcie mi pokój!

Absolutnie nie! Chodź z nami!

Wybaczcie, nie pójdę!

To będziesz miał do czynienia z nami wszystkimi!

Powiedziałem, że nie pójdę.

Nie pójdziesz? Zobaczymy! To mówiąc rzucili się na niego i poczęli okładać kułakami, co wlezie, dając upust swej złości. Janek na tyle już silny, że mógłby rozprawić się z nimi, wołał jednak cierpliwie znosić ich razy. A już wyładowali swój gniew, odeszli przeklinając i podjęli inną zabawę. Janek wrócił do swego zajęcia pod drzewem, Gdy powtórnie przyszli go nagabywać, rzecze:

Możecie mnie bić, lecz ja nie będę się bawił z wami: chcę się uczyć i zostać księdzem.

Ta odpowiedź zmiękczyła ich do tego stopnia, że dali mu spokój i zaczęli uważać na swoje krowy. Nie frasuj się więcej o nasze bydło, rzekli, studiuj sobie spokojnie.

Trzeba tu podkreślić, że Janek nigdy nie używał swej siły na to, by mścić się, lub bronić gwałtownie, ale raczej posługiwał się nią by bronić kolegów słabszych krzywdzonych przez innych. W takich razach wykazywał odwagę i dzielność niepospolitą.

Od tego czasu Ci koledzy stali się jego przyjaciółmi. Gdy przestał się modlić lub czytać, zbliżali się do niego; on zaś traktował ich mile i odpowiednią rozmową potrafił coraz więcej przywiązać do siebie i zyskiwał u nich poważanie. Powtarzał, co wyczytał w katechizmie, czy słyszał na kazaniu. Pouczał w ten sposób religijnie, spełniając w ten sposób korzystną misję wobec nich. Czasem śpiewali wspólnie pieśni religijne przeplatane miłymi anegdotami lub przykładami; niekiedy odmawiano wspólnie pacierz. W domu Janek stroił ołtarzyki przed Madonną przybierając je w kwiaty i wieńce i przyciągał tam inne dzieci, chcąc trzymać je z dala od złego towarzystwa. Czynił to z wiedzą i zachętą swej matki. Sam utrzymywał się w bojaźni bożej unikając najmniejszego grzechu, jak potwierdza brat jego Józef. W domu, czy na polu, przed i po skończonym opowiadaniu czynił pobożnie znak Krzyża świętego wspólnie z dziećmi. Rzecz godna uwagi, że w tych naukach nie brały nigdy udziału dziewczynki. O niezwyklej pobożności Janka przechowała się pamięć we wszystkich wioskach w okolicy Castelnuovo d'Asti.

ROZDZIAŁ XIII

Kuglarstwo; Janek ćwiczy się w popisach zręcznościowych; Niefortunny dentysta.

W owym czasie Janek nabrał dziwnej ochoty pójścia na jarmarki, celem podpatrywania sztuczek u kuglarzy, których zazwyczaj nie brak w tych okazjach. Coś instynktownie pobudzało go, by wybić się wśród kolegów i służyć im pomocą. Cóż, kiedy na razie, niczym nie mógł im zaimponować: ani bogactwem, ani nauką ani pozycją społeczną. Dom jego stał na uboczu, z dala od siedzib ludzkich. Zresztą, by obudzić zainteresowanie u ludzi prostych, nienawykłych do tego, by do nich przemawiał malec, trzeba się było zdobyć na jakąś sztuczkę. Janek przeczuwał, że tego rodzaju pokazy mogłyby pozyskać dlań słuchaczy. Dlatego postanowił nauczyć się sztuczek kuglarskich, Najpierw poszedł do matki spytać, czy pozwoli mu na uskuteczenie jego planów. Małgorzata po chwili namysłu zgodziła się z zastrzeżeniem: Dobrze, rób jak uważasz, ale nie żądaj ode mnie soldów, bo ich nie mam!

Mamo, zostaw mnie tę sprawę. Moja w tym głowa, odrzekł Janek. Zobaczymy niebawem, jak sobie poradził w zdobyciu pieniędzy.

Nie dziwny się, że matka tak roztropna, bez trudności dała swe zezwolenie. Trzeba wiedzieć, że owe czasy różniły się od naszych. Wśród ludu panowała większa moralność i prostota obyczajów, i nawet pośród kuglarzy wielu uchodziło za uczciwych. Taki na przykład głośny swego czasu kuglarz Orcorte, był nienaganny, co do swych występów i słów. Zresztą władze świeckie czuwały dostatecznie nad moralnością publiczną i chętnie wspierały proboszczów w wykorzenieniu niektórych występków. Zresztą nasz Janek chodził zawsze w towarzystwie matki czy osób pewnych, co do moralności, którym matka go powierzała.

Zaczął, więc chodzić na jarmarki odbywające się parę razy do roku w Castelnouvo, by tam podpatrywać kuglarzy i linoskoczków. Najmniejszy szczegół nie uszedł jego uwagi. Płacił dwa soldy zajmując możliwie najbliższe miejsce wprost

naprzeciw kuglarza. Chwytał wzrokiem błyskawiczne ruchy kuglarzy, by je potem ćwiczyć i naśladować w domu. Ćwiczył zaś tak wytrwale, dopóki nie opanował całkowicie sztuki, by móc ją wystawić na pokaz. Nieraz potykał się, wywracał, spadał na ziemię, lecz to go nie zniechęcało. Próbuje raz i drugi wywinąć koziołka, udaje się, lecz za trzecim razem bęc na ziemię jak długi. Powstaje i rozpoczyna od nowa, coraz lepiej mu idzie. Następnie próbuje tańczyć po linie. Zwiesza ją wysoko między drzewami, przy pomocy tyczki wskakuje na nią i próbuje powietrznej przechadzki: niekiedy spada na ziemię, tak, iż zdaje się jakby nieżywy; na szczęście zawsze wychodzi jakoś cało, a co ważniejsze, nie traci animuszu. W taki sposób, nie do wiary: jedenastoletni chłopiec nabywa niebawem zręczności we wszelkiego rodzaju sztukach gimnastycznych. Potrafi doskonale obracać się na drążku, wyczyniać salto mortale, robić jaskółkę, chodzić na rękach, skakać i tańczyć po linie jak prawdziwy linoskoczek. Pokazywał tyle sztuczek, które wprost wprawiały w osłupienie niewtajemniczonych w tego rodzaju sekrety. Nie dawał sobie spokoju, aż doszedł do pełnego opanowania niektórych ciekawych sztuczek. Jak na przykład, wrywanie zębów i wstawiania ich ponownie, itp.

Bystrość i wytrwałość Janka podpatrującego u kuglarzy ich sztuczki wzbudziły rychło ich nieufność: nie znosili jego obecności wyczuwając, że chce on wykraść im fach i zarobek. Niejednokrotnie już mieli okazję przekonać się, że wypenetrował ich sekrety. Starali się więc przybierać taką pozę wobec niego, obracając się tyłem, by nie mógł dostrzec wszystkiego, względnie sadzali jakąś osobę przed nim, by zasłoniła mu widok tego, co się działo na stole. Janek jednak zręcznie zmieniał pozycję, tak, iż na nic się nie zdały ich ostrożności.

Przytoczymy następujący epizod, jaki opowiadał swym synom na rekreacji. Otóż na rynku w pobliskiej wiosce usadowił się kataryniarz robiąc rejwach nie z tej ziemi, i ściągając tłumy gapiów. Niebawem miał przystąpić kuglarz do swych pokazów. Znalazł się tam i nasz Janek zajmując miejsce tuż przy samej karocy. Poznał go wnet kuglarz usiłując się pozbyć zbyt ciekawskiego obserwatora.

Plac jest publiczny, odpowiedział rezolutnie Janek.

Kuglarz z głębi powozu rozpoczyna swój występ zapowiadając szumnie niestworzone brewerie; jak to poznał Wielkiego Mongoła w Azji, przewędrował na

wskroś Chiny, zaprzyjaźnił się z kalifami perskimi, cudownie uzdrowił Wielkiego Chana tatarskiego, Mikadę japońskiego etc.

Twierdził, że dla dobra rodzaju ludzkiego studiował długie lata zioła lecznicze w świetle księżyca i posiadał wszystkie sekrety Salomona, jakie by tylko istniały na świecie. Chętnie się, że potrafi wyrwać bezboleśnie zęby ręcznie za pomocą młotka lub miecza, jak kto woli. A to, mówił, dzięki pewnemu tajemniczemu proszkowi, który sprzedaje bardzo tanio, jak leczy wszystkie choroby. Na dowód, czego pokazywał mnóstwo pergaminów, dyplomów, patentów, zaświadczeń, rozsypując pieczęcie głów koronowanych na świecie. Twierdził, że przyjechał tu dla dobra ludzkości cierpiącej, i że kto by cierpiał na zęby może się zgłosić, a on obsłuży bez bólu.

Skończywszy elokwentny swój potok rzucał od czasu do czasu krzywym okiem na Janka; ocierając twarz spoconą kazał zatrąbić.

Gdy skończyła się muzyka, podszedł jakiś człowiek prosząc o wyrwanie mu zęba bolącego. Szarlatan kazał mu wstąpić na podium i usiąść tłumiąc grymas zniecierpliwienia. Obywatel ów skonfundowany, że został publicznie zademonstrowany spytał kuglarza:

A ile pan zażąda za to?

Człowiecze poczciwy, odrzecz kuglarz, ja nie pracuję dla zapłaty. Żadna zapłata nie dorówna moim zdolnościom. Jeśli chcecie złożyć mi jakiś dar po dokonaniu operacji, zechcę go przyjąć dla waszej przyjemności.

Ale, mój panie, nie wyrządzicie mi bólu?

Jaki ból? To tak jakbym was w ogóle nie dotknął; no otwórzcie usta. Pacjent otworzył szeroko usta.

Który ząb was boli?

Ten tam, odrzecz wieśniak pokazując ząb trzonowy.

Szarlatan zwrócił się ostentacyjnie do tłumu gestem triumfalnym zapewniając, że wnet zademonstruje swą zręczność. Wieśniak z pokorną miną prosił: Ach, proszę tylko bez bólu!

Bądźcie spokojni, przekonacie się wnet, co ja potrafię!

Tymczasem Janek oparty o karocę obserwował pilnie tę scenę z uśmiechem na wargach. Szarlatan ze swej strony nie spuszczał go z oka okazując wyraźne zniecierpliwienie, jak ten, któremu w tym momencie coś się nie wiodło. Być może

oczekiwał kogoś umówionego, a ten nie nadchodził, a w ten sposób niechcący popsuł mu szyki. Jakkolwiek było, szarlatan z miną nonszalancką nasypał szczyptę proszku na ząb bolący pytając wyniośle:

Co wolicie: czy chcecie bym dokonał operacji za pomocą szpady, młotka lub wprost palcami? Naturalnie, odrzeczcie ów palcami!

Szarlatan zabrał się do dzieła. Janek nie spuszczać zeń oka spostrzegł, jak w pewnym momencie wysunął się mu z rąk klucz uniwersalny: z mimowolnego gestu Janka kuglarz spostrzegł się i obrzucił go piorunującym wejrzeniem.

Włożył w usta wieśniaka palec. Ząb tkwił mocno w dziąśle i nie dał się za jednym zamachem wyrwać. Jeszcze jeden manewr i bolesny jęk wydarł się z piersi ofiary, przytłumiany triumfalnym wyciem szarlatana: *benissimo!*

Janek ledwie zdołał powstrzymać uśmiech. Szarlatan zdawał się dysymulować zamieszanie. Wieśniak zerwał się z fotela klnąc: Ty kłamco, oszuście diabelski! Zmordowałeś mnie, poszarpałeś mi dziąsła! Szarlatan ze swej strony usiłował go przekrzyknąć: Doskonale panowie! Widzicie, co mówi ten człowiek: nie czuje żadnego bólu! To mówiąc zepchnął wieśniaka z wozu, trzymając za ramiona w obawie przed bójką.

Grazie, grazie! Nie potrzeba, nie potrzeba! Zrobiłem to miłosierdzia dla was! I popychał go na dół po schodkach oddając w ręce pewnego osobnika czuwającego przy wozie.

Ten po przyjacielsku, ujmując go pod ramię odprowadzał, pokazując błyszczącą monetę by milczał.

Protesty wieśniaka zagłuszyły dźwięki trąb, podczas gdy obywatele niczego nie wiedząc rzucili się tłumnie po ów cudowny proszek. Sam tylko Janek wtajemniczony we wszystkie arkana cygańskie, uśmiechał się, lecz nie zdradził sekretu nikomu, Było to chyba po raz ostatni, gdy brał udział w seansie kuglarskim.

Wróciwszy do domu opowiadał matce to humorystyczne zdarzenie. Matusia Małgorzata uśmiechając się mówiła: Widzisz sam, jak trzeba unikać tego rodzaju zbiegowisk, gdzie tyle jest cygaństwa i oszustwa. Już teraz wiesz, że tam gdzie grają i piją, nie brak hulatyki i przekleństw. Łatwo w takim towarzystwie stracić pieniądze, cześć i dobre imię, a przede wszystkim łaskę bożą. Iluż robi z siebie gorsze widowisko niż ów człowiek, którego widziałeś na wozie owego kuglarza!

A teraz parę słów refleksji na temat owych sztuczek ćwiczonych przez Janka, jest to zapewne stronica najciekawsza w życiu Świętego i mało znaleźć można podobnych przykładów w hagiografii.

Duch Boży jednak tchnie jak i kędy chce. Zdobyć i pociągnąć chłopców do oratoriów świątecznych było sprawą istotną dla owych czasów. A Pan Bóg udzielił w tym kierunku specjalnych zdolności Jankowi, co dla innych wydawało, by się krzyżem nie do zniesienia. Na cóż, bowiem mógł liczyć ubogi pastuszek wiejski, pozbawiony wszelkich środków, pomocy i oparcia?

Zresztą cel święty mu przyświecał. „Wiemy, mówi Apostoł, że miłującym Boga wszystko dopomaga ku dobremu”. /Rz 8,28/.

Jeszcze jedna myśl dominowała w umyśle Janka w owych czasach, której dawał wyraz w późniejszych swych wspomnieniach na temat swych kuglarskich sztuczek. Gdyby wszyscy księża i katolicy umieli słowem i czynem dla chwały Bożej stawać w obronie sieroty i biedaka, zmusić do milczenia bezbożników godzących na wiarę o obyczajowość młodzież, gdyby mieli tą czelność sugestywnego przemawiania i przewodzenia młodzieży, sprzedawali swą wiedzę i doświadczenie, ileżby dobrego mogli zdziałać!

Patrzcie na szarlatanów! Jak oni potrafią się narzucać, bezpośrednio przemawiać i zdobywać posłuch oraz zysk! Gdyby połączyć odwagę apostoła z miłością i roztropnością chrześcijanina, ileż można by osiągnąć sukcesów dla zbawiania dusz!

ROZDZIAŁ XIV

Janek poszukiwacz gniazd ptasich; Dowcipne przygody i pouczenia matki; spada z drzewa z niebezpieczeństwem życia; wielkoduszne postanowienie.

Życzeniem Małgorzaty było, żeby synowie znaleźli sobie zajęcia, które by im zajmowało czas dając pewną rozrywkę; a widząc, że Janek lubił, pozwalała mu chętnie, oczywiście z pewnymi zastrzeżeniami, by szukał gniazd w lesie, nawet sama pouczała, jaki pokarm lubią ptaki oraz klatki na mieszkanie. Janek naklecił wiele budek ptasich większych i mniejszych, w których trzymał chóry leśnych śpiewaków.

Jednego dnia odkrył w pniu drzewnym gniazdo bogatki i wdrapał się nań, by je wybrać. Gniazdko znajdowało się dość głęboko ukryte w dziupli, tak, iż nie mógł je dojrzeć; rozpoznał przecież, jakie to ptaki były po matce, która wyfrunęła z gniazdka. Z trudem wsadził rękę do dziupli aż po łokieć, by dostać się do gniazdka. Ale wyjąć z powrotem w żaden sposób już nie zdołał; ręka uwięzła w dziupli; na próżno starał się nią obracać, jeszcze bardziej nabrzękła mu i zgrubiała. I co teraz począć? Matka, która niedaleko w polu pracowała zawołała nań głośno. Janku, Janku! Janek zdenerwowany odpowiedział, że nie może zejść z drzewa i wezwał na pomoc matkę.

Buzaron! Odpowiedziała Małgorzata, widząc, co się stało. Zawsze coś wystrugasz. No i teraz co? śmiała się, przy czym jej sekundował Janek.

Przyniosła drabinę i weszła na nią próbując coś pomóc nożem. Próbowwała również ściągnąć mu koszulę z ręki, ale na próżno. Wówczas zawołała dwóch mężczyzn, którzy przyszli z siekierą.

Małgorzata nie pozwoliła, by rąbali siekierą, by nie skaleczyć przypadkiem Janka. Próbowali, więc nożami poszerzyć trochę otwór, co im się wreszcie udało i Janek zdołał wyciągnąć rękę z dziupli mocno zadrapaną. Mama nie omieszkała jak zwykle wyciągnąć nauczki z tego zdarzenia mówiąc:

W taki sposób Pan Bóg karze ludzi, którzy czyhają na cudzą własność.

Innym razem odkrył gniazdko kosów wśród konarów wielkiego bukszpanu; od czasu do czasu podpatrywał, jak młode zaczynały się opierać, potem cofał się do krzaków, obserwując, jak matka karmiła pisklęta. To gniazdko było doprawdy jego

rozkoszą. Ale oto pewnego wieczoru, gdy matka siedziała w gnieździe, na pobliskim drzewie usiadła kukułka a spostrzegłszy łup przyleciała do gniazdka, pokryła je skrzydłami i wsadziwszy dziób do wnętrza dokonała mordu na bezbronnych ptaszkach, potem usadowiła się w pobliżu gniazdka pozostając nieruchomo dłuższy czas. Janek bolał wielce nad utratą swych ulubionych ptaszków; spostrzegłszy zaś kukułkę siedzącą nieruchomo zaczął obserwować, co z tego wyniknie. Nazajutrz wczesnym rankiem pobiegł pod drzewo zaciekawiony, co się stanie z ową kukułką.

I co widzi? Kukułka umieściła się w gnieździe kosów i złożyła tam swoje jajo. W parę chwil potem kot, który czatował w tym miejscu skoczył na nią i pazurami rozszarpał jej głowę.

Dobrze ci tak! zawołał z tryumfem Janek, zadowolony z tej sprawiedliwości. Tymczasem, gdy zamierzał zajrzeć do gniazdka, był świadkiem nowego zdarzenia. Oto kos, widocznie samczyk powrócił do opustoszałego gniazdka i zaczął dziobać leżące tam jajo, aż ukazało się szkaradne piskłę nagie, z oczyma drapieżnymi, i dziobem nienormalnej wielkości. Ciekawe, że kos zaczął przynosić mu pokarm, jakby był jego własnym pisklęciem. Janek co dzień obserwował z zaciekawieniem tę scenę; gdy piskłę kukułcze dostało pierze, zabrał je i zamknął do klatki.

Przez pewien czas bawił się nim; jeśli głaskał je po grzbiecie, zachowywało się spokojnie, ale gdy zbliżał doń rękę, jakby chciał ją pochwycić, piskłę kukułcze wrzeszczało, stroszyło się i miało niespokojnie. Zapomniawszy o nim przez dwa dni nie dał mu pożywienia.

No i cóż z tą kukułką, spytała matka.

Janek pobiegł do klatki i znalazł kukułkę martwą. Piskłę próbując wyjść z klatki wcisnęło głowę między dwa druty i udusiło się. Janek pokazał matce martwego ptaka; Małgorzata zaś swoim zwyczajem nie pomijając okazji powiedziała: Widzisz, jak silny musi kiedyś ulec silniejszemu od siebie i nie będzie mógł cieszyć się niesprawiedliwą zdobyczą. Piskłę kukułcze otrzymało ponure dziedzictwo w obcej klatce, stąd jego nieszczęście. Nieszczęśliwie kończą zazwyczaj dzieci, których rodzice zdobyli majątek nieuczciwie. Ty możesz dziękować Bogu, gdyż ojciec twój nie miał ani grosza cudzego w kalecie, bądź i ty uczciwy podobnie jak twój ojciec.

Innym razem znalazł gniazdo z małą sroczką. Zaniósł ją do domu i chciał, by matka ją upiekła.

Ani za grosz nie masz litości, powiedziała mama, zamknij ją sobie do klatki baw się nią do woli.

Janek tak zrobił. Ptaszek rósł i doprawdy stał się jego rozrywką, takie robił pocieszne ruchy i skoki. Pewnego dnia wszedłszy do izby z koszykiem czereśni, podał mu jedną. Sroczka w tej chwili połknęła ją wraz z pestką i skrzecząc z otwartym dziobem domagała się drugiej. Janek dał jej z kolei drugą, trzecią itd. Ptak napęczniał w oczach; a mimo to połknąwszy chciał jeszcze więcej. A masz! rzecze Janek wsuwając więcej do klatki. W pewnym momencie sroka spojrział smutno z wybałuszonymi oczyma na swego chlebobawcę i znieruchomiała.

Mamo, sroka zdechła! woła Janek zafrasowany.

Widzisz, synku, tak kończą zazwyczaj łakomcy, zawyrokowała mama. Nieumiarkowanie w pokarmach i napojach skraca życie.

Tyle miał przygód z gniaздkami i ptakami, że można by o tym napisać gruby tom. A umiał się wdrapywać na drzewo zwinnie jak kot; nieraz narażał się na niemałe niebezpieczeństwo i omal, że nie przyplącił tego życiem. Otóż pewnego razu, wraz z kilkoma kolegami poszli do lasu po ptaki. Na rozłożystym dębie opodal rosnącym było gniazdo z młodymi, których jeszcze nie wybrał, bo były nieopierzone. Teraz zdecydował się to uczynić. Każdy z chłopców próbował się wspiąć na dęba, lecz żadnemu nie udało się. Janek w oka mgnieniu był na dębie. Lecz co innego było dojrzeć gniazdko wśród konarów, a co innego dostać się do niego. Gniazdko znajdowało się na poprzecznej gałęzi zwisającej w jednej czwartej długości ku ziemi. Janek przywykły chodzić po linie nie zawahał się, krok za krokiem doszedł do gniazdko, zdjął je i przycisnął do piersi. Teraz próbował obrócić się i zejść do środka konaru, lecz mimo wysiłków nie zdołał ruszyć się z miejsca, gdyż gałąź zginała się jak sprężyna. Próbował uczynić krok w tył, lecz pośliznął się i zawisł na rękach. Z wysiłkiem zdołał jeszcze postawić nogę na gałęzi i obrócić się twarzą ku ziemi przyciskając usta do gałązki; wysiłek ten nie zdał się na nic, bo gałąź poddała się w drugą stronę, tak, iż zawsze pozostawał w tej samej pozycji. W takiej sytuacji myślał, jak wybrnąć z kłopotu, co gorsze czuł, że już brakuje mu sił w rękach. Towarzysze z dołu dopingowali go i doradzali jeden przez drugiego, w jaki sposób ma zejść na dół. Walcząc tak jakiś kwadrans zawieszony w powietrzu, całkiem wyczerpany puścił się z drzewa i spadł na dół. Wydawało się, że będzie z nim koniec;

on tymczasem wykonał w powietrzu ruch rękoma tak, iż obróciwszy się spadł na nogi, potem dopiero uderzył o ziemię ciałem. Chłopcy podbiegli ku niemu, myśląc, że się zabił, on tymczasem za chwilę usiadł i ciężko oddychał.

No jakże ci jest, Janku?

Myślę, że nie jest tak źle.

A ptaszki, chyba zabite? Czy mamy podzielić się nimi?

Macie je tu, rzeczy rozpinając kurtkę; ale mnie kosztowały...

Doprawdy, drogo mnie kosztowały.. I zawracał do domu, lecz zrobiwszy parę kroków nie mógł iść dalej. Bolał go żołądek i wnętrzności; drżały ręce i nogi. Oddał kolegom piskłeta i rozeszli się do domu. Poczul wnet gorączkę i ledwie mógł się czołgać. Spotkawszy brata Józefa powiedział: Wiesz, czuję się źle! Boli mnie żołądek. Zdołał wreszcie dojść do domu i położyć się do łóżka. Mama przybiegła natychmiast, naparzyła rumianku, ogrzała go i zaraz posłała po lekarza. Gdy lekarz przyszedł, Janek wykręcał się nie chcąc przyznać się do wypadku. Dopiero za drugą wizytą wyjawiał dokumentnie wszystko.

Dlaczegoś mi tego nie powiedział od razu? spytał lekarz.

Proszę pana doktora, nie wypadło mi, lękałem się, że dostanę baty od mamy.

Lekarz zastosował odpowiednie lekarstwa, lecz Janek musiał i tak przeleżeć do trzech miesięcy, dopiero powróciły mu dawne siły. Zawsze jednak od tego czasu przechodząc opodal dębu, wstrząsał nim dreszcz.

Niebawem zdarzył się pewien fakt rzucający światło na to, że w młodym wieku miał on serce niezwykle czułe i zdolne do poświęceń bez reszty. Janek miał może 10 lat, gdy schwytałszy pięknego szpaka, zamknął go w klatce, żywił i przyzwyczał do śpiewu, nucąc mu parę tonów, które ptak powtarzał. Nic dziwnego, że szpaczek był prawdziwą rozkoszą dla Janka i o niczym nie myślał jak o swym szpaku, nawet w czasie nauki w szkole. Nic jednak na tym świecie nie ma trwałego. Pewnego dnia pobiegł do klatki, by się zabawić szpaczkiem i o zgrozo! widzi klatkę zbryzganą krwią i biednego ptaszka leżącego na ziemi. Co się stało? Kot niecnota chwycił go za ogon i nie mogąc wydobyć na zewnątrz poszarpał i zabił. Chłopiec tak się tym przejął, że płakał gorzko przez parę dni i nie mógł się utulić w żalu.

Zastanawiając się jednak nad powodem swego smutku i nad znikomością przedmiotu, do którego się przywiązał, zrobił postanowienie doprawdy ponad swój

wiek: że nie będzie się więcej przywiązywał do żadnej rzeczy ziemskiej. Dotrzymał tego, dopóki nie zetknął się z młodym Alojzym Comollo. I w tym wypadku nie mógł się oprzeć jego doprawdy dziewiczej niewinności, skromności i prostocie obyczajów i zawarł z nim głęboką zażyłą przyjaźń.

Pomimo, że ta przyjaźń nie była całkiem ziemską ani zmysłową, lecz doprawdy świętą i udoskonalającą ich wzajemnie, miał później i tego żałować. Głęboki żal, jakiego doznał, na skutek śmierci przyjaciela, wywołał w nim nowe postanowienie, że już nikt więcej poza Bogiem nie będzie posiadał jego serca. Aby zaś dotrzymać tego wielkodusznego postanowienia, z jego wyznania dowiedzieliśmy się, że zadawał sobie niemały gwałt wewnętrzny, nawet później pracując wśród młodzieży w Oratorium. O tym wszystkim, niby pewną retractatio, przekazał na piśmie wspomnienie, o którym będzie mowa, dla pouczenia salezjanów, swych synów, by lekkomyślnie nie igrali z przyjaźnią skądinąd nawet szlachetną i duchową, która mogłaby zarzucić fatalne więzy na niebaczone dusze.

Ze słów Księdza Bosko tryska światło, rzucające przemiły blask na jego młodość, wydobywając na jaw cnoty ukryte przed wzrokiem ludzkim. To serce zdolne od lat najgorętszych swego życia oderwać się od wszelkich uczuć ziemskich i poświęcić się całkowicie Bogu, które trwa w swej ofierze do końca życia, nie do pomyślenia, by miało splamić się jakąś przewiną.

ROZDZIAŁ XV

Źródła niniejszego opowiadania; Drogocenny manuskrypt; Pierwszy sen Janka; jego misja życiowa.

Wchodzimy obecnie w doniosły okres życia naszego bohatera. Jesteśmy w momencie, gdy Bóg raczył objawić mu jego powołanie. Nim przejdziemy do dalszego opowiadania, dobrze będzie najpierw podać dokumentację bliższą jego środowiska.

Otóż między innymi ksiądz Marchisio Secondo, salezjanin i ziomek świętego w roku 1888, badał dokładnie szczegóły mające związek z jego dzieciństwem i młodością pytając żyjących świadków i notując ich odpowiedzi. Podobnie ksiądz Joachim Berte, ks. Jan Baptysta Francesia i ks. Jan Bonetti, w roku 1889 udali się do Chieri, zasięgaliby informacji od jego kolegów.

Z okresu zaś pobytu w seminarium wielu jego kolegów przekazało nam na piśmie rzeczy wprost niezwykle. Jesteśmy w posiadaniu tych dokumentów.

To, co odnosi się do Matusi Małgorzaty, piszący czerpał wprost z ust Księdza Bosko, mając to szczęście prowadzić z nim konwersacje przez więcej niż lat sześć. Bardzo rzadko wracał on do spraw opowiedzianych wyżej; gdy rzuciłem mu pytanie odnośnie do pewnych szczegółów, o których wspomniał mi w latach ubiegłych, a które tu wiernie przekazuję, byłem zdumiony, z jaką dokładnością odtwarzał mi to wszystko, na przykład słowa swej matki, jakby je czytał z książki. To samo mogę zapewnić odnośnie innych faktów, o których raczył mi się zwierzyć, i które przekazałem dla korzyści moich Współbraci.

Poza tym źródłem, skąd czerpiemy wiadomości, jest drogocenny manuskrypt spisany przez samego Świętego, w którym prowadzi swą biografię do roku 1855. Z niechęcią zabrał się do pisania o sobie samym, znając słowa Ducha Świętego: „Pochwałę otrzymuj z ust obcych, a nie własnych”. /Prz 17,2/. Uczynił to za sugestią Piusa IX, a nawet na wyraźny jego rozkaz w 1869 r. tak, że musiał w końcu usłuchać i zabrać się do dzieła.

Te zapiski ze swego życia ukrywał starannie, a dopiero po jego śmierci je odnaleziono, gdy porządkowano jego papiery. Są one przedziwnym pomnikiem jego pokory. Opisuje w nich z prostotą to, co sam uważa jako pochodzące od Boga w jego misji i dziełach. W wielkim streszczeniu kreśli swą działalność najpierw wśród chłopców w Castelnuovo i Cheri, następnie w Turynie w Oratorium; nic nie mówi, co podkreślało by jego cnoty. Surowo określa swe czynności, iż w podziw wprawia czytelnika, który go nie znał i do którego dotarły świadectwa współczesnych.

Na pierwszych stronach tych wspomnień czyta się sen, który wiernie opowiemy, podobnie jak w dalszym ciągu naszej historii posłużymy się w wielu miejscach jego własnymi słowy.

Otóż wspomniany manuskrypt nosi tytuł: *Memorie del Oratorio dal 1835 – 1855* wyłącznie dla Współbraci Salezjanów, dla Zgromadzenia Salezjańskiego. On sam we wstępie wyłuszcza motywy, jakie go skłoniły do napisania tych stron.

„Wielekroć zachęcano mnie do napisania wspomnień dotyczących Oratorium św. Franciszka Salezego; chociaż nie można było się oprzeć powadze osób, które mnie do tego nakłaniały nie mogłem się przecież zdecydować wziąć za pióro, zwłaszcza dlatego, że musiałbym często pisać o samym sobie. Obecnie jednak dołączył się rozkaz osoby o najwyższym autorytecie, dlatego nie mogąc dłużej zwlekać zabrałem się do skreślenia pewnych szczegółów poufnych, które mogą posłużyć do wyjaśnienia wielu rzeczy oraz wyjść na korzyść tej instytucji, którą Opatrzność Boża zleciła Towarzystwu św. Franciszka Salezego. Winieniem zaznaczyć, że piszę dla mych ukochanych Synów Salezjanów, zabraniając rozgłaszać je za mego życia i po śmierci. Na cóż, więc mogła, by służyć niniejsza praca? Posłuży za normę w pokonywaniu przyszłych trudności, jako lekcja z przeszłości; posłuży na to, by poznać, jak Pan Bóg sam prowadził w każdym czasie wszystkie sprawy; posłuży mym Synom jako przyjemna rozrywka, gdy będą czytać o tych rzeczach, w których brał udział ich Ojciec, a czytać je będą bardzo chętnie, gdy zostaną powołani przez Boga, by zdać sprawę ze swych czynów i nie będę już między nimi.

O ile spostrzeżecie, że fakty opisuję ze zbytnią przyjemnością lub może z pozorem samochwalstwa, zechciejcie mi wybaczyć. Jest to ojciec, który cieszy się mogąc rozmawiać ze swymi synami, którym zależy na najdrobniejszych szczegółach życia tego, który ich tak bardzo kochał i który zarówno w rzeczach małych jak dużych starał się zawsze działać dla ich korzyści duchowej i materialnej.

Przedstawiam te wspomnienia podzielone w dziesięcioletnich okresach czasu, gdyż w takim czasookresie następował znaczny rozwój naszego Zgromadzenia.

Gdy zaś, moi drodzy Synowie, będziecie czytać te wspomnienia po mej śmierci, pamiętajcie, że mieliście Ojca najbardziej przywiązane, który wpierw nim opuścił ten świat, pozostawił te wspomnienia jako zadatek ojcowskiej miłości, a wspominając o mnie módlcie się za spójność mej duszy”.

Trzeba podkreślić, Ksiądz Bosko zataja własną osobę mówiąc, że Pan Bóg nie jemu a Pobożnemu Towarzystwu św. Franciszka Salezego zlecił wielką misję.

Jest zwyczajem Boga w wielkim miłosierdziu objawiać jakimś znakiem szczególnym powołanie ludzi, którym przeznacza wielką misję dla zbawienia dusz. Tak też postąpił z Janem Bosko, którym następnie kierował wszechmocną Prawicą w każdym okresie jego życia i przedsięwzięć. Napisane w Księdze Joela Proroka, iż po długim okresie bezpłodności Synagogi nastąpi przedziwna płodność nowego Kościoła, a Bóg wyleje swego Ducha na wszystkich ludzi a wasi starcy śnić będą, zaś młodzieńcy wasi widzenia mieć będą (II, 28). Miał je i Jan Bosko a oto, w jaki sposób on sam opowiada o swym pierwszym śnie.

„W 9-tym roku życia miałem sen, który sprawił na mnie wielkie wrażenie na całe życie. Otóż zdawało mi się, że jestem w pobliżu domu na dziedzińcu bardzo obszernym, wśród mnóstwa młodzieży, która się bawiła. Jedni śmiali się, drudzy skakali, inni przeklinali. Usłyszawszy przekleństwa natychmiast rzuciłem się między nich, słowami i pięściami starając się zmusić ich do milczenia. W pewnej chwili zjawił się mężczyzna dostojny w wieku męskim, bogato ubrany. Biały płaszcz okrywał mu ramiona, a jego twarz była tak jaśniejąca, że nie mogłem na nią patrzeć. Zawołał mnie po imieniu i kazał mi stanąć na czele tych chłopców dodając te słowa:

„Nie biciem, lecz łagodnością i miłością zdołasz pozyskać tych swoich przyjaciół. Zaczynaj więc ich pouczać o szkaradzie grzechu a piękności cnoty”. Zmieszany i przestraszony odrzekłem, że jestem biednym i nieuczonym chłopcem niezdolnym mówić im o religii. W tej chwili ci chłopcy zaprzestając wyzwisk i bójek zgromadzili się wokół tego, który ze mną rozmawiał. Ja jakby samorzutnie odrzekłem mu:

A któż wy jesteście, panie, że nakazujecie mi rzeczy niemożliwe.

Właśnie, dlatego że wydają ci się niemożliwe, musisz dokonać tego, by stały się możliwymi przez posłuszeństwo i nabycie wiedzy.

A gdzie, jakimi środkami będę mógł zdobyć tę wiedzę?

Dam ci Mistrzynie, pod której kierownictwem będziesz mógł nabyć mądrości, a bez której wszelka mądrość staje się głupstwem.

Ale któż wy jesteście, że mówicie do mnie w taki sposób?

Jestem Synem Tej, którą twoja matka nauczyła cię pozdrawiać trzy razy dziennie.

Moja matka zabroniła mi przestawać z obcymi, których nie znam, bez jej pozwolenia; dlatego proszę mi powiedzieć swe imię.

O moje imię zapytaj mej Matki.

W owej chwili ujrzałem przy Nim pewną Niewiastę, o majestatycznym wyglądzie, ubraną w płaszcz jaśniejący zewsząd jakby usiany gwiazdami. Widząc, że coraz bardziej mieszam się pytaniami i odpowiedziami, dał mi znak, bym zbliżył się do Niej, a ta wzięwszy mnie z dobrocią za rękę powiedziała:

Patrz teraz! Spojrzawszy zauważyłem, że wszyscy owi chłopcy uciekli, a zamiast nich ujrzałem wielką liczbę kóz, psów, kotów, niedźwiedzi i innych zwierząt.

Oto twoje pole, gdzie winienesz pracować, powiedziała owa Pani. Stań się pokornym, dzielnym i silnym; a to, co ujrzysz w tej chwili z tymi zwierzętami, winienesz dokonać z moimi synami.

Wówczas ujrzałem zamiast owych dzikich zwierząt stado łagodnych baranków, które cicho pobekując biegły do stóp owego Pana i Pani.

W tej chwili we śnie, zacząłem płakać i prosiłem ową Panią, by mówiła do mnie zrozumiale, gdyż nie wiedziałem, co to wszystko miało znaczyć. Wówczas Ona położyła mi na głowie rękę mówiąc:

W swoim czasie wszystko zrozumiesz. Potem jakiś hałas zbudził mnie i wszystko znikło. Ja zaś byłem głęboko przejęty owym snem. Czułem jeszcze ból w dłoniach z wymierzanych policzków, ból piekący na twarzy od odbieranych cisów od chłopców; poza tym owa Osobistość, owa Pani, rzeczy usłyszane we śnie, tak zajęły mój umysł, że nie już tej nocy zasnąć.

Rano pobiegłem opowiedzieć mój sen moim braciom, którzy mnie wyśmiali; potem opowiedziałem go babce. Każdy dawał własne wyjaśnienie. Brat Józef mówił: Pewnie zostaniesz pasterzem kóz, owiec, czy innych zwierząt. Moja matka powiedziała: Kto wie, czy nie zostaniesz kapłanem. Lecz Antoni po swoim wyraził się twardo: Być może zostaniesz hersztem rozbójników.

Lecz babka doskonale znająca prawdy Wiary, choć nie umiała pisać rozstrzygnęła to najlepiej: Nie należy przykładać do snów wiary.

Byłem tego samego zdania, co i babka, mimo to nie potrafiłem pozbyć się tego snu z pamięci. Rzeczy, które opowiem następnie, dadzą pewne wyjaśnienie tego. Milczałem zawsze o tym, a i moi krewni nie zwracali na to uwagi. Lecz gdy w roku 1858 rozmawiałem z Ojcem św. na temat Zgromadzenia Salezjańskiego, kazał mi szczegółowo opowiedzieć sobie rzeczy mające nawet pozory nadprzyrodzoności. Opowiedziałem wówczas po raz pierwszy ów sen z 9 roku życia. Papież polecił mi go opisać w szczegółach i zostawić dla zachęty członków Zgromadzenia, którego założenie było celem mej podróży do Rzymu”.

Po tym śnie Janek uczuł w sobie wzrastające pragnienie zdobycia wiedzy, by dopomagać chłopcom i zostać kapłanem. Niestety, wyłoniły się poważne trudności ze względu na niedostatek w domu, zwłaszcza ze strony jego przyrodniego brata Antoniego, który chciał, żeby Jan jak on sam chwycił się pracy na roli. Patrzył krzywym okiem, że brat młodszy zabiera się do nauki.

O tym śnie, jaki często nasuwał się w umyśle do lat 18, Ksiądz Bosko nie chciał nikomu zwierzać się, a tylko zdawkowo wspominał o nim. Twierdził natomiast w ostatnich latach życia, że jakkolwiek w zasadzie został niezmienny, to przecież za każdym razem towarzyszyły mu wciąż nowe okoliczności. Dodawał, że od tej chwili widział jasno powstanie Oratorium i rozszerzanie się jego misji, przeszkody wyłaniające się ze strony przeciwników i sposoby ich usunięcia. I to było powodem pewności niezachwianej, z jaką szedł wciąż naprzód, podejmując swe dzieła.

Nie był ów sen zwykłą łaską, lecz powierzeniem misji, określonym zadaniem wyznaczonym przez Boga. Porównałbym go do widzenia Proroka Jeremiasza. On również odpowiedział Panu Bogu: „Ach, ach, ach, Panie Boże! Ty widzisz, że nie umiem mówić, gdyż jestem dziecią”. I usłyszał Bożą odpowiedź: Nie mów: jestem dziecią; albowiem pójdiesz wykonać to wszystko, na co cię pośle i wszystko, co ci przykazuję, opowiesz. Nie lękaj się oblicza możnych, gdyż ja będę z tobą, abym cię wybawił z ich rąk, mówi Pan... Będą walczyć przeciwko tobie, ale nie przemogą, albowiem ja jestem z tobą dla twego ocalenia...”. /Jr 1,7-8,19/.

A jakaż to miała być misja Księdza Bosko?

Założenie nowych zgromadzeń zakonnych: Pobożnego Towarzystwa św. Franciszka Salezego, Córek Maryi Wspomożycielki, zbawienie młodzieży całego świata za pomocą Oratoriów młodzieżowych, zakładów wychowawczych, kolegiów, szkół i warsztatów, kolonii rolniczych; seminariów dla kształcenia powołań, przygotowując dla Kościoła kapłanów ze wszystkich krajów świata; zaopatrując diecezje w brakujących kapłanów za pomocą Dzieła Synów Maryi dla spóźnionych powołań; zakładanie szkół katolickich, by położyć tamę szkołom laickim i bezbożnym i rujnującym moralnie młodzież.

ROZDZIAŁ XVI

Skutki pierwszego snu; rozwój zdolności i pamięci Janka; Teżyzna fizyczna i niezwykła odporność; Niektóre anegdoty.

Głos pełen słodczy dał polecenie Jankowi we śnie: „Stań się pokornym, męznym i silnym!”. Było to niejako błogosławieństwo obejmujące całą psychofizyczną istotę człowieka. Istotnie, „więcej znaczy, pomimo ubóstwa, być zdrowym i pełnym sił, niż bogatym a słabowitym i wycieńczonym chorobami”. Tym bardziej, gdy nad ciałem panuje zdrowy duch oparty na uczciwości i sprawiedliwości. To znaczy więcej niż wszystkie bogactwa na świecie; także ciało zdrowe warte więcej niż niezliczone bogactwa. „Nie masz skarbu przewyższającego zdrowie ciała: ani większej przyjemności niż radość ducha” (Eklezjastyk). Tak, więc Janek miał nabywać pokory, zapewniając pokój i wytrwałość w cnocie za pomocą łaski Bożej; nie w jego mocy było jednak nabyć siły i przenikliwości umysłu, ale dar to był Boży wraz z genialnymi zdolnościami i szczęśliwą pamięcią, przy niezwykłej jego teźyznie fizycznej i potężnych muskułach.

Przede wszystkim będzie musiał nabyć potrzebnych umiejętności, by móc radzić sobie w różnych sytuacjach i trudach, jakie go czekały w przyszłości. Zdaje się więc, że ów głos tajemniczy nie tylko był radą, ale zapewnieniem otrzymania od Boga szczególnych darów. W dalszych rozdziałach będzie mowa o nadzwyczajnej pamięci Janka; tu wspomnimy tylko, że uczęszczając skwapliwie na nauki i kazania do pobliskich kaplic, względnie do parafii w Buttigliera, czy Capriglio, wróciwszy do domu powtarzał dosłownie przed matką i braćmi treść usłyszanego kazania; często zaś gromadzili się wokół niego znajomi i sąsiedzi, podziwiając niezwykłą pamięć i zdolności chłopca.

Co dotyczy teźyzny fizycznej, to trzeba uznać szczególną łaskę Boga, gdyż z budowy był raczej suchy i kościsty; wzrostu średniego, ramiona żylaste; dłonie natomiast małe i delikatne. A przecież niebawem ujawniła się w nim niezwykła siła muskuł, która rosła jeszcze na skutek ruchu ciągłego i pracy fizycznej, jaką spełniał przy gospodarstwie.

Zgniatął w zębach najtwardsze pestki brzoskwiń i moreli. Z łatwością rozłupywał w dwóch palcach ręki prawej czy lewej orzechy czy migdały. Potrafił też połamać na kawałki pręty żelazne dość grube, jak oparcia do balkonów. Gdy na przykład ustawiał w szeregach chłopców, a któryś niesforny wyskoczył mu z szeregów, on z uśmiechem chwycił go za rękę i ciskał jak piłkę do rzędów.

Nie przeszkodzi to, gdy uprzedzimy opowiadanie o niektórych jego wyczynach późniejszych; nie da się, bowiem wszystko naraz zmieścić; nadto pewne anegdoty psułyby zakreślony porządek. Otóż czasem posługiwał się swą siłą jako student

w Chieri, gdy go nagabywano do wzięcia udziału w pewnych zabawach, które mu nie odpowiadały. Jako uczeń retoryki, gdy razu pewnego po lekcjach kilku łobuzów uwiesiło mu się na szyi. Janek początkowo nie reagował; ale gdy poczuł ich czterech na swoich plecach, chwycił ręką tego, który był na samym wierzchu i porządnie ścisnął razem z trzema innymi, potem jak cyklop baranów, obnosił triumfalnie po dziedzińcu, skamlących z litości, ku uciesze profesorów i uczniów, aż zaniósł do klasy na swoje miejsce. Od tego czasu więcej go nie napastowali. Bez trudności większej w tym wieku udźwignął 20 kilogramowy ciężar.

Kiedys w mieście zauważywszy zbiegowisko podszedł bliżej: dwa ogromne brytany gryzły się zawzięcie. Ruch uliczny prawie zamarł w tym punkcie, gdyż każdy obawiał się nieprzewidzianego wypadku. A Święty odważnie postąpił naprzód. W pewnej chwili jeden z brytanów odskoczył za próg wejścia, by móc z nowym impetem uderzyć na przeciwnika. Bosko rzucił stojącym, zamknijcie szybko bramę, by pies nie zdołał wyjść na zewnątrz; z drugim ja sobie poradzę....

Pogryzie Księdza, zawołali obecni.

Nic się nie bójcie; róbcie, co wam każę.

Zamknięto bramę od podwórza; Bosko zaś chwycił błyskawicznie drugiego psa za kark i podniósł do góry; wściekły brytan miotał się unieszkodliwiony w powietrzu, kłapiąc zębami z głuchym skowytym. Widzowie zelektryzowani tą odwagą, obawiali się, że pies zwolniony z tego uchwytu rzuci się na ludzi. Bosko puścił go na ziemię wciąż jednak trzymając przezornie za kark. Aż sterroryzowany pies dał się prowadzić spokojnie aż na Plac Mediolański obok mostu. Tam dał mu solidnego klapsa i puścił na wolność. Pies spuściwszy łeb zaszczekał przeraźliwie i unikając ludzi chyłkiem pobiegł utykając i ledwo dysząc ze strachu.

Tymczasem z tyłu pociągnął ktoś Jana Bosko za rękę; to ks. Kanonik Zappata: Czy Księdzu nie wydaje się, że postąpił niezbyt jak przystało kapłanowi?

Proszę księdza kanonika, powiedział pokornie Święty; Konieczność wymagała, żeby temu ktoś położył koniec. A ponieważ nikt się nie zainteresował tym, więc musiałem ja.

Gdzieś około roku 1847, gdy Ksiądz Bosko jechał do Biella głosić rekolekcje, postanowił zawrzeć znajomość z dorożkarzami, by przypomnieć im nieco katechizmu i pojednać z Bogiem w Sakramencie Pokuty. Chcąc jednak do nich podejść, sądził, że nie da się inaczej, jak zaimponować im siłą fizyczną, co tylko może być przekonywujące dla tego rodzaju ludzi mających respekt dla mięśni.

Zabrał się więc na swój sposób. Otóż stojąc opodal karczmy w Santhie przyglądał się, jak stangreci i parobcy obchodzili się z końmi. Jeden z nich przestrzegł go, żeby się oddalił, gdyż jego koń gryzie każdego obcego, który zbyt blisko przystąpi.

Nie bój się pan, odpowiedział Święty, mnie nie ugryzie.

W tej chwili wspomniany koń zbliżył się do Księdza Bosko tak, że nie było już czasu na ucieczkę, zresztą nie było nawet gdzie. Koń już otwierał pysk, żeby go ugryźć, ale Ksiądz Bosko jeszcze szybciej chwycił go za pysk i ścisnął tak mocno, iż koń na próżno trząśł głową i próbował się uwolnić; stawał dęba, gził się, bił zadem,

nic nie pomogło, nie wydobył się z żelaznych kleszczy gniotących mu pysk. Zleciało się mnóstwo gapiów zaciekawionych tą niesamowitą siłą. Święty tymczasem spokojnie dał polecenie spętania tylnych nóg koniowi i oddalił się pewny, że koń da mu spokój. Gdy wsiadał do powozu, ludzie pytali jeden drugiego:

Nie wiecie, skąd jest ten Ksiądz, taki siłacz?

Parę lat później znalazł się w mieszkaniu ks. profesora Picco Mateusza, gdy w pewnym momencie przyniesiono zakupione pianino porządnie spakowane, w zbitej żelaznymi obręczami skrzyni. Ks. Picco pragnąc oglądnąć swój nabytek, nie potrafił rozpakować skrzyni nie mając młotka i kleszczy. Wówczas Bosko oglądnąwszy obręcz żelazną, próbował ręcznie rozluźnić je w miejscu, gdzie były złączone oba końce. I udało się. Tak samo z grubymi deskami zbitymi mocnymi gwoździami. Ks. Picco przyglądał się zdumiony tej szybkiej robocie, bez słów. W roku 1883, z pobytu swego w Paryżu, Święty został zaproszony na obiad do pewnego znakomitego domu. Podano do stołu orzechy z bardzo twardą łupiną. Biesiadnicy oczekiwali na dziadka do łupania. Ksiądz Bosko prowadzący swobodną konwersację zaczął w dwóch palcach rozłupywać orzechy i podawać je biesiadnikom, zachwyconym, że zostali obsłużeni przez św. kapłana, do którego i tak wszyscy odnosili się z najwyższą czcią. Początkowo oczywiście myśleli, że miał w ręku zwykłego dziadka, lecz spostrzegłszy, że operuje palcami, dawali wyraz zdumienia mówiąc: Zapewne, to błogosławieństwo Maryi Wspomożycielki dopomaga mu rozłupać najtwardsze orzechy!

W roku 1884 w czasie ciężkiej choroby, gdy miał lat 69, lekarz chciał zmierzyć siły jego ręki. Nim podał mu manometr do wyciskania, zaproponował:

Księżu Bosko proszę mi ścisnąć ze wszystkich sił mój plus.

Panie doktorze, powiedział Święty, pan nie zna mojej siły.

Proszę się nie obawiać, że wyrządzi mi jakąś szkodę; proszę ścisnąć. Ksiądz Bosko zgodził się, wziął rękę lekarza i ścisnął ją tak, iż ten aż krzyknął z bólu. Wyjął wtedy manometr z odpowiednią podziałką i podał Księdzu Bosko.

Panie doktorze, powiedział Święty, obawiam się, że będą z niego kawałki.

Myślę, że chyba mimo swej niesamowitej siły nie zdoła chyba zgnieść stalowego pierścienia,

Dobrze, niech pan doktor pierwszy naciśnie manometr.

Lekarz ścisnął instrument, ile tylko miał siły i podziałka pokazała 45°.

Teraz proszę dać temu księdzu, który mnie asystuje.

Ów kapłan wzięwszy manometr wycisnął na nim 43°. Ksiądz Bosko z kolei wycisnął na nim najwyższą cyfrę, jaka widniała na podziałce. Lekarz zapewniał, że nie spotkał się w swej pracy zawodowej z tak wielką siłą mięśni. Swą siłą posługiwał się Ksiądz Bosko bardzo rzadko. Używał jej w razie, jakiejś pilnej potrzeby lub dla celu szlachetnego, względnie dla czyjegoś ukontentowania na rekreacji, lecz nigdy we własnej obronie. A co najwięcej zadziwiające, czynił to bez szczególnego wysiłku, z naturalnym spokojem, swobodą i bez cienia próżności, jak by to była rzecz

najnaturalniejsza na świecie. A przecież stwierdzić można było, jak stopniowo tracił siły spalając się w ofierze dla Boga i dla dobra dusz bliźnich.

ROZDZIAŁ XVII

Janek wśród swych rówieśników; opowiadanie; Wieczory zimowe; linoskoczek, początki oratoriów świątecznych; Przeszkadza obrazie bożej za pomocą śpiewu; rozrywek i sztuczek.

Chodząc za matką na jarmarki, Janek zapoznał się i zaprzyjaźnił z wielu chłopakami z okolicznych wiosek w czasie nauki katechizmu. Przyciągał ich do siebie jak magnes. Już jako chłopczyk zaczął studiować poszczególne charaktery i z wyrazu twarzy próbował czytać w ich sercu. W miarę jak dorastał, nabierał coraz więcej bystrości i refleksji. Z naturalną prostotą stawiał odpowiednie pytanie, uprzedzał odpowiedzi, upominał w wypadku czyjejs niewagi, udzielał zachęty do dobrego. Kochano go a zarazem obawiano się. Był to specjalny dar Boży, jak mówi Duch Święty: „Jako w wodzie pokazują się twarze patrzących, tak serca człowiecze jawne są mądrym”. /Prz 27,19/.

Ze swej strony Janek był zawsze gotów czynić dobrze każdemu, kogo spotkał, a nikomu źle. Ubiegano się o jego przyjaźń, a w razie kłótni on rozstrzygnął spory, on malec nawet wśród wielu starszych potrafił zyskać sobie poważanie. Ilekroć wybuchały pomiędzy nimi nieporozumienia, Janek występował jako rozjemca i chętnie poddawał się jego wyrokom. Weszło nawet w przysłowie: Janek tak powiedział i to wystarczało jako dowód.

Co jednak przyciągało chłopców do niego, to opowiadanie różnych ciekawostek, historii i przykładów, które wyczytał ze znanych ksiązek, na przykład o królach francuskich itp.

Czytał chciwie, co mu wpadło pod rękę, różne powiastki fantastyczne. Ale co osobliwe, umiał zawsze wydobyć z nich jakiś sens moralny. Widywano go czasem pod Castelnouvo na polu lub na łące, w otoczeniu gromady dzieci i starszych, chciwie słuchających małego i nieuczonego chłopca, posiadającego niezwykle dar pamięci. Mówiono sobie. Co to wyrośnie z tego chłopca?

Zimową porą ubiegano się powszechnie, by go mieć u siebie w czasie długich wieczorów. Bywało, że zbierało się dużo ludzi słuchających w skupieniu przez kilka godzin Janka czytającego o królach Francji. Przychodziło się, jak mówiono, posłuchać kazania; więc czyniono pobożnie znak krzyża św. na początku i końcu. Odmawiano Pozdrowienie Anielskie. Był to rok 1826. Wśród najgorliwszych była niejaka Katarzyna Agagliati: porzucała ona zajęcia domowe, by móc posłuchać małego kaznodzieję. Mówiła do Małgorzaty: Zapewne Pan Bóg dopomoże waszemu synowi zostać wielkim człowiekiem. Małgorzata odpowiadała:

Będzie z niego, co Pan Bóg zechce!

Przychodzili nawet ludzie starzy z dalekich stron. Doprawdy rzecz zaczęła nabierać rozgłosu. Janek, bowiem zaczął dawać pokazy sztuczek wyuczonych i podpatrzonych od niektórych kuglarzy na jarmarkach. Dotąd pokazują w Becchi

łączkę z kilkoma drzewami. Janek uwiązywał między nimi linę, stawiał stół z rekwizytami, obok niego krzesło i dywanik na ziemi, na którym wykonywał swe akrobacje. Gdy wszystko było gotowe i zebrani oczekiwali nowości, Janek stawał na krześle i zaczynał częstkę Różańca; potem mówił:

Teraz posłuchajcie kazania, które miał dzisiaj ks. Kapelan w Morialdo.

Niektórzy krzywili się i mruzczyli po cichu, że mają dość tych kazań. Janek z miną władcą, jak król na swym tronie rozkazywał rezolutnie i tak stanowczo, że nawet poważni mężczyźni musieli go słuchać.

Jeśli nie chcecie, prawił do malkontentów, możecie sobie odejść. Zaznaczam jednak, że popisy są dla tych, co pozostaną na Różańcu i jeśli wrócicie na nie, wyrzucę was stąd i więcej noga wasza nie powstanie na mym podwórzu!

Wobec takiej groźby zdecydowali się pozostać i cierpliwie oczekiwali dalszego programu. Janek zaczynał swe kazanie, czy wykład Ewangelii niedzielnej, względnie jakiś przykład słyszany lub wyczytany w książce. Od czasu do czasu zrywały się okrzyki zdziwienia; Dobrze mówi! Słuchali, zatem wszyscy zadowoleni. Po kazaniu jeszcze krótka modlitwa, potem następowały popisy małego linoskoczka.

Robił jaskółkę, wykonywał salto mortale, chodził na rękach, podpierał się workiem, połykał pieniądze i odnajdywał ja na czubku nosa kogoś ze stojących; mnożył kuleczki lub jajka, zamieniał wodę w wino, zabijał kogucika i wskrzeszał go do życia tak, iż śpiewał lepiej niż przedtem. To był zwykły program. Następnie spacerował po linie, wyczyniał skoki, tańczył po niej, zwiślał na jednej to na drugiej nodze. Nawet Antoni przypatrywał się nieraz sztuczkom Janka, kryjąc się dyskretnie w cieniu drzewa lub stojąc w zaułku szopy, z grymasem na twarzy. Musiał i on bić brawa dla bohaterskich wyczynów Janka.

Ofiarę robisz z siebie, zrzędził, wszyscy cię obgadują!

Widzowie nie zważając na jego zrzęczenie bawili się doskonale i śmieli do rozpuku, oklaskując rześzystymi brawami udanego kuglarza. Bywało, że kiedy publika z otwartymi ustami wyczekiwała chciwie nowego wyczynu. Janek niespodziewanie przerywał popisy i zaczynał Litanię lub Różaniec, gdy go przedtem nie odmówiono.

Będą jeszcze ciekawsze sztuki do oglądania, mówił, chciałbym jednak byśmy teraz się pomodlili. W taki sposób wykorzystywał przerwę, bo gdyby chciał to zrobić po zakończeniu, uciekliby mu zapewne.

I tak po paru godzinnym seansie, gdy mały kuglarz był już zziębnięty, przerywało się zabawę i po krótkiej modlitwie rozchodzili się do domów. Z tych zebrań wykluczeni byli ci, co przeklinali, prowadzili gorszące rozmowy, względnie wymawiali się, jak powiedziano, od praktyk religijnych.

Mogłoby się zrodzić u czytelnika pytanie: By chodzić na jarmarki, przypatrywać się popisom kuglarzy, potrzeba było przecież mieć pieniądze; a skąd je Janek brał?

W tym już był spryt Janka. Przede wszystkim gromadził sobie drobne oszczędności z otrzymywanych okazjnie soldów od matki i krewnych na słodycze, względnie jako upominki, wszystko to przeznaczał na ten cel. Prócz tego własnym

przemysłem zdobywał pieniądze bądź sprzedając ptaki w klatkach, czy oswojone zwierzątka złapane w lesie na wnyki. Wyplatał kapelusze słomkowe, robił klteczki z trzciny i inne tego rodzaju rzeczy, na które zręczną reklamą umiał znaleźć nabywców. Grzyby, barwiące ziela, jagody były to artykuły pokupne, stanowiące niemały zysk dla Janka. Potrafił też doskonale nawijać przędzę, prząść jedwab, nici lniane, nawet haftować samodzielnie tak, iż ludzie z wiosek składali u niego zamówienia. Potrafił także szydełkować; później w Oratorium będzie naprawiał z powodzeniem skarpety swym chłopcom.

Również za zabite węże i żmije otrzymywał nagrody, a robił to z wielką wprawą. Spotkawszy na przykład żmiję na polu, osaczał ją i dobrze wymierzonym ciosem kamienia zabijał gada; gdy jednak udało się żmii wsadzić głowę pod kamienie, czy korzenie drzew, przywiązywał sznur do ogona i wyciągnąwszy gada silnym uderzeniem o drzewo urywał jej głowę.

Mogłaby też być kwestia z pozwoleniem, na co odpowiada sam Ksiądz Bosko: „Jeśli mnie spytacie, czy moja matka patrzyła na to przychylnie, że traciłem tak wiele czasu zajmując się sztuczkami, odpowiadam; moja matka rozumiała mnie doskonale; ja zaś odnosiłem się do niej z pełnym zaufaniem i bez jej zezwolenia nie ruszyłbym palcem. Wiedziała o wszystkim, patrzyła na to i zostawiała mi swobodę. Nawet, gdy czegoś brakowało, chętnie dostarczała mi. Także towarzysze, czy przygodni widzowie chętnie współdziałali około zdobycia rekwizytów, dla ich wspólnej rozrywki”.

W taki sposób matusia Małgorzata, wiedzona naturalnym zmysłem dobroci i miłości Boga samorzutnie współdziałała nad rozwinięciem się u Janka jego niezwykłego powołania, do jakiego był przeznaczony w nadchodzących czasach. Jego urobienie wewnętrzne znajdowało swe naturalne podłoże u cnotliwej matki, która jak z jednej strony nie chełpiła się zdolnościami syna w jego obecności, tak nieustannie w gorącej modlitwie polecała go Bogu, podobnie jak innych swych synów; obserwowała pilnie wszystko, rozmyślała i milczała. W istocie, gdy 10 letni chłopiec wiejski potrafił przewodzić starszym od siebie, który przemawia publicznie i ma posłuch u dorosłych pozyskując ich sztuczkami, by skłonić do odmawiania Różańca, to nie jest rzecz doprawdy codzienna.

Pewnego popołudnia, gdy Janek przymocował linę na podwórzu, a matka obserwowała go w milczeniu, nadeszła jedna z sąsiadek Katarzyna Agagliati i witając się z nią czule rzekła:

Jak się macie droga Małgorzato? W odpowiedzi zaś słyszy zapytanie wydobyte z głębi serca: Powiedzcie, co sądzicie o moim Janku?

Myślę, że dokona czegoś naprawdę wielkiego w świecie.

Janek doprawdy już zdobył wziętość i rozgłos w całej okolicy przez te swe niedzielne i świąteczne seanse rozrywkowe. Myśl o tym, by zbierać młodzież, przebywać z nią, uczyć katechizmu, drażyła w głębi duszy tego chłopca już od lat pięciu. Prześladowała go ustawicznie stanowiąc niejako cel jego życia. Była to pewna oznaka jego przyszłego powołania.

Już od roku 1825 rozpoczął rodzaj Oratorium świątecznego w granicach swoich możliwości i wykształcenia; oddawał się temu przez następne lata z coraz większym zapałem i skutkiem, w miarę jak wzbogacał swe wiadomości religijne. W tym celu gromadził sobie zasób odpowiednich przykładów usłyszanych w kazaniach, na nauce katechizmu, przeczytanych w książkach.

Nie tylko jednak same opowiadania, czy rozrywki zjednywały mu serca młodych słuchaczy. Z jego oczu, twarzy, całej osoby przebijała czystość duszy, jak to będzie do końca życia. Rozmawiać z nim było doprawdy prawdziwą przyjemnością, budziło pragnienie stania się lepszym, czego nie da się przetłumaczyć zwykłym słownikiem. Doświadczwały tego niezliczone rzesze młodzieży, tysiączne rzesze jego Pomocników, którzy zniewoleni słodyczą obcowania z nim, nie mogli się od niego oderwać i zapomnieć urzekającego wpływu jego osoby. Wytłumaczeniem tego są słowa księgi Mądrości: „O jak piękny jest czysty rodzaj z jasnością! Nieśmiertelna jest bowiem pamięć jego, gdyż u Boga znany jest i u ludzi”. /Mdr 9,1-2/.

A oto inny wyczyn świadczący dobitnie o jego przyszłej misji. Będąc na odpuszcie w Morialdo znalazł się na rynku, gdzie odbywał się festyn. Było to w czasie niesporów. Janek chciałby położyć kres temu, jak sądził zgorszeniu i wmieszawszy się w tłum próbował nakłonić ludzi, by szli do kościoła.

Patrzcie go jeszcze nie odrósł, a już poucza starszych.

A któż cię o to prosił, mały proroku? Nie wścibiaj nosa w naszą zabawę! dodawano do tych słów szturchańce. Janek nie dając za wygraną zaintonował pieśń religijną tak dźwięcznym głosem, że porwał za sobą niebawem grupę ludzi, którzy razem z nim poszli do kościoła.

Zapadał mrok a jeszcze tańczono zawzięcie. Janek zwrócił się do paru osób: czas skończyć zabawę, jest coraz ciemniej, Nikt nie reagował; więc zaśpiewał powtórnie i powtórzyła się ta sama scena, co wcześniej: urzeczeni takim cudnym głosikiem nawet tancerze tłoczyli się obok niego, a ten i ów składał mu podarunki, których Janek nie przyjął. Kierownik festynu widząc, że pustoszeje plac zabawy podszedł do niego i podając pieniądze rzecze:

Słuchaj chłopcze, masz tu pieniądze i idź sobie, bo inaczej popamiętasz mnie.

Cóż to mi panowie proponujecie?

Czy jestem od was zależny, że muszę was słuchać? Mam tu swych krewnych, którzy zabierają się do odejścia; jeżeli ich zwołuję, czy przez to czynię wam krzywdę? Gdyby zabawa przedłużała się do późnej pory, mogłyby stąd wyniknąć pewne nieporządki ze szkodą dla waszego sumienia. Nasza wioska miała zawsze dobrą opinię; czy zwracając na to uwagę wyrządzam wam obrazę? Uwagi te wypowiedziane przez małego chłopca sprawiły wielkie wrażenie i skłoniły do zaprzestania balu. Próbowano jeszcze tańczyć, ale wnet brakło uczestników.

W przyszłości wystąpi przeciwko niektórym kuglarzom przeszkadzającym w nabożeństwie w kościele. W kaplicy w pobliżu Becchi miała się odbyć wieczorem nauka katechizmu. Młodzieży zebrało się niewiele, za to na placu tłum gapiów. Gdy kuglarz dał znać trąbką o zaczynających się popisach, młodzież gromadnie wychodziła

z kościoła ciekawa ujrzeć coś nowego. Znalazł się również tam Janek zdecydowany wyzwać kuglarza na pojedynek. Wystąpił śmiało z wyzwaniem wśród frenetycznych aplauzów publiki. Kuglarz obrzucił go pogardliwym spojrzeniem zdecydowany bronić swej popularności.

Ustalamy warunki, powiedział Janek; jeżeli przegram, zapłacę jednego skuda; jeżeli zwyciężę, opuści pan bezwzględnie te wioskę i nie zjawi się tu nigdy w czasie nabożeństwa.

Dobrze, przyjęto! powiedział kuglarz, pewny zwycięstwa.

Tym razem jednak przegrał zawody i zebrawszy swe klamoty musiał wynieść się. Zwycięski Janek zwrócił się do zebranych:

Teraz proszę wszystkich do kościoła!

Innym razem jednak nieznanemu osobnikowi zbawiał do siebie młodzież opowiadając brudne kawały. Na widok obrazy Boskiej Jankowi błysła myśl. W pobliżu rosły dwa drzewa. przywiązuje więc pomiędzy nimi linę i rozpoczyna swe pokazy. Skutek był niezawodny. Młodzież zaciekawiona tym widokiem opuściła owego nicponia i otoczyła małego kuglarza. Janek zrobił wymyk - odmyk, wieszając się na linie, wyprostował i zaczął chodzić po niej. Występ potrwał aż do zmroku, gdy zaczęto się rozchodzić.

W taki to sposób Jan Bosko dawał dowody swej misji opatrnościowej. Bóg dobrotliwy, igrający, według wyrażenia Księgi Przypowieści, na okręgu ziemskim swą stwórczą wszechmocą, którego rozkoszą jest mieszkać między synami ludzkimi we właściwym sobie sposobie zaczął demonstrować światu narzędzie, jakim zamierzał posłużyć się dla swej chwały. „Wybrał Bóg głupstwa świata aby zawstydzić mądrych i słabych świata Bóg wybrał, aby zawstydzić modnych i podłych i wzgardzonych oraz tych, których nie ma, aby zniweczyć tych, którzy są: aby przed oczyma jego nie chlubił się żaden człowiek, aby który się chlubił, w Panu się chlubił”. /1 Kor 27-29/.

ROZDZIAŁ XVIII

Matusia Małgorzata wzór miłosierdzia chrześcijańskiego; Opatrznościowa pomoc; Odwiedzanie potrzebujących.

Janek widząc przykłady swej dobrej matki mógł powtórzyć za Jobem: „Od dzieciństwa mego rosło ze mną uzalenie i z żywota matki mojej wyszło ze mną”. /Hi 31,18/.

Zasadą Małgorzaty było czynić wszystkim dobrze. Duch jej pełen pogody wewnętrznej nie żywił urazy do nikogo. Nie potrzebowała przebaczać, gdyż nie uważała się za obrażoną. A przecież miała serce tak bardzo czułe, iż słusznie mogła się nazywać matką wszystkich będących w potrzebie. Nie odmawiała proszącym o wsparcie, jakby wszystkiego posiadała w bród. Sąsiedzi przychodzili do niej to po ogień to po wodę, czy drzewo na rozpalek. Chorym zanosila wina odmawiając zapłaty. Pożyczała chleba, mąki, meligi, gdy ją proszono, nie dając poznać własnych potrzeb. Ktoś wypożyczywszy dawniej chleba przychodził ponownie mówiąc:

Małgorzato, pożyczcie chleba, choć jeszcze nie oddałem wam długu.

Proszę już nie myśleć o tym, wystarczy, jeśli zwrócicie, co teraz daję.

Gospodarstwo stanęło wśród lasu i nieraz zachodzili cichaczem bandyci prosząc o jedzenie.

Nie mam nic pod ręką, ale zaraz postaram się coś dla was przygotować. I wołając Janka polecała:

Przyniesź prędko drzewa i nastaw garnek z wodą. Zagotujemy minestrę, by posilić tych naszych przyjaciół. Ale pamiętaj, nie mów o tym nikomu. Janek spełniał rozkazy i dał znać, kiedy w garnku wrzało.

Wsyp, co trzeba na żur.

Mamo nie mogę znaleźć.

No to daj mąkę.

Nie ma jej także.

To pokraj chleba.

Bywało, że w domu nie było nic do jedzenia, prócz okruszyn starego chleba. Zасыpawszy garnek wrzący czymś podobnym do mąki Małgorzata przywoływała bandytów i prowadziła do jakiegoś ciemnego kąta rozlewając zaimprovizowaną polewkę. Po zjedzeniu jej dziękowali mówiąc: Grazie, mamma a ze spaniem, co będzie?

Idźcie na strych na słomę, nie mam wygodniejszej pościeli.

Jesteśmy zupełnie zadowoleni; ale karabinierzy.

Ze stajni prowadził otwór ze szopy na siano. Małgorzata w paru słowach dała wskazówkę, co do położenia domu i życzyła dobrej nocy. Bandyci przed odejściem chcieli ucałować jej rękę.

Ona zaś: Nie potrzeba; chciałabym byście zmówili pacierz.

O tak, pewno zmówimy go! I wdrapywali się na strych spędzając noc w przykładowym milczeniu jak aniołki.

Gorzej z tym, że gdy odeszli bandyci pukali do drzwi karabinierzy, którzy mieli tu etap wypoczynkowy po długim marszu. Skoro rozgościli się zapytywali o synów, zwłaszcza o Józka, którego lubili i chętnie wdawali się z nim w rozmowę. Z Jankiem już nie mieli tej śmiałości, gdyż unikał ich karesów, mówił mało, jak raczej słuchał uważnie, co opowiadali między sobą.

Ale co zabawniejsze, bandyci podsłuchiwali ich rozmowę tuż za oknem zasłoniętym papierem dowiadując się o ich planach. Zdarzało się nawet, że zastano bandytę w izbie tak, iż nie mógł już uciekać. Nieraz karabinierzy rozsiadłszy się przy stole popijali wino, podczas gdy w drugim końcu kończył minestrę bandyta. Czasem wiedząc, że ukrywali się w domu, nie łapali ich, gdyż byli pewni, że Małgorzata nie ukrywała ich w złym celu, a nie chcieli stwarzać kłopotu dla zacnej gospodyni, gdyby musiała być pociągana do trybunałów. Z drugiej strony nie było tak łatwo aresztować bandytów uzbrojonych po zęby i gotowych na wszystko. Czekali, więc sposobniejszej pory. Czasem jedynymi drzwiami wchodzili karabinierzy, a drugimi bandyci, którzy spostrzegłszy się umykali szybko.

Dom Małgorzaty był prawdziwym azylem dla podróżnych. W owych czasach, gdy nie było tak wygodnej komunikacji jak dzisiaj, kto chciał załatwić pilne sprawy osobiste, musiał podróżować dłuższy czas, szukając po drodze noclegu u jakiegoś gospodarza, o ile ten zechciał go przyjąć. Znana była w okolicach Morialda gościnność Małgorzaty.

Matko Małgorzato, czy macie, jaki kąć na przenocowanie?

Owszem, chętnie.

A można, by dostać coś do zjedzenia?

Dobrze, jakoś poradzimy.

Oczywiście, o ile spiżarnia była zaopatrzona, suta wieczerza stała na stole. Nieraz jednak był doprawdy kłopot, by nie puścić podróżnego z pustym żołądkiem. Janek w takich okolicznościach pełnił rolę kucharza. Jednego razu, gdy oświadczył matce, że nie ma nic na kolację, mamusia z uśmiechem poszperała w spiżarni i znalazła trochę chleba z prosa. Pokruszywszy go włożyła do garnka i zagotowała: wyszła z tego jakaś lura nie do zjedzenia. Janek dał ją do skosztowania matce, która uśmiechnąwszy się poszła do obory, nadoiła trochę mleka i zaprawiła tę meligę tak, że była nawet smaczna. Czym jednak najbardziej potrafiła okrasić jedzenie, to jej życzliwość serdeczna, tym zyskiwała sobie bliźnich. Nad ranem podróżny żegnając się nie miał słów podziękowań i ofiarował zapłatę, której Małgorzata nie przyjmowała:

Traktuję wszystkich jak przyjaciół, a nie prowadzę gospody.

Jeśli tyle życzliwości okazywała podróżnym, to cóż powiedzieć o naprawę ubogich, którzy do niej pukali o wsparcie. Syn Jan wspomniał później, jak to pewnego razu w noc zimową zapukał do chaty jakiś żebrak prosząc o nocleg. Na polu śnieg i mróz skrzypiący; biedak miał pończochy całkiem zdarte, że widać było gołe ciało. Małgorzata nie miała w domu pończoch do podarowania; za to z rana, gdy odchodził, owinęła mu nogi ciepłym sukniem, potem obwiązawszy je troczkami, umocowała pod stopami na sposób rzymski. A zrobiła to tak ładnie, że biedak mógł doskonale podróżować nie czując zimna. Z całą słuszością mogła ta święta niewiasta powiedzieć do Pana: „Przed domem nie stał przychodzień, drzwi moje podróżnemu otwarte były”. /Hi 31,32/.

W chałupce pobliskiej mieszkał pewien wyrobnik, nazwiskiem Cecco, który lubił dobrze zjeść, a mało pracować; popadł on w nędzę. Ledwie żył, cierpiąc często głód. A jednak nie śmiał publicznie żebrac z obawy przed drwinami za to, że zmarnował ojcowiznę.

Nieszczęśliwiec żył jak pustelnik rzadko wychodząc domu. Małgorzata ze szczerego politowania, od czasu do czasu udawała się pod jego domek i przez okno na parterze, by nie zawstydzac biedaka, wrzucała mu do izby parę bochenków chleba, które mu wystarczyły na kilka dni. Gdy ów Cecco przy sposobności dziękował jej ze łzami w oczach, ofiarowała się dostarczać mu również nieco minestry. Stało na tym, że za nastaniem zmierzchu, Małgorzata da znak głośnym wołaniem na synów. Wtedy zanosila i stawiała na ganku garnek gorącej minestry, on zaś otwierał drzwi i zabierał ją.

Bywało jednak, że jej samej zabrakło żywności. Wtedy Opatrzność Boża namacalnie wprost troszczyła się o jej potrzeby.

Zacny sąsiad, pan Vegilo spostrzegłszy jej kłopot każe parobkowi zanieść Małgorzacie worek mąki.

Za ciężki, nie udźwignę go, rzecze sługa. Jeśli nie udźwigniesz na raz, zrób to na raty, odparł pan.

Ale nie wiem, dokąd mam iść?

Zaniesiesz go Małgorzacie, nie mówiąc absolutnie skąd pochodzi.

Małgorzata na widok tak cennego daru, pytała:

A któż to posyła?

Pomimo niezbyt jasnych odpowiedzi, zorientowała się, kto był szlachetnym dobroczyńcą. Wtem wchodzi pan Vegilio, który w ukryciu śledził rozmowę.

Słuchajcie, Małgorzato, wolałbym być nieznany, ale ponieważ widzę, że mój parobek nie potrafi dotrzymać sekretu nie chcę dłużej trzymać tego w tajemnicy. Otóż wy wspomagacie ubogich, dlatego słuszne jest, by inni przyszli wam z pomocą.

Również żona pana Vegilio nie chcąc ustępować mężowi w wielkoduszności, posyłała Małgorzacie raz korzec mąki, to znów wina.

Mawiała nieraz: Gdy nie będziecie mieli co dać ubogim, przychodźcie do mnie.

Istotnie, Małgorzata była istnym aniołem pociech dla chorych we wsi konających. Przy jej boku stał zawsze Janek, gotowy do wszelkich posług, do przyrządzania leków z ziół, których nazbierał był dość dużą ilość.

Odwiedziła ich, pomagała, służyła, spędzając całe noce, przysposabiała do przyjęcia Sakramentów św. a gdy zbliżało się konanie, towarzyszyła aż do ostatniego tchnienia.

Nie należy się temu dziwić, bo Małgorzata była isticie chrześcijańską niewiastą pełną ducha modlitwy. Wychodząc z domu, czy wracając z pola, pośród licznych swych zajęć szeptała często paciorki. Piękny to był widok pod wieczór, gdy szła z pola ze swymi narzędziami pracy w jednej ręce, a drugą prowadziła swych synów i na Anioł Pański odmawiali wspólnie modlitwę. W domu nigdy nie opuszczała pacierza porannego i wieczornego, zapraszając do niego swych gości w nagrodę za użyzony nocleg. Ktokolwiek to był; bandyci, karabinierzy, kupcy, żebracy, podróżni, nikt nie śmiał jej odmówić, nawet tacy, co zaniedbywali tego obowiązku.

Scena to doprawdy godna uwiecznienia na płótnie: karabinierzy zdejmujący czapki i klękający na ziemi; bandyci pochylający swe kudłate głowy do pacierza, którego tak długo nie odmawiali.

A Małgorzata szczerze się cieszyła, gdyż jedyną nagrodą dla niej było widzieć, jak z ust podróżnych wychodziła chwała Boża. A modły te spraszały na jej dom i rodzinę deszcz łask Bożych. Wszyscy, którzy doznali jej gościnny, zachowali wdzięczną pamięć o niej mogąc powtórzyć słowa psalmu: „Błogosławiliśmy wam w imieniu Pana: Błogosławieństwo Boga niech zstąpi na was”. /Ps 128,7/.

ROZDZIAŁ XIX

Janek uczy się od matki gorliwości o chwałę Bożą oraz walki z grzechem i zabieganie o zbawienie dusz.

Kto zetknął się bliżej z Małgorzatą Bosko, musiał podziwiać wielkość i moc jej ducha. Nie tylko brzydziła się, lecz zwalczała gdzie mogła zło i starała się, nawet za cenę ofiar przeszkodzić mu. Od czasu do czasu w sąsiedztwie urządzano zabawę taneczną. Andiamo al ballo! Zbierała się tłumnie młodzież słysząc dźwięki skocznej muzyki. Także synowie Małgorzaty prosili: Mamo, czy pozwolisz nam pójść na zabawę? Małgorzata z uśmiechem na to: Zostańcie na razie w domu, aż zobaczę, co tam nowego.

Jeśli znajdowały się tam uczciwe osoby i zabawiano się dla odprężenia nerwów, bez cienia złego, wracała mówiąc:

Dobrze możecie iść. Ale gdy zauważyła coś niewłaściwego, oświadczała z miejsca: Ta zabawa nie dla was.

Ma...ma...ma...

Nie ma żadnego „ma”. Nie chcę, żebyście wpadli do piekła. Początkowo nie w smak im była odmowa; lecz mama zasiadłszy z nimi przy kominku, opowiadała im tak ciekawie różne fantastyczne przygody królów i rycerzy, iż nie żalowali, że nie poszli na zabawę. Na zakończenie była modlitwa za konających.

Przy sposobności upominała dziewczęta, gdy spotkała je zbyt krótko ubrane, mówiąc: Czy nie wstydzicie się swego Anioła Stróża? Zasłania on sobie twarz rękoma, gdy musi wam towarzyszyć.

Jesteśmy ubogie i nikt nie dba o nasz strój.

To chodźcie za mną. I prowadziła je do swego domu. Tam spruwała im sukienki, w miarę potrzeby dostawiała kawałki materiału i mile odsyłała porządnie ubrane. Nie żalowała czasu na spełnienie tego uczynku miłosierdzia, pomimo że musiała dbać przecież o własną rodzinę.

W sposób szczególny spieszyła tym istotom, które jak zauważyła, były narażone na niebezpieczeństwo. Zapraszała je do siebie, częstowała owocami, podawała smacznie przyrządzoną potrawkę; zachęcała, by przychodziły do niej, ilekroć znajdą się w potrzebie. Przyjmowała je jak matka swe córki nie szczędząc pożytecznych wskazówek. Radziła zwłaszcza, by unikały towarzystwa mężczyzn i podawała cały szereg trafnych i mądrych uwag, które trudno by było tu wyliczać.

Jakże czujna była zwłaszcza w czasie długich wieczorów zimowych! Szukała sposobności, by pomówić z daną osobą w cztery oczy. Pouczała jak trzeba zachować

się w towarzystwie, nie pozwalać nikomu na zbytnią poufałość, opanować swe gesty, śmiech itp.

Zyskała sobie przez to wielki szacunek u dziewcząt we wsi.

Na ogół nie przestrzega się u nas zbyt surowo reguł skromności w ubiorze, zwłaszcza w porze letniej, co z pewnością nie jest zgodne z duchem Ewangelii. Gdy Małgorzata weszła czasem do czyjegoś mieszkania, gdzie dziewczęta były lekko ubrane, uciekały w popłochu, by włożyć na siebie przyzwoitszą sukienkę i tak móc się przed nią pokazać. Niekiedy nie znajdując odpowiedniego miejsca chroniły się przy jej boku, o ile ktoś nadchodził. Małgorzata żartobliwie przykrywała je swym fartuchem szepecąc do ucha: Jak możesz tak się pokazywać wobec Boga?

Wspomnieliśmy wyżej, że Małgorzata przyjmowała w dom kupców wędrownych. Miała ona przy tym pewien specjalny cel. Wiadomo, że ludzie ci sprzedają obrazy, książki o treści nazbyt lekkiej. Otóż Małgorzata spostrzegłszy je prosiła, by jej zostawiono te obrazki, czy książki, które czasem natychmiast rzucała w ogień, względnie zanosila księdzu kapelanowi w Morialdo. Często sprzedawcy, by sprawić jej przyjemność sami niszczyli te towary. Małgorzata, choć nie potrafiła czytać, wiedziała dobrze, ile szkody one wyrządzają, co zresztą przyznawali sami właściciele. Tych zaś traktowała potem jak swoich przyjaciół obsługując ich serdeczniej. Przy pożegnaniu nie omieszkła prosić, by nie sprzedawali tych rzeczy ze szkodą dla dusz i zwykle uzyskiwała tę obietnicę.

Ilekróć spotykała się ze zgorszeniem publicznym, wówczas występowała z całą energią. Jednej niedzieli, gdy szła z synagogi do kościoła, spotkali grupę młokosów ze starszym od nich przodownikiem, który im opowiadał jakieś brudne kawały, na co tamci odpowiadali wybuchami śmiechu, przy czym zaczepiali idących drogą. Małgorzata nie mogąc tego znieść podeszła do owego nicponia i rzecze:

Czy byłby pan zadowolony, gdyby ktoś w tak grubiański sposób odnosił się do pańskich córek?

Ech tam! Cóż w tym złego? Przecież żartujemy. Czy nie wolno się śmiać? Czy to komuś zawadza? Trzeba by wyjść ze świata, by nie słyszeć podobnych rzeczy.

No, ale to, o czym opowiadacie jest, czy nie jest złym?

Ech, tyle skrupułów! Nudna pani jest. Tylu o nich rozmawia a mnie nie wolno?

Choć wszyscy o tym rozmawiali, czy nie byłoby to grzeszne? A jeśli pójdziecie do piekła, co wam pomoże, że inni tak samo robili?

Wobec tych przekonywujących słów Małgorzaty nicpoń ów zaczął śmiać się szyderczo, czemu wtórowali inni. A Małgorzata kontynuowała: Pan mając już siwe włosy nie wstydzisz się gorszyć publicznie zamiast budować, tych naiwnych chłopców? Wstydz się pan!

I pociągając za sobą swych synów kierowała się polną drogą do kościoła. W pewnej chwili zatrzymując się rzecze do nich:

Wiecie, drogie dzieci, jak was kocham; wołałabym jednak widzieć was raczej na marach niż tak zepsutych! Zaiste słowa twarde i bezwzględne, lecz zrozumiałe

w ustach tej matki, które tak kochała niewinność swoich dzieci i pragnęła, by żyli ustawicznie w łasce Bożej i czystości duszy.

Pewnego wieczoru dwóch hultajów w oborze Małgorzaty prowadziło brudne rozmowy. Znani byli we wsi ze swego naganego zachowania się. Małgorzata zażądała ostro, by poszli sobie stąd. Odpowiedzieli jej szyderczym śmiechem. Ona zaś zdecydowanie:

Nie chcę was tu absolutnie widzieć! Na ich żarty bezczelne podniosła głos: Tu jest moje gospodarstwo, ja tu rządę, precz stąd!

Chuligani odeszli za stóg siana nie myśląc wynieść się; lecz i Małgorzata nie ustąpiła. Kazała jednemu z synów wezwać, któregoś z ich krewnych; gdy zjawili się po chwili matka i brat ich obu, nastąpiła scena bardziej dramatyczna. Skończyło się na tym, że musieli odejść jak niepyszni, a Małgorzata stanowczo zabroniła im wstępu do jej obory.

Zdarzyło się, że któraś kobieta na skraju wsi przyjęła na noc obcego mężczyznę. Sąsiedzi zżymali się na ten skandal, lecz nikt nie zdobył się na to, by położyć temu kres. Małgorzata pod wieczór poszła do owej chałupy w towarzystwie Janka, który z dala obserwował tę scenę. Małgorzata zapukała do drzwi wołając:

Marta, Marta! Po chwili ukazała się we drzwiach twarz kobieca.

A to wy jesteście Małgorzata? Czego chcecie?

Tak, Marto. Chciałbym wam coś powiedzieć.

Ależ, proszę, mówcie.

Zbliście się do mnie, Marto, by nas nikt nie słyszał. Mam wam coś ważnego do powiedzenia.

Ależ słucham, słucham! Powiedziała z pewnym wahaniem; zamknąwszy drzwi podeszła z Małgorzatą pod węgiel domu.

Wy jesteście Marta?

Przecież ja.

Jesteście córką tego a tego?

Tak właśnie.

Siostrą tego a tego?

Tak, wiecie wszystko doskonale.

Jesteście chrześcijanką?

Co za pytanie?

Jesteście tą, która chodzi do spowiedzi wielkanocnej?

Ma si, ma si.

Małgorzata akcentując wyraz „wy” pytała dalej:

Czy rozumiecie, co mam na myśli, gdy mówię „Wy”? Czy wiecie, że będąc waszą przyjaciółką zmuszona byłabym posłać was do piekła? Owa kobieta rozumiejąc cel stawianych pytań wybelkotała:

Znacie doskonale moje położenie, dlatego nikt nie powinien się dziwić, jeśli daję przytułek.

Macie położenie takie, by nie dostać się do piekła.

Ale cóż mam zrobić w takim razie?

Wyrzucić precz tego intruza.

Jest noc i byłoby nieludzko wypraszać podróżnego w ten sposób.

Tak, precz, precz z domu, ciągnęła Małgorzata i jeśli sama nie potraficie zdobyć się na ten krok, to ja jestem gotowa was wyręczyć. I poszedłszy do drzwi zawołała głośno:

Precz, precz stąd sługo diabła, precz, precz!

Powstało zbiegowisko koło chałupy. Ów mężczyzna nie chcąc być zdemaskowany wołał, czym prędzej zniknąć i więcej nie pojawił się w tych stronach.

A oto jeszcze jeden fakt. W okolicy mieszkał pewien człowiek, który miał przy sobie utrzymankę. Gdy zachorował poważnie, Małgorzata pospieszyła do łóżka chorego i w rozmowie z ową osobą roztropnie i uprzejmie doradzała, by opuściła to miejsce i wróciła do swej rodziny. Ta jednak nie chciała o tym słyszeć. Ponieważ stan chorego pogarszał się w każdej chwili, zawezwano kapłana z Wiatykiem. Małgorzata lękając się o duszę chorego i wiedząc, że nie oddalił się od siebie bliskiej okazji do grzechu, pośpieszyła tam, czym prędzej. Właśnie kapłan złożył na stole puszkę z Wiatykiem, gdy podeszła do kapłana i poufnie informowała:

Proszę księdza, uprzedzam, że w tym domu znajduje się osoba będąca zgorszeniem publicznym.

A kim wy jesteście, spytał ksiądz.

To nie ma w tej chwili znaczenia. Pragnęłam zwrócić tylko uwagę, że nie byłoby stosowne udzielać Sakramentów choremu, w którego domu przebywa owa osoba. Kilkakrotnie próbowałam ją nakłonić, by opuściła to miejsce, lecz niestety nie udało się.

Czy wy jesteście tego pewni absolutnie?

Proszę wezwać tę osobę, a przekona się ksiądz sam.

Wezwano ową niewiastę. Zjawiła się odpowiadając niezbyt uprzejmie na pytania. Kapłan spytał, czy są uzasadnione ujemne o niej opinie krążące po wsi?

To są plotki, złe języki usiłujące mieszać się w nie swoje sprawy. Niech lepiej patrzą na siebie; ja nikogo nie podpatruję; jestem na tyle uczciwa, że mam słuszne powody by tu pozostać.

Nie odpowiadacie na pytanie. I powtórzył pytanie.

Kobieta początkowo zaprzeczyła, później zaczęła się wikłać. Kapłan stwierdził, że Małgorzata miała rację. Zażądał, by opuściła to mieszkanie. Ona arogancko odmówiła. Wówczas kapłan zdecydowanie postawił sprawę:

Byłaś dla niego powodem ruiny za życia; chcesz także duszę jego wtrącić do piekła? Chcesz by się potępił?

Wobec takiej alternatywy owa ladacznica znalazła się w kropce. Kapłan niedwuznacznie dał jej do zrozumienia, że zmuszony będzie odmówić udzielenia Sakramentów św. choremu umierającemu, co w owych czasach groziło ściągnięciem oburzenia całej wsi na winną. Wobec tego zdecydowała się odejść. Wówczas dopiero kapłan mógł dysponować chorego.

Kiedy indziej miał miejsce fakt, że pewien człowiek odważył się w obecności Małgorzaty wypowiedzieć niegodne chrześcijanina bluźnierstwo. Małgorzata spłonęła oburzeniem; z gestem i wzrokiem piorunującym wystąpiła przeciw zuchwalcowi; jakby chciała go zniweczyć. Taki musiał być gniew Michała Archanioła, który wyrzekł do księcia ciemności owo „Imperet tibi Deus!”.

O powyższym opowiadał często Ksiądz Jan Bosko. Piszący zaś te Memorie oświadczą, że ze szkoły swej matki wyniósł Janek najwyższy szacunek i umiłowanie cnoty czystości, strzegł ją i zachował przez całe życie oraz pracował usilnie nad tym, by inni ją również zachowali.

Stąd wnioskować możemy, jak piękną musiała być dusza matki Małgorzaty. Jej dostojna postać przywodzi nam na pamięć słowa księgi Syracha: „Wdzięk nad wdziękami żona święta i wstydliva; a nie masz wagi, która godna byłaby duszy wstrzemięźliwej. Jako słońce wschodzące światu na wysokości Bożej, tak piękność dobrej żony ku ozdobie domu jej. Jak lampa świecąca na świeczniku, tak piękność twarzy w latach statecznych”. /Syr 26, 19-22/.

ROZDZIAŁ XX

Zgon babki; Janek przystępuje do Pierwszej Komunii św. Postanowienia dziecięce; Misja w parafii; Spotkanie z księdzem Canosso; Niezwykła pamięć Janka; Nadzieja co do jego przyszłości

Napisano w Księdze Eklezjastyka w rozdz. III: „Synu wspomagaj w starości ojca twego i nie zasmucaj go za żywota jego: a jeśli na rozumie osłabnie, zaś znoś go, a nie pogardzaj nim w sile twojej, bo miłosierdzie ojcu pokazane nie pójdzie w zapomnienie. Znosząc dolegliwości swej matki otrzymasz zapłatę swą. Okazując wdzięczność rodzicom budujesz swą własną rodzinę, a czasu utrapienia wspomną cię i jako lód w pogodę rozpułną się grzechy twoje”.

Tak postępowała Małgorzata względem swej świekry, dlatego spłynęło na nią widoczne błogosławieństwo Boże.

Jesteśmy w roku 1826. Małgorzata Bosko, matka Franciszka, a babka Antoniego, Józefa i Janka, przekroczyła 80 rok życia. Małgorzata usługiwała jej dniami i nocą wielką pieczołowitością. Nie liczyła się z wydatkami na lekarstwa tak, iż nawet sąsiedzi zwracali uwagę: Jeśli wydacie majątek na lekarstwa dla staruszki, to co pozostanie dla was i dla synów? Nie widzicie, że wszystko bezużyteczne, bo i tak nie wyzdrowieje? Dożyła zresztą pięknego wieku!

Lecz Małgorzata odpowiadała:

Jest to matka mego męża, a więc i moja, dlatego winnam dbać o nią. Obiecałam to memu Franciszkowi przed śmiercią. Choćbym na chwilę mogła przedłużyć jej życie, nie żałuję niczego. Także Janek sekundował matce w usługiwaniu babci, jak najlepszy infirmarz. Ksiądz proboszcz zaopatrzył staruszkę Sakramentami św. Powtarzała ona wnuczkom w ostatnich dniach; pamiętajcie, że wasze szczęście i błogosławieństwo Boże zależy od tego, czy będziecie szanowali swą matkę. Pewnego dnia pragnęła dać im swoje ostatnie polecenia. Otóż poleciła im, by słuchali matkę, naśladowali jej przykłady i traktowali podobnie jak ona swą babkę, której nie sprawiła żadnej przykrości i wołała zostać w domu, mimo nęcących projektów życia wygodniejszego. Poświęciła się z miłości dla babki znosząc cierpliwie różne niewygody; dlatego niech i oni tym samym odpłacą swej matce przynosząc jej radość w starości.

Dzień 11 lutego był ostatnim dniem jej życia. U łoża umierającej stała Małgorzata i wnuczki. Babka z wysiłkiem odezwała się w te słowa: Ja odchodzę do wieczności; polecam mą duszę waszym modlitwom. Przebaczcie mi, jeśli kiedy okazywałam się surową względem was, lecz czyniłem to dla waszego dobra. Dziękuję wam Małgorzato za dobro, jakie mi wyświadczyliście. To mówiąc przycisnęła ją do

serca i ucałowała mówiąc; całuję was po raz ostatni w tym życiu, lecz spodziewam się ujrzeć was wszystkich w szczęśliwej da Bóg wieczności. Wnuczęta płaczący usunęli się do chaty sąsiada, a tymczasem babka po godzinnej agonii oddała Bogu swą duszę.

Janek tymczasem mając lat 11 przygotowywał się do przyjęcia Pierwszej Komunii św. Nie znał jeszcze swego proboszcza ze względu na dużą odległość. Ta właśnie odległość była powodem, że tak chętnie gromadzono się na wspólną modlitwę i słuchano kazań małego kuglarza. Dlatego Janek musiał poprzestać na katechizmie, jakiego mu udzielała własna matka.

W owych czasach dopuszczano dzieci do pierwszej Komunii w wieku od lat 12-14. Także ks. proboszcz Sismondo był tych samych przekonań. Podobnie młodzieniec Cafasso Józef, o którym będzie mowa później, mimo że znał doskonale katechizm, nie został dopuszczony wcześniej niż mając lat 13. Jednak matka Janka pragnęła, by jak najwcześniej spełnił ten wielki akt religijny. W ciągu postu posyłała go codziennie na katechizm w parafii, gdzie przyświecał dzieciom wzorowym zachowaniem. Pilny i uważny, z łatwością przyswajał sobie dość długie odpowiedzi na pytania, jakie podawał dzieciom proboszcz. Rówieśnicy z podziwem patrzyli na Janka i wnet go polubili. Zdał celująco egzamin mając najlepszą opinię u proboszcza.

Wielkanoc w roku 1826 przypadała na dzień 26 marca. Ze względu na wyjątkowo złożony egzamin, proboszcz uczynił dla niego wyjątek dopuszczając go do Komunii św. wcześniej niż inne dzieci.

Wśród tak wielkiej liczby dzieci trudno było uniknąć rozproszenia. Dlatego Małgorzata osobiście towarzyszyła Jankowi w tym wielkim akcie. Trzykrotnie prowadziła go do spowiedzi. W czasie wielkopostnym często mu przypominała: Mój drogi Janku, Pan Bóg wyświadcza ci wielką łaskę; staraj się przygotować dobrze, wypowiadaj się szczerze, byś nie zataił żadnego grzechu. Będiesz żałował za grzechy popełnione i uczynisz mocne postanowienie poprawy na przyszłość.

„Obiecałem swej matce wszystko, notowałem w pamiętnikach Ksiądz Bosko; a Bóg wie, czy dotrzymałem obietnic”. Małgorzata dawała mu w domu do czytania pobożne książki dając odpowiednie pouczenia, jakie tylko potrafi dać matka prawdziwie chrześcijańska swemu dziecku.

W dniu uroczystym upominała, by nie rozmawiał w nikim i towarzyszyła mu do kościoła. Uczyniła z nim przygotowanie bliższe i dziękczynienie po Komunii św. podczas gdy ks. Proboszcz odczytywał wspólne modlitwy wraz z dziećmi. Tego dnia nie dawała mu żadnej roboty, by przeżył go w skupieniu. Wśród wielu uwag matczynych warto wspomnieć następujące:

Drogi synu, przeżyłeś dzień najszcześniejszy w twym życiu. Jestem przekonana, że Pan Bóg naprawdę posiadał twe serce. Obiecuj, więc Mu, że zostaniesz cnotliwy do końca życia. W przyszłości przystępuj częściej do Stołu Pańskiego, lecz wystrzegaj się pilnie świętokradztwa. Bądź zawsze szczery wobec spowiednika, słuchaj jego poleceń, uczęszczaj na kazania a nade wszystko, na miłość Bożą, unikaj złych kolegów i złych rozmów. Święty zostawił w swym pamiętniku: „Zapamiętałem sobie i praktykowałem

radę pobożnej matki i zdawało mi się, że od tego dnia stałem się lepszy i posłuszniejszy niż przedtem, idąc za mymi dziecięcymi kapryсами”.

Zacna matka rozumiała, że trzeba dopomóc Jankowi w jego pragnieniu uczenia się. Sam przykładał się pilnie do książek; zresztą wyznał kilkakrotnie matce, że pragnąłby zostać księdzem. Prosiła, więc Pana Boga, by wskazał jej, w jaki sposób zdoła przezwyciężyć upór Antoniego, którego zresztą nie chciała drażnić. I Pan Bóg sprawił, że doznała niebawem pociechy.

Otóż Ojciec św. Leon XII w 1825, ogłosił Wielki Jubileusz w Rzymie i niezliczone rzesze wiernych ciągnęły do Wiecznego Miasta. W 1826, tenże rok św. został rozciągnięty na kościoły poza Rzymem. Monsignor Colombano Chiaverotti zarządził, by ten Jubileusz obchodzony był w diecezji turyńskiej od 12 marca do 12 września. Lud skwapliwie korzystał z łask Jubileuszu odbywając nakazane uczynki pokutne. Także Dwór królewski brał udział w nabożeństwach wraz z wojskiem publicznie odbywał procesję pokutną do czterech kościołów.

Przykład panującego naśladowano po prowincji. W parę tygodni po Pierwszej Komunii św. odbywały się misje w pobliskiej wiosce Buttigilera. Tłumy ciągnęły posłuchać kazań wybitnych misjonarzy. Także Janek uczęszczał na misje. Po wysłuchaniu czterech nauk pozostały czas spędzano w domu. Pewnego dnia Janek wracał do domu idąc za ludźmi. Po drodze spotkał księdza Józefa Calosso, który rezydował jako kapelan w Morialdo. Ten zwrócił uwagę na skupionego chłopczyka o bujnej kędzierzawej czuprynce, postępującego ze skupieniem w towarzystwie rówieśników. Nazbyt widoczne było, że postawa jego nie była czymś zwykłym; kiedy indziej wskakiwał na każde drzewo i próbował rozmaitych wyczynów. Dlatego zaintrygowany kapłan zwrócił się do chłopca z pytaniem:

Słuchaj, synku powiedz mi skąd jesteś.

Z Becchi!

Skąd wracasz? Może byłeś na misjach?

Tak jest, proszę księdza. Uczęszczam na nauki misyjne.

Jestem ciekaw, czy coś z nich rozumiałeś. Wolałbyś chyba słyszeć je od swej matki.

Moja mama daje mi często mądre nauki. Chodzę również chętnie na misje i zdaje mi się, że rozumiem, o czym mówią kaznodzieje.

Doprawdy rozumiałeś wiele?

Rozumiem wszystko!

No, jeśli mi powtórzysz choć cztery słowa z dzisiejszego kazania, dam ci cztery soldy. Eccoli qui! Rzecz pokazując je.

Proszę mi powiedzieć, czy życzy ksiądz, bym powtórzył pierwsze czy drugie kazanie.

Którekolwiek chcesz, byleś powiedział, choć cztery słowa. No, pamiętasz, o czym była mowa w pierwszym kazaniu?

Pierwszej nauce kaznodzieja mówił o konieczności służenia Bogu i nie odkładanie swego nawrócenia na później.

A co kaznodzieja mówił w tej nauce?, dodał kapłan zaintrygowany.

Chce ksiądz żebym powiedział część pierwszą drugą czy trzecią?

Którą wolisz!

Przypominam je sobie dobrze i jeśli ksiądz życzy sobie, mogę powtórzyć wszystkie. Otóż kaznodzieja mówił, że kto odkłada swe nawrócenie, naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, że zabraknie mu czasu, łaski lub dobrej woli.

Zacny kapłan pozwolił mu opowiadać, przez jaki kwadrans. Tym czasem ludzie skupili się obok niego zaciekawieni rozmową.

No dobrze, obecnie powiedz mi treść drugiego kazania.

Całą czy część tylko.

Parę słów tylko.

Uderzyło mnie to, gdy kaznodzieja opowiadał wrażenie, jakiego doznaje potępiony wraz z duszą i ciałem na dźwięk trąby archanielskiej, gdy wszyscy powstaną na Sąd Boży; wstręt, jakiego doznawać będzie dusza przed złączeniem się ze swym ciałem, które było narzędziem grzechu. Przytoczył dosłownie dialog między duszą i ciałem, jak go przedstawił kaznodzieja, przez 10 minut.

Gdy skończył, ks. Kapłan zdumiony spytał go: Jak ty się nazywasz? Gdzie mieszkają twoi rodzice? Ile klas skończyłeś?

Nazywam się Janek Bosko. Mój ojciec zmarł, gdy byłem dzieckiem. Moja matka jest wdową i ma na utrzymaniu pięcioro osób w domu.

Nauczyłem się nieco czytać i pisać.

Studiowałaś już gramatykę Donata?

Nie wiem, co to jest.

A chciałbyś się uczyć?

O, bardzo proszę księdza.

A cóż ci przeszkadza?

Mój brat Antoni.

A dlaczego Antoni nie chce żebyś się uczył?

Mówił, że nauka to strata czasu i wolałby, żebym pracował na roli. Lecz gdybym mógł uczyć się, na pewno nie traciłbym czasu.

A powiedz mi, w jakim celu chciałbyś się uczyć?

By zostać księdzem.

A po cóż chciałbyś zostać księdzem?

By zbliżyć się, rozmawiać i pouczać o religii tylu moich towarzyszy, którzy nie są źli, lecz mogą stać się takimi, jeżeli nimi nikt się nie zajmie.

Ta szczerza rozmowa z chłopcem zrobiła wielkie wrażenie na owym kapłanie, który wpatrywał się weń pilnie przez cały czas. Gdy stanęli przy skrzyżowaniu, pożegnał go tymi słowy:

Czy potrafisz służyć do Mszy św.?

Tak, już trochę umiem.

Przyjdź jutro do mnie do Morialdo. Chciałbym z tobą pomówić.

Z tymi słowy pożegnał go.

Janek punktualnie stawiał się nazajutrz w kaplicy Morialdo i służył księdzu Calosso do Mszy św. Ten zaprowadził go do siebie na śniadanie, po czym powiedział do niego:

Teraz podyktujesz mi, coś słyszał na kazaniu. Co, potrafiłbyś?

Tak, bez trudności; tylko nie potrafię dobrze wyrażać się po włosku. Nie szkodzi, mów jak umiesz. Kapelan zasiadł przy biurku, a Janek mu powtórzył całe kazanie od początku do końca. Ksiądz Bosko zostawszy później kapłanem lubił powtarzać owo kazanie, pamiętał je, bowiem do późnej starości. Po skończonym pisaniu ksiądz kapelan powiedział: Janku, bądź dobrej myśli, ja sam pomyślę o twych studiach. Powiedz twej mamie, by przyszła do mnie z tobą, a załatwimy tą rzecz.

Można sobie wyobrazić, z jaką radością przyjęła tę wieść Małgorzata. W następną niedzielę, wraz z Jankiem udała się do księdza Calosso. Kapelan na jej widok zawołał: Matko, wiecie, że wasz syn, to doprawdy fenomen pamięci?! Trzeba koniecznie posłać go do szkoły.

Pragnęłabym gorąco, żeby się uczył, powiedziała Małgorzata, lecz napotykam na poważne trudności. Trzeba wiedzieć, że w domu mam ich trzech, a Janek jest najmłodszy. Najstarszy absolutnie nie chce słyszeć o szkole i przewróciłby cały dom do góry.

To nic nie znaczy, zakończył zacny kapelan; załatwimy tę sprawę. Trzeba koniecznie posłać go do szkoły, gdyż taka jest wola Boga!

Zapewniam księdza dobrodzieja, że uczynię wszystko, by stało się zadość jego i mojemu pragnieniu, odrzekła Małgorzata, całując serdecznie dłonie kapłana.

Ustalono tedy, że sam ks. Canosso będzie udzielał nauki Jankowi, który przez resztę dnia będzie pomagał Antoniemu. Ten jednak dowiedziawszy się o postanowieniu matki, zirytował się mocno; uspokoił się dopiero wtedy, gdy ustalono, że nauka rozpocznie się dopiero w jesieni, po skończonych pracach w polu.

ROZDZIAŁ XXI

Szkoła w Morialdo; Spotkanie z klerykiem Cafasso, dalsze prześladowania.

Nadeszła jesień, a nauka Janka jeszcze nie zaczęła się. Ksiądz Calosso niecierpliwił się; spotkawszy kiedyś Janka spytał:

No jak tam? Dlaczego twoja matka cię nie posyła na naukę?

Ach, proszę księdza, to same trudności; mój starszy brat sprzeciwia się.

Co? On może sprzeciwiać się, ale ja stanowczo chcę tego, byś rozpoczął naukę. Jutro przyjedziesz do mnie do mego mieszkania z książką; sam będę ci udzielał lekcji.

Janek bezzwłocznie oddał się w ręce księdza Calosso, który jak widzieliśmy od paru miesięcy osiedlił się na kapelani w Morialdo; zdobył wkrótce zaufanie swego nauczyciela, któremu zdawał sprawę ze swego postępowania. Szczerłość Janka bardzo ujęła zacnego kapłana, który mógł w ten sposób roztaczać opiekę wraz z kierownictwem duchowym nad swym uczniem. A oto, jaki sposób sam Ksiądz Bosko o tym pisze:

„Poznałem wówczas stałego kierownika mojej duszy, szczerego przyjaciela, którego aż dotąd byłem pozbawiony. Z miejsca zabronił mi odprawianie pewnych pokut, niestosownych dla mego wieku, zachęcał natomiast do częstej spowiedzi i Komunii św. oraz pouczył, w jaki sposób codziennie odprawiać nieco czytania duchownego. Swój czas wolny w dni świąteczne spędzałem zawsze u niego. Codziennie służyłem mu do Mszy św. Od owego czasu zacząłem sobie gustować w życiu duchowym; poprzednio, bowiem raczej działałem machinalnie, nie zdawałem sobie sprawy, czym ono jest w istocie”.

W owych dniach w Castelnouvo zapanowała żałoba. Zmarł, bowiem tamtejszy proboszcz, zarazem dziekan ks. Józef Sismondo. Także, Janek brał udział w żałobnym nabożeństwie. W połowie października rozpoczął, więc regularną naukę gramatyki włoskiej, a od Bożego Narodzenia także łacińskiej. Początkowo sprawiły mu trudności deklinacje i koniugacje, z czasem jednak opanował wszystko. Dla niego, bowiem coś przeczytać znaczyło to samo, co zapamiętać.

W ciągu miesiąca opanował już doskonale gramatykę. Na Wielkanoc tłumaczył już z łaciny na włoski i odwrotnie. Nauczyciel z zadowoleniem żartował: Jeśli tak dalej pójdzie, posiadasz wnet wszelką wiedzę na świecie. A ilekroć spotkał matusią Małgorzatę mawiał: „Wasz syn to istny fenomen pamięci”. Przy tym Janek nie zaprzestał swych zebrań niedzielnych, które odbywały się porą zimową w stajence, a w lecie na łące. Każdy gest, każde słowo, powiedziałbym wyraz, służyły do

zbawienia i pouczenia młodzieży. Antoni jednak trwał nadal w swym zgryźliwym usposobieniu.

Małgorzata czuła się szczęśliwa na widok tego, że jej Janek był na drodze urzeczywistnienia swych pragnień. Trudności przecież istniały nadal. Dopóki trwała zima i nie czekały prace w polu. Antoni tolerował naukę Janka; ale gdy nadeszła wiosna, zaczął znowu oburzać się, dlaczego on sam musi mordować się uciążliwą pracą, podczas gdy Jankowi chce się być panem. Kłócił się nieustannie z Jankiem i matką, która dla świętego spokoju postanowiła, że będzie chodził do szkoły w czas rano, a resztę dnia miał pomagać w pracy na gospodarstwie. Lecz w jaki sposób zdoła odrabiać lekcje i pisać wypracowania?

Kto ma zdecydowaną wolę, ten potrafi znaleźć zawsze rozwiązanie. W drodze tam i z powrotem myśli o lekcji i utrwał ją w pamięci. Wróciwszy do domu, z kopaczką w jednej ręce i z książką w drugiej szedł na pole; już po drodze uczył się zawzięcie. Gdy przyszedł na miejsce, kładł książkę na bruzdzie i zabierał się gorliwie do pracy: kopał, plewił, ścinał trawę jak drudzy. A gdy nadeszło południe i inni spożywali posiłek, Janek na osobności przegryzając swą pagnottę równocześnie czytał i uczył się. Tak wykorzystywał każdą chwilę czasu na odrabianie swych lekcji.

A pomimo tego jeszcze Antoni nie był zadowolony i uparcie powtarzał, że nie chce słyszeć o żadnej szkole. Po cóż ta łacina w domu? Tu ważniejsza robota! Małgorzata ze swej strony tłumaczyła Antoniemu, że i bez pomocy Janka rola jest dobrze uprawiona i że ona sama nie oszczędza się w pracy przy zasiewach, uprawie i żniwach. Przyrzekała nawet, że gotowa z własnego posagu wynagrodzić mu uszczerbek, jaki ponosił rzekomo Janek.

Pasierb nie był jednak skłonny zrezygnować ze swych pretensji. Wreszcie nastąpiła przykra scena, o której tak opowiada sam Ksiądz Bosko:

„Pewnego dnia Antoni w obecności mej matki i brata Józefa odezwał się tonie wyzywającym: Dość tego, muszę skończyć z tą łaciną. Urosłem i stałem się mężczyzną nie znając tych książek. Ja zaś pod wpływem rozżalenia i oburzenia wypowiedziałem słowa, których potem żałowałem:

Nasz osiołek jest daleko silniejszy od ciebie, chociaż także nie chodził do szkoły! Chcesz być podobnym do niego? Na te słowa Antoni rozsierdził się, a ja tylko dzięki moim nogom zdołałem ująć przed jego gniewem”.

W tym czasie prywatne kłopoty musiały ustąpić powszechnej radości wobec tego, że parafia osierocona otrzymała nowego pasterza w osobie księdza Bartłomieja Dassano, męża wielkiej pobożności i nauki, który od lipca objął duszpasterstwo. Prawie równocześnie otrzymywał suknie klerycką z rąk księdza administratora Emanuela Vivrano młodzieniec Józef Cafasso.

Wypada parę słów powiedzieć tym młodzieńcu, o którym będzie często mowa w ciągu naszego opowiadania. Sam Ksiądz Bosko tak o nim pisze:

„Był to wzór pobożności i cnoty, pochodził z zacnej rodziny wiejskiej, urodzony w 1811 r. Swą pilnością w nauce, posłuszeństwem, skromnością

i pobożnością zwrócił uwagę swych wychowawców. Miał naturalną skłonność czynić dobrze wszystkim. Był szczęśliwy mogąc się czymś przysłużyć, udzielić, komu dobrej rady, przeszkodzić złu, a pomóc w dobrym. Mając lat dziesięć już działał jako mały apostoł parafii. Odwiedzał krewnych, towarzyszy, przyjaciół, zawierał przyjaźń z małymi i dużymi, zapraszał do swojego domu; tam klękał i przewodniczył modlitwie, potem stawał na krześle, jak na ambonie powtarzając kazanie słyszane w kościele. Pomimo małego wzrostu potrafił płynnie mówić. Każdy chętnie słuchał małego apostoła, kaznodziei. Odchodząc pytano jak o św. Janie Chrzcicielu: „Quis putas iste puer erit?”.

Opinia o tym młodzieńcu rozchodziła się po całej okolicy. Nasz Janek również chętnie pragnął się z nim zetknąć i zaprzyjaźnić, lecz stanęły temu na przeszkodzie pewne okoliczności. Cafasso uczęszczał do gimnazjum w Castelnuovo odległego o kilkanaście kilometrów od Morialdo. Przy tym zachodziła między nimi znaczna różnica wieku i wykształcenia.

Zobaczymy, że w przyszłości oddadzą sobie wzajemnie opatrnościowe przysługi pozostając w ścisłej przyjaźni.

Ksiądz Bosko pisze na temat pierwszego zetknięcia się z Cafasso:

„Była to druga niedziela października 1827 r., gdy mieszkańcy Morialdo obchodzili uroczystość Macierzyństwa NMP, główny odpust tejże wioski. Każdy krzątał się koło swego domu, wielu przyglądało się pokazom kuglarzy na rynku. Trzymał się z dala od nich pewien kleryk, niewielkiego wzrostu, o żywych oczach, anielskim wyrazie twarzy. Stał przy drzwiach kościoła chwilowo zamkniętego. Byłem wprost oczarowany jego widokiem. Pomimo że miałem lat 12, pragnąłem wymienić z nim parę słów.

Proszę księdza, czy życzyłby sobie obejrzeć pokazy kuglarskie na rynku? Chętnie gotów jestem go zaprowadzić. Kleryk z gestem uprzejmym wdał się w rozmowę. Pytał, gdzie chodzę do szkoły, czy już byłem do Pierwszej Komunii św., jak często się spowiadam itp. Byłem ujęty uprzejmym traktowaniem mnie, odpowiadałem na pytania i powtórzyłem gotowość towarzyszenia mu na rynek, gdzie odbywał się festyn.

Mój drogi przyjacielu, powiedział Cafasso, rozrywką księdza jest kościół; im z większym splendorem odprawia się nabożeństwa, tym one więcej podobają się

ludziom. Nasze nowości, które interesują ludzi, to praktyki religijne, zawsze aktualne i dlatego uczęszczane; czekam na otwarcie kościoła. Ja, chcąc dalej rozmawiać na ten temat dodałem: To prawda, co ksiądz mówi, lecz jest przecież czas na wszystko: czas na nabożeństwo i czas na rozrywkę. Kleryk uśmiechnął się i odrzekł, że sam zakreślił sobie taki program życia: Ten, kto poświęcił się stanowi duchownemu, to tak jakby był sprzedany Bogu i jeśli, na czym mu winno zależeć, to by wszystko służyło chwale Bożej i zbawieniu dusz.

Tymczasem otwarto kościół i kleryk, żegnając się uprzejmie ze mną wszedł do wnętrza. Zaintrygowany tą rozmową, dopytywałem się jego nazwiska. Dowiedziałem się, że był to kleryk Józef Cafasso, student drugiego roku filozofii”.

Janek pobiegł do domu uradowany, jakby znalazł wielki skarb.

Mamo, zawołał, widziałem się z nim, rozmawiałem!

Z kimże?

Z Józefem Cafasso. To doprawdy święty kleryk!

No, więc naśladowaj go. Coś mi mówi, że będzie ci on kiedyś wielką pomocą...

Tymczasem nadeszła zima i Janek po skończeniu kampanii w polu podjął na nowo naukę u swego dobroczyńcy. Trwało to tylko przez parę tygodni, gdyż matka doradziła mu pozostać w domu. Antoni nie przestawał, bowiem dokuczać. Nasz paniczek chce być doktorem! Widzicie go! Zrzędził. Ty urządzasz się jak pan, wygodnie, a my musimy harować i jeść polentę. Myślisz może, że będziemy płacić za ciebie, a sami umierać z głodu? Ja ci dam naukę! Wybij sobie z głowy te bzdury! Nie potrzebujemy doktorów. Dalej do łopaty!

Jeśli spotkał go z książką w ręku, wrywał ją i ciskał do kąta; jeśli Janek był zamyślony, dokuczał: O czymże to myślisz paniczu? Może o snach królewskich? Ty masz być wieśniakiem jak ja!

Janek znosił wszystko w milczeniu i cierpiał wewnętrznie, czasem płakał gorzko, ale nikomu się nie żalił, jak tylko w skrytości serca przed Bogiem.

ROZDZIAŁ XXII

Cnota wystawiona na próbę; Janek wysłany przez matkę do Moncucco na służbę; Posłuszeństwo, pilność w pracy, pobożność Janka; Dobry przykład; Opieka nad małymi dziećmi chlebobdawcy; Twierdzi, że zostanie księdzem; Oratorium w Moncucco.

Wielką była misja, do której przeznaczał Bóg Janka Bosko; dlatego Madonna mu powiedziała: „Stań się pokornym”, ponieważ Bóg pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę daje”; „chwałę zawsze poprzedza uniżenie. Mądrość pokornego wywyższy go i umieści wśród magnatów”. /Prz 15,33/.

Aż do tej chwili Janek otrzymywał wskazówki do życia chrześcijańskiego od swej matki, od proboszcza, od kapelanów w Capriliglio i Morialdo, odtąd sam Pan Bóg zechce wprowadzić go do swej szkoły, by uczynić go świętym. A w jaki sposób? Będzie go doświadczał, jak mówi Duch Święty. „Ześle nań obawy i utrapienie, aż go wypróbuje. I odkryje mu tajemnice swoje i zgromadzi w nim skarby umiejętności i zrozumienia i sprawiedliwości” (Syr 4,8). Janek miał serce szlachetne i umysł szeroki, wbrew wszelkim oporom wybierał zawsze dobro. Wiadomo, że we własnym domu, nawet żebrak czuje się jak król w swym państwie. Pan Bóg pokierował Jankiem podobnie jak Mojżeszem, który będąc w łaskach na dworze faraona egipskiego, zmuszony do ucieczki, zostawszy pasterzem u kapłana Madianitów Jetry na pustyni Synajskiej, stał się najłagodniejszym ze wszystkich ludzi. Podobnie Janek będzie doświadczany przez Boga w heroicznej pokorze; będzie musiał opuścić dom rodzinny i szukać chleba na służbie u obcych przez blisko dwa lata; doświadczy nędzy i upokorzenia. Pragnął gorąco uczyć się, a oto przez lat cztery ujrzy zamkniętą tę drogę. A gdy już błysła nadzieja zrealizowania swych planów, zostaje naraz zgaszona jak nikły promyczek. Cóż teraz pocznie? Trapiły go obawy i doznane zawody. W jaki sposób zdoła nabyć wiedzy, jak mu kazano we śnie?

Małgorzata widząc, że sprzeciwy Antoniego nie ustają, lecz są coraz natarczywsze, postanowiła wysłać go na jakiś czas do znajomych sobie gospodarzy, dopóki pasierb nie poprawi się. Miała na widoku bogate gospodarstwo kmiecia Moglia. Właściciel nie znał Małgorzaty osobiście, lecz tylko ze słyszenia. Gwarancję

Małgorzacie dawał dobry duch panujący w tym domu, znała nadto zącą rodzinę, z której pochodziła gospodyni, małżonka pana Moglia. Wezwała Janka, dała mu odpowiednie wskazówki, podobnie jak Rebeka, żegnała się z Jakubem wyjeżdżającym do Chaldei. Oddała go w opiekę Aniołowi Stróżowi na czas pobytu w obcym domu.

Było to w lutym 1828 r. Janek opuszczał dom rodzinny z małym zawiniątkiem pod pachą, zawierającym trochę bielizny wraz z książeczką do nabożeństwa, którą mu podarował ks. Calosso. Mróz przejmujący, pokryta śniegiem ziemia, wszystko to nie nastrajało radośnie.

Nie mógł liczyć na szybką zmianę nastrojów Antoniego. Musiał teraz sam zapracować na kawałek chleba, z dala od swej ukochanej matki. Być może zatrzymał się najpierw we wiosce Serra obok Buttiglieria d' Asti; widząc jednak, że mógłby być komuś ciężarem ze względu na porę roku, w której brak pracy na polu, zawrócił się do Morialdo. W końcu udał się do wioski Mormondo, do znajomej rodziny. I tu nie otrzymał zajęcia. Wysłuchano tylko życzliwie jego opowiadania i na tym koniec. Pozostawała jedyna nadzieja u państwa Moglia. Tam też skierował swe kroki pod wieczór. Pierwsze spotkanie nastąpiło ze stryjem właściciela, imieniem Józef Moglia, z którym nawiązała się rozmowa:

Och, dokąd mój chłopcze wędrujesz o tej porze?

Szukam służby u pana gospodarza, odpowiedział Janek.

Brawo! Pracuj, Szczęść ci Boże! żegnał pan Józef chłopca nieco zażenowanego. Janek nabrał jednak odwagi, wszedł na boisko, gdzie cała rodzina zajęta była przygotowywaniem szczepów na obsadzenie winnicy. Gospodarz zobaczywszy go spytał:

Czego szukasz mój chłopcze?

Szukam pana Alojzego Moglia.

Jestem nim, a czego sobie życzysz?

Moja matka posyła mnie tutaj na służbę.

A kim jest twoja matka i dlaczego wysyła cię z domu tak małego?

Moja mama nazywa się Małgorzata Bosko; widząc, że mój brat Antoni bije mnie często, powiedziała mi wczoraj: Weź te dwie koszule i parę sandałów i udaj się do Bausone i szukaj tam zajęcia; jeśli nie znajdziesz, idź do pana Moglia między

Mombello, a Moncucco; zapytasz o właściciela i powiesz, że wysłała cię twoja matka, a mam nadzieję, że zostaniesz przyjęty.

Mój biedny chłopcze, odpowiedział pan Moglia, nie mogę cię przyjąć do służby; teraz jest zima i kto ma parobków, zwalnia ich; zwykliśmy ich najmować dopiero od Zwiastowania NMP. Bądź, więc cierpliwy i wracaj do domu.

Proszę mnie przyjąć do siebie na miłość Boską, odpowiedział chłopiec z płaczem. Nie żądam żadnej zapłaty.

Nie mogę cię przyjąć, jesteś za młody do pracy!

Prendete mi, wołał z płaczem. Nie ruszę się stąd. Nie pójdę już dalej! To mówiąc zaczął zbierać rozrzucone po ziemi pocięte pędy winne. Pani Dorota, wzruszona jego łzami, prosiła męża, aby zatrzymał w domu, choć na parę dni biednego chłopca i Alojzy ustąpił na prośby swej zacnej małżonki. Siostra gospodarza, 15 letnia Teresa zaproponowała, by Janek zajął się w jej miejsce bydłem; ona ma na tyle siły by pracować na polu. Rodzice zgodzili się. Janek od tej chwili gorliwie spełniał zajęcie chłopca stajennego. Choć później często wspominał o tym okresie spędzonym

w rodzinie pana Moglia, twierdząc, iż był to najbardziej romantyczny okres w jego życiu - wszakże zamilczał o korzyściach odniesionych stąd, w swym pamiętniku.

Zapewne był to okres, w którym nabył solidnych cnót w oparciu o swą głęboką pokorę i posłuszeństwo. Raz tylko wymknęło mu się z ust: Odtąd skoro przetarłem oczy, zawsze było coś do roboty i tak przez cały dzień od rana do nocy.

Dyskretne milczenie Janka wyjaśnią w swoim czasie zeznania gospodarzy Moglia, ich dzieci i krewnych, księdza proboszcza z Moncucco i innych, od których czerpiemy poniższe wiadomości. Na Janku ziściły się słowa Księgi Przypowieści: „Kto służy swemu panu z miłością i pilnością, będzie uczczony”. (27, 18).

Chlebodawcy widząc dokładne posłuszeństwo, spryt, pracowitość, skromność i pobożność Janka, rychło spostrzegli się, jaki skarb nabyli i w każdym dniu coraz więcej go sobie cenili. Już po tygodniu pobytu pan Moglia posłał Janka po matkę, by umówić się z nią, co do zapłaty dla Janka. Matka pospieszyła na spotkanie i oświadczyła swą wdzięczność i że nie ma żadnych pretensji do wynagrodzenia. Lecz właściciel oświadczył, że otrzyma prócz wiktury wynagrodzenie roczne 15 lir na

ubranie. Zauważyć należy, że w owych czasach była to płaca całkiem na poziomie dla 14 letniego chłopca. Od tej chwili Janek stał się członkiem tej zacnej rodziny.

Od pierwszych chwil Janek był zbudowaniem dla całej rodziny ze względu na swe nienaganne zachowanie się. Każdego dnia z rana i wieczorem widziano go klęczącego i odmawiającego pobożnie swój pacierz. Pani Dorota, która skrycie obserwowała go, rozmodlonego w skromnej postawie, zbudowana tą szczerą pobożnością, nauczyła go poprawnie wymawiać litanie, zlecając przewodnictwo w odmawianiu Różańca wieczornego przed obrazem Madonny.

Wieczorem każdej soboty prosił chlebodawców o pozwolenie udania się nazajutrz na wczesną Mszę św. w Moncucco. Gospodyni nie wiedząc, dlaczego nie szedł na inną Mszę św. parafialną, podpatrywała go. Spostrzegła, że Janek przyszedłszy wczesno do kościoła spowiadał się, komunikował podczas Mszy św., potem wracał do domu. Otrzymał raz na zawsze pozwolenie udawania się na Prymarię. Janek korzystał z tego, by przystępować do Sakramentów św. każdej niedzieli i większe święta doroczne. A trzeba wiedzieć, że w owych czasach nie była praktykowana częsta Komunia św. przez wiernych; a ponadto odległość od Moglia do Moncucco wynosiła przeszło godzinę drogi uciążliwymi ścieżkami polnymi.

Miłość do Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie była oznaką jego rozbudzonego życia wewnętrznego. Nierzadko zastawano go pogrążonego w modlitwie. Pewnego razu pasł bydło tuż koło domu. Pani Dorota, ze swym krewnym Jakubem, zauważyła Janka w głębi pofałdowanej łączki jakby rozciągniętego na ziemi. Myśląc, że może zasnął, woła go po imieniu; ponieważ się nie poruszył, podeszli bliżej, wołając znowu, a chłopiec nie odpowiadał. Zbliżywszy się, spostrzegli, że klęczący na ziemi Janek trzymał w ręku szeleszczącą na wietrze książeczkę z oczyma przymkniętymi i zwróconymi ku niebu z takim wdziękiem, że przykuwał uwagę widzów.

Pan Moglia dotknął z lekka ramię chłopca mówiąc: Cóż tak śpisz na słońcu? Bosko zbudzony odpowiedział: Nie, ja nie spałem. To mówiąc wstał zażenowany, że został odkryty.

Chłopiec miał stały zwyczaj żegnania się pobożnie przed i po posiłku i ten zwyczaj wraz z krótką modlitewką wszedł na stałe do owej rodziny. Na ogół w zimie nie opuszczano jej, zapominano czasem w lecie z powodu nawału pracy. Janek

również nie opuszczał nigdy modlitwy na Anioł Pański. Razu pewnego stary Józef wracał z pola z motyką na plecach, spocony. Dzwoniono na Anioł Pański; on na to nie zważał odpoczywając na tapczanie. Spostrzegłszy na schodach klęczącego i odmawiającego Anioł Pański chłopca, odezwał się: Patrzcie! My, chlebowodawcy, od rana do wieczora zapracowani ledwie zjemy, a ten spokojnie sobie modli się. Tak to zdobywa się łatwo niebo! Janek skończywszy modlitwę poszedł do góry schodami i zwróciwszy się do owego pana mówi: Jest mi pan świadkiem, że nie objąłem się w pracy, lecz pewien jestem, że więcej zyskałem przez modlitwę, jak wy przez swoją pracę. Gdy modlimy się, to z dwóch ziaren rodzą się cztery kłosa, gdy się nie modlimy, zbierzemy tylko dwa.

Pan Moglia w głębi duszy musiał przyznać rację Jankowi.

Szacunek, miłość, uprzejmość, z jakimi odnosił się on do tych, co mu zastępowali matkę sprawiały, że dobrze przyjmowano jego uwagi. Gdy zdarzyło się jakieś nieporozumienie, rozwiązywała je spokojna dyskusja; Janek zazwyczaj wychodził zawsze na swoim. Dawali temu wyraz sami właściciele: Widać, że ten chłopiec jest przeznaczony do pouczenia innych!

Państwo Moglia stwierdzali, że nie zauważyli w nim lekkomyślności chłopięcej, lecz pewną zadziwiającą powagę: żadnych łobuzerskich figli, czy kłótni; żadnych słów zapalczywych i przewisk, łapczywości w jedzeniu, żadnego gestu, spojrzenia, mogących uchodzić w oczach najsurowszych krytyków za niewłaściwe; całe jego postępowanie znamionowała pewna dojrzałość i mądrość. Tak, był to chłopiec zupełnie inny niż tyłu w jego wieku, twierdzili zgodnie mieszkańcy wioski.

Nie brakło jednak pewnych złośliwych plotek pod adresem Janka. Widziano go niekiedy klęczącego na łące, być może zasłaniał się w ten sposób od prażących promieni słońca. Złośliwi interpretowali to po swojemu, jakoby w ten sposób łatwiej mógł spijać mleko z nabrzmiątych wymion krowich, jak nieraz robili nieuczciwi pasterze. Padało też i oskarżenie o kradzieży u panów; ci jednak nie dawali wiary podobnym plotkom, lecz na własne oczy stwierdzali, że Janek miał w ręku katechizm lub inną książkę. Z pobożną lekturą łączył modlitwę. Ogólnie stwierdzić można było, iż Janek nie tylko unikał dobrowolnego grzechu, lecz wszystkiego, co nie przystało wzorowemu chłopcu.

Pani Dorota stwierdzała ze swej strony, iż Janek chętnie czuwał nad powierzonym sobie 3 letnim Jerzykiem, w polu, czy w domu; słuchał cierpliwie jego dziecięcego szczebiotu oraz doskonale wyczuwał zainteresowania dziecka. A przecież wobec propozycji roztoczenia takiejże samej opieki na 5 letnią córeczką, wymawiał się uprzejmie: Proszę mi dać dziesięciu chłopców, a będę ich pilnował, lecz dziewczynkami nie mogę się zajmować. To jedyny raz, kiedy czegoś odmówił.

Bywało jednak, kiedy gospodyni pozostawiała dziewczynkę w polu samotną i nie pozostawało Jankowi nic innego, jak choć z dala roztaczać nad nią opiekę; robił to delikatnie z pewnej odległości. A gdy pani wracała do dziecka, gderała na niego, że nie był posłuszny, wówczas odpowiadał grzecznie: Nie jestem do tego przeznaczony!

U gospodarzy Moglia starał się nadal w miarę możliwości, apostołować wśród chłopców jak w Becchi. Za pomocą uprzejmych manier, różnych gier wkrótce i tu przyciągał do siebie młodzież wiejską, która go ogromnie polubiła. W porze zimowej, zwłaszcza w dni słotne i wolne od pracy zbierał wokół siebie chłopców. Zasiadali w półkolu w szopie na sianie; Janek najwyższy wśród nich, objaśniał im katechizm, powtarzał, co zasłyszał w kościele na kazaniu, przytaczał piękne przykłady odmawiał Różaniec i Litanię do Matki Boskiej, śpiewał pieśni religijne, słowem dzielił się z nimi tym, co zdobył. Spytany przez gospodynię, dlaczego takie miejsce wybrał sobie na te schadzki, odpowiadał: Ach, proszę się nie kłopotać, nie sprawimy wam przykrości!

Nie życzył sobie jednak, by brały w nich udział dziewczynki. Otóż czasami przy pięknej pogodzie zbierało się dużo dzieci ze wsi pod rozłożystym wiązem. Matki rade były powierzyć mu swoje dzieci, bądź, dlatego że musiały w jakiejś sprawie wyjść z domu, bądź, że nie mogły towarzyszyć im do kościoła na nabożeństwo. On zgadzał się chętnie, zjednywał sobie serca dzieci miłym obejściem i drobnymi podarkami, stosownie do ich wieku, ale z rezerwą odnosił się zawsze do dziewczynek.

Niemniej podsyczał nadal w sobie gorącą chęć uczenia się. Nosił ze sobą zawsze jakąś książkę podarowaną przez ks. Calosso. Wciąż widzieć go można było zajętego czytaniem; idąc za pługiem w prawej ręce trzymał lejce, a w lewej książkę, rzucając na nią okiem raz po raz. Pewnego razu spytał go gospodarz, dlaczego tak bardzo zamiłowany jest w książkach. Dlatego, że pragnę zostać księdzem, odparł Janek. Ty

księdzem? Ze zdziwieniem powtarzali domownicy. Czy nie wiesz, że na to by studiować, trzeba mieć jakieś 10 tys. lir w ręku. A skąd je weźmiesz?

Ach! La! odpowiadali klepiąc go żartobliwie po plecach, jeśli nie zostaniesz Don Bosco, będziesz zapewne Don BOCC!

Zobaczycie, odpowiadał Janek.

Pani Anna Moglia, młodsza siostra pana Moglia, widząc go stale pogrążonego w swych myślach, razu pewnego zagadnęła:

Ależ chłopczyku, jesteś ubogi, jakże ty zdołasz pójść do szkół bez pieniędzy?

Ubóstwo nie stanie mi na przeszkodzie, odpowiadał Janek, znajdują się dobrodzieje, którzy mi dopomogą! Doprawdy podziwiać można tę jego niezłomną ufność pomimo tak wielu przeszkód.

Istotnie, jego chlebodawcy, mimo iż niezbyt dowierzali w powodzenie jego aspiracji życiowych, nie przeszkadzali mu w niczym. Pan Alojzy razu pewnego oświadczył: Dobrze mój chłopcze, dopóki jesteś u mnie, możesz się uczyć do woli. Gdy zbędna była jego pomoc w pracach polnych, chętnie go zwalniał. Janek był szczerze za to wdzięczny i wykorzystywał pilnie wolne chwile idąc sobie pod kopkę siana. Stryj Jan, któremu przy oraniu prowadził woły, także często mu pozwalał spokojnie czytać książkę w cieniu drzew. Pomimo to Janek był na tyle delikatny i roztropny, by nie nadużywać dobroci swych chlebodawców, lecz wywiązywał się rzetelnie ze swych obowiązków. Zresztą pozbawiony należytego kierunku w nauce, jakże mógł czynić w niej wielkie postępy?

Lecz oto nowy promyk nadziei. W jesieni zjechał tu na wakacje ksiądz Moglia, stryj pana Alojzego, nauczyciel w szkole komunalnej. Ten, zwróciwszy baczną uwagę na pilnego i grzecznego chłopca, zaofiarował się dawać mu godziną lekcję dziennie. Janek oczywiście skorzystał z wdzięcznością. Niestety zbyt krótko trwał pobyt owego kapłana i to w czasie nasilenia prac polnych przy winobraniu i zasiewach. Pomimo to, nie tracił nigdy z oczu swojego ideału!

Rok następny 1829, to tylko dalszy etap w jego wytężonych usiłowaniach. Rósł i nabierał tężyzny fizycznej i duchowej. Coraz lepiej uświadamiał sobie potrzebę poświęcenia się dla młodzieży i pracy nad nią. Ilekroć znalazł się na Mszy św. w Moncucco, znalazł się zawsze w otoczeniu tamtejszej młodzieży nie tylko wiejskiej, lecz i studiującej. Ksiądz proboszcz Cottino, gorliwy duszpasterz od pierwszego

zetknięcia się z Jankiem wyczuł jego niezwykłą pobożność, a specjalnie gorliwość w oddziaływaniu na młodzież za pomocą pouczeń i rozrywek. Gotów też był popierać go jak najbardziej. A gdy nasz pastuszek odszedł z tych stron, kontynuował zapoczątkowane przez niego zbiórki świąteczne, aż zmieniły się w prawdziwe Oratorium.

Tymczasem Jankowi udało się po długich staraniach uzyskać dla swych zebrań lokal szkoły miejscowej. Tu w dni świąt gromadzili się chłopcy ze wsi wokół Janka, który jak zwykle rozpoczynał swe pokazy i inne rozrywki od czytania jakiejś odpowiedniej dla ich poziomu książki. Nie dość na tym. Po sumie chłopcy zostawali w kościele na Drogę Krzyżową. Zaczynał do łez rozrzuwiony na widok rozbudzonej pobożności wśród jego najmłodszych owieczek. Niebawem też i starsi poczęli uczęszczać na te nabożeństwa pociągnięci nowością, a wyniki dobrego przykładu były obiecujące na przyszłość. W taki sposób Janek przepędzał cały dzień w Moncucco wracając dopiero pod wieczór ze śpiewem w towarzystwie chłopców miejscowych.

Księdzu Cottino nie mogły ujść uwagi wybitne zdolności Janka, zwłaszcza roztropność i gorliwość. Zatrzymywał go nieco dłużej u siebie na prywatnej rozmowie i poznał wszystkie jego sekrety; oświadczył przy tym gotowość uczenia go reguł składni łacińskiej. Janek gotów był zrezygnować nawet ze skromnej płacy, byle mógł częściej udawać się do księdza Cottino, kiedy nie było pilnej pracy. Rzecz jasna, że tych dni wolnych nie było zbyt wiele; nadto duża odległość, częste wychodzenie z uszczerbkiem swych obowiązków, to wszystko przeszkadzało w normalnej pracy szkolnej i uniemożliwiało odrabianie lekcji.

Ta nieudana kolejna próba nauki nie była czasem straconym. Opatrzność zarządziła to celowo, o czym mówi Pismo św.: „Mądrość prowadziła sprawiedliwego uciekającego przed gniewem brata, drogami prostymi i ukazała mu Królestwo Boże i dała mu poznanie rzeczy świętych; wzbogaciła go w jego pracach i poszczęściła w nich”. (Mdr 10,10).

Zaszło w międzyczasie zdarzenia historyczne były podjętą dla utwierdzenia się jego pobożności. Oto w dniu 10 lutego umierał papież Leon XII w wieku lat 68, a 31 marca objął tron papieski Pius VIII, ogłaszając z tej okazji nowy jubileusz. Dnia zaś 20 czerwca w Turynie ukoronowany został cudowny obraz Matki Bożej Pocieszenia;

a parę miesięcy potem na skutek stałości przywódcy katolickiego Daniela O`Connela, po trzech wiekach prześladowań Kościoła Katolickiego w Irlandii, parlament angielski ogłaszał Bill Emancypacyjny katolików irlandzkich, którzy jak pierwsi chrześcijanie przetrwali chwalebnie i zwycięsko krwawy okres prześladowań.

Papież! Najświętsza Dziewica! Wiara katolicka!

Czy Święty mógł wówczas myśleć, że w jego biografii znajdzie miejsce rozdział zatytułowany: „Ksiądz Bosko wobec Anglii”?

ROZDZIAŁ XXIII

Janek wraca do Becchi; Miłe wspomnienia z pobytu u Państwa Moglia; Nieudane próby podjęcia studiów; Budujące przykłady.

Dwa lata miały, odkąd Janek przybył do gospodarzy Moglia. Odczuwał wdzięczność względem tej szlacheckiej rodziny. Pan Alojzy, na przykład, podarował mamusi Janka 30 lirów z końcem roku 1828, a następnej zaś jesieni sumę 50 lir na dalsze jego kształcenie. Lecz oto z końcem grudnia tego 1829 roku, Janek wypędzając bydło na pole spotkał się ze swym wujkiem Michałem Occhiena, idącym na Jarmark do Chieri, który go spytał:

No jak tam Janku, jesteś zadowolony?

Nie mogę być zadowolony, gdyż pragnę się uczyć; tymczasem lata mijają, a ja wciąż jestem na tym samym punkcie.

Biedaku!! Bądź jednak dobrej myśli, już się tym zajmę; zdaj, więc swe obowiązki i wracaj do matki; powiesz, że niebawem przyjdę się z nią rozmówić.

Ale mama mnie skrzyczy za to, że wróciłem do domu.

Rób, co ci każę i bądź spokojny, ja wszystko załatwię, możesz polegać na mnie. Obecnie idę na jarmark, a gdy wrócę, przyjdę rozmówić się z matką twoją i zobaczysz, że twemu pragnieniu stanie się zadość. Jeżeli trzeba będzie posłać cię do szkoły, to ja będę nakładał. No, czy jesteś zadowolony?

Janek usłuchał skwapliwie. Gospodarze zdziwili się, że tak szybko przyznał bydło do stajni. Uznali powody jego odejścia, życząc szczerze, by spełniły się jego pragnienia, żeby mógł zostać księdzem. Janek żegnał się wzruszony ze swoimi chlebodawcami. Po drodze pozdrawiał znajomych, którzy wyglądali przez okna i odprowadzali go z oczami pełnymi łez. Tak się do niego szczerze przywiązali! Rzec można uważali go za syna, dziękując Bogu, że dał im go poznać przez tak długi czas. Odczuli boleśnie teraz jego brak, choć miłe po nim wspomnienia łagodziły nieco przykrości jego utraty.

Jan Moglia w 1828 r., przy pomocy Janka zasadził cztery rzędy winogronu. Jeden z nich właśnie przywiązywał Janek. Zmęczony całodzienną pracą w pozycji klęczącej skarżył się na ból w plecach. To drobnostka, mój drogi, mówił pan Mogli, znoś to cierpliwie w młodości, byleś nie odczuwał tego w starszym wieku!

Winorośl, którą obecnie przywiązuję przyniesie panu w swoim czasie wspaniały plon, da mu wyborne wino oraz będzie długowieczna. I tak się stało. Winnica wspomniana przynosiła, co roku plon podwójny w porównaniu z innymi, które z czasem obumarły, choć były wielokrotnie odnawiane, podczas gdy ta kultywowana przez Janka owocowała gdzieś aż do roku 1890.

O tym zdarzeniu sam Ksiądz Bosko zachował pamięć do późnej starości, a ilekroć miał później odwiedziny w Oratorium pana Jerzego Moglia względnie jego syna Jana, pytał o swą winnicę i prosił o winogrona z niej.

Córka Anna z tego domu, wydana za Juliusza Zucca w Borgata Bausone /Turyn/, wspominała często swym krewnym o Janie Bosko, jak też opowiadała o nim swym dzieciom; jak to przez dwa lata sprawował się w domu jej rodziców jak prawdziwy anioł i apostoł młodzieży i starszych. Opowiadała między innymi, że nieraz pracując z nim na polu słyszała, jak mówił:

Zostanę księdzem i będę chętnie głosił kazania i spowiadał. Dziewczynka słysząc to drwiła sobie z chłopca mówiąc, że przez zbytne zagłębianie się w książkach zdziwaczeje i na nic mu się to nie przyda. A Janek miał jej wówczas odpowiedzieć:

Teraz się śmiejesz ze mnie, ale przyjdzie czas, kiedy przyjdiesz do mnie do spowiedzi. Te słowa ziściły się. Gdy Janek został kapłanem i założycielem Oratorium, owa zacna pani Anna przychodziła często do Oratorium w Turynie, by odwiedzić Księdza Bosko i wyspowiadać się u niego w kościele św. Franciszka Salezego. A Święty zawsze ją przyjmował jak siostrę i domownicę.

Pozostało w rodzinie Moglia miłe wspomnienie po Janku; przykład jego pobożności. Otóż pani Dorota upominając często swojego dorosłego już syna Jerzego, by szedł do spowiedzi, stawiała mu często za wzór Janka. Gdy wspomniany młodzieniec wymawiał lekkomyślnie Imię Boże, zeznaje sam Jerzy, matka jego karciała go za to mówiąc: Zachowuj się tak jak Janek Bosko, który tak jest pobożny i sumienny oraz modli się przed udaniem się na spoczynek. Nieustannie stawiała go

synom na wzór. Podobnie czyniły inne matki. Szczęśliwi ci chłopcy, którzy pozostawiają po sobie miłe wspomnienie tam, gdzie przebywali!

Janek powracając od rodziny Moglia do Becchi pełen był dobrych myśli, że otwiera się przed nim droga do zrealizowania swego powołania. Lecz jeszcze nie dość rozumiał, czego miał doświadczyć dla jego urzeczywistnienia. Zrządzeniem Opatrznościowym nabierał wprawy w prowadzeniu przyszłych oratoriów młodzieżowych; następnie musiał przejść różnego rodzaju zawody życiowe; rolnika, ogrodnika, pasterza, pracownika winnicy, stąd w przyszłości pochodzić będzie jego zrozumienie dla szkół rolniczych! Błogosławione drogi Pańskie!

Janek rozpromieniony wracał w rodzinne progi. Zrozumiała, że matka o niczym nie wiedząc z miejsca skarciła go, że opuścił swe miejsce u p. Moglia. Nie chciała słyszeć o żadnych racjach i kazała mu natychmiast wracać skąd przyszedł. Janek speszony doznał chwilowo uczucia zawodu, choć zdawał się czytać z twarzy matki tajemny zamiar; dlatego nie tłumacząc się wybiegł z domu i ukrył się w jakimś zakamarku, by przeczekać aż do nadejścia wujka. Małgorzata widocznie pozorowała twarz zagniewaną, by nie dać Antoniemu powodu do podejrzeń, że miała w tym swój udział. Miała jeszcze dwóch braci: Michał dostatecznie odczytany, znał nawet łacinę, uprawiał rolę; młodszy imieniem Franciszek był także człowiekiem roztroprnym i powszechnie szanowanym. Janek potrafił sobie zaskarbić sympatię ich obu. Wkroczenie ich w wewnętrzne sprawy rodzinne Bosków było dowodem, że Janek pozyskał sobie dwóch możliwych protektorów.

Michał, wróciwszy z Chieri, dotrzymując słowa, wstąpił, by porozmawiać z siostrą. Antoni zachowywał powściągliwe milczenie. Zawołano Janka, który czekał w ukryciu. Wydawało się, że trudności zostały pokonane. Potwierdza to niejaki pan Gamba z Buttigliera, któremu Janek udzielał pierwszej nauki czytania i pisania. Wuj Michał udał się wraz z Małgorzatą do ks. proboszcza Dasano prosząc, by raczył udzielać Jankowi nauki dwa lub trzy razy tygodniowo. Lecz ks. Dasano nie mógł przyjąć tej propozycji ze względu na swe liczne zajęcia duszpasterskie. Także dwaj wikariusze byli obciążeni pracą. Dlatego doradził udać się do Buttigliera d'Asti do proboszcza tej wioski. Pan Michał poszedł tam, lecz spotkał się z odmową z tych samych powodów. Nie wiadomo, czy Małgorzata nie prosiła ks. Calosso by nadal zajmował się nauką syna. Być może nie porzuciła myśli oddalenia go z domu; czy też

pewne dolegliwości trzymały owego kapłana w łóżku. Być może również zmuszony był oddalić się na pewien czas z kapelanii. Faktem jest, że Janek przez pewien czas musiał zawiesić naukę i pomagał przy pracy w polu i ogrodzie.

Był jednak wierny swym stałym praktykom pobożnym, pomimo znacznej odległości od kościoła budując wiernych swym przykładem. Opowiada Jan Filippello, uczęszczający z nim na nauki katechizmowe: „Ksiądz proboszcz Dasano pytał; ja i moi koledzy niezbyt celowaliśmy w katechizmie, lecz Bosko go śpiewał”. . . .

Tenże Fillipello, zaufany kolega Janka poświadcza: „Jestem przekonany, że Janek nie popełnił nigdy grzechu; jego cnoty rosły wraz z jego latami. Jak go znam, zawsze był skupiony w kościele; nie widziałem go nigdy z dziewczętami. Wyróżniał się wśród kolegów cnotliwym usposobieniem i prawością charakteru, wszczepiał w innych cnotę z dziwną gorliwością. Zawsze okazywał gorącą chęć do nauki, by móc czynić innym dobrze. Mnie i innym udzielał wskazówek, które były doprawdy słuszne. Zapraszał uprzejmie, by towarzyszyć mu do kościoła, upominał roztrzepanych. Zabiegał, byśmy nie przestawali w nieodpowiednim towarzystwie i nie brali udziału w nieodpowiednich rozrywkach. Dawaliśmy się mu kierować, gdyż zdobył naszą przyjaźń i zaufanie. Zachowywał się jak ten, co ma autorytet. Gdy któryś nie mógł być obecny na zebraniu popołudniowym w parafii, wówczas urządzał zbiórki w domu własnym, przypominając usłyszane kazanie, katechizm, opowiadał przykłady ustnie lub z książki. Kończyły się te zbiórki odmówieniem Różańca. Stąd wszyscy go znali jako gorliwego apostoła. Taka skromność jaśniała w jego postaci, że matki chętnie powierzały mu swe dzieci, wiedząc, że stają się przez to lepsze”.

„Wiele owych matek, dodaje Matta Secondo, na łożu śmiertelnym opowiadało swoim córkom przykładowe życie Janka Bosko, chcąc by im obiecały, że będą go naśladować co do pobożności i posłuszeństwa”. Wielu mieszkańców Morialdo, Castelnuovo i innych okolicznych wiosek stwierdzało: „Wszyscy koledzy i rówieśnicy Janka zachowali w pamięci jego wzorowe zachowanie się i żaden nie miał zastrzeżeń co do niego. Do dziś żyje w okolicy fama jego niewinności z lat dziecięcych”.

Tradycyjnie grupa chłopców z Oratorium pod przewodnictwem Józefa Buzzetti lub innych udawała się każdego roku do Becchi na odpust Matki Bożej Różańcowej. Raz spotkali pewną staruszkę, która opowiadała o Księdzu Bosko: Och, ja znałam go od dziecka, gdy mieszkał w Becchi. O jak był dobry! Ileż razy widziałam go

przystępującego do Sakramentów św. i modlącego się pobożnie! Wiara tryskała z jego twarzy! „Ja również z mej strony zawołam: „Chwałą synów są ich ojcowie”. (Przyp 17,6). „Staraj się o dobrą sławę, bo ta dłużej trwać będzie niż tysiące skarbów drogich. Dobrego żywota poczet dni, a dobra sława trwać będzie na wieki”. (Syr 41,15).

ROZDZIAŁ XXIV

Ks. Calosso przyjmuje Janka do siebie; Podział schedy rodzinnej; Zgon ks. Calosso; Bezinteresowność Janka; Opłakuje stratę swego dobroczyńcy.

„Raduje się bardzo ojciec sprawiedliwego, który zrodził mądrego, weselić się będzie u niego. Niech się weseli matka twoja, niech się raduje, która cię urodziła”.
(Przyp 23, 24 – 25).

Taka jest nieomylna wyrocznia Boskiej mądrości. Małgorzata pomimo, że obfitowała w radość, musiała też pić z kielicha goryczy i utrapień. Któż wypowie, ile cierpiało jej macierzyńskie serce na widok tego jak jej ukochany Janek zmuszony był własną pracą zarabiać na swe utrzymanie, gdy zdawała się gasnąć nadzieja na to, by mógł się oddać studiom, które by mu pozwoliły działać wiele dobrego dla dusz!

Przecież ks. Calosso nie zapomniał o swym małym przyjacielu. Rozpoznał w nim niewątpliwe oznaki powołania kapłańskiego i nie chciał, by zostało stracone. Otóż zacny kapłan, po załatwieniu swych kłopotów, które mu dotąd przeszkadzały w wykonaniu zbożnego zamiaru, zawołał pewnego dnia Janka do siebie. Wypytywał go o jego koleje i niesnaski domowe z Antonim, który nie zrezygnował ze swych dokuczliwości. Potem tak zakonkludował:

Mój drogi chłopcze, wiem, że zaufałeś mi we wszystkim i ja też nie opuszczę cię w potrzebie. Otóż pożegnaj się ze swym „nieprzejednanym” bratem, a przyjdź zamieszkać u mnie, gdzie znajdziesz kochającego cię ojca.

Janek niezwłocznie podzielił się z matką tą radosną nowiną, którą uznała ona wraz z bratem Józefem za najszcześniejsze rozwiązanie. Antoni ani pochwalał, ani oponował; zresztą do pracy na roli stanął brat Józef, dzielny pracownik.

Tak, więc z końcem jesieni Janek przeniósł się do ks. kapelana sypiając tylko jeszcze we własnym domu.

„Nikt nie zdołałby opisać, wyznaje w pamiętniku, mej radości. Ks. Calosso był dla mnie prawdziwym aniołem opiekuńczym. Kochałem go nawet więcej niż rodzzonego ojca, modliłem się za niego, usługiwałem we wszystkim. Sprawiało mi

wielką przyjemność poświęcić się dla niego, co więcej, gotów byłbym na każde jego skinienie. W ciągu jednego dnia czyniłem większe postępy w nauce z nim, niż byłoby to możliwe w całym tygodniu. Święty kapłan żywił ku mnie osobliwą życzliwość, iż kilkakrotnie oświadczał mi: Nie martw się o swą przyszłość, ja ci dopomogę i dopóki żyć będę, nie zabraknie ci niczego, a na wypadek mej śmierci zabezpieczę również twą przyszłość.

Pomimo tego, gdy wracał do domu pod wieczór, spotykał się wciąż z dokuczaniem. Wówczas ks. Calosso oświadczył Jankowi: Jeśli tak, zabierz swą bieliznę, ubrania i przyjdź zamieszkać u mnie. Bądź pewien, że cię nie opuszczę.

Matce przykre było to ponowne rozstanie się z synem. Lecz nie było innej rady. Małgorzata nie licząc już na Antoniego gotowa byłałożyć swym osobistym majątkiem na dalsze kształcenie Janka. Ksiądz Calosso gotów był przerobić z nim cały kurs łaciny i nadal pomagać w jego studiach, aż zostanie kapłanem.

W rodzinie Bosko postanowiono przystąpić do podziału ojcowskiej między braci. Wyłaniały się jednak poważne trudności w związku z tym, że dwaj młodsi bracia Józef i Jan byli jeszcze niepełnoletni. Małgorzata zasięgała porady swej siostry Marianny, chcąc wspólnie rozważyć ten krok, o którym często myślała. Naradzały się nie tyle nad tym jak dokonać sprawiedliwego podziału majątku, a raczej jak uniknąć niezgody między braćmi. Marianna wpadła na następujący pomysł:

Obie mamy prywatny majątek, złożmy go do wspólnej masy, a tak Antoni nie będzie miał powodu do żalów.

Antoni dowiedziawszy się o tym planie, nie chciał absolutnie na niego przystać, żądając nadal, by Janek jak on osiadł na roli. Teraz jednak Małgorzata stanęła twardo: oświadczyła mu otwarcie, że sprawę rozstrzygnie sąd. Pasierb musiał, więc zrezygnować z oporu i zgodzić się na podział schedy. I nawet samowolnie, zanim jeszcze sprawa została rozstrzygnięta, oddzielił się od matki zamieszkując osobną część domu ojcowskiego, do którego rościł sobie prawo. Zastrzegł przy tym, żeby matka niczego nie dawała Jankowi, dokąd sprawa nie zostanie rozstrzygnięta, Jankowi zaś zabronił bezwzględnie zabierać cokolwiek z własności rodzinnej.

Formalności wlokły się dość długo, wreszcie przeprowadzono podział majątku skutkiem, czego ustały dokuczliwości względem Janka i zapewniono mu swobodne

kształcenie się. Mógł on już teraz swobodnie realizować swe plany, gdy niespodziewanie nowy cios zdawał się przecinać jego nadzieje.

Oto rankiem pewnego dnia listopadowego 1830 r., ksiądz Calosso wysłał Janka z jakimś zleceniem do domu. Zaledwie kończył pakować walizkę, gdy dano mu znać, by spieszył do ks. Calosso, który dostał ataku apoplektycznego i chciał koniecznie się z nim widzieć. Trwoga dodała skrzydeł biednemu Jankowi. Stał się niebawem przy boku swego dobroczyńcy sparaliżowanego, z odjętą mową. Poznał on swego ucznia, lecz nie zdołał przemówić. Jankowi ścisnęło się serce wobec tego krzyża, jaki spotkał jego dobroczyńcę. Ks. Calosso próbował dawać pewne znaki, jakby chciał coś zlecić. Wreszcie wyjął spod poduszki kluczyk i wręczył go Jankowi, dając znak, by nikomu go nie oddawał i że wszystko, co zawiera się w kasetce, należy do niego. Janek schował kluczyk do kieszeni. Tymczasem troskliwie usługiwał choremu jak własnemu ojcu. Po dwóch dniach ataku apopleksji chory oddał duszę Bogu w dniu 21 listopada, w wieku 75 lat. Z nim zeszała do grobu nadzieja Janka.

Niektóre z osób towarzyszących choremu w ostatnich chwilach mówiły Jankowi: Kluczyk, jaki ci wręczył zmarły, jest od jego kasy. Pieniądze, jakie tam się znajdują możesz zabrać. Inni twierdzili, że w sumieniu nie powinien ich zabierać, ponieważ nie zostały mu przekazane w testamencie. Janek zastanawiał się, wreszcie zdecydowanie oświadczył: Miałbym iść do piekła przez te pieniądze! Nie, wolę ich nie brać!

Niektórzy jednak doradzali, że przecież chory specjalnie wezwał go do siebie, wręczył bezspornie kluczyk na znak, że pieniądze mają należeć do niego. Lecz Janek nie dał się przekonać.

Tymczasem zjawili się krewni i spadkobiercy szukając klucza od kasy. Janek wręczył go im mówiąc: Oto klucz od kasy z pieniędzmi. Wasz wuj dał mi go dając znaki, żebym go nie dawał nikomu. Ja jednak wolę być ubogim, nie chcę wdawać się w spory, gdyż nie otrzymałem wyraźnego zlecenia na piśmie, że te pieniądze są przeznaczone dla mnie. Jeden z krewnych otworzył kasę i znalazł w niej sumę 6 tys. lir. Przeliczywszy je zwrócił się do Janka mówiąc: Szanuję wolę mego stryja: te pieniądze są twoje, weź sobie z nich ile chcesz. Janek przez chwilę wahał się; znał przecież dostatecznie jasno wolę swego dobroczyńcy, miał wyraźne pozwolenie

spadkobiercy. Nie, odparł, nie chcę brać niczego! Wolę mieć niebo, niż wszystkie pieniądze i bogactwa świata!

Jeśli rezygnujesz, odpowiedział spadkobierca, to ci dziękuję za twój szlachetny gest. Rób jak uważasz. Może być, że ten i ów nie pochwalał tego kroku. On sam w pamiętniku tak opisuje to zdarzenie: „Przyszli spadkobiercy księdza Calosso; oddałem im klucz od kasy i tego co się w niej znajdowało”.

„Błogosławiony mąż, który znalazł się bez winy i który nie szedł za złotem i nie pokładał nadziei w pieniądzach i skarbach doczesnych. Któż jest on, a chwalić go będziemy? Uczynił rzeczy przedziwne w swym życiu, dlatego otrzyma chwałę wieczną”. (Syr 31,8).

Śmierć ks. Calosso była dla Janka ciosem okrutnym. Opłakiwał on też z żalem nieutulonym swego dobroczyńcę. Wciąż o im myślał we śnie i na jawie. Odnawiał mu i przypominał ten ból i dźwięk żałobnych dzwonów ogłaszających zgon Piusa VIII, zmarłego dnia 30 listopada 1830 roku. Tak się przejął tą stratą, że wyraźnie okazywał to na twarzy; dlatego Małgorzata lękając się o jego zdrowie, wysłała go na jakiś czas na odpoczynek do Capriglio, do dziadka. Dobroć Boża niebawem zesłała mu pociechę. Sam o tym tak pisze: „W owym czasie miałem sen, w którym zostałem surowo upomniany, że położyłem swą nadzieję w ludziach, a nie w dobroci Ojca Niebieskiego”. Z tym jednak pamięć o księdzu Calosso wyryła się głęboko w jego sercu i o nim później pisał: „Modliłem się nieustannie i dopóki mi życia stanie, nie zapomnę w swych modlitwach o tym mym wielkim dobroczyńcy”.

ROZDZIAŁ XXV i XXVI

Małgorzata posyła Janka do szkoły w Castelnuovo; Na stacji u niejakiego Roberta Jana; Janek zdobywa uznanie u kolegów; Jego postępy w nauce; Pociecha dla matki; Unika niebezpiecznych towarzystw; Kontynuuje swa misję wśród chłopców; Jakim by chciał mieć kapłana wśród młodzieży?

Zgon księdza Calosso przerwał zaczęte studia, a również utrudnił przyjęcie do szkoły w Castelnuovo, gdzie rok szkolny rozpoczął się już od uroczystości Wszystkich Świętych. Udało się jednak tę trudność pokonać Małgorzacie, dzięki wydatnemu poparciu jej brata Michała, jako osoby poważanej w Castelnuovo. Tak, więc zaczynając od Bożego Narodzenia 1830 r., 15 letni Janek rozpoczął uczęszczać do publicznej szkoły gminnej, w której oprócz elementarnej nauki czytania i pisania uczono także łaciny; na matkę zaś spadał obecnie podwójny ciężar na barki, by synowi umożliwić pójście za swym powołaniem.

Dawno przerobiony kurs elementarny, zmiana nauczycieli, inne wymagania kazały Jankowi powtórzyć gruntownie powtórzyć gruntownie gramatykę włoską, by przejść do składni łacińskiej. Początkowo chodził dwa razy dziennie do szkoły: rano i po południu, robiąc około 20 km. drogi dziennie. Widząc, że traci w ten sposób bardzo wiele czasu, zmienił program i wychodził z rana, a wracał dopiero wieczorem. Często wiał mu w oczy mroźny wiatr lub ślota utrudniała podróż. Nieraz brodził w śniegu z przemokłym obuwiem i drżący z zimna przesiadywał w klasie. Znosił to z cierpliwością i pogodą. By nie pomnażać swej matce wydatków, zdejmował obuwie i szedł boso błotnistymi ścieżkami, przychodząc do celu z obolałymi stopami. W Castelnuovo wkładał trzewiki, a zachodząc do niejakiego szewca Roberta Jana, u którego jadał obiady, zostawiał swą torbę z jedzeniem, którym się posilał między lekcjami. Gdy pogoda się popsuła, zostawał w mieście na noc i sypiał u znajomych pod schodami.

Mama Małgorzata z racji oszczędnościowych początkowo nie pozwalała mu na te podróże chcąc widzieć syna w domu; niebawem jednak uznała za konieczne, by przeniósł się na stację do Castelnuovo, bo zima dokuczała. Pensję można było opłacić w naturze, winem lub innymi produktami, zgodnie z umową. Przy tym Janek

był ogólnie lubiany przez chłopców ze wsi, którzy może z obawy, by nie był zmuszony przerwać studia w ciągu roku z braku środków materialnych, robili między sobą składkę zanosząc ją Małgorzacie. Pan Matta ze swej strony deklarował na ten cel pół korca pszenicy rocznie.

Małgorzata tymczasem umieściła Janka na komornym u wspomnianego pana Roberto Jana, z zawodu krawca, chórzysty i miłośnika muzyki wokalne w kościele. Zaprowadziła go osobiście do Castelnuovo dając na pożegnanie radę: „**Bądź nabożny do Matki Najświętszej!**”.

Wiadomość o przybyciu nowego ucznia wzbudziła ogólne zainteresowanie, bo już znane były wyczyny Janka w Castelnuovo. Tak na przykład, synowie rodziny monsignora Cagliero w godzinach, kiedy uczniowie spieszyli na lekcje, wystawiali w progu ich domostwa, żeby tylko dojrzeć Janka Bosko. Dotąd jeszcze wspominają, jak przechodził z teczką pod pachą, skromny, skupiony, sam lub w towarzystwie paru dobranych kolegów.

Nosił wyszarzałą marynarkę niezbyt dopasowaną do swej figury. Wielu chłopców z Castelnuovo dumnych, że pochodzą z miasta, uważali przybyszów ze wsi jako nieokrzesanych, za mniej wartościowych. Początkowo, więc podśmiewali się z jego ubioru, a pociągając za fałdy marynarki i strojąc śmieszne miny wydziwiali mu.

Patrzcie i mówili, co za strój! Pewnie to po jego dziadku!

Janek nie obruszał się na to, znosząc cierpliwie te kpiny. Bywało, obracał się z uśmiechem do owych skrzatów mówiąc:

No dajcie mi pokój, łobuziaki. Czy ja wam, co robię złego?

Wielu spośród mniejszych kolegów malców, których o wiele przewyższał wzrostem, przezywało go wielkoludem. Te kpinki rychło ustawały, bądź z powodu urządzanych rozrywek niedzielnych. „Łagodne słowo mnoży przyjaciół i ułaskawia nieprzyjaciół, a wdzięczny język dobrego człowieka sprawia wiele dobrego”, mówi Mędrzec Pański. Prócz tego, więcej niż w Morialdo, mógł krzepić swego ducha praktykami pobożności. W owych czasach szkoły miały jeszcze charakter w pełni katolicki, zgodnie z patentami króla Karola Feliksa z roku 1822. Nie było koedukacji. W każdej klasie wisiał Krucyfiks na ścianie. Lekcje rozpoczynano i kończono modlitwą. Wieczorem po lekcjach wspólnie odmawiano pacierz wieczorny. Pierwsze

pół godziny poświęcano na naukę katechizmu; tak samo ostatnią lekcję w sobotę, która kończyła się Litanią do NMP.

Nauczyciele powinni ustalić z proboszczem termin spowiedzi miesięcznej oraz porozumieć się by uczniowie mogli korzystać ze Mszy św. przed lekcjami. W dni świąt uczniowie byli zobowiązani uczestniczyć w nauce katechizmowej oraz nabożeństwie parafialnym. Wszak pobożność jest do wszystkiego użyteczna.

Na lekcji łaciny, niedawno zaprowadzonej, znajdowali się wszyscy uczniowie gimnazjum, kierowanego przez ks. Emanuela Virano z Castelnuovo d`Asti. Tenże posiadał szczególną metodę w komunikowaniu drugim swej wiedzy, a wywierał też wielki wpływ na uczniów.

Postępy Janka rychło zwróciły nań jego uwagę. Pewnego dnia podyktował on wypracowanie pisemne na temat św. Eleazara Męczennika. Janek tak doskonale rozwinął ten temat, iż wszyscy twierdzili, że to zrobił ktoś inny. Podawano sobie z rąk do rąk wypracowanie Janka. Wreszcie dostało się ono księdzu Moglia. Ten również po przeczytaniu oświadczył, że nawet osoby wykształcone nie zdołałyby coś podobnego napisać, a tym bardziej Bosko. Widocznie Janek już nie był w łaskach u swego dawnego nauczyciela. Istotnie, ksiądz Moglia wbił sobie do głowy, że lepiej by było, by ten wieśniak Jan Bosko dał spokój studiom, a powrócił do łopaty. Być może Bóg dopuścił to nowe upokorzenie na Janka, by jeszcze raz wypróbować jego ufność i wytrwałość.

A tymczasem pomimo odległości, nie wyziębło mu serce względem jego drogiej matki, która potrafiła tak je urobić i wychować swym podejściem. Nigdy nie zabierał się do niczego bez jej wiedzy, ona zaś również niczego mu nie odmawiała, gdyż prosił tylko o rzeczy konieczne.

Pan Roberto z rodziną odnosił się z wielką życzliwością do Janka, zwłaszcza jego syn, współkolega z ławy szkolnej, który zawarł z nim szczerą przyjaźń. Matusia Małgorzata, co tydzień przynosiła na swych barkach wystarczający zapas chleba na 7 dni. To prawda, że droga była daleka, lecz chciała koniecznie osobiście zbadać postępy syna. Nie zaprzestała tych wizyt nawet wtedy, gdy przeniósł się do gimnazjum w Chieri, a później do seminarium jako kleryk, często towarzyszył jej Józef, celem odwiedzenia braciszka. Cała rodzina pana Roberto witała ją serdecznie, gdyż serca miłosierne szybko poznają się wzajemnie. Małgorzata cieszyła się w duchu na

wiadomość, że syn wiernie stosuje się do jej poleceń, słyszała jak najpochlebniejsze opinie o nim i to jej wystarczało za wszystkie trudy.

Nie brakło jednak pokus ze strony niektórych kolegów. Gdy zaproponowano mu razu pewnego, by szedł na zabawę w czasie lekcji, a on się wymawiał brakiem pieniędzy, namawiano by wziął je od gospodarza lub od matki. Jeden z nich kusił: Mój drogi, czas byś się przebudził; trzeba żyć na świecie. Kto ma oczy wciąż zawiązane, jest jak ślepy. Postaraj się, więc o pieniądze, a będziesz i ty miał rozrywkę z kolegami. Janek na tę perfidną sugestię odrzekł: Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi, ze słów twych wynika, że chcesz mnie namówić do zabawy i kradzieży. Lecz czy nie mówisz codziennie w pacierzu: Siódme nie kradnij? Czy to nie jest przykazanie Boże? Kto kradnie, jest złoczyńcą i czeka go smutny koniec. Zresztą moja matka jest dla mnie bardzo dobra i jeśli proszę o pieniądze na rzeczy godziwe, zawsze mi je daje; bez jej wiedzy nic nie czynię; nie chcę za nic na świecie być nieposłusznym. Jeśli twoi koledzy tak robią, to są źli. A jeśli radzą tak innym: są łobuzami i przewrotnikami.

O rozmowie powyższej dowiedzieli się inni i nikt mu już więcej nie proponował czegoś podobnego. Zasłyszeli o niej profesorzy i z tym większym uznaniem odnosili się do Janka; rodzice, do których to doszło, nakazywali synom trzymać się z Jankiem i naśladować jego cnotliwe życie, wszyscy byli pod urokiem jego nieskazitelnego postępowania. Cóż tedy dziwnego, że niebawem zyskał sobie grono przyjaciół podobnie jak w Morialdo i Moncucco, którzy go odwiedzali. Towarzystwo jego było lekcją roztropności. Wykonywał najdrobniejsze spray z dokładnością; nie rzucał słów na wiatr; powziąwszy jakąś decyzję nie dał się nikomu od niej odciągnąć. I tak nieświadomie wpływał na kształtowanie charakteru swych kolegów, których sobie ujmował.

Wracając z wakacji ze wsi przywoził owoce, którymi częstował kolegów, a przy tej sposobności rzucił słówko względem pobożności i czci Madonny. Lubił nawiedzać kościół zamkowy położony na szczycie góry dominującej nad miastem, sam lub w towarzystwie kolegów. Widocznie musiał otrzymać tam szczególne łaski, gdyż nie zapomniał o nim do końca życia. Gdy później Jan Filippello odwiedzał go w Turynie, dawał mu paczkę obrazków dla osób, które szły do wspomnianego kościoła odmówić Różaniec.

Takie też prowadził życie, gdy z Chieri przyjeżdżał na ferie letnie. Kapłani jak i ludzie prości dawali świadectwo jego wzorowym obyczajom, przyznając, że od młodości nosił się z gorącym pragnieniem zostania apostołem dla dobra dusz. Matki z Morialdo, Moncucco, jak i z Castelnuovo, po latach opowiadały swym dzieciom o Janku, zaś monsignor Cagliari powiada, że w młodych latach matka stawiała mu za wzór Janka Bosko, zachęcając do jego naśladowania.

Oddany nauce i pracy spędzał Janek swe młode lata. Miał w sercu jeden cierń: nie mógł zbliżyć się poufalej do księży miejscowych. Proboszcz jego ksiądz Bartłomiej Dassano, skądinąd mąż czcigodny, uczony, poświęcony dla dusz i dokładny w swych obowiązkach, był surowy i niedostępny dla młodzieży, tak jak i inni księża. A przecież Janek dobrze czuł, jak młodzież potrzebuje życzliwego przyjaciela, i że daje się ona prowadzić z łatwością, gdy znajdzie się ktoś, kto się nią życzliwie zajmie; doświadczał tego na sobie.

Często spotykał na drodze ks. proboszcza w towarzystwie wikarego, czasem umyślnie czekał w pobliżu wiedząc, że w tym czasie wychodzą na przechadzkę. Jakże pragnął, by do niego odezwano się jakimś dobrym słowem. Widząc ich kłaniał się, a ksiądz proboszcz odpowiadał tylko skinieniem głowy i szedł dalej swą drogą. Nie umiał on pociągnąć do siebie serc młodzieńczych i zdobyć ich zaufanie. W owych czasach sądzono powszechnie, że taka postawa właściwa jest dla sług Bożych. Lecz ta powaga wywoływała u Janka raczej obawę niż miłość. Często wynurzał się wobec innych: „Gdy zostanę księdzem, będę postępował inaczej: będę zbliżał się do dzieci, gromadził ich wokół siebie, będę kochał ich i starał się, żeby mnie kochano. Będę im udzielał dobrych rad, świadczył im przysługi i poświęcę się całkowicie dla ich zbawienia. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł chwilę porozmawiać z moim proboszczem! To szczęście miałem u ks. Calosso, dlaczego nie można z innymi?

Szczególnie wynurzał się z tym wobec matki. Małgorzata znając usposobienie syna odrzekła:

No cóż chcesz? Są to ludzie uczeni, głęboko myślący i nie potrafią zniżyć się i rozmawiać z takim chłopcem jak ty.

Wiele by ich kosztowało zbliżyć się i porozmawiać chwilę ze mną, powiedzieć dobre słowo?

A cóż byś chciał, by ci powiedzieli?

Jakaś dobrą myśl korzystną dla mej duszy.

Widzisz, mają oni tyle pracy w konfesjonale, na ambonie, w pracy duszpasterskiej.

A czy nie jesteśmy także my mali ich owieczkami?

To prawda, lecz nie mają wiele czasu do tracenia!

A czy Pan Jezus tracił czas, gdy przestawał z dziećmi? Gdy upominał uczniów, którzy chcieli trzymać ich z dala od Mistrza, każąc by dopuścili dziatkom przyjść do niego, gdyż do nich należy Królestwo Boże?

Nie mogę cię za to zganić, nawet przyznaję ci rację, lecz cóż zrobić?

Och mammo, gdy ja zostanę księdzem, chcę poświęcić me życie dla dzieci; nie będę dla nich nigdy szorstki i poważny, lecz pierwszy zbliżę się do nich.

Sprawy Janka układały się pomyślnie, gdy nowy incydent spowodował zamieszanie. Oto ks. Virano, dotychczasowy jego profesor został mianowany proboszczem w Mondonio w diecezji Asti, stąd w kwietniu roku 1831 wycofał się ze szkoły i przeniósł się na nowe miejsce. Także szkoła straciła profesora łaciny. Tymczasowo zastępował go ks. Moglia, kapłan pobożny i zacny, lecz nie potrafił opanować pięciu chłopców bardzo żywych, zróżnicowanych wiekiem i poziomem umysłowym. Brak dyscypliny spowodował, że Janek stracił wszystko, co zdobył w miesiącach poprzednich. Nowy nauczyciel, choć widział jego dobre zachowanie się i słyszał jak najlepszą opinię, wbił sobie przecież do głowy, że pochodząc z Becchi, musiał być chyba osłem, choć trochę lepszym od innych. Nadto starszy wiek, lat 15, utwierdzał go w tym przekonaniu. Janek był zaliczony do grupy uczniów następnego kursu gimnazjalnego.

Pewnego razu profesor zadał wypracowanie. Janek prosił, by pozwolono mu pisać wypracowanie tych z klasy trzeciej. Ksiądz Moglia wybuchnął śmiechem: cóż ci strzeliło do głowy? Ty, z Becchi? Do czegoż mogą być zdolni ci z Becchi? Daj sobie spokój z łaciną, nic przecież nie rozumiesz. Możesz chodzić na grzyby, wybierać gniazda, tak do tego masz spryt. Ale studiować łacinę, to nie dla ciebie!

Janek niezrażony odmową nastawał. Profesor wreszcie znudzony zgodził się, by pisał zadanie, jakie mu odpowiada, zaznaczył jednak, że nie będzie nawet czytał głupstw, jakie napisze.

Uczniowie klasy trzeciej dostali tłumaczenie z łaciny na włoski. Po jakimś kwadransie Janek oddał profesorowi wypracowanie, który nie oglądając złożył je na katedrze z politowaniem. Janek stojąc przed profesorem prosił, by zechciał przeczytać jego wypracowanie i poprawić błędy.

Powiedziałbym ci, mówi opryskliwie, że ci z Becchi nic nie potrafią, nie są zdolni do tak wzniosłych rzeczy.

Wówczas niektórzy z uczniów zaczęli wstawiać się za Jankiem prosząc: Si, si, legga la pagina di Bosco! My również radzi posłuchać, jakie popełnił błędy. Profesor, który nawykł ustępować przed zbiorową opinią, wziął zeszyt do rąk i przebiegł oczyma.

Hm, tłumaczenie było poprawne.

Lecz ks. Moglia kładąc je na stole zaznaczył: Powiedziałem, że Bosko jest niezdatny do nauki. Odpisał wypracowanie od któregoś z kolegów, na pewno odpisał, niemożliwe, żeby to była jego własna praca. Lecz w tej chwili wstaje uczeń, świadek pracy swego kolegi, zaznaczając, że ten nie uciekał się do bryku, ani do czyjejś pomocy. Księżę profesorze, ksiądz twierdzi, że Bosko odpisał zadanie, proszę, więc porównać jego wypracowanie z innymi, czy jest do któregoś z nich podobne.

Uwaga była słuszna i powinna była zakończyć kwestię. Cóż, kiedy profesor bardziej zaciętrzewiony odrzekł: Ale co ty wiesz?? Nie rozumiesz, że ci z Bosków nie są zdolni do nauki? I nie było sposobu przekonać tego, który był zaślepiony uprzedzeniami, nie szukał zupełnie prawdy. Ów uczeń podzielił się swym przekonaniem z innymi kolegami, ci zaś podziwiając nie tylko zdolności, lecz i pokorę Janka, z jaką znosił krzywdzące traktowanie, patrzyli inaczej na Janka niż jego profesor. Zdarzenie powyższe zyskało mu uznanie i szacunek wśród kolegów.

Brzydził się płaskimi dowcipami, nie chciał nawet w żartach kłaść rąk na drugich, unikał wszystkiego, co niezgodne z dobrym wychowaniem. Nie chciał brać udziału w zabawie w konie.

Pod takim nauczycielem można sobie wyobrazić, jak mało skorzystał Janek do końca tego roku. Trzeba jednak i w tym uznać wyroki opatrnościowe, kierujące wydarzeniami w celu uformowania przyszłego apostoła.

Jan Roberto, u którego stołował się Janek, był dyrygentem chóru parafialnego, to też Bosko skorzystał z jego wskazówek ćwicząc się z zapałem w muzyce wokalne.

Nauczył się nie tylko chorału, lecz w parę miesięcy potrafił opanować nuty do tego stopnia, że wykonywał z powodzeniem partie solowe. Równocześnie uczył się gry na skrzypcach i ćwiczył na starym klawikordzie i organie. W roku 1831 szereg niezwykle uroczystości nastęczało okazję chórowi popisanie się śpiewem polifonicznym. Oto, 2 lutego został wybrany nowy papież, Grzegorz XVI, zaś 27 kwietnia zmarł król Karol Feliks, po nim obejmował tron Karol Albert, głowa domu Savoia Carignano, pod którym inaugurowano nową świątynię ku czci Matki Bożej w Turynie, a w dniu 6 sierpnia przeniósł się do wieczności arcybiskup turyński monsignor Chiaverotti.

Janek brał czynny udział w występach chórowych. Zaczyna pan Roberto był dumny ze swego ucznia i bezwiednie współdziałał swymi lekcjami z planami Bożymi. Mieszkanie jego było doprawdy szkołą muzyki i śpiewu dla naszego Janka, odtąd nie znajdzie okazji ćwiczenia się w muzyce i w śpiewie kościelnym. A konieczne to było, by się w nich wydoskonalił, skoro one miały się stać duszą instytucji przez niego założonej.

Nauka i śpiew nie wyczerpywały aktywności Janka, wykorzystuje czas wolny na uczenie się rzemiosła krawieckiego. Wkrótce opanował je tak dalece, że jak wyraził się później, zdawało mi się, że potrafiłbym zostać dzielnym majstrem krawieckim.

To, czego się nauczył z ochoty, posłuży mu z konieczności, gdy trzeba będzie odpracować za swe utrzymanie u majstra Roberto; na skutek bowiem podziału majątku rodzinnego matka nie miała z czego płacić na jego utrzymanie. Rzemiosło też krawieckie miało mu dopomóc później w założonym Oratorium, trzeba, bowiem było wykonywać ten fach dla dobra sierot.

Majster widząc, jak pojętnie przyswoił sobie jego fach, wystąpił z nęcącymi propozycjami, chcąc pozyskać go do spółki. Lecz Janek miał zgoła inne perspektywy: pragnął ukończyć studia, a rzemiosłem zajmował się tylko zdawkowo i okazjnie, dla wykorzystania czasu i zdobycia środków na swe utrzymanie.

Trzeba jeszcze wspomnieć o rzemiośle kowalskim, w którym się wprawiał, mimo że ten fach specjalnie nie przynosił mu doraźnej korzyści. Otóż uczęszczając do pracowni niejakiego Ewazjusza Savio, wzorowego katolika, nauczył się pracować przy miechu kowalskim, posługiwać się kleszczami i młotem. Bystremu obserwatorowi, jakim był Janek, nie uszły uwagi rzemiosło warsztatowe, z którymi się

spotykał. Doświadczeniem własnym i czerpanym od innych zdobył potrzebne wiadomości, które przydadzą się mu przy urządzeniu warsztatów. Mogłoby się zrodzić pytanie: Kto dał temu pastuszkowi wiejskiemu spryt i tyle chęci do nauczenia się różnych rzemiosł? Kto postawił go w okolicznościach, w których praca staje się wprost koniecznością życiową?

Bez wątplenia ten sam, który przeznaczył go do zorganizowania Oratoriów świątecznych i szkół rolniczych, chciał również, by był założycielem warsztatów i szkół zawodowych. To Pan Bóg dał mu zdolności wszechstronne, dzięki którym potrafił zrozumieć dzieci ludu, sieroty pracujące na roli, młodych terminatorów, dla których stał się jak św. Paweł, wszystkim dla wszystkich. Będzie on myślał o zapewnieniu utrzymania dla niezliczonych rzesz młodzieży, nie mając stałych funduszków, ufając tylko z dnia na dzień Opatrzności.

Otrzymał od Boga temperament przedsiębiorczy, aktywny, energiczny by mógł dopiąć swego celu. Już w Becchi zdobywał srebro na potrzebne sprzęty do swoich pokazów, obecnie zaś musi, dopóki nie wstąpi do seminarium, zapracować na swe utrzymanie.

Pewna miła anegdotka sięga tego czasu, ukazując plastycznie, w jak przemyślny sposób zdobywał środki konieczne do kontynuowania swych studiów. Przekazali ją naoczni świadkowie. W wiosce Montafia odbywał się wielki odpust, a na placu publicznym postawiono słup szczęścia. Wysoko na obręczy zawieszono różne nagrody. Wielki tłum przyglądał się popisom. Ten i ów nadaremnie próbował wspiąć się na słup. Janek obserwował w tłumie kolejne próby. Zauważył, że zbyt gwałtownie brano się do dzieła wyczerpując swe siły w połowie drogi, a przy tym nie odpoczywano dość umiejętnie. Wystąpił Janek i zabrał się inaczej do dzieła. Wspiął się powoli krzyżując nogi, obejmował słup i odpoczywał na piętach. Ludzie nie doceniali jego sprytu oczekując momentu, kiedy spadnie jak inni. Lecz kiedy Janek posuwał się coraz wyżej, w tłumie zaparto dech. Ten chłopiec znalazł się już u szczytu drzewca, które chwiało się mocno, żywiołowe oklaski towarzyszyły małemu zwycięzcy. On zaś, wyciągnąwszy rękę zdjął sakiewkę z 20 lirami, krążek kiełbasy, chustkę do nosa, wsadził to za pazuchę i zostawiając przedmioty mniejszej wartości, by gra szła dalej, zsunął się jak kot na dół ze swym łupem i znikł w tłumie

wiwatującym na cześć zwycięzcy. Nie raz jeden Janek stawał do zawodów o zdobycie podobnych nagród, które wszak pomogły mu do zaspokojenia swych potrzeb.

ROZDZIAŁ XXVII

Na wakacjach; Szczególna rozrywka na rekreacji; Pierwszy list pasterski monsignora Frasoni; Drugi sen; Wstępuje do kolegium w Chieri; Składki na seminarzystę.

Ukończywszy rok szkolny z niewielką satysfakcją, niepewny, co do dalszej przyszłości, lecz spokojny, Janek wraca do swej matki. W rodzinie zaszły tymczasem poważne zmiany. Matusia Małgorzata z 18 letnim bratem Józefem poddzierżawili od niejakiego Józefa Febraro grunt zwany Sussambrino, będący własnością niejakiego Matta, położony na wzgórzu między Becchi, a miasteczkiem Castelnuovo. Józef mieszkał sobie w domu wiejskim, podczas gdy pan Febraro miał swe gospodarstwo na terenie graniczącym z Sussambrino. Małgorzata zmieniała swój pobyt, raz w nowym mieszkaniu, raz w Becchi, według tego, czego wymagały prace polowe. Pasierb Antoni zamieszkiwał część domu, która mu przypadła w podziale ojcowizny, uprawiał swą działkę i wynajmował się do pracy u sąsiednich gospodarzy. Janek zamieszkał u brata Józefa, mogąc zagłębiać się w swej ulubionej lekturze. Posiadał własną biblioteczkę z podarowanych przez swych przyjaciół dzieł treści przeważnie religijnej. Nie chciał jednak być ciężarem dla brata. Pasał, więc dwie krowki na sąsiednich wzgórzach, a czasem pomagał w uprawie roli. Urządził sobie prócz tego małą pracownię, gdzie naprawiał swoje i brata ubranie, a nad ogniskiem ustawicznie podsycanym reperował narzędzia rolnicze.

Córka wspomnianego pana Febraro, później zamężna z Cagliari, powinowata monsignora Jana Cagliari, pasała tam również w pobliżu swe krowy. Opowiadała ona, że Jan Bosko był nieraz tak zajęty czytaniem, że nie spostrzegł, jak jego krowy weszły do szkody, skąd ona je przepędzała. Janek dziękował za to uprzejmej dziewczynce i chętnie usuwał się w cień wierzb i głógów, oddając się modlitwie i czytaniu.

W tym zaciszu Janek znajdował sobie zajęcie w porze poobiedniej, zwłaszcza w czasie upałów, gdy wieśniacy śpią, w czym ich nie naśladował. Rzecz to niewielka, o której teraz będzie mowa, lecz nawet drobne szczegóły składają się na tło wielkiego obrazu, stanowiąc jego piękno.

Pisarz natchniony w księdze Tobiasza nie zapomniał wprowadzić nawet pieska towarzyszącego młodemu Tobiaszowi w czasie podróży, który biegł przed nim wesoło kręcąc ogonkiem, gdy zbliżał się do domu ojcowskiego. A św. Jan Ewangelista, myśliwemu, który się dziwił jego dziecięcej naiwności, z jaką karesował przepiórkę, odrzekł: Cóż to dziwne panu, jeśli pokrzepimy swego ducha, by mógł wlatywać myślami ku niebu?

Dusze szlachetne instynktownie objawiają pierwotną władzę sprawowaną przez Adama nad zwierzętami. Otóż w domu Józefa był pies, któremu Janek nadał imię „Bracco”. W chwilach wolnych Janek tresował go zawzięcie, każąc przynosić sobie raz po raz narzędzia. Pokazując mu chleb nauczył brać delikatnie z rąk do pyska. Gdy kawałek był zbyt duży, by mógł go połknąć naraz, strofował go: A łakomczuchu! Chciałbyś go połknąć naraz? Pies stawał się niezdecydowany, spozierał na swego pana, kontentował się polizaniem podanego kęsa, a tylko na rozkaz Janka: Masz jedz! odważył się go schrupać. Czasem zmuszał swego pupila wchodzić i schodzić na dół po drabinie, ustawionej przy stogu siana, z uciechą obserwując, jak pies pokonywał niezwykłą drogę, do której się stopniowo przyzwyczajał. Czasem znów rzucał go na siano wysoko, a usunąwszy drabinę wołał za sobą; pies biegał uporczywie tam i sam, szukając dogodnego zejścia, cofał się przerażony wysokością, wreszcie zeskakiwał na dół zdyszany przypadając Jankowi do nóg.

Jeśli Janek znużony drogą i zziębnięty z gorąca chciał sobie ulżyć, zdejmował marynarkę i wołał na psa: Bracco, weź marynarkę! A jeśli od razu nie dawał mu jej, pies chwycił ją zębami za koniec jeszcze nie zdjętej przez pana i ciągnął ją ku sobie pociesznie.

Ach, Bracco, ty mi ją poszarpiesz łotrze! Zostaw ją, zaraz ci ją dam. Piesek puszczał natychmiast marynarkę, a Janek zdjąwszy ją ze siebie umieszczał mu ją na grzbiecie, piesek ostrożnie posuwał się naprzód, zerkając to z prawej to z lewej strony, czy marynarka nie spada.

W niedzielę Bosko po niesporach powracał na swój pagórek w towarzystwie swych przyjaciół i kazał Braccowi popisywać się swymi wyuczonymi sprawnościami. Gdy piesek wykonał swe salta ku uciesze chłopców. Kazał mu skoczyć na grzbiet krowie pasącej się tuż obok. Biedny piesek z rozpaczą spozierał na pana, jakby chciał powiedzieć: och, co za pomyłka! Lecz za powtórny rozkazem, który nie dopuszczał

repliki, wzięwszy zrazu za duży rozbieg skakał i przeskoczył krowę. Lecz powtórzył skok i oto siedział już na grzbiecie potulnej krowy. Jak mógł trzymać się na zadnich łapkach w obawie, że tuż spadnie, ale nie śmiał schodzić, dopóki nie otrzymał rozkazu. Janek wówczas udawał, że odchodzi; piesek zaczynał szczekać, jakby prosił o zwolnienie z tego ambarasu, który trwał zbyt długo, aż widząc, że pan zapomniał o nim, zaszczekał przeraźliwie, dał susa i biegł mu do nóg, jakby chciał upomnieć się o swój despekt. Chłopcy na widok tego nie posiadali się z radości.

Wydawałoby się, że Janek już w dzieciństwie zniósł stratę kosa, z trudnością przeboleałby brak tego mądrego pieska. Lecz tak się nie stało, bo pamiętał o obietnicy danej Bogu. Gdy mianowicie prosili o niego krewni z Moncucco, sam chętnie im go przyprowadził do domu. Przyjęto tam Bracca z wielką uroczystością, a gdy Janek zobaczył, że poddał się już nowym panom, milczkiem oddalił się z domu; lecz ledwie stanął u siebie, oto zjawia się przy nim wierne psisko. Jakby zafrapowany, z głową spuszczoną, jak delikwent, zbliżył się nieśmiało kręcąc ogonem i przystając niepewny. Janek nie uśmiechnął się do niego jak zwykle, lecz powiedział: Dobrze, widzisz Bracco, to już nie twój dom; więc nie dostaniesz ode mnie jedzenia. Piesek wówczas wcisnął się w jakiś kąt mieszkania i przez długi czas nie ruszył się z miejsca. W parę dni potem przyszli krewni z Moncucco zabrać go z powrotem, lecz znowu wrócił stamtąd i czując się wolny skierował się do Sussambrino. Janek przyjął go z kijem w rękę; pies zamiast uciekać, położył się mu u nóg i przewróciwszy się do góry brzuszkiem, jakby mówił: Bij mnie ile chcesz, byleś mnie nie oddalał od siebie. Janek nie zbił psa i zatrzymał go przy sobie.

Tymczasem przyszła wiadomość, że Breve papieskie, pod datą 12 sierpnia powierzało monsignorowi Frasoni, biskupowi Fossano, zarząd archidiecezji turyńskiej. W którąś niedzielę września Janek słyszał jego pierwszy list pasterski odczytany z ambony, w którym mówiono, że nadeszły burzliwe czasy dla Kościoła.

Władze świeckie nakazywały, wbrew zarządzeniom kościelnym, odprawienie nabożeństwa żałobnego za pewnego lekarza, bezbożnika zmarłego w Annecy i zabraniały Jezuitom drukowania rubryceli, jeżeli nie umieści się w niej lekcji brewiarzowych wspólnych w miejsce tych własnych, rzekomo obraźliwych dla władzy świeckiej. Jakby bezwiednie sprzyjało się w ten sposób sekciarzom, którzy butnie realizując swe ciemne knowania, zorganizowali spisek chcąc obalić rząd w Sabaudii,

lecz na szczęście zostali rozproszeni przez oddziały królewskie. A w kwietniu policja aresztowała zwolenników nowego spisku pod przywództwem adwokata Anioła Broferio i innych. Ów list pasterski związany z osobą monsignora Fransoniego utkwiał w pamięci Janka budząc w nim zawsze serdeczne wspomnienia. Był on Słudze Bożemu ojcem, podporą, zaufanym przyjacielem przeznaczonym przez Opatrzność dla jego początkujących dzieł. Rzecz można, iż jeden był stworzony dla drugiego; pastuszek z Becchi podzielał te same idee, co i ów znakomity Genuieńczyk. Monsignor Frasoni wychowany w pałacach nie został Kapucynem na skutek sprzeciwu swego ojca markiza; przywdziawszy jednak suknię klerycką w 25 roku życia, wyświęcony na kapłana poświęcił się misjom ludowym w diecezji, przebiegając wiele parafii podgórskich w Ligurii z wielkim sukcesem dla dusz. Jeśli Janek nie został wtajemniczony w pełni w zamiary Boże, jednak nowy jego sen wydaje się mieć pewien związek z następującym zdarzeniem współczesnym.

Jako uczeń w Castelnuovo zawarł serdeczną przyjaźń z kolegą Józefem Turco, który go przedstawił swej rodzinie, posiadającej winnicę w sąsiedztwie posiadłości Sussambrino. Do tej winnicy lubił zachodzić często Janek jako do miejsca zaciszego. Wstępował na taras, skąd mógł doskonale widzieć wszystko w swojej i kolegi winnicy i będąc sam niewidoczny, czuwał, by ktoś nie zakradł się do winnic.

Ojciec Józefa Turco spotykając się często z Jankiem polubił go szczerze i pieczołtliwie gładząc go po głowie mawiał:

Odwagi Janeczku, bądź dobrej myśli, ucz się, a Madonna ci dopomoże.

Położyłem w niej całą ufność, odpowiadał Janek, lecz wciąż jestem zakłopotany, pragnąłbym studiować łacinę i zostać księdzem. Niestety moja matka nie ma środków na to. Nie obawiaj się, drogi Janku, zobaczysz, że Pan Bóg ci otworzy drogę.

Tak, ufam, kończył Janek i wracał na swoje miejsce zamyślony powtarzając swoje: ma, ma...

Za parę dni potem pan Turco wraz z synem ujrzeni go skaczącego wesoło po winnicy; gdy stanął przed nimi zdyszany, ojciec spytał go:

Co ci się stało Janku, że jesteś dzisiaj tak wesoły?

Dobra nowina, wykrzyknął Janek, tej nocy miałem sen, w którym dowiedziałem się, że będę kontynuował studia, zostanę księdzem i stanę na czele

wielu chłopców, których wychowaniem zajmę się do końca życia. Wszystko, więc pójdzie dobrze i wnet zostanę księdzem.

Lecz to był tylko sen, zauważył pan Turco i od słów do czynów droga daleka. Ach! Reszta niczym jest, zakończył Janek, Tak, wierzę teraz, że zostanę księdzem, będę miał mnóstwo chłopców pod opieką, będę mógł działać im wiele dobrego, to mówiąc uszczęśliwiony poszedł na swoje stanowisko.

Nazajutrz wracając z kościoła, gdzie służył do Mszy św., zaszedł do rodziny Turco. Pani Łucja, zawoławszy swych braciszków, z którymi on często się zabawiał, spytała go o powód radości. Janek odrzekł, że miał piękny sen. Opowiedział następnie, że widział Dostojną Panią, która mu przyprowadziła wielką trzodę owiec, a zawoławszy po imieniu rzekła:

Janku powierzam ci tę trzódkę pod opiekę!

A jakże zdołam paść i opiekować się tylu owieczkami i barankami? Gdzie znajdę dla nich pastwiska pod dostatkiem?

Wówczas owa Pani odrzekła:

Nie lękaj się, ja będę ci dopomagała.

Po tych słowach znikła. Przekazał nam to pan Turco i pani Łucja; harmonizuje to doskonale z treścią wspomnień osobistych Księdza Bosko, w których zaznaczył to następującymi słowami:

Mając lat 16 miałem inny sen. Osobiście jestem przekonany, że dowiedział się tam więcej rzeczy, o których zamilczał; sen ów był nagrodą zasłużoną za jego wytrwałą ufność. Opieka Matki Najświętszej w tymże roku okazała się już bardziej jawna.

Oto Małgorzata bolejąc nad tym, że syn stracił tak wiele cennego czasu, postanowiła wysłać go do Chieri i zapisać do gimnazjum na przyszły rok. Ze zwykłym uśmiechem powiadomiła go o swej decyzji i zaczęła przygotowywać potrzebną wyprawę. Janek spostrzegł, że miała z tym poważne kłopoty z braku środków, oświadczył, zatem matce:

Jeśli mama pozwoli, pójdę na wieś po kweście. Małgorzata zgodziła się. Wprawdzie wymagało to od Janka pewnego upokorzenia prosić o wsparcie dla siebie samego; lecz przewyciężył łatwo ten opór wewnętrzny. Były to pierwsze kroki na drodze, którą odtąd miał iść do końca życia.

„Im większy jesteś, pokorniej się we wszystkim zachowuj, a znajdziesz łaskę przed Bogiem”, mówi Mędrzec Pański. (Syr 3,20). Przyjął upokorzenie, dlatego Bóg go wywyższył.

Pukał, więc od drzwi do drzwi, przyjmowany wszędzie przez mamusię jak syn, a przez ich dzieci jak brat; przedstawiał swoją sytuację i dostawał żywność, ser, masło, mąkę, zboże. Jednak ta szczupła wyprawa nie była wystarczająca. Pewna niewiasta z Becchi publicznie wypowiadała żal, że chłopiec tak zdolny i lepiej przemawiający niż sami księża nie znajduje poparcia, by mógł się uczyć. Osoby słuchające tego zachęcały ją, by osobiście powiedziała to na plebani. Zaczyna kobieta usłuchała w prostocie tej rady i poszła na probostwo. Ksiądz, Dassano nie wiedząc o postanowieniu Małgorzaty, w przekonaniu, że Janek będzie kontynuował studia w Castelnuovo, wziął na serio tę sprawę. Przy sposobności odwiedził kilku bogatszych obywateli i zebrawszy pewną sumę pieniędzy przekazał ją Małgorzacie. Pomoc przyjęta została z wdzięcznością i posłużyła na zakupienie dla Janka potrzebnej wyprawy.

Równocześnie Małgorzacie leżało na sercu, by znaleźć uczciwą osobę, u której mogłaby umieścić swego syna na stacji. Za radą księdza proboszcza udała się do swej znajomej Łucji Matta, która również starała się zapisać swego syna do szkoły w Chieri. Czesne miesięczne wynosić miało 21 lir, ponieważ Małgorzatę nie stać było na tę sumę, Janek resztę miał uzupełnić swymi usługami, jak przynosić wodę, rąbać drwa, rozwieszać bieliznę itp.

Janek niezwłocznie udał się do ks. proboszcza po świadectwo moralności, czego domagał się regulamin szkolny. Przez to samo uczeń pozostawał w zależności od proboszcza, od którego opinii zależały również jego postępy w nauce. Oto racja, dla której ówczesni studenci odnosili się z szacunkiem do władzy kościelnej, dawali dobry przykład parafii będąc pociechą dla swych rodzin.

ROZDZIAŁ XXVIII

Wyjazd do Chieri; Życzliwość profesorów; Pierwsze klasy gramatyki; Anegdoty niełatwe do wytłumaczenia.

Janek pokonał szczęśliwie wszystkie próby, na jakie został wystawiony przez Opatrzność. Przebywając tu i tam poznał środowiska młodzieżowe wiejskie i miejskie. Obecnie dostał się do większego miasta, gdzie w otoczeniu młodzieży studenckiej i rzemieślniczej zorientuje się lepiej w swym przyszłym polu pracy. Długa i ciernista była to droga, lecz jakże owocna!

Janek jeszcze więcej odtąd pozna życie studenckie z jego kłopotami, brakami, przygodami, by nabrać hartu samemu, współczuć i dopomagać tym, którzy jak on weszli na drogę do kapłaństwa, krocząc nieustannie po ścieżkach ciernistych.

Istotnie życie studenta nie było tak łatwe jak za dni naszych, kiedy jest tyle szkół i internatów, gdzie młodzież z łatwością znajduje schronienie i utrzymanie nawet bezpłatnie.

Rodzice synów wiejskich kierujących się do kapłaństwa mieli poważny kłopot z wyszukaniem dla nich mieszkania. Nierzadko dwóch lub trzech zajmowało jeden pokój, czasem nawet dzielili wspólną nędzną pryczę na spanie. Pensję uiszczano w naturze, zbożu, winie, względnie godzono się na pewne usługi. Stołowano się u gospodarza dostarczając z domu, co tydzień żywność. Uczniowie, czyli żacy, przywozili ze wsi parę worków mąki, ziemniaków, soi, kasztanów i to miało służyć przez cały rok. Mieszkania nie były ogrzewane, gdyż opał był bardzo drogi. Ubożsi musieli uzupełniać braki bądź to przepisywaniem ksiąg, bądź korepetycjami; zajmowali się także innymi pracami służebnymi. My też ujrzymy Janka zajętego parę godzin dziennie pracami niezbyt sprzyjającymi nauce, by dopomóc matce w ponoszeniu poważnych wydatków. Stąd rozumiemy, dlaczego uczył się często w nocy lub pędził życie według jego wyrażenia, roztargnione; jeśli ma się na uwadze stąd wynikłe korzyści, należy uznać to za opatrznościowe.

Na Wszystkich Świętych od roku 1831, Małgorzata przywoziła Jankowi dwa korce zboża i pół korca prosa, by opłacił komorne.

Tylko tyle mogę ci dać, mówiła, o reszcie pomyśli Opatrzność. Pewien obywatel Jan Bechis w dowód swej życzliwości dla Janka podwoził mu furmanką umówione zboże dla gospodyni. Sam na własnych plecach dźwigał worek mąki i gryki, by sprzedać je na targu w Castelnuovo i opłacić tym wpisowe, kupić zeszyty, książki i przybory szkolne.

Józef odprowadził Janka, życząc mu pomyślności; matka towarzyszyła mu do Castelnuovo. Tam spotkali Jana Filippello, rówieśnika Bosko. Małgorzata miała coś do załatwienia w wiosce, dlatego prosiła o towarzyszenie synowi do Chieri, dokąd niebawem sama miała przybyć. Podróżowali, więc obaj dzieląc się swymi przeżyciami. Janek opowiadał, czego się sam nauczył i słyszał na kazaniach i nauce katechizmu, jak praktykował uczynki miłości bliźniego, snując pewne refleksje. Filippello pytał:

Udajesz się na naukę do kolegium, a sam już tyle wiesz? Chyba prędko zostaniesz proboszczem! Bosko spojrzawszy na niego bystro odpowiedział: Ja proboszczem?

A wiesz ty, co znaczy być proboszczem? Jakie ciążą na nim obowiązki? Gdy wstaje od stołu, winien spytać siebie: czy moje owieczki nie cierpią głodu? Co mu zbywa z jego potrzeb, winien oddać ubogim. Poza tym, jak wielka ciąży na nim odpowiedzialność. Ach drogi Filippello, ja bym nie chciał być proboszczem! Idę do szkoły, bo pragnę poświęcić swe życie młodzieży. Tak doszli niebawem do Chieri. Towarzysz podziwiał ducha, jakim był przejęty Jan. Kiedyś Ksiądz Bosko przypomni swemu byłemu koledze tę rozmowę pytając:

No powiedz, czy zostałem proboszczem?

Niebawem przybyła Małgorzata i złożyła gospodyni umówione produkty polecając jej opiece syna. Zrobiłam, co do mnie należało; Janek ze swej strony wywiąże się również i mam nadzieję, że pani będzie z niego zadowolona. I w duszy uszczęśliwiona pożegnała się z synem.

Miasto Chieri odległe od Turynu 16 km jest położone w kotlinie skłaniającej się ku południowi u stóp otaczających je łagodnych wzgórz. Osłonięte od wiatrów północnych ma cudowny klimat. Sześć bram prowadzi do miasta pełnego bogatych

pałaców, kościołów i klasztorów, kolegiów i zakładów dobroczynnych. Między innymi seminarium i kolegium miejskie mieszczące się w starożytnym klasztorze św. Klary. Miasto posiada dwie parafie: pod wezwaniem S. Maria della Scala oraz św. Jerzego. W czasach opisywanych miasto liczyło 9 tysięcy mieszkańców; w 20 fabrykach pracowało przy jedwabiu do 4 tys. pracowników, a w przędzalniach było zatrudnionych około 500 osób. Wyroby te słynęły jako najlepsze w całym Piemoncie. Na chłopcu wychowanym na wsi musiało to miasto zrobić wielkie wrażenie. Janek nie dał się pochłonąć widokiem nowości. Od dziecka zajmował pilnie czas na lekturę, tym bardziej obecnie, gdy zbliżył się do upragnionej mety, odsuwał od siebie te roztargnienia. Oto, co sam pisze:

„Pierwszą osobą, jaką spotkałem, był ks. Eustachiusz Valimberti. Podał mi cenne wskazówki, jak trzymać się z dala od niebezpieczeństw i przy każdej sposobności nie szczędził pożytecznych rad. On przedstawił mnie prefektowi szkoły i innym profesorom. Rok szkolny był już zaczęty. Ponieważ moje studia dotychczasowe były rozbieżne i nieuporządkowane, dlatego doradzono mi zapisać się do klasy szóstej, odpowiadającej obecnej wstępnej gimnazjalnej. Profesor T. Pignetti przyjął mnie z wielką uprzejmością i wprowadził w tryb szkolny; widząc moją dobrą wolę pomimo posuniętego wieku, zapraszał mnie często do siebie i nie szczędził niczego, co mogło mi dopomóc.

W klasie przewyższałem wzrostem mych kolegów. Pragnąc wydobyć się z tej sytuacji, po dwumiesięcznym pobycie w klasie szóstej zdałem egzamin i posunąłem się do klasy piątej. Po dwumiesięcznej nauce, jako prymus, wyjątkowo przeskoczyłem do klasy czwartej odpowiadającej drugiej gimnazjalnej.

Profesorem w tej klasie był pan Józef Cima utrzymujący żelazną dyscyplinę. Na widok nowego ucznia dorównującego mu prawie wzrostem, wyraził się: No ten chyba będzie albo wielki osioł, albo geniusz! Cóż ty na to?, Zwrócił się do mnie.

Coś pośredniego, panie profesorze: uczeń z dobrą wolą i chęcią postępu w nauce. Podobało się to profesorowi, który z niezwykłą dlań uprzejmością odrzekł: W takim razie jesteś w dobrym ręku; nie będziesz u mnie próżnować. Odwagi, jeśli spotkasz się z trudnościami, przyjdź do mnie, a ja ci dopomogę. Podziękowałem serdecznie i usiadłem w ławce.

Minęło parę miesięcy, gdy zaczęto o mnie mówić. Otóż w klasie profesor omawiał Agesilaosa z Korneliusza Neposa; owego dnia pech chciał, że zapomniałem podręcznik i żeby ukryć przed profesorem to przeoczenie, trzymałem na ławce gramatykę Donata. Słuchając profesora przewróciłem od niechcienia parę stron zwracając tym uwagę kolegów. Zaczęto podśmiewać się ze mnie, tak, iż zaczął się nieporządek.

Co jest? Co to znaczy? Irytował się profesor. Ponieważ wszyscy patrzyli na mnie, kazał mi zrobić konstrukcję i powtórzyć preparację tekstu. Wstałem, więc i trzymając Donata w ręku powtórzyłem z pamięci tekst słyszany, konstrukcję z preparacją zrobioną przez profesora. Gdy skończyłem, koledzy jak osłupiali, uderzyli w oklaski. Profesor dopiero wpadł w furję; po raz pierwszy zdarzyło mu się, że nie potrafił opanować klasy. Wymierzył mi policzek, którego uniknąłem schylając się; potem kładąc rękę na mego Donata spytał mnie o powód nieporządku. Podczas gdy tłumaczyłem się pokornie, koledzy krzyknęli: Bosko miał przed sobą Donata, a czytał jakby miał w ręku Neposa.

Profesor wziął mojego Donata, kazał mi jeszcze przeczytać dwa zdania, potem przechodząc od gniewu do zdumienia powiedział:

„Dla twojej szczęśliwej pamięci daruję ci twe zapomnienie, będziesz szczęśliwy, staraj się tylko posługiwać twą pamięcią do dobrego”.

W ciągu czterech lat gimnazjum, prócz wybitnej pamięci, zda się jakaś tajemnicza siła pomagała Jankowi w nauce. Tę opinię podzielali jego koledzy, którzy jeszcze opowiadali następujące fakty. Otóż pewnej nocy śnił, że profesor zadał wypracowanie w klasie, z tego i tego autora. Zbudziwszy się napisał to wypracowanie, to jest tekst łaciński i przetłumaczył przy pomocy pewnego kapłana swego przyjaciela. No i fakt faktem, że następnego dnia profesor zadał dosłownie ten temat wyśniony przez Janka. Ten nie posługując się wcale słownikiem, w krótkim czasie napisał wypracowanie, o którym śnił i wypadło mu bardzo dobrze ku zdumieniu profesora i współkolegów.

Innym razem oddał wypracowanie tak szybko, iż wydawało się profesorowi niemożliwym, by w takim krótkim czasie zdołał uporać się z tylu trudnościami gramatycznymi, dlatego przeczytał natychmiast jego wypracowanie. Stwierdziwszy, że było doskonałe, rozkazał mu przynieść wypracowanie na brudno. Janek podał je.

Ale oto nowe zdumienie: nauczyciel przygotował wspomniany tekst wieczorem dnia poprzedniego, a ponieważ wydawał mu się zbyt długi, podyktował tylko połowę, a u Janka w zeszycie znalazł je dosłownie całe. Jakże to się stało?? Chyba nie odpisał je w tak krótkim czasie, tym mniej zdołał wykraść z mieszkania profesora z powodu wielkiej odległości. Więc co?

Bosko wyznał całą prawdę: Wyśniłem je!! Dlatego utarła się o nim fama: il sognatore. Co do mnie, nie wydaję opinii o tych faktach, nie szukam ich tłumaczenia. W Oratorium istniała ciągła o nich tradycja. Sam Ksiądz Bosko zapytywany o to nie zaprzeczał; podawano o tym z ust do ust poza Oratorium. Historyk Księdza Bosko nie może przejść nad nimi do porządku, gdyż byłoby to samo, co pisać o Napoleonie, a pominąć któreś z jego zwycięstw.

Słowo: Ksiądz Bosko, jest korelatywne ze snami i gdyby te stronice zapomniały o nich, powstałyby tysiączne głosy byłych jego wychowanków pytające: A gdzie sny? A co dziwne, przez lat 60 ma się do czynienia u niego z tymi fenomenami. Po dniu pełnym trudów, projektów, myśli, skłoniwszy głowę na poduszkę wchodził w świat idei i widzeń, które go męczyły aż do świtu. Z tym przechodzeniem ustawicznym z jednego świata do drugiego żaden normalny człowiek nie dałby sobie rady; Ksiądz Bosko zaś był zawsze spokojnym i doskonałym kalkulatorem w swych pociągnięciach.

Mówi Księga Eklezjastyka: „Próżna nadzieja i kłamstwo są dla męża głupiego, a sny wynoszą nieroztropnych. Jako który chwyta cień i wiatr goni, tak i ten, który daje wiarę snom kłamliwym. Sny źle czyniącym są marnością. Nie przykładaj do nich serca swego, jeśli nie od Najwyższego zesłane jest widzenie. Wielu, bowiem w błąd sny wprowadziły i upadli mając nadzieję. Bez kłamstwa będzie spełnione słowo zakonu, a mądrość w ustach wiernego będzie wykonana” (34, 1-2; 5-8). To prawda. Lecz jest także prawdą, że Dobroć Boża w Starym i Nowym Testamencie oraz w życiu Świętych Pańskich, za pośrednictwem snów tajemniczych często dawała pociechy, rady, polecenia, groziła i zapewniała nagrodę tak jednostkom, jak całym narodom. Czy do tej klasy zaliczyć trzeba i sny Księdza Bosko? Powtarzam: nie do mnie należy sądzić, jest od tego, kto inny. Mówię tylko, że życie Księdza Bosko jest splotem zdarzeń tak dziwnych, że nie można nie uznawać w nim bezpośredniego działania Bożego, należy, więc odrzucić opinię, że był jakimś zaślepionym,

przesadnym i próżnym wizjonerem. Kto żył przy jego boku przez lat kilkadziesiąt, nie spostrzegł w nim najmniejszej chęci zyskania czci u swych podwładnych, pod pozorem, że jest obdarzony darami nadzwyczajnymi. Ksiądz Bosko był człowiekiem pokornym, a pokora brzydzi się kłamstwem. Jego opowiadania miały zawsze i wyłącznie na celu chwałę Bożą i zbawienie dusz, oraz były pełne prostoty, która przywiązywała do niego serca. Nie słyszeliśmy nigdy z jego ust czegoś nieprawdopodobnego i fantastycznego, co tchnęłoby przesadną nowością w wyjaśnianiu prawd wiary katolickiej. Ksiądz Bosko wspominając o tych snach wyrażał się często: Nazwijcie je snami, bądź przypowieściami, nadajcie jakąkolwiek inną nazwę, jak wam się podoba, mimo to jestem przekonany, że opowiadanie ich przynosi zawsze korzyść.

ROZDZIAŁ XXIX

Roztropność Janka w doborze przyjaciół; Dopomaga kolegom w nauce; Towarzystwo wesołości; Praktyki pobożne; Dobry spowiednik.

Duch Święty mówi: „Miej wielu życzliwych, a do porady jednego z tysiąca. Jeśli nabywasz przyjaciela, przez doświadczenie go nabywaj, a nie zawieraj mu łatwo. Bo bywa przyjaciel według czasu swego, a nie wytrwa w dzień utrapienia. I jest przyjaciel, który się obraca do nieprzyjaźni i jest przyjaciel, który nienawiść i swar oraz hańbę objawi. Jest też przyjaciel, towarzysz stołu i nie wytrwa czasu potrzeby. Odłącz się od nieprzyjaciół twoich, a bądź ostrożny z przyjaciółmi twymi”. (Syr 6, 6 – 13).

Janek kierując się roztropnością w doborze przyjaciół, instynktownie trzymał się powyższych norm, gdy się znalazł w otoczeniu sobie obcym w Chieri. Oto jak sam pisze:

„W pierwszych czterech klasach miałem sposobność obracać się wśród różnych kolegów. Zrobiłem sobie wśród nich podział na trzy kategorie: dobrzy, obojętni, źli. Tych ostatnich starałem się zawsze unikać, gdy ich poznałem. Z obojętnymi utrzymywałem stosunki tylko z potrzeby; z dobrymi przyjaźniłem się dorywczo, lecz ścisłą przyjaźń zawierałem tylko z najlepszymi, których wypróbowałem. Ponieważ nie znałem nikogo w tym mieście, dlatego początkowo nie miałem zaufanego przyjaciela i unikałem wszelkich okazji niebezpiecznych. Jedni chcieli mnie wciągnąć do teatru, drudzy namówić do jakiejś gry, inni do kąpania się, byli też tacy, co namawiali do kradzieży owoców z ogrodu lub pola. Jeden bezczelnik doradzał ukraść gospodyni pieniądze, by kupić sobie ciastek i słodyczy. Unikałem stanowczo ich towarzystwa, skoro spostrzegłem się, z kim mam do czynienia. Ogólnikowo wymawiałem się, że moja matka oddała mnie na mieszkanie do gospodyni i ponieważ ją szanuję, nie pójdę nigdzie i nie uczynię nic bez jej zgody”.

Z tym posłuszeństwem pani Łucji dobrze wyszedł nasz Janek także pod względem materialnym, ona, bowiem widząc, że chłopiec jest rozumny, pobożny

i solidny pod każdym względem, powierzyła mu w opiekę własnego syna. Był to chłopiec bardzo żywy, gonił stale za rozrywkami i nie przykładał się do nauki. Prosiła, więc Janka, by mu udzielał korepetycji, pomimo że był o klasę niżej od niego.

Janek zajął się chłopcem jak własnym bratem. Uprzejmym obejściem i ciągłym obcowaniem z nim potrafił tak wpłynąć na niego, że stał się posłusznym, pobożnym i pilnym w nauce do tego stopnia, że z roztrzępianca stał się jednym z najlepszych uczniów w klasie.

Gospodyni ucieszona darowała Jankowi całkowicie komorne, nie licząc wikt; skutkiem, czego mógł te pieniądze obrócić na własne potrzeby. Tak trwało dwa lata. Skromny pastuszek stał się niebawem wychowawcą innych chłopców; oto jak Opatrzność wdrażała go w przyszłą misję. Będzie przez to nabywał wiedzy i doświadczenia. Aktywność jego była niewyczerpana. W chwilach wolnych, gdy inni bawili się wesoło, on oddawał się pracom ręcznym. Znalazłszy się w jakimś warsztacie stolarskim u sąsiadów, nauczył się strugać, piłować, obrabiać drewno, posługiwać się młotkiem i piłą. Potrafił zrobić wiele rzeczy prostych, lecz praktycznych w użyciu.

Niektórzy koledzy obrażeni o to, że od nich stronił, płatali mu złośliwe żarty, często nawet prowokacje, na które Janek nie zwracał uwagi. Jego dobroć i uprzejmość pozyskała mu tak dalece zaufanie, że wielu prosiło go o pomoc w nauce, niedbali zaś chcieliby odpisać od niego wypracowanie. Janek godził się, rzecz ta jednak nie podobała się profesorowi, który mu zabronił tego stanowczo, gdyż fałszywa ta dobroć popierała ich lenistwo. Zdarzyło się raz, że koledzy na stacji nie napisali wypracowania i prosili go, by im pokazał swoje. Janek chcąc być posłusznym profesorowi i nie dopuścić do tego, by spotkała ich kara za to, zostawił swój zeszyt na stole i wyszedł. Koledzy porwali mu zeszyt i odpisali wypracowanie. Nauczyciel, przeglądając wypracowania stwierdził, że niektóre były całkiem identyczne. Naturalnie podejrzenie musiało paść na Janka, który stanowczo zaprzeczył swojego udziału. Nauczyciel znając dobrze jego cnotę zadowolił się jego tłumaczeniem.

Próbował inną drogą dopomagać kolegom wyjaśniając im napotkane trudności. Wielu z nich przygodnie gromadziło się u niego jak dawniej w Morialdo i Castelnuovo. Tego rodzaju schadzkom nadano nazwę „Towarzystwo wesołości”. Nazwa zresztą całkiem uzasadniona, gdyż każdy winien starać się o książki,

prować rozmowy, organizować rozrywki, które by przyczyniały się do ogólnej wesołości. Wygnana była melancholia i w ogóle wszystko, co sprzeciwiało się Przykazaniom Bożym. Za przekleństwa, wzywianie na próżno Imienia Bożego i złe rozmowy wydalano z Towarzystwa. Za zgodą wszystkich przyjęto jako statut stowarzyszenia dwa następujące punkty:

1. Członkowie Stowarzyszenia winni stanowczo unikać wszystkiego, co niegodne chrześcijanina.

2. Dokładnie wypełniać obowiązki religijne i szkolne.

Wśród członków Towarzystwa Wesołości znaleźli się niebawem doprawdy wzorowi chłopcy. Między nimi zasługują na wzmiankę: Wilhelm Garigliano z Poirino i Paweł Braja z Chieri. Ten ostatni, urodzony w 17.VI.1820 r. jako syn Filipa i Katarzyny z domu Cafasso, od młodości wychowywał się pod opieką swego stryja ks. kanonika Jacka Braja. Później uczęszczał do gimnazjum miejskiego znany wszystkim i przykładowy w nauce i cnocie. Odznaczał się niezwykłymi zdolnościami, a przy tym wyjątkową roztropnością. W dziesiątym roku życia nosił się już z zamiarem wstąpienia do seminarium. Razu pewnego za zachętą krewnych nauczył się przemówienia i wygłosił je ku podziwowi obecnych zyskując opinię utalentowanego mówcy. A oto, co pisze Ksiądz Bosko na ich temat:

Garigliano i Braja byli zawsze pierwsi na tych zebraniach. Obaj pobożni dawali mnie zachętę i przykład. Udawaliśmy się nieraz do kościoła OO. Jezuitów na katechizm świetnie prowadzony. W ciągu tygodnia zebranie odbywało się w mieszkaniu któregoś z członków. Wstęp był swobodny dla każdego. Garigliano i Braja byli zawsze obecni.

Na zebrania składały się swobodne dyskusje, lektura, książki, udzielano sobie wzajemnych upomnień praktykując w ten sposób owo wzniosłe zdanie: „Szczęśliwy kto ma przyjaciela, który go upomina” oraz owo Pitagorejskie :

„Nie mając przyjaciela, który by was upominał, zapłaćcie nieprzyjacielowi za oddanie wam tej przysługi”.

Mówi również Duch Święty:

„Lepsza jest jawna nagana niż miłość tajemna. Lepsze są rany od miłującego, niż zdradliwe pocałunki od nienawidzącego”. (Przyp 27,5). Prócz tego zwykliśmy uczęszczać na kazanie, wspólnie odbywać spowiedź i przyjmować Komunię św.

Należy wspomnieć na tym miejscu, że religia w owych czasach zajmowała poczesne miejsce w wychowaniu młodzieży. Profesor, który nawet z daleka wyraził się mniej pochlebnie o religii, był wydalany z posady.

W internatach codziennie słuchano Mszy św. Przed lekcjami i po lekcjach odmawiano wspólną modlitwę, w sobotę było przepisane odczytanie wyznaczonej lekcji katechizmu, wraz z Litanią Loretańską po lekcjach.

W dni świąteczne uczniowie uczestniczyli we Mszy św. z homilią. Po niesporach była nauka katechizmu z jego odpytywaniem.

Przystępowanie do sakramentów św. było zalecone. Dla kontroli przynoszono co miesiąc bileciki z odbytej spowiedzi miesięcznej i rocznej około Wielkanocy. Kto nie dopełnił tego obowiązku, nie był dopuszczony do egzaminu końcowego, choćby był najlepszym uczniem.

Odprawiano triduum przygotowawcze do świąt Bożego Narodzenia z dwoma kazaniem dziennie, słuchaniem Mszy św. i odmawianiem Officium Parvum. W czasie Wielkiego Postu uczniowie winni brać udział w nauce katechizmu, który się odbywał przed lekcjami. Rokrocznie odbywały się 3 dniowe rekolekcje zakończone Komunią generalną wielkanocną. Uczniowie winni byli przedłożyć zaświadczenia z odbycia tych rekolekcji.

Taki był regulamin nauki w szkołach państwowych średnich, na podstawie dekretu królewskiego z 1822 r. Wychodziło się z zasady, że szkoła winna być religijna, gdyż Bóg jest fundamentem wszelkiej wiedzy i moralności. Nauka odbywała się pod nadzorem biskupa, nauczyciele zaś winni byli rokrocznie uzyskać świadectwo od własnego arcybiskupa o nienaganności obyczajów i należywym wypełnianiu swych obowiązków zgodnie z pożytkiem Kościoła i państwa. Młodzież była chroniona od zgorszenia, którego okazji spotyka się dziś na każdym kroku.

Król Karol Albert próbował położyć tamę niereligijności i niemoralnej prasie, która zalewała kraj od jakiegoś czasu. We wrześniu 1831 r. wyłoniono komisję złożoną z 5 członków, z obowiązkiem czuwania nad tym, by nie dopuszczano tej zgubnej propagandy na teren królestwa.

Nauczyciele czuwali pilnie nad lekturą uczniów. Pisze Ksiądz Bosko: „Surowa karność religijna przynosiła swe owoce. Nie słyszano od lat bluźnierstw i złych rozmów między uczniami. Młodzież była posłuszna i dobrze wychowana, taki też duch utrzymywał się w rodzinach. Na ogół wszyscy otrzymywali promocje. Szczęściem było dla mnie, że zyskałem dobrego spowiednika w osobie księdza Maloria, kanonika kolegiaty w Chieri. Przyjmował mnie zawsze z dobrocią zachęcając do komunikowania się częściej. A była to w owych czasach rzecz doprawdy rzadka. Nie przypominam sobie, by którykolwiek z nauczycieli doradzał to uczniom. Kto przystępował do spowiedzi i Komunii św. częściej niż raz w miesiącu, to już uważano za bardzo wiele. Wielu spowiedników tego wzbraniało. Zawdzięczam wiele memu ojcu duchownemu, że nie dałem się pociągnąć moim kolegom do pewnych nieporządków, czego tak wielu uczniów żałuje w kolegiach.

ROZDZIAŁ XXX

Janek apostołuje wśród kolegów; Przechadzki wakacyjne; Nabożeństwo do Madonny; Stosunek do rodziny; Śmierć Pawła Braja; Wakacje w Castelnuovo.

Janek przykładem swym pociągał do sakramentów św. nie tylko członków stowarzyszenia studenckiego, ale i innych kolegów. W dni wolne od zajęć szkolnych urządzał dla nich rozrywki dając popisy zręcznościowe, którymi tak się zachwycali. Doprawdy cieszył się u nich niezwykłą wziętością, tak, iż wprost za nim przepadano. Urządzali sobie wycieczki poza miasto, odwiedzając starożytne kościoły z obrazami Matki Boskiej. Okolica była urocza, toteż przechadzki były dłuższe, czasem aż do obiadu. Zapuszczano się też aż pod Supergę zbierając po drodze grzyby, których tu było pełno. Nawoływali się z załomów skalnych, hukali, śpiewali zapamiętałe. Jeden napełniał kapelusz grzybami, drugi wkładał je do rękawów surduta związanych sznurkiem, ów kładł je sobie za pazuchę. Wracali zdrowo zmęczeni, lecz weseli z apetytem większym od Eskimosa.

Niekiedy strzeliło im do głowy zajść aż do Turynu, by oglądać konia ulanego z brązu na placu św. Karola lub jego marmurową postać u stóp schodów pałacu królewskiego. Wyruszali z Chieri z kawałkiem chleba w kieszeni, a buńczucznie jakby na podbój świata. Przybywszy do Turynu kupowali sobie za parę groszy kanapki. Szli na plac, obejrżeli statwę, potem zwiedzali kościół i wracali z powrotem zadowoleni. Tak niewiele doprawdy trzeba, dla rozweselenia dusz niewinnych!

W bieżącym roku dwakroć ściągały pobożne tłumy do stolicy Piemontu. Po raz pierwszy 1 kwietnia, gdy nowy arcybiskup Alojzy Fransoni odbywał swój ingres do katedry. Drugi raz, gdy wracała do świątyni Consolaty srebrna statua Madonny z Dzieciątkiem, którą król Karol Feliks na koszt własny kazał artystycznie pozłocić, a dla której królowa matka Maria Krystyna ofiarowała dwie złote korony. Co za wspaniały widok, gdy wspomniana statua ukazała się oczom pobożnego ludu w promieniach słońca w czasie procesji, którą dotąd się urządza.

Zaiste, nie mogło na niej brakować Janka. Wszak nie zapomniał nigdy o danym sobie poleceniu matki:

„Bądź nabożny do Matki Najświętszej”.

Sam przecież opowiada, jak mu drogą była ta świątynia Matki Bożej Pocieszenia. Dlatego też w Chieri ulubionym jego kościołem była Santa Maria della Scalla popularnie zwana Il Duomo, ze względu na obszerność i wspaniałość trzech naw, być może najobszerniejsza ze wszystkich katedr piemonckich, w otoczeniu wieńca 22 kaplic. Tam właśnie pod wspaniałymi łukami gotyckimi widzieć można było codziennie Janka, jak klęcząc pobożnie modlił się przed ikoną bizantyjską NS delle Grazie, składając Jej hołd synowski i prosząc o łaski potrzebne w wypełnieniu misji, jaką Ona sama mu wskazała. Dopóki znajdował się w Chieri, zachowywał wiernie tę praktykę. Nie małym bodźcem do nawiedzenia katedry było widzenie się z klerykiem seminarzystą Józefem Cafasso, którego zastawał przy funkcjach liturgicznych i nauczaniu katechizmu dzieci. W miesiącu maju składał jakby kwiaty u stóp Madonny, przyprowadzając gromadę chłopców do spowiedzi, gdzie służyło w konfesjonale 10 kanoników, wśród których był też jego spowiednik.

Wywierał szczególny czar na otoczenie swą skromnością. Umiarkowanie w pokarmach, poskramianie zmysłów, zwłaszcza oczu, było w nim takie, że stawiano go za wzór. Pobożne matki w Chieri, podobnie jak te w Morialdo, Moncucco i Castelnuovo ubiegały się, by ich synowie należeli do jego towarzystwa, a skutek był widoczny w ich lepszym sprawowaniu się.

Wśród swych zajęć nowych Janek nie zapominał jednak o swej rodzinie. Względem Antoniego, który w tym roku pojął żonę, nie tylko nie czuł żadnego żalu, lecz życzył mu jak najlepiej.

Już wyżej wspomnieliśmy, że często śnił. Otóż pewnego razu widział we śnie, że Antoni piekł chleb w zagrodzie Damevino, obok swego mieszkania, przy czym dostał być może gorączki, dlatego zagadnięty (we śnie) przez Janka odrzekł: Bierze mnie febra, nie mogę ustać na nogach, muszę się położyć. Opowiedział ten sen nazajutrz kolegom, którzy podchwytując go rzekli: Na pewno tak jest jak mówisz. I rzeczywiście tak było. Bo pod wieczór przybył do Chieri brat Józef, którego pytał Janek: Jak się ma Antoni? A ten zdziwiony odpowiedział:

Co, wiesz już, że jest chory?

Tak, wiem, odrzekł Janek.

Myślę, że nic poważnego, dodał Józef, chwyciła go wczoraj gorączka, gdy piekł chleb w gospodarstwie Damevino, ale ma się już lepiej.

Nie przykładając wielkiej wagi do tego snu dodamy, że był świadectwem jego szlachetnych uczuć, gdyż zawsze spieszył, w miarę możliwości, z pomocą rodzinie, jak poświadcza ksiądz Rua.

Małgorzata często udawała się do Chieri przynosząc w kobiałce chleb i mąkę dla syna. Nieraz towarzyszył jej Bracco. Pies łasił się w tysiączne sposoby przed dawnym panem, a gdy mama Małgorzata odchodziła, próbował się ukryć, by pozostać z nim na stałe.

Popatrz, popatrz, mówiła, co za wierność u tego pieska i przywiązanie do swego pana. Gdybyśmy, choć połowę tego mieli względem Pana Boga, jakże lepiej postępowałyby sprawy na świecie, ileż chwały przysporzyłoby się Panu Bogu!

Wyglądało, że w tym roku obejdzie się bez przykrości dla Jana, lecz niestety, musiał on przeżyć bolesną stratę jednego ze swych najdroższych towarzyszy, nazwiskiem Paweł Braja. Był to doprawdy wzór pobożności, cichości, żywej wiary. Po długiej, przykrej chorobie, zaopatrzony Wiatykiem św. oddał duszę Bogu, by cieszyć się towarzystwem św. Alojzego, którego wiernie naśladował w swym życiu. Wielu profesorów, wśród nich kanonik Clapie, odwiedziło go w czasie choroby. Młodzież wzięła gremialny udział w jego pogrzebie. Wielu idąc w ślady Janka, w ciągu wakacji ofiarowało za niego Komunię św. Był opłakiwany przez wszystkich: rodziców, przyjaciół, nauczycieli, współpracowników. Jeden z nauczycieli dowiedziawszy się o śmierci zapłakał rzewnie:

„Nigdy nie płakałem nad niczym zgonem, obecny jednak wyciska mi łzy!”.

Tymczasem rok szkolny 1831/32 zbliżał się ku końcowi i Janek wracał do Castelnuovo. Koledzy jego z Morialdo utrzymując z nim kontakt przez odwiedziny, na wieść, że przyjeżdża na wakacje, przybiegli na powitanie w triumfie prowadzili do domu matki. Tak już było przez następne lata. Również wśród nich założył swą Societa dell`Allegrìa, przyjmując tych, co wyróżniali się wzorowym sprawowaniem, a z którego katalogu wykreśleni byli ci, co sprawowali się źle, przeklinali, prowadzili złe rozmowy itp.

Janek wróciwszy do domu czuł potrzebę uzupełnienia pewnych braków w studiach. Nie był on z tych, co siedzą na laurach zatrzymując się w połowie drogi. Chciał ugruntować swą wiedzę, by wiedzieć, na czym stoi. U innych trzy kursy przerobione w ciągu jednego roku byłyby sukcesem ponad miarę; on zaś deliberował nad tym, czy czegoś nie przerobił po łebkach. Nie można było rozstrzygnąć tego, czy Janek składał egzamin z trzeciej klasy przed czy po feriach wakacyjnych. Mam przed oczyma cenzurkę jego z roku 1832/33 i czytam pod datą 5 listopada 1832 r., że Jan Bosko zdał egzamin i promowany został in albo studiosorum grammatices. Ale czy jest to data egzaminu, czy wystawienia świadectwa?

Jakkolwiek było, Janek udzielając innym korepetycji, czuł obecnie sam ich potrzebę. Przedstawił to matce, że chciałby uczęszczać do Serra Buttigliera do księdza Józefa Vaccarino, by przerobić z nim niektórych autorów klasycznych. Lecz ksiądz Vaccarino świeżo objąwszy posadę odmówił. Później będzie tego żałował wobec swego parafianina D. Gamba:

„O gdybym wówczas odgadł zamiary Opatrzności względem tego młodzieńca, zapewne przyjąłbym miłą propozycję kosztem jakiegokolwiek ofiary i wtedy mógłbym się pochwalić: Miałem szczęście być nauczycielem Księdza Bosko!”

Jednak doznawszy zawodu wrócił do chaty w Sussambrino i samodzielnie pokonywał trudności literackie. Ksiądz Dassano razu pewnego widział go z książką przy krowach. Wiedział, że Janek potrzebował korepetycji. Przystanąwszy zagadnął go na temat tego, co czytał; zdziwiony był słysząc, jak doskonale czytał po łacinie i tłumaczył autora. Wstąpiwszy, więc do matki rzekł:

„Przyprowadźcie mi waszego Janka na plebanię, chcę z nim pomówić”.

Nazajutrz matka poszła z nim do proboszcza. Ten pokazawszy mu otwartą przypadkowo stronicę z jakiegoś autora kazał przyjść za parę dni i zdać to na pamięć. Jakież było jego zdumienie, gdy Janek niebawem zjawił się z powrotem. Pyta więc w jakiej sprawie przychodzi. Dowiedziawszy się, że chciałby zdać lekcję początkowo nie chciał wierzyć. Ale gdy Janek nastawał, wysłuchał jak te recytował z pamięci bez zająknięcia się parę stronic tekstu. Dobrze, odpowiedział ks. Zassano, będziesz miał ze mną lekcje, jeśli zgodzisz się oczyścić konia i zająć się stajnią. Na to obecny wikary: Ja mu będę udzielał lekcji; spodziewam się po tym młodzieńcu bardzo wiele!

Odtąd Jan stawiał się punktualnie każdego rana i pobierał lekcję u tego kapłana wykształconego doskonale w literaturze włoskiej i łacińskiej oraz spełniał obowiązki stajennego. Także tu nie znał, co znaczy próżnowanie. Gdy koń był wolny od zaprzęgu, wyprowadzał go na pastwisko, czasem puszczał się z nim galopem i w biegu wskakiwał na grzbiet; potrafił w biegu stanąć na nogi. To była jego jedyna rozrywka. Resztę czasu poświęcał na studia. Urządzał także rozrywki świąteczne dzieciom czy to w Sussambrino, czy w Becchi prowadząc je na praktyki religijne. W czasie wakacji, oświadczał pan Filippello, widziało się go często w kościele w Castelnuovo przystępującego do sakramentów św. Był wówczas poważny i kochany przez wszystkich bardziej niż mogę to wyrazić słowami.

Do Jana można by zastosować słowa Księgi Przypowieści: „Lepsze jest dobre imię niżli bogactwa; łaska nad srebro i złoto”. (Przyp 12,1).

ROZDZIAŁ XXXI

Jan wraca do Chieri i zapisuje się do klasy gramatyki; Wzięcie u profesorów i kolegów; Jego pokora; Korepetycje dla uczniów w Chieri; Przyjęcie Sakramentu Bierzmowania; Egzamin końcowe; Szkoła niedzielna w Morialdo; Prymicje ks. Cafasso.

Nadszedł nowy rok szkolny. Jan wraca na stację do Chieri i jak poprzednio, zajmuje się synem gospodyni zwolniony z pensji za utrzymanie. Przedstawił w kolegium zaświadczenie od proboszcza, że uczestniczył w nabożeństwach i przystępował do spowiedzi raz w miesiącu, jak przepisywał regulamin szkolny. Z dobrymi promocjami rozpoczynał klasę gramatyki odpowiadając naszej trzeciej gimnazjalnej. Nauka szła mu wspaniale. Poświadczali to księża: kanonik Franciszek Calosso i ks. profesor Jan Bosko z Chieri, później doktor filozofii na uniwersytecie królewskim, wobec księdza Jana Cagliero. Miał za profesora O. Dominika Giusiana dominikanina, którego był ulubieńcem. Dr Karol Allora z Castelnuovo d'Asti jego kolega szkolny, wspominał jak Jan Bosko nie wynosił się z powodu swoich zdolności, nie było w nim śladu chępliwości, czy miłości własnej, przebijało żeń jakby coś nadprzyrodzonego, gdyż wszyscy go poważali i słuchali.

Fin da quei tempi era un santo!, wołał z emfazą. Przy swych cnotach był przecież zawsze taki skromny. Otóż w tym roku pewien kolega porwawszy mu zeszyt odpisał jego sonet i zmieniawszy parę słów puścił między kolegami, jakby to był jego utwór własny. Gdy po paru dniach trafił on do rąk Jana, ten milcząco napisał pod nim notatkę: Est ne de sacco ista farina tuo?, i wrócił koledze.

Gdy poznano w Chieri zalety Jana, wiele rodzin na wyścigi ubiegało się, by udzielał ich synom korepetycji, nie tylko z niższych klas, lecz nawet z retoryki i humanistyki. W taki sposób uczył wielu chłopców w domach prywatnych. Głównym celem było czynić dobrze, choć przy tym nie odmawiał przyjęcia skromnych datków, które mu posłużyły na pokrycie wydatków na odzież, bieliznę, przybory szkolne i inne potrzeby, bez obciążania rodziny. Zewsząd zapraszano go, by produkował się ze swymi sztuczkami, przyjmował to niekiedy bez uszczerbku dla swych obowiązków szkolnych. Słyszeliśmy opinię od jednego kolegi z owych czasów:

„Był on taki miły, że doprawdy nie można sobie wyobrazić kogoś sympatyczniejszego! Wśród kolegów był wyrocznią, rzecznikiem zgody i mistrzem w udoskonaleniu się własnym, co uskuteczniał szczególnie za pomocą swej Societa dell'Allegra”.

Kończył rok 18, a nie był dotąd bierzmowany. W owych czasach niezbyt często udzielano tego sakramentu, zwłaszcza po wsiach. W owym roku gorliwy pasterz ks. Vaccarini postarał się dla swych parafian o tę łaskę. Jan pospieszył, więc do swej parafii, by otrzymać go z rąk arcybiskupa Sassari Jana Antoniego Gianotti. Świadcami mu byli: pan Józef Marsano i hrabina Józefina Melina. Nie doszły nas wiadomości, co do bliższego przygotowania się do tego aktu.

Z końcem roku szkolnego wizytował szkoły w Chieri zasłużony pedagog profesor Józef Gozzani. Samo imię jego było postrachem dla uczniów, gdyż znany był jako nieubłagany pedant. Na wieść o tym w szkole zawrzało, padały nawet przekleństwa pod jego adresem. Pan Gozzani tym razem zebrawszy uczniów zapewnił, że będzie ich traktować dobrze i sprawiedliwie. Potem podyktował tematy wypracowań pisemnych i zebrawszy zeszyty odjechał do Turynu. Stąd posłał oceny zgoła inne, niż się spodziewano. Koledzy Janka wszyscy zostali promowani do wyższego gimnazjum. Sam on jednak naraził się na niebezpieczeństwo zdyskwalifikowania za to, że podał drugim wypracowanie. Jeśli tak się nie stało, zawdzięcza to swemu profesorowi O. Dominikowi Giusiana, który wystarał się mu o nowy temat i ten sam zapewnił promocję. Względem swego profesora zachował wdzięczność na całe życie, pozostając z nim w zażyłych stosunkach. Ten później już jako emeryt ufundował miejsce bezpłatne w Salezjańskim Kolegium w Alassio dla kandydata do kapłaństwa.

Istniał podówczas chwalebny zwyczaj, że magistrat darował czesne tytułem premii najlepszemu uczniowi w każdej klasie. Należało w tym celu otrzymać wszystkie stopnie celujące wraz ze sprawowaniem. Nasz Jan korzystał zawsze z tej nagrody. Posiadamy w archiwum świadectwo promocyjne z 1833 r., z podpisem O. P. Sibilla, prefekta szkoły stopnie za półrocze świadczą o jego postępach w naukach i wzorowym zachowaniu się.

Z końcem roku szkolnego 1832/33 syn pani Łucji skończył studia, a Jan niebawem opuścił ten dom gościnny, gdzie otrzymał tyle dobrodziejstw, pozostawiając po sobie jak najlepszą opinię.

Jan wróciwszy do Sussambrino zastał w mieszkaniu nową osobę, żonę brata Józefa, bardzo zacną, która była dla mamusi Małgorzaty tym, czym ona sama względem swej babki. Dlatego częściej odtąd przebywał w Becchi, gdzie w dni świąt gromadził chłopców ze wsi ucząc ich katechizmu, czytania i pisania, żądając za zapłatę, by przystępowali, choć raz w miesiącu do spowiedzi. Widzimy tu początki owych szkół wieczorowych i niedzielnych, urządzanych dla biednych synów ludu w Oratorium w Turynie. W dni powszednie zaś rozczytuje się w swych autorach klasycznych, resztę zaś czasu poświęca na sporządzanie różnych sprzętów, których brakło w domu. Wykorzystuje też umiejętność szewską nabytą w Chieri w owym roku, a choć nie szył nowych butów, za to znakomicie naprawiał podarte. W ten sposób zaoszczędził wiele wydatków. Tak, więc pracownia jego składała się ze stolarni, krawczarni, kowalstwa i szewstwa.

Wspomniane wakacje upamiętniły uroczystością prymicji księdza Józefa Cafasso rodaka z Castelnuovo, który tamże odprawił swą pierwszą Mszę św. Jan musiał doznawać uczucia św. zazdrości na widok młodego kapłana wstępującego do ołtarza, tym więcej, że pragnął z nim utrzymywać zażywszy kontakt, lecz wciąż nowe przeszkody stawały na drodze. Ale gdy po Mszy św. wstępował, by ucałować dłoń kapłańską, myślę, że wzrok owego neoprezbitera powiedział mu wszystko i że stanie mu za ojca, przyjaciela, doradcę i nieustannego dobroczyńcę. Jan wówczas nie przewidywał w pełni perspektyw owej przyjaźni, która ich miała połączyć.

Ksiądz Cafasso, pisał Ksiądz Bosko w roku 1866, powziął następujące postanowienia w dniu swych prymicji kapłańskich, zanosząc je do stóp Ukrzyżowanego: „Dominus pars hereditatis meae”. „Ciebie, Panie, wybrałem swą częścią, rozkoszą, moim życiem”; „Deus cordis mei et pars mea, Deus in aeternum”. „Nie tylko, o Boże, chcę być twoim, lecz pragnę zostać świętym”; a że nie wiem, jak długo będę żył, dlatego oświadczam zdecydowanie, że chcę zostać świętym i to szybko. Niech świat szuka próżności, przyjemności, zaszczytów, wielkości; ja z nich rezygnuję, nic innego nie pragnę jak zostać świętym, szybko świętym i wielkim świętym”.

Dotrzymał tych słów. Takie było życie i studium kapłańskie księdza Cafasso, z którego czerpali Ksiądz Bosko i setki innych kapłanów siły do walki, którą sekty wytoczyć miały ołtarzowi i tronowi.

Szczególnie rewolucyjne hasła podnosił tajny związek La Giovine Italia, założony przez Mazziniego Józefa i propagowany za pomocą pisma noszącego ten sam tytuł.

Dziennik *Gazetta Piemontese* odsłaniał kulisy masońskiej propagandy pisząc m.in.:

„Sztandar niepodległości włoskiej winien załopotać na ołtarzach, tak jak paschał i na wieżach kościołów parafialnych; bez tego żaden idiota nie przyłączy się do nas. Natomiast, gdy poczciwy proboszcz zareklamuje nas z ambony, zwycięstwo jest pewne. Trzeba pamiętać na przykład Hiszpanów w wojnie niepodległościowej. Na naszych sztandarach niech sobie widnieje Chrystus, a w ręku księży Ewangelia; poza tym wszystkie wody zatrute, skażona ziemia, by zginął nieprzyjaciół. Poprzeciagać liny, by przeszkodzić kawalerii, podminować mosty i drogi, zabarykadować miasta, lać z góry wrzący olej i wodę, zrzucić z okien płonące głownie, ogień i żar, wezwać z głębi czeluści wszystkie klęski pomnożone o nowe wynalazki, a jeśli można, samego nawet księcia piekielnego!”.

Pomimo pilnego nadzoru policji, propaganda szerzyła się wśród ludu, młodzieży, zwłaszcza uniwersyteckiej i wśród wojska. Zapadło wiele wyroków; w 1833 r. Rada wojenna w Turynie wydała wyrok śmierci na adwokata Scovazzi i Cariolo z Saluzzo, winnych podburzania obywateli przeciw rządowi oraz 6 wojskowych winnych zdrady państwa; również w Chambery zapadły wyroki śmierci; w Genewie pewien lekarz skazany w więzieniu odebrał sobie życie; krew połała się w Aleksandrii i innych miastach Piemontu. Wyroki powyższe nie zdołały wykorzenić tajnych organizacji, lecz zepchnęły je w podziemie, skąd nadal rozniecały ferment. Jako ośrodek działań przeciw Rzymowi i Kościołowi wybrano Piemont.

Rząd zabezpieczał się, lecz siła materialna nie wystarczała. Nadto hołdował wewnętrznie cesaropapizmowi. W jaki sposób utrzymać własny autorytet, gdy się nie dochowuje wierności najwyższego autorytetu Jezusa Chrystusa ujawniającemu się w Kościele?

W roku 1832 na wniosek króla Karola Alberta ustanowiona została, na postawie listów apostolskich Delegacja Apostolska względnie Rada Episkopatu odnośnie uporządkowania spraw Kościoła w Piemontcie. Za zgodą i przy pomocy króla ufundowano sławną akademię na Superdze, w której mieli specjalizować się w najwyższych studiach księża po skończonej teologii i fakultecie prawa kanonicznego; zreorganizowano prowincje zakonne, zniesiono niektóre klasztory, gdzie podupadła dyscyplina zakonna; przywrócono obserwancję przepisów kanonicznych, usunięto pewne nadużycia, jakie wtargnęły się w życie kleru. Proponowano poddać wychowanie kleryków nadzorowi biskupa, ufundować małe seminaria, otworzyć szkoły publiczne z pozostawieniem uniwersytetom jedynie wydziałów prawa, medycyny, chirurgii, sprowadzić Braci Szkół Chrześcijańskich, Siostry Józefitki i Szarytki. Cóż, kiedy uchwały wspomniane napotkały na opór senatu piemonckiego, który odmówił ich zatwierdzenia i wprowadzenia w czyn.

W 1835 r. Komisja Cywilna dla kontroli książek nie chciała podlegać recenzentom kościelnym. Wprawdzie nie zezwalała na druki propagujące bezbożność i niemoralność; wzbroniła jednak głosić, że biskupi podlegają Stolicy Apostolskiej; Dyskryminowała autorów zwalczających idee gallikanizmu i podtrzymujących prawa Stolicy Apostolskiej, tolerowała zaś autorów sprzyjających modernizmowi tak w dziedzinie polityki jak religii, utrudniając szerzenie książek zwalczających tego rodzaju błędy.

Król Karol Albert z przekonania religijny, praktyczny, o wzniosłych poglądach monarcha, wypełniał praktyki religijne, brzydził się pochlebstwem; mimo to stosował półśrodki, aspirując do zjednoczonej Italii, nie miał odwagi zerwać z sekciarzami, z którymi związał się od młodości. Mianował ministrami De la Tour, później Solaro La Margherita, szczerych katolików, co nie przeszkadzało mu wprowadzić do gabinetu liberałów w osobach Villamarina i Barbaroux, którzy nie liczyli się z konkordatami zawartymi ze Stolicą Apostolską, ani przestrzegali zarządzeń w sprawach kościelnych, które w różnych czasach wydane zostały przez monarchów sabaudzkich.

Podzielało ich opinie niemało teologów, którzy przepojeni fałszywymi zasadami prawa kanonicznego wykładanego na uniwersytecie przez ceszarystów, zamiast być obrońcami Kościoła, stawali się jego przeciwnikami. To było złem najgorszym i głęboko zakorzenionym. Lecz właśnie ksiądz Cafasso był mężem

przeznaczonym na to, by położyć tamę takiemu stanowi rzeczy, przez kontynuowanie dzieła zapoczątkowanego przez ks. kan. Guala w Konwikcie kościelnym św. Franciszka z Asyżu. Przez wykłady moralne wpajał w szeregi młodego kleru szacunek, miłość i posłuszeństwo Papieżowi, przedstawiał również z jasnością jego niezbywalne prawa w stosunkach międzynarodowych, tak, iż uformował nową generację lewitów obstających za jurysdykcją i nieomylnością papieską. Diecezje piemonckie wnet odczuwają skutki tego nauczania prawdy, sprawiedliwości i miłości.

On także uformuje duchowo naszego Jana jako dzielnego obrońcę Kościoła wpajając mu głębokie przekonanie o prawach i przywilejach boskich i ludzkich tego, który stoi na czele Królestwa Bożego na ziemi.

ROZDZIAŁ XXXII

Zastanawia się nad powołaniem; Zamyśla wstąpić do Franciszkanów; W Chieri w kawiarni usiłuje przeszkodzić złym rozmowom; Znakomite pochwały względem jego sprawowania się; Bezpłatna nauka łaciny dla zakrystianina w katedrze.

W klasach wyższych gimnazjum Jan coraz częściej zastanawiał się nad swym powołaniem. Gdy dawniej gorąco pragnął zostać księdzem, obecnie na myśl, o wzniosłości tego stanu, własnej niegodności i zobowiązań wobec Boga, które miałby na siebie przyjąć, pewna obawa wstrzymywała go od tego kroku.

W tym punkcie swego życia pozostawił Jan przedziwnie zapisaną stronicę: „Wprawdzie sen w Morialdo tkwił mi na zawsze w pamięci; odsłaniał się coraz jaśniej w następnych widzeniach i chcąc zostać wiernym otrzymanym poleceniom, winienem był wybrać stan kapłański, do którego czułem skłonność. Nie chciałem jednak przykładać zbyt wielkiej wiary do snów; prócz tego mój cygański sposób życia i brak potrzebnych, moich zdaniem, cnót czyniły bardzo trudnym ten wybór. Och, gdybym miał wówczas przy boku wiernego przewodnika, któryby zajął się moim powołaniem, byłby mi wówczas wielkim skarbem! Lecz takiego właśnie kierownika mi brakło! Miałem dobrego spowiednika, który traktował mnie jako wzorowego chrześcijanina, lecz do spraw powołania nie chciał się mieszać. Zastanawiając się więc nad sobą i po przeczytaniu niektórych ksiązek traktujących o wyborze stanu, zdecydowałem się wstąpić do zakonu OO. Franciszkanów. Bo mówiłem sobie, jeśli zostanę kapłanem w świecie, będę narażony na rozliczne niebezpieczeństwa; a jeśli wybiorę stan zakonny, wyrzeknę się świata, wstąpię do klasztoru, będę się oddawał nauce, rozmyślaniu i tak w samotności łatwiej zdołam zwalczyć me namiętności, zwłaszcza pychę, która w mym sercu głęboko się zakorzeniła”.

W Chieri uczęszczając do konwentu OO. Franciszkanów zaprzyjaźnił się z niektórymi zakonnikami, którzy widząc jego wybitne zdolności i cnotę doradzali mu wstąpienie do ich zakonu, zapewniając, że zostanie zwolniony od wszelkich taks za naukę, którą się pobiera w nowicjacie. Propozycja ta zdawała się dość ponętna i nosił

się z nią czas jakiś. Myśli wstąpienia do seminarium musiałyby poniechać, gdyż od kandydatów wymagano znacznej opłaty miesięcznej za naukę i utrzymanie.

Matusia Małgorzata pozostawiała Janowi zupełną swobodę w wyborze stanu. Dlatego nie rozmawiała z nim na ten temat; nigdy nie stawiała żadnych propozycji odnośnie życia wygodniejszego, mając siebie na względzie; nie sugerowała, by pozostał przy niej lub też żeby zabrał ją do siebie, gdy zostanie księdzem. A jeśli rzucił czasem pytanie odnośnie swej przyszłości, dawała mu niezmienną odpowiedź. Niczego nie chcę od Ciebie, byleś tylko zapewnił zbawienie swej duszy! Syn rad widząc matkę spokojną uważał, że pora jeszcze na wyjawienie swej decyzji lub rozumiał, jaką będzie musiała ponieść ofiarę z powodu tej rozłąki, bądź dlatego, że nagle wykonanie jego projektu. Przed wstąpieniem do klasztoru musiałyby złożyć egzamin, wymagający paromiesięcznego przygotowania. Poczynił już wstępne kroki po temu starając się o potrzebne papiery i w tym celu zażądał zaświadczenia od proboszcza; ten nie miał trudności w wystawieniu go, przy tym zdawkowo spytał o powód jego. Oczywiście Jan nie ukrywał przed nim swego zamiaru.

Wypadało jednak na razie powrócić do Chieri. Ponieważ nie miał już zajęcia ze synem pani Matta, który ukończył studia średnie, trzeba było oglądnąć się za innym mieszkaniem. W nowym roku daleki krewny rodziny Bosko zamierzał otworzyć w Chieri kawiarnię. Małgorzata z tej okazji prosiła go o przyjęcie Jana do siebie i pan Pianta zgodził się, by Janek spełniał zajęcia kelnera w jego kawiarni. Jan przystał na to chętnie także dlatego, że stąd miałby blisko do swego profesora D. Benaudi, z którym utrzymywał serdeczne kontakty. Wydaje się, że z chwilą przybycia Jana do miasta, pan Pianta jeszcze nie zdążył urządzić się w kawiarni i w nowym mieszkaniu.

Według informacji zasięgniętych przez ks. Secondo Marchisio salezjanina oraz tego co powiadał ks. Jan Turchi, wydaje się, że nasz Jan zamieszkał na razie u niejakiego Cavalli przy stajni, z obowiązkiem doglądania jego konia oraz dopomagania przy pracy w winnicy opodal miasta. Wymówił sobie jednak wolną sobotę na osobiste sprawy.

To jeden więcej dowód na to, że jak heroiczną wytrwałością zmierzał do kapłaństwa. W tym roku także musiał znosić rozliczne braki, zwłaszcza skromny wikt. Znajdujemy go niebawem u kuzyna, u którego pełnił dyżur nocny w kawiarni oraz zajęty był w domowych posługach. Nie otrzymywał wynagrodzenia, za to miał czas

wolny do nauki. Matka zaopatrywała go nadal w chleb i jarzyny. Dość ciasna komórka mieszcząca się nad piekarnią, skąd prowadziły schody na dół, służyła mu za sypialnię. Nie mógł zmieścić się w licej leżance, wyciągając nogi poza siennik i czując dotkliwy ziąb z dołu.

„Pobyt w kawiarni nastroczał pewne niebezpieczeństwa z racji różnych gości, jak pisze sam Ksiądz Bosko; pomimo to miałem w otoczeniu swym wzorowych chrześcijan oraz kolegów, tak iż mogłem iść naprzód bez szczególnych trudności”.

Właściciel kazał mi niekiedy zliczać punkty grających w bilard; on zazwyczaj chodził po sali z książką pod pachą. Ilekroć słyszał przekleństwo lub gorszącą rozmowę, twarz nabierała tak znaczącego wyrazu, że słowa zamierały na ustach gości. Często również nie poprzestając na milczącej dezaprobacie, zwracał uwagę klientom na wyrażenia mniej przyzwoite. Z tego powodu nawet niektórzy z nich prosili właściciela, żeby nie posyłał do nich chłopca, ponieważ mówili, ten młodzieniec peszy nas i swoją obecnością psuje nam zabawę. Dochodziło do tego, że wprost nalegali: Oddal pan stąd tego kelnera! Inaczej przestaniem chodzić do tej kawiarni.

Wywiązując się pilnie ze swych obowiązków, Jan prowadził dalej swe studia, odrabiając lekcje w wolnym czasie; zajmował się czytaniem klasyków łacińskich i włoskich, a przy tym sporządzał likwory i smażył konfitury. W ciągu paru miesięcy nauczył się zaparzać kawę, poznał przepisy na sporządzanie wszelkiego rodzaju ciast i pieczywa, lodów, soków i napojów orzeźwiających, do tego stopnia, że nawet właściciel wystąpił z propozycją, by porzuciwszy inne zajęcia został cukiernikiem. Jan uważając swe zajęcia za pewnego rodzaju rozrywkę, stanowczo odmówił, oświadczając ponownie, że chce studiować. Przy sposobności także zdobył sztukę kucharską, co miało w przyszłości ułatwić mu prowadzenie wielkiego zakładu dobroczynnego.

Z tym wszystkim nie zaniedbywał swych zwykłych praktyk pobożnych. Stwierdzał wspomniany pan Pianta w rozmowie z księdzem Bonettim, Berto i Francesia, że w czasie pobytu u niego w Chieri „trudno było znaleźć chłopca pobożniejszego od Jana Bosko. Każdego dnia chodził usługiwać do Mszy św. w kościele Franciszkanów. Miałem w domu chorą matkę; usługiwał jej doprawdy z wielką pieczołowitością. Sam spędzał całe noce przy książce tak, że zastałem go często z rana przy świecy zajętego czytaniem i pisanem”.

Mówiło się, że w czasie tych nocy nauczył się na pamięć całego Dantego i Wergiliego.

Znano go w sąsiedztwie z dobrego przykładu. Pani Klotylda Vergnano, córka właściciela kawiarni, zeznawała w roku 1889, że jako dziewczynka w domu rodziców nigdy nie widziała go hasającego beztrąsko po podwórzu z kolegami; spotykała go czasem na schodach, gdy przynosił wodę dla pewnego księdza w kawiarni; nigdy nie spojrzał jej w twarz. Wiedziała, że wspomniany ksiądz Arnaud pisał do księdza proboszcza w Castelnuovo, by umieścić Jana w odpowiedniejszym miejscu.

Pan Józef Blanchard stwierdza, że w czasie pobytu Jana u pana Pianta, nie widziano go tracącego czas na rozrywkach, którym on sam jako chłopiec podówczas oddawał się z kolegami.

Pomimo, że Jan lubił zajmować się chłopcami, trzymał się jednak wskazówki Mędrca: „Jest czas na wszystko”. / Syr 3,1/. Miał czas na zebrania Towarzystwa Wesołości, czas na korepetycje z kolegami, na zajęcia domowe u chlebowodawców, czas do modlitwy, do kościoła, na przystępowanie do sakramentów.

Miał on również chwile wytchnienia. Opowiada o tym ks. Józef Caselle, który w tym czasie z kilkunastu kolegami mieszkał na stacji u zacnego kapłana z Chieri, profesora szkół miejskich tuż obok mieszkania pana Pianta: Każdego wieczoru Jan przychodził do nas po wieczerzy, o ile miał czas wolny, na chwilę rozrywki, gdzie oczekiwaliśmy na niego w sali lub na dworze, o ile czas był dobry. Z jaką radością zawsze go witaliśmy między nami! Rozweselał nas opowiadaniem zabawnych anegdotek, ciekawych historyjek, tak iż czas szybko nam mijał. Czasem też wyjaśniał trochę katechizmu. Zapytywał delikatnie, czy chodzimy do spowiedzi; chcąc go zadowolić, uczęszczaliśmy więcej niż zwykle do Sakramentów św. On zaś zachęcał nas do wytrwania w tym chwalebnym zwyczaju. Byliśmy na wszystko gotowi dla niego. Podglądał nas czasem nasz profesor dziwiąc się, że byliśmy tak skupieni przy nim.

W tym roku podjął się pewnego naprawdę heroicznego zadania. Otóż uczęszczając na nabożeństwa do katedry zawarł znajomość z tamtejszym kościelnym, wzorowym katolikiem, który trzykrotnie odbył pieszo pielgrzymkę do Rzymu. Liczył on lat 35 i jeszcze nosił się z zamiarem zostania księdzem. Znając dobroć Janka prosił go, by zechciał udzielać mu lekcji łaciny. I Jan podjął się tego bez wahania. Prowadził

z nim lekcje tak długo, aż przygotował do egzaminu i do obłóczyn. Widać w tym zapowiedź przyszłej instytucji Synów Maryi w celu przysposobienia starszych chłopców do kapłaństwa.

Trzeba również wspomnieć o znajomości z p. Dominikiem Pogliano, dzwonnikiem katedry. Ten zacny pan słysząc z dawna o Janie jak najlepsze opinie i wiedząc, że dom pana Pianta nie nadawał się zbyt na studia, ofiarował Jankowi u siebie pokój, z czego on chętnie korzystał, od czasu do czasu siadając tu przy stoliku, dotąd pieczołowicie przechowywanym w rodzinie Pogliano, dla odrobienia swych lekcji.

ROZDZIAŁ XXXIII

Proboszcz ks. Dassano oznajmia matce Małgorzacie decyzję Jana wstąpienia do Franciszkanów; Wspaniałomyślna postawa matki chrześcijańskiej; Braki znoszone przez Jana w czasie studiów; Wdzięczność względem dobrodziejów.

W tym czasie proboszcz ks. Dassano uznał za stosowne powiadomić matkę Małgorzatę o decyzji Jana wstąpienia do Franciszkanów. Pewnego popołudnia grudniowego wybrał się do niej i przedstawivszy rzecz zrobił uwagę, że w diecezji jest tak wiele do pracy i że lepiej by było, gdyby Jan został kapłanem diecezjalnym oraz poświęcił się pracy, w jakiejś parafii; ponieważ jest tak zdolny, zrobiłby wielką karierę; potem tak mówił: Starajcie się wybić mu z głowy ten zamiar. Nie jesteście zamożna, przy tym posunięta w wieku i wkrótce nie będziecie mogła pracować; jeśli więc syn wasz pójdzie do klasztoru, nie będziecie mieli opieki na starość. Przychodzę was przestrzec w waszym interesie.

Zacna Małgorzata podziękowała proboszczowi za życzliwość, lecz myślała swoje nie zdradzając się ze swych przekonań. Poszła natychmiast do Chieri i w rozmowie z Janem powiedziała:

Słuchaj Janku, był u mnie ks. Proboszcz i zdradził mi twój sekret, że chcesz zostać zakonnikiem. Czy to prawda?

Tak mamó. Myślę, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu.

Żądam jednak, byś dobrze zastanowił się nad tym krokiem, jaki podejmiesz nie oglądając się na nikogo. Pierwszą rzeczą jest zbawienie twej duszy. Proboszcz chciał, bym ci odradziła ten zamiar, mając na uwadze mą przyszłość. Ale ja ci oświadczam, że w tych sprawach nie mam nic do powiedzenia, gdyż Bóg jest pierwszy we wszystkim. Nie martw się o mnie. Nie chcę nic od ciebie i niczego nie oczekuję na przyszłość. Zapamiętaj to dobrze; urodziłam się w ubóstwie, żyłam w ubóstwie i chcę umrzeć w ubóstwie. I oświadczam ci: jeśli zdecydujesz się zostać księdzem diecezjalnym i przez nieszczęście zostaniesz bogaty, to moja noga nie stanie nigdy u ciebie. Pamiętaj to dobrze!

Ksiądz Bosko jeszcze w wieku ponad siedemdziesiąt lat pamiętał wciąż o stanowczych słowach swej matki, w uszach brzmiał jej głos i te akcenty chrześcijańskie, na których wspomnienie dostawał wzruszenia.

Pan Bóg widząc tak szczere a prawe serce Małgorzaty zrządził, że nie miała się nigdy rozłączyć ze swym synem i że Jan miał znaleźć w niej wspaniałomyślną współzałożycielkę Dzieła Oratorium św. Franciszka Salezego.

Tymczasem w Chieri nikt nie wątpił, że Jan rzeczywiście wstąpi do zakonu. Był on bowiem zdecydowany i prostolinijny w postępowaniu. Spokojne zagłębianie się w studiach naukowych, uprzejmość w stosunku do kolegów, byłyby dowodem, że nie miałby żadnych trudności w tym życiu. A tymczasem ten rok gimnazjum wyższego niósł mu więcej, niż kiedy indziej kłopotów i ofiar. Żeby się ubrać, wyżywić i zdobyć środki na książki i pomoce szkolne, mógł liczyć tylko na szczupłe wynagrodzenie, jakie otrzymywał za swe korepetycje oraz na niewielką pomoc, ze strony swej matki, która zapożyczała się u sąsiadów, by dopomóc Janowi. Jan Turchi wspomina, że również jego ojciec miał w tym udział.

Jan, zgodnie z wolą Boga, który wszystkim kieruje dla dobra człowieka, znosił spokojnie swe braki, praktykując nie raz ściślejszy post niż ten nakazany przez Kościół.

Pewnego dnia umyślił sobie zrobić śniadanie, jakiego dawno już nie jadł. Zakupił, więc sporą ilość fig suszonych i duży bochenek chleba razowego. W drodze natknął się na gromadkę chłopców grających w kręgle na placu św. Antoniego. I przystanął z ciekawości obserwując grę. Tymczasem machinalnie łamał chleb po kawałku aż zjadł go wszystek. Gdy skończyła się gra, przypomniał sobie, że przecież czeka go śniadanie z figami. Chce odejść i widzi, że nie ma chleba. Gdzie się podział? Może któryś z chłopców splatał mu figla i schował go. Pyta tego i owego: odpowiadają mu; Ja nie widziałem żadnego chleba; Ja ci go nie brałem. Co szukasz, przecież to zjadłeś, sam widziałem, dziwiąc się, że masz tak wielki magiel, by połknąć naraz bochenek chleba.

Jan zreflektowawszy się zaczął się śmiać do siebie, wcale nie poczuwszy w żołądku tego chleba. Zapewne od paru dni nic nie jadł, skoro taki apetyt w nim się wzbudził.

Wśród kolegów mówiono, że Bosko nie jada dostatecznie. Józef Blanchard, między innymi mając pod ręką chleb, czy owoce, dawał mu je mówiąc: Weź Janku, zjedz, dobrze ci to zrobi.

Braciszek jego Leander skarżył się matce, że Józek zabiera ze stołu największe kasztany i zanosz Jankowi. Zaczyna kupcowa orientując się w sytuacji, czasem sama najpiękniejszy melon podawała synowi mówiąc: Zanieś go Jankowi; jest to dobry chłopiec i pomodli się za nas. Czasem Jan prosił przyjaciela, by nie pozbawiał się swoich łakoci; Józek nastawał uprzejmie i Janek musiał ustąpić.

Otóż, powiadał później zacny pan Blanchard w roku 1889, Ksiądz Bosko nie zapomniał nigdy o mnie i nie wstydził się do tego przyznać, że jako student cierpiał głód. Straciłem go później z oczu, a gdybym go nawet spotkał, może bym się krępował podejść do niego, myśląc, że mnie nie pozna. Ale się myliłem! Pewnego dnia, gdy szedłem ulicą w Chieri niosąc w ręku kosz z winem, spotkałem go w otoczeniu wielu księży. Gdy mnie zobaczył, zostawił swe towarzystwo i pierwszy podszedł do mnie z ukłonem:

Och, Blanchard, jakże ci się powodzi?

Dziękuję, dobrze, signor cavagliere.

Co za signor cavagliere? Dlaczego mi nie mówisz po nazwisku? Jestem sobie biedny Ksiądz Bosko i nic innego!

Przepraszam. Myślałem, że obecnie, próbowałem się wypowiedzieć, ale jakoś mi nie szło, w dodatku ten kosz z obiadem, słowem byłem onieśmielony do Księdza Bosko, który wydawał mi się zbyt wielką osobistością. Lecz Ksiądz Bosko odpowiedział:

Słuchaj, nie życzysz już dobrze Księdzu Bosko?

Ależ, proszę Księdza, zawsze i wszędzie, lecz wybaczy mi Ksiądz, z tym koszykiem, tak na ulicy rozmawiać z Księdzem.

O mój drogi, nie myśl, że zapomniałem dawne czasy, kiedy ty byłeś narzędziem Opatrzności jako pierwszy dobrodziej biednego Księdza Bosko. I zwracając się do grupy księży otaczających go zawołał: Proszę księży, oto jeden z mych pierwszych dobrodziejów! i opowiedziawszy im ten fakt powiedział do mnie:

Bardzo mi zależy na tym, byś wiedział, że ja wspominam sobie z wdzięcznością dobro, jakie mi wyświadczyłeś. I ściskając mi dłoń dodał: Ilekroć przyjdiesz do Turynu, bądź łaskaw wstąpić do mnie na obiad.

Jakie dziesięć lat później, w roku 1886 Blanchard dowiedziawszy się o słabym zdrowiu Księdza Bosko, zjawił się w Turynie w Oratorium. Odźwierny usłyszawszy, że do Księdza Bosko, oświadczył: Niestety, teraz nie można mówić z Księdzem Bosko.

Czy Księdza Bosko nie ma w domu?

Jest, ale nie przyjmuje nikogo, gdyż jest chory.

Ale to nie szkodzi; mnie przyjmie, bo tyle razy zapraszał, bym go odwiedził.

Być może, odpowiedział portier, dziś jednak nie mogę nikogo wpuszczać, bez żadnych wyjątków.

No tak, z wyjątkiem tylko mnie, który jestem jego przyjacielem od najmłodszych lat. Och, proszę mi nie robić przykrości! Tym więcej, że nie czuję się dobrze; to właśnie powód, dla którego przybyłem go odwiedzić.

Wobec takich nalegań, odźwierny dał znać przez telefon, że jakiś obcy pragnie widzieć się z Księdzem Bosko. Odpowiedziano, że można go wpuścić. Zaczny starszek znalazłszy się w przedpokoju miał jeszcze kłopot z księdzem sekretarzem, który chciał go zaprowadzić do księdza Rua. Nagle otwierają się drzwi i ukazuje się Ksiądz Bosko, który poznawszy po głosie Blancharda, przyszedł utykając, by go uwolnić od ambarasu. Wziął pod rękę i zaprowadził go do swego pokoju. Posadził obok siebie, pytał o zdrowie własne, rodziny, jak idą interesy. Potem rzecze z akcentem serdecznym: Widzisz mój drogi przyjacielu, już tyle lat upłynęło, gdy się znamy. Nie zapominam nigdy tego, co uczyniłeś dla mnie w latach szkolnych. Będę modlił się za Ciebie i ty nie zapominaj o biednym Księdzu Bosko. Po jakiejś półgodzinie Blanchard nie chcąc dłużej nudzić Księdza Bosko wyszedł; lecz święty polecił swym sekretarzom, by go zaprowadzono i usadzono na jego miejscu w jadalni przełożonych, na obiad. Tu opowiedział, jak się dostał do Księdza Bosko i swą rozmowę z nim, ku uciechu obecnych.

ROZDZIAŁ XXXIV

Jan składa egzamin do nowicjatu u Franciszkanów; Sen; Rada ks. Cafasso; Kontynuuje studia w Chieri.

W pamiętnikach Księdza Bosko znajdujemy wzmiankę o tym, jak się przygotowywał wstąpić do nowicjatu OO Franciszkanów.

„Koło Wielkanocy roku 1834, która przypadała 30 marca, pisze on, złożyłem podanie o przyjęcie do nowicjatu OO. Reformatów. Gdy oczekiwałem odpowiedzi, zjawił się u mnie mój dawny kolega Eugeniusz Nicco pytając: No co, zdecydowałeś się na wstąpienie do Franciszkanów? Spojrzałem zdziwiony, skąd mógł o tym wiedzieć. Tamten pokazał list mówiąc: Pisano mi właśnie, bym razem z Tobą zjawił się w Turynie na egzamin, gdyż ja również postanowiłem wstąpić do tego zakonu.

Pojechałem, więc do klasztoru S. Maria dei Angioli w Turynie, zdałem egzamin i zostałem przyjęty, w połowie kwietnia.

Wszystko, więc było gotowe, by wstąpić do klasztoru Della Pace w Chieri. Parę dni przed oznaczonym terminem miałem bardzo dziwny sen. Otóż zdawało mi się, że widzę gromadę owych zakonników w podartych habitach, biegających tu i tam bezładnie. Jeden z nich zwrócił się do mnie: Szukasz pokoju tutaj, ale go nie znajdziesz. Popatrz, jak wyglądają twoi bracia. Pan Bóg przygotował dla ciebie inne żniwo. Chciałem o coś jeszcze zapytać, lecz jakiś łoskot zbudził mnie. Przedstawiłem tę rzecz memu kierownikowi sumienia, który nie chciał słyszeć ani o śnie ani o klasztorze:

W tych sprawach każdy powinien iść za swymi skłonnościami, a nie za radą czyjąś!

Odpowiedź spowiednika oraz wspomniany sen musiały mocno zdetonować Jana. Nie mając wszakże wyraźnego motywu by odstąpić od powziętego zamiaru, liczył na to, że będzie miał czas zastanowić się nad sobą w czasie rocznej próby, czy ten zakon będzie mu odpowiadał. Wszak otrzymał od Boga wyraźną skłonność do życia zakonnego, która w nim, jak zobaczymy, będzie się potęgować.

Tymczasem zdając się na Opatrzność, że pokieruje tak sprawami, by mógł wejść na właściwą sobie drogę, udał się do Castelnuovo, by prosić matkę o błogosławieństwo przed przywdzieniem habitu franciszkańskiego. Małgorzata nie miała nic przeciw temu jako niewiasta mężna i wyprawiła go z niezachwianym sercem.

Jan udał się na plebanię. Ksiądz Dassano, z początkiem stycznia tego roku, na skutek nieporozumienia z miejscowym burmistrzem, zrezygnował z parafii Castelnuovo i otrzymał z kolei nominację na proboszcza Cavour. Do Castelnuovo zaś przybył z ramienia Kurii w charakterze tymczasowego administratora, ks. Antoni Cinzano.

Księdza proboszcza nie było w domu, gdy Jan z zawiniątkiem pod pachą pukał do bramy. Widział go Ewazjusz Savio, kowal dobrze znany Janowi i zagadnął go: No, dlaczegoż to opuściłeś Chieri? Chcesz może z tym kitlem szukać pracy, w jakiej masarni?

Nie, odpowiedział Jan: idę do księdza proboszcza po zaświadczenie moralności, by wstąpić do Franciszkanów.

A z jakiego powodu chcesz tam wstąpić?

Cóż, moja matka nie jest w stanie pomóc mi w dalszych studiach, a będąc u Franciszkanów, z łatwością mogę się kształcić.

Czy jadłeś już obiad?

Nie.

To chodź do mnie, a po obiedzie pomówię sam z księdzem.

Ów Savio miarkując, że Jan zdziałałby wiele dobrego pozostając w parafii oraz mając na uwadze wielki smutek, jaki odczuliby mieszkańcy Castelnuovo, gdyby go im zabrakło, próbował przekonywać, by odstąpił od tego zamiaru, który mu się wydawał niezbyt dojrzały, a być może radził zasięgnąć porady u księdza Cafasso.

To była najlepsza rada. Pomimo, że Jan nie miał zażyłego kontaktu z młodym kapłanem przebywającym na studiach moralnej w Turynie, był on jednak jedyny, do którego mógł zwrócić się z zaufaniem. Do księdza Cafasso można było odnieść słowa Mędrca: „W sercu roztropnego mieszka mądrość i on oświeci nieumiejętnego”. /Przyp 14,23/. Pan Savio zwrócił się niebawem do księdza Cizano, by go zainteresować sprawą Jana, twierdząc, że właściwie wszystkim powinno zależeć na tym, by mu

ułatwić ukończenie studiów i że doprawdy przykro słyszeć, że zamierza wstąpić do klasztoru.

Proboszcz, który znał Jana z pochlebnej opinii księdza profesora Arnaud z Chieri, odrzekł, że chętnie poniesie część wydatków i radził jeszcze zwrócić się do pana Jana Pescarmona, ówczesnego burmistrza w Castelnuovo, by i on przyczynił się do tego. Potem się rozeszli. Savio polecił Janowi, by ufał Opatrzności i zgłosił się za parę dni z matką na plebani. W międzyczasie sam udał się do pana Pescarmona, hojnie wspierającego dzieła dobroczynne w Castelnuovo i przedstawił mu sprawę Bosko prosząc o poparcie. Ów pan przychylnie ustosunkował się do prośby zalecającego, by pomówił także z panem Sartoris, szczodrym względem ubogich miejscowych. Ułożono w końcu, że dwóch wspomnianych panów, wraz z Księdzem Cizano, opłacać będzie po 7 lir każdy do końca bieżącego roku. Małgorzata przyjęła wiadomość powyższą z wdzięcznością. Taka była relacja pana Jana Turco, złożona księdzu Secondo Marchisio salezjaninowi, którą słyszał on z ust swego teścia Ewazjusza Savio zm. w 1868 r.

Ksiądz Cafasso tymczasem pomyślał już o tym, jakby ułatwić Janowi dalszą drogę do kapłaństwa. Ten udał się, czym prędzej do Turynu, by się rozmówić z księdzem Cafasso. Odradził mu on wstąpienie do Franciszkanów podając motywy. Proszę kończyć studia, wstąpić do seminarium trzymając się drogi, jaką Opatrzność mu wskaże. Ks. Cafasso przejrzał misję, jaką Bóg przeznaczył Janowi.

Matka Małgorzata dowiedziawszy się o ostatecznej decyzji syna, była również zadowolona. Dobrze, byle tylko spełniła się wola Boża. Wydawało się istotne, że Pan Bóg potwierdzał swą wolę przez sen, który Ksiądz Bosko w zaufaniu opowiedział księdzu Barberisowi Juliuszowi koło roku 1870. A w swym manuskrypcie zanotował: „Sen z Morialdo powtórzył się w 19-tym roku mego życia oraz parę razy w następnych latach”. Otóż zdawało mu się, że widziałem majestatycznego Mężczyznę ubranego w białą szatę, promieniejącego oślepiającym blaskiem, który postępował na czele niezliczonej rzeczy chłopców. Zwróciwszy się do Janka powiedział:

Stań na czele tych chłopców i prowadź ich dalej sam!

Ależ ja nie jestem zdolny nauczać i kierować tak liczną gromadą młodzieży.

Owa dostojna Osobistość domagała się tego stanowczo i Janek musiał stanąć na ich czele i przewodzić, zgodnie z otrzymanym rozkazem.

Z powyższych racji Jan zrezygnował z zamiaru wstąpienia do Franciszkanów; utrzymywał jednak w sercu niezmiennie ideę życia zakonnego, kontynuował swe studia, których nie miał już więcej przerwać.

Warto może naszkicować postać owego pana Savio Ewazjusza, który tak wielki wpływ wywarł na losy Jana. Oddajmy głos naszemu Współbratu, niedawno zmarłemu księdzu Dominikowi Ruffino:

„Savio, dzielny pracownik, szlachetny człowiek, doskonały katolik, tak utrzymywał przyjaźń z Księdzem Bosko. W roku 1862, gdy rozmawiano na temat księdza Cafasso i innych szlachetnych dobrodziejów i wspomniano niektórych, co powinni by czynić lepszy użytek ze swych bogactw, Ksiądz Bosko powiedział:

O, gdyby szanowny pan nimi dysponował, z pewnością wiedziałby, na co je obrócić!

Właśnie z tego powodu, odpowiedział pan Ewazjusz, nie pragnę bogactw; wie Ksiądz, czego obawiam się najwięcej?

Może tego, czy się utrzyma w łasce Bożej do końca życia?

Nie, o śmierci nie myślę; pragnę tylko być na nią przygotowany.

Otóż niepokoi mnie najwięcej to; jestem kowalem i gdy po wykonaniu zamówienia wpisuję kalkulację do książeczki, mam skrupuły czy cena, którą wpisuję, będzie taka sama jak u Boga? Jeśli biorę wyższą, to reszta będzie na moje potępienie. Dlatego kalkuluję zawsze, o jakie 20 % niżej jak w innych pracowniach.

Gorący przyjaciel Księdza Bosko dopomagał mu w jego działach i często odwiedzał w Oratorium. Początkowo na przykład, nie były znane Letture Cattoliche w Castelnuovo i bardzo niewielka ich liczba rozchodziła się w okolicy. Lecz gdy zabrał się do tego pan Savio, zaprenumerował ich większą ilość i rozszerzał nie bacząc na koszty i fatygę”. Dotąd ks. Ruffino.

Pozostanie zawsze prawdą, że narzędziami w rękę Boga dla szerzenia Jego chwały, są serca proste i wielkoduszne.

ROZDZIAŁ XXXV

Miłość Jana względem kolegów; Dusza zabaw; Wygrywa zawody z kuglarzem; Przeszkadza złym rozmowom.

W czasie wyżej opisywanych kolei, wśród jakich rozstrzygało się powołanie Jana, nikomu z jego przełożonych i kolegów nie przyszło na myśl, że mieliby go utracić. Wszystkim bez różnicy służył pomocą, czym zyskał sobie powszechną miłość. Dla przykładu opowiemy, że w szkole znajdowało się 4 Izraelitów, którzy raz pewnego martwili się tym, że nie zdążyli napisać wypracowania; a zgodnie z tym, czego nauczał rabin, nie wolno je było pisać w czasie szabasu. Otóż Jan wchodząc w ich położenie, napisał im to wypracowanie, by nie musieli zgrzeszyć wobec sumienia i narazić się na przykre drwinki wobec kolegów. W owych czasach tolerowało się Żydów w szkole. Dobroć Jana sprawiła tyle, że jeden z nich nawrócił się i przyjął Chrystus.

Niemniej roztaczał troskę nad chłopcami ze wsi. W niedziele i święta wyszukiwał ich po ulicach zwołując na katechizm. Zjawiał się czasem w miejscach, gdzie grano w karty; wmieszał się do gry, a gdy wygrywał, obiecywał zwrot pieniędzy, byle szli z nim do kościoła. Nie dziw, więc, że zdobywał serca tylu swoich przyjaciół. Niejaki pan doktor Marucco z Chieri tak pisze:

Podziwiałem go dla jego skromności, cichości i bezpretensjonalności. Nigdy nie słyszałem z ust jego wyrazów grubiańskich. Przystępny dla wszystkich lubiany był zwłaszcza przez uczniów klas niższych. Niczego nie można mu było odmówić. Upominał łagodnie kolegów, którzy zaprzestawali kłótni. Wyróżniał się w egzaminach końcowych. Wszyscy w szkole okazywali mu względy i radzi mieć go w towarzystwie...”.

Doktor Gribaudo, jego kolega, opowiadał Przełożonym z Oratorium;

„Wyglądaliśmy momentu spotkania z nim, pociągnięci jego urzekającymi manierami, z jakimi zachęcał do unikania złego, a czynienia dobrze, dodając jakiś stosowny przykład”.

Ks. Jakub Bosko dodawał: „Bywało wieczorami, grupka kolegów udawała się w umówione miejsce spotkania z Janem. Nadejście jego witano oklaskami, gromadzono się przy nim; opowiadał wciąż nowe historyjki budujące a ciekawe, że godziny mijały jakby minuty.

Gdy czymś zajęty nie mógł przybyć, z przykrością rozchodzono się oczekując dnia następnego”. Zaiste „mąż przyjacielski do towarzystwa większym przyjacielem będzie niżli brat”. /Przyp 18,24/.

Chłopcy ci tak przywiązali się do niego, że gdy który coś zawinił w domu, matki nie miały większej kary, jak zatrzymać go na jakiś czas z dala od jego towarzystwa. Był duszą ich zabaw.

Sam napisał w pamiętniku: „Wśród mych zajęć szkolnych obowiązkowych i nadobowiązkowych, jak śpiew, deklamacje, teatrzyk, w których brałem udział, nauczyłem się także wielu innych rozrywek. Karty, taroki, kulki, płytki, strulki, biegi, skoki, wszystko mi odpowiadało; jeśli w nich nie celowałem, to nie byłem ostatni. Wiele z tych sztuczek opanowałem w Morialdo, inne w Chieri; a gdy na łąkach Morialdo byłem zaledwie uczniem, tu stałem się niezrównanym mistrzem. Wywoływało to podziw ogólny, gdyż w owych czasach sztuki te mało znane, wywoływały podziw, jak nie z tej ziemi. Często, więc dawałem publicznie i prywatnie pokazy. Ponieważ pamięć mi dopisywała, recytowałem znaczną część klasyków, zwłaszcza poeci; Dante, Petrarca, Farini, Monti i inni, byli mi tak znani, że posługiwałem się nimi całkiem naturalnie i swobodnie. Dlatego łatwo mi przychodziło przemawiać na jakikolwiek temat. W owych popisach produkowałem się wierszami, uznawanymi za moje własne mistrzowskie utwory, a tymczasem były to zastosowania z utworów do danego tematu. Dlatego nie dawałem nikomu mych kompozycji, a kto je otrzymał, kazałem spalić. Ponieważ tak się włożyłem do wierszy, ilekroć przemawiałem publicznie, zdania rymowały mi się i musiałem zadać sobie niemało trudu, by tego uniknąć”.

Upamiętniły się szczególnie dwie akademie, w których on brał udział w Chieri; z okazji imienin burmistrza oraz dla uczczenia samego miasta. W tymże samym roku

miał okazję popisać się nadzwyczajną sprawnością fizyczną. A było to tak; W okolicach Chieri grasował pewien znany kuglarz, który swe popisy rezerwował specjalnie w czasie sumy, odciągając w ten sposób wiernych od nabożeństwa. Ściągał także wielu chłopców do siebie, czego nie mógł znieść Janek. Tłumaczył on najpierw tym lekkomyślnym, że źle robią gapiąc się na pokazy kuglarskie zaniedbując Mszę św. Bezczelny kuglarz w swej chępliwości posunął się do tego stopnia, że wyzywał publicznie do zawodów całe kolegium, gotów na jakikolwiek zakład. Tego już było stanowczo za wiele. Kuglarz musi dać satysfakcję. Ale, w jaki sposób ją uzyskać? Oczy wszystkich skierowane były na Jana. On zaś we wspólnym interesie gotów był podjąć walkę, tym bardziej, że spodziewał się w razie wygranej, mieć jeszcze większy wpływa na kolegów. Któryś z gorętszych dał o tym natychmiast znać kuglarzowi, który przyjął wyzwanie, chępliwie naigrywając się z przeciwnika. Młodzież przyjęła oklaskami swego championa.

Wieść obiegła całe miasto; student wyzywał do walki zawodowego kuglarza!! Jako miejsce popisów wybrano Plac Porta Torinesa. Zakład wynosił początkowo 20 lir. Ponieważ Jan nie posiadał pieniędzy, koledzy z Towarzystwa Wesołości zebrali pośród siebie tę sumę za niego. Zawodom przyglądała się młodzież oraz tłumy publiczności. Wybrano sędziów. Jan zdjął kurtkę, by mieć swobodę ruchów, poczym uczynił znak Krzyża św. Polecając się Madonnie, jak zwykł czynić w ważniejszych sprawach.

Rozpoczęło się od wyścigów; rywal wyprzedził początkowo Jana o parę kroków, lecz ten nie dał za wygrane i w połowie trasy przyspieszył tempo tak, że pozostawił przeciwnika w tyle; kuglarz nie dokończywszy biegu uznał się za pokonanego.

Wyzywam cię teraz na skoki i spodziewam się, że cię ujrzę skąpanego w rowie, rzucił nowe wyzwanie Janowi.

Stawiam na 40 lir! mówi kuglarz.

Studenci, którzy wyłożyli poprzednią sumę, przyjęli i ten zakład. Kuglarzowi przysługiwało prawo wyboru miejsca; upatrzył sobie je tuż przy skarpie mostu, gdzie był głęboki rów napełniony wodą. Zawodnicy wraz z tłumem skierowali się na to miejsce. Kuglarz skoczył pierwszy i ledwie się utrzymał na brzegu chwytając się rosnącego drzewa. Teraz kolej na Jana; wszyscy byli ciekawi, co on pokaże,

niemożliwością było wprost przewyższyć kuglarza. Tu jednak przyszła z pomocą Janowi przebiegłość. Wykonał skok, z tą różnicą, że fiknąwszy kozła przeskoczył mur ogradzający skarpe i stanął triumfalnie na nogach. Zwycięstwo jego obwieściły rześiste oklaski i okrzyki triumfu studentów.

Musisz podjąć jeszcze jedno wyzwanie, zawołał upokorzony kuglarz. Janek przyjął. Wchodziła w grę laseczka magiczna, a zakład wynosił tym razem 80 lir. Teraz Jan zaczął grę pierwszy. Wziął laseczkę w rękę, postawił ją na szczycie kapelusza, następnie przerzucił na dłoń, potem do następnej ręki, nie dotykając ręką przerzucal na mały palec, serdeczny, średni, wskazujący i gruby palec, potem na kłykieć dłoni, na łokieć, na ramię, na brodę, na wargi, na nos, na czoło i z powrotem tą samą drogą sprowadził ją na dłoń.

Nie boję się utracić zakładu, rzucił kuglarz swemu rywalowi, to jest moja ulubiona sztuczka. Podrzucił w górę laseczkę i z niezwykłą zręcznością umieścił ją na wargach; lecz z powodu zbyt długiego nosa, laseczka trąciwszy go zachwiała się, tak, iż kuglarz zmuszony był podeprzeć ją drugą ręką, by nie spadła na ziemię. Znowu zagrzmiały oklaski na cześć Jana.

Rozwścieczony kuglarz postanowił rzucić na szalę cały swój majątek. Nie dam za wygraną studentowi! Mam jeszcze sto franków w banku i te puszczam w zakład: zdobędzie je ten, kto umieści nogi na najwyższym czubku tego tu drzewa, pokazywał wiąz rosnący przy drodze.

Studenci przyjęli i ten ostatni zakład; współczując już kuglarzowi byliby za tym, żeby tym razem wygrał, gdyż nie chcieli go puszczać z torbami.

Kuglarz pierwszy zaczął się wspinać tak kot na drzewo, z gałązki na gałązkę, coraz wyżej, aż osiągnął sam czubek, który omal, że się nie złamał pod ciężarem śmiałka, który mógłby życiem przypłacić swój wyczyn.

Widzowie byli zdania, że niemożliwością będzie osiągnąć ponad nim sukces. No, tym razem, mówiono, Janku musisz dać za wygraną! Z kolei Jan zaczął się wspinać. Osiągnął sam czubek. Wyżej już absolutnie nie można było postawić stopy. Cóż, więc robi Janek? Chwycił się za czubek drzewa, który osiągnął jego rywal i uniósł nogi do góry, o jaki metr ponad wierzchołek drzewa. Zwycięstwo było widoczne. Zagrzmiały salwy oklasków. Któż opisze entuzjazm młodzieży, triumf niezmordowanego zwycięzcy, wściekłość i żal kuglarza upokorzonego do ostatka!

Wobec kompletnej jego porażki i tak wielkiej przegranej, uchwalono między sobą zwrócić wszystkie pieniądze, pod warunkiem, że zapłaci dla kolegów Jana obiad w restauracji Muretto. Kuglarz rad z tej propozycji chętnie zgodził się i zamówił świetny obiad dla 22 chłopców wraz z Janem, który go kosztował 45 lir, a pozostałą sumę 195 lir mógł schować do kieszeni.

Ten dzień czwartkowy był doprawdy wielkim festynem studenckiej braci, a chwałą dla Jana. Także kuglarzowi upiekło się nieźle; zjadł obiad i zgarnął resztę pieniędzy. Czując się zobowiązany wobec studentów, dziękował im mówiąc:

Zwracając mi pieniądze uchroniliście mnie od ruiny. Dziękuję wam za to najserdeczniej. Zachowam o was jak najlepszą pamięć i nigdy już nie będę wyzywał studentów.

Świadkiem wszystkiego był dzwonnik katedralny pan Dominik Pogliane, który relacjonował o tym znajomym twierdząc, że skok Janka był tak precyzyjny a lekki jak antylopy. My również widząc sztuczki Księdza Bosko z laseczką jeszcze w roku 1885, jesteśmy przekonani, że opowiadanie jego nie było przesadą.

Jan zazwyczaj posługiwał się swymi umiejętnościami, by rozerwać kolegów i wkroczyć do poszczególnych grup, zwłaszcza gdy podejrzewał, że prowadzi się tam nieprzyzwoite rozmowy. Zbliżał się zagadując uprzejmie z jakąś sztuczką, na przykład, kazał podnieść z ziemi solda przy pomocy małego i wskazującego palca; dokonać szybkiego obrotu własną osobą, albo zrobić skłon ze złączonymi nogami i pocałować ziemię nie dotykając jej rękoma. Gdy chłopcy ci próbowali tych wyczynów, koledzy pękali ze śmiechu na widok ich śmiesznych gestów, jak się wypinali i stękając próbowali dotrzeć do ziemi. W ten sposób przerywały się rozmowy, a Jan odchodząc pozostawiał, jakąś dobrą myśl.

Mogłoby się czytającym te stronicie zdawać, że młodzieniec Bosko, biegły w rozmaitych sztuczkach, niezrównany woltyżer i gimnastyk, który potrafił narzucić się publiczności, był chyba nonszalancki i mało poważny. Tymczasem tak nie było. Osobiście słyszeliśmy od wielu jego kolegów z ławy szkolnej, że jako młodzieniec był nie mniej poważny, jak później 70-letni kapłan; zawsze serdecznie uprzejmy z zachowaniem pewnej rezerwy w słowach i gestach. Odwiedzający go opuszczali jego pokój w Oratorium mówiąc: Jakież on niezmieniony, ten sam zupełnie, jak go widywaliśmy w Chieri.

A święty sam często powtarzał: Dopóki nie wstąpiłem do Konwiktu kościelnego, nie miałem nikogo, kto by się zajął moją duszą. Postępowałem zawsze według tego, co uważałem za stosowne. Gdybym jednak miał wówczas kierownika duchowego, mógłbym dokonać o wiele więcej, niż udało mi się samemu.

ROZDZIAŁ XXXVI

Studium klasyków włoskich i łacińskich; Przyjaźń z Izraelitą Jonaszem; Nawraca go na katolicyzm.

Opisując swe lata szkolne, Ksiądz Bosko tak mówi: „Wobec tak licznych zajęć rozbieżnych, może komuś przyszłoby na myśl, że zaniedbywałem naukę. Nie zaprzeczam, że mogłem zdobyć więcej wiadomości; zaznaczam jednak, że wystarczyło mi uważać w szkole, by zapamiętać, co było konieczne. W owych latach nie stanowiło dla mnie różnicy między czytaniem a zapamiętaniem. Przyzwyczajony przez matkę sypiać niewiele, mogłem poświęcić znaczną część nocy na czytanie książek, a dzień obracać na dowolne zajęcia, jak dawanie korepetycji i udzielanie lekcji prywatnym osobom za wynagrodzeniem.

„W owym czasie był w Chieri pewien księgarz żydowski, nazwiskiem Elias, z którym zawarłem znajomość wypożyczając od niego klasyków włoskich płacąc solda za każdy tomik. Również wypożyczałem książki z biblioteki ludowej, czytając jedną na dzień. W czwartej klasie gimnazjalnej przeczytałem dużo autorów włoskich, między innymi Dantego. Na retoryce przeczytałem klasyków łacińskich począwszy od Korneliusza Neposa, Cyncerona, Sallustiusza, Quintusa Curtiusa, Tytusa Liviusa, Korneliusza, Tacyta, Owidiusza, Wergilego, Horacjusza Flakusa i wielu innych. Czytając książki jak dla rozrywki, przyswajałem sobie ich treść. Zabierało mi to cały czas. Zdarzało się, że była pora na wstanie, a ja jeszcze nie przerobiłem Liwiusza. Nadmiar pracy zrujnował do tego stopnia me zdrowie, iż zdawało mi się, że jestem prawie nad grobem. Dlatego daję radę młodzieży, by nie poświęcać więcej czasu na naukę ponad normę. Noc jest przeznaczona na odpoczynek. Z wyjątkiem koniecznej potrzeby, nikt nie powinien pracować długo po wieczery. Organizm silny wytrzyma czas jakiś, zawsze jednak odbije się to na zdrowiu”.

Doskonała pamięć była niezwykłym darem Niebios. On zaś nie zaniedbał go, lecz zaostrzał coraz bardziej przez pilną lekturę dzieł, których treść przyswajał sobie. Zatrzymywał się na trudniejszych miejscach, czy zdaniach, dopóki nie wydobył z nich

jasnego sensu. Przeczytał najgłośniejszych komentatorów dzieł klasycznych i włoskich i wykorzystał znane wówczas gramatyki.

Przez całe życie zachował zdolność posługiwania się treścią autorów przeczytanych dawniej. Zwykł po dłuższych, męczących audiencjach, urozmaicać pracę swych sekretarzy recytując z pamięci tercyny z Dantego lub oktawy z Torkwata Tassa. Czasem przerywał prosząc słuchaczy, by je kontynuowali; a gdy oni nie potrafili, podpowiadał wiersz następny lub kończył całą pieśń, jakby miał tekst przed oczyma. To była jego rozrywka; czasem sekretarze dla jego przyjemności przytoczyli gdzieś w połowie rozdziału wyrwany tekst; niezakłopotany tym ciągnął dalej tekst. Jeszcze na dwa miesiące przed śmiercią, gdy ksiądz Rua wraz z sekretarzem Księdza Bosko towarzyszyli mu w powozie, rozmowa padała na niektóre zdarzenia z Dziejów Biblijnych, na tle niektórych Metastasio osnuł swe dramaty. Ksiądz Bosko podjął wątek i bez pomyłki deklamował całe sceny z tego autora. A przecież od czasów studiów gimnazjalnych nie miał w ręku tych książek.

Stąd argumentował zachęcając swych kleryków do pamięciowego utrwalania materiału studiowanego, mówiąc: Tyle zdobędziecie wiedzy, ile zapamiętacie; wówczas dopiero będziecie mogli działać wiele dobrego dla młodzieży; bez tego niewiele wam pomoże uczenie się. Słowa powyższe tłumaczą nam cel, jaki mu przyświecał w studiach. Dzięki swej znakomitej pamięci, w połączeniu z zasobem nabytych wiadomości i hartem woli, mógł zdziałać tak wiele dobrego w swym otoczeniu.

Wspomnieliśmy, z jaką dobrocią traktował swych kolegów Izraelitów; opowiemy teraz, jakie sukcesy osiągała jego miłość. Otóż w wyższych klasach zapoznał się z pewnym chłopcem żydowskim nazwiskiem Jonasz; miał on 18 lat, był ujmującej prezencji, miał śliczny głos i grał doskonale w bilard; poznali się u księgarza Eliasza i wnet bardzo się polubili. Każdą wolną chwilę Jonasz lubił spędzać z Janem; śpiewali przy fortepianie znajdującym się w sali bilardowej lub czytali wspólnie zajmującą książkę; Jonasz słuchał chciwie historyjek opowiadanych przez Jana.

Otóż ów Izraelita miał jakieś przykre nieporozumienie z kolegami, dlatego pospieszył do Janka po radę.

Cóż mój kochany Jonaszu, wszystko dałoby się załatwić na spowiedzi, lecz w twoim przypadku jest to niemożliwe.

I u nas praktykuje się pewien rodzaj spowiedzi.

Tak, lecz wasz spowiednik nie jest zobowiązany do ścisłej tajemnicy, nie ma władzy odpuszczania grzechów, ani nie może udzielać Sakramentu.

Dobrze, w takim razie zaprowadź mnie do waszego kapłana, bym mógł się wypowiadać.

Mógłbym cię zaprowadzić, ale widzisz, to wymagałoby dłuższego przygotowania.

Jakiego?

Wiesz o tym, że na spowiedzi odpuszczają się grzechy po Chrzcie popełnione, dlatego jeśli chciałbyś przyjąć jakiś Sakrament, musiałbyś przede wszystkim być ochrzczonym.

A co mam zrobić, by przyjąć chrzest?

Dać się pouczyć o wierze chrześcijańskiej, uwierzyć w Jezusa Chrystusa prawdziwego Boga i prawdziwego Człowieka. Gdy to spełnisz, mógłbyś przyjąć Chrzest.

A jakie korzyści zapewni mnie Chrzest?

Chrzest gładzi grzech pierworodny i grzechy uczynkowe, otwiera ci drogę do przyjęcia innych Sakramentów, uczyni cię dzieckiem Bożym i dziedzicem nieba.

A czy my Izraelici nie możemy się zbawić inaczej?

Nie, mój drogi Jonaszu; po przejściu Zbawiciela świata Jezusa Chrystusa, Żydzi nie mogą inaczej osiągnąć zbawienia, jeśli nie uwierzą w Niego.

Gdyby moja matka, dowiedziała się, że ja chcę zostać chrześcijaninem, wówczas biada mi!

Nie bój się; Pan Bóg jest panem serc ludzkich i jeśli cię powołuje do wiary katolickiej, sprawi, że i Twoja matka będzie zadowolona i w taki czy inny sposób dopomoże twojej duszy.

Ale mój drogi, powiedz, coż byś ty zrobił na moim miejscu?

Rozpocząłbym naukę prawd wiary katolickiej, a tymczasem Pan Bóg wskaże ci, co masz czynić. Oto masz mały katechizm i przestudiuj go. Poproś Boga, by cię oświecił i pomógł poznać prawdę.

Jonasz od tego czasu nabierał coraz większej chęci do religii katolickiej. Udawał się do kawiarni po to, by na ten temat rozmawiać z Janem.

W ciągu paru miesięcy nauczył się czynić znak Krzyża św., pacierza, Wierzę w Boga... oraz zasadniczych prawd wiary.

Był uszczęśliwiony i stawał się, co dzień lepszy. W młodych latach stracił ojca. Matka jego imieniem Rachel, dowiedziała się postronnie, że syn jej nosi się z zamiarem zmiany swej religii. Miała tego dowód, gdy znalazła katechizm w syna w pościeli. Dostała spazmów, zniosła katechizm rabinowi i podejrzewając, kto był tego sprawcą, pobiegła szukać ucznia Bosko, z którym, jak słyszała, syn utrzymywał kontakty.

Matka Jonasza, był to typ kobiety jak najgorszej. Już sama jej postać budziła odrazę; ślepa na jedno oko, głucha, z nieregularnym nosem, bez zębów, o wargach obwisłych, twarzy nieforemnej; wydawała z siebie głos chrapliwy i świszczący. Sami Żydzi nadali jej przydomek Maga Lili, co miało znaczyć coś brzydkiego w ich narodzie. Wpadła impertynencko na Jana krzycząc:

Ach, to ty jesteś tym, który zepsuł mego Jonasza; ty jesteś powodem, że stał się zakałą i odstępcą w rodzinie. Obawiam się, że zostanie chrześcijaninem z twej przyczyny!

Jan ledwie ochłonął, nie znał, bowiem matki Jonasza; zorientowawszy się jednak odrzekł ze spokojem, że powinna być zadowolona, za to dobro, które czyni jej synowi.

Jakie dobro, co za dobro? Czy to jest dobre zapierać się swojej wiary?

Spokojnie, spokojnie, kochana pani, posłuchajcie mnie: ja nie szukałem waszego Jonasza, lecz spotkaliśmy się w księgarni Eliasza. Zostaliśmy tak samorzutnie przyjaciółmi. On mnie lubi, a ja go również kocham i jak przyjaciel pragnę, by poznał tę religię, bez której nikt nie może się zbawić. Proszę wiedzieć, matko Jonasza, że ja mu podałem tę książeczkę, by się zapoznał z religią chrześcijańską a zostając chrześcijaninem nie zapierałby się swej religii, tylko ją udoskonaliłby.

Gdyby przez nieszczęście został chrześcijaninem, musiałby zaprzeć się naszych Proroków, gdyż chrześcijanie nie wierzą w Abrahama, Izaaka, Jakuba, Mojżesza.

Ależ my wierzymy w świętych Patriarchów i Proroków z Biblii. Ich pisma i nauki stanowią przecież fundament wiary katolickiej.

Gdyby tu był mój rabin, potrafiłby na to odpowiedzieć. Ja nie znam Miszny ani Gemy (2 części Talmudu żydowskiego). Doprawdy nie wiem, co się stało z tym biednym Jonaszem? To rzekłszy odeszła biadając. Byłoby tu wiele do opisywania, jakich przykrości doznał Jonasz od matki, od rabina, swych krewnych i współplemieńców; jakich gwałtów użyto przeciwko niemu, by zaniechał uczenia się katechizmu. Ponieważ w domu nie był pewny życia, musiał się ukrywać żyjąc z jałmużny.

Pospieszono mu z pomocą. Jan polecił go pewnemu uczonemu kapłanowi, który nim się zaopiekował. Pouczony o prawdach wiary katolickiej, okazując wielką gorliwość, został ochrzczony uroczyście z wielkim zbudowaniem mieszkańców Chieri i przykładem dla innych Żydów; niektórzy z nich przyjęli później Chrztost św. Chrztostnymi byli: Karol i Oktawia małżonkowie Bertinetti, którzy obdarowali neofitę, by mógł uczciwie zarabiając na swe utrzymanie. Dano mu imię Alojzego. Prowadził życie doprawdy wzorowe zachowując wdzięczność dozgonną Janowi Bosko. Często odwiedzał go w Turynie, a ten który pisze te stronicę, spotkał go w Oratorium w roku 1880.

Takie były początki apostołstwa Jana jako zadatek obfitych w przyszłości łask Bożych. Pisze św. Jakub Apostoł: „Jeśli kto z was, bracia moi, zbłądzi z drogi prawdy, a ktoś go nawróci, wiedzcie, że ten, zbawi duszę jego od śmierci i zakryje mnóstwo grzechów”. /Jk 5,19-20/.

ROZDZIAŁ XXXVII

Imieniny profesora Banaudi i pewien przykry wypadek; Jan kończy gimnazjum celującym egzaminem dojrzałości; Spotkanie z księdzem proboszczem Cinzano.

Wielkie postępy poczynił Jan w języku włoskim, łacińskim i greckim pod kierunkiem profesora księdza Piotra Banaudi, znakomitego pedagoga. Nie wymierzając kar, zdołał sobie zaskarbić miłość u wszystkich. Z okazji imienin postanowiono urządzić mu akademię. Profesor był wielce uradowany i urządził swym uczniom wycieczkę. Dzień cały upłynął w miłym nastroju. Powracając do miasta, profesor spotkał kogoś obcego, któremu towarzyszył odłączając się, na pewien czas od uczniów. W tym momencie nadeszli jacyś chłopcy z klas wyższych, namawiając na kąpiel w miejscu zwanym fontanna Rossa. Był to kanał odprowadzający wodę do młyna odległego parę mil od miasta.

Jan próbował przeciwstawić się temu, lecz na próżno. Nie usłuchano go i stąd wynikła tragedia. W parę godzin później przyniesiono smutną wiadomość; Filip N..., który najwięcej namawiał do kąpieli, utonął! Nie znając dobrze niebezpiecznych wirów, pierwszy skoczył do wody. Czekaliśmy, aż wypłynie, niestety nie wypłynął już. Wołaliśmy o pomoc, nadbiegli ludzie. Po wytężonych poszukiwaniach odnaleziono trupa.

Wrażenie było piorunujące tak, że później nikt już nie odważył się namawiać do kąpieli.

Tymczasem skończył się rok szkolny i z Turynu przyjechał delegat ministerstwa prof. Lanteri na egzamin maturalny. Jan pierwszy złożył mu wizytę.

Czym mogę panu służyć mio caro?

Chciałbym, by pan profesor dał mi dobre stopnie.

To zależy od pana; ale skąd ta odwaga?

Właśnie dlatego, że jestem przyjacielem profesora Gozzani.

Doskonale! W takim razie będziemy przyjaciółmi.

Bardzo chętnie! Proszę wiedzieć, że profesor Gozzani dał mi dobre noty.

Gdy nadszedł egzamin, Jan stanął doskonale przygotowany. Spytany o Tycydydesa, odpowiedział świetnie. Wówczas Lanteri biorąc do rąk Cycerona, spytał uprzejmie:

Z czego pan życzy sobie być pytanym?

Co pan profesor uważa?

Lanteri otworzył książkę na chybił trafił; były to Paradoksy.

Zechce mi pan przetłumaczyć coś?

Jak pan profesor uważa; jeśli sobie życzy, mogę mu wyrecytować tekst z pamięci; i z miejsca zaczął od tytułu greckiego, następnie ciągnął dalej tekst.

Basta! Zawołał rozentuzjzmowany profesor. Proszę mi podać rękę, chcę byśmy zostali przyjaciółmi. Potem rozmowa zesłała na inne tematy.

Jego profesory, zwłaszcza doktor Banaudi, proponowali, by składał egzamin na filozofię, do którego został faktycznie dopuszczony. Jan uznał jednak za stosowne studiować literaturę na retoryce. Profesory pochwalili tę decyzję, bo przez to udoskonalali swój język i styl. Może wtedy jeszcze nie przewidywał, że pisma jego, cieszące się takim wzięciem u ludu, przyniosą niezliczone korzyści dla dusz.

Dziękując Bogu za pomyślny egzamin, Jan wrócił do swej matki i zwyczajem swym, pomagał w czym mógł bratu Józefowi w gospodarce w Sussambrino, nie zaniedbując swej ulubionej lektury i wizyt u przyjaciół i kolegów.

W czasie jednego z owych dni wakacyjnych, spotkał się z ks. Proboszczem Cinzano idącym do chorych. Ten zainteresowany młodzieńcem spytał go o nazwisko i zajęcie; usłyszał, że jest owym Janem Bosko, o którym mówił mu Ewazjusz Savio. Zatrzymali się parę minut na rozmowie. Proboszcz ujęty wielce inteligencją młodzieńca, zaprosił go do siebie. Tam zaproponował mu objęcie posady odźwiernego w plebani. Tu będziesz miał sposobność dalszych studiów, dodał proboszcz. Postaraj się o zgodę swej matki i przybywaj, czym prędzej. Jan przyjął chętnie propozycję księdza proboszcza i objął nową posadę.

To opatrnościowe spotkanie odroczyło pewne zamiary, z jakimi Jan nosił się w sercu. Rozwagał często swój zamiar poświęcenia się misjom zagranicznym, tym bardziej, że znane było już w Piemencie Dzieło Rozkrzewienia Wiary zapoczątkowane w Lyonie we Francji. Czytano chętnie roczniki z korespondencją misjonarzy o ich trudach i męczeństwie. Z całą pewnością orzec można, że Jan

zostałby misjonarzem, gdyby nie pomoc i interwencja księdza Cinzano i innych dobrodziejów. Sam to wyznał księdzu profesorowi Janowi Turchi. Bynajmniej nie można przypuścić, żeby to były chwilowe zachcianki. Opatrzność kierowała jego krokami wśród tylu przeciwności, nim doszedł do kapłaństwa, chowając w głębi serca ideał misyjny, który urzeczywistniał w inny sposób.

Ten swój ideał zakonnika i misjonarza zrealizuje przez założenie nowego zgromadzenia w Kościele i rozszerzenia swych misji w całym świecie.

Ksiądz Cinzano objął swą parafię w sierpniu. Jan Bosko przez całe wakacje przesiadywał na plebani oddając różne usługi. Ksiądz proboszcz był pełen podziwu dla pobożności i wiedzy swego protegowanego, a sam wykształcony w literaturze lubił prowadzić dyskusje na temat języka i stylu autorów oraz dawał mu fachowe wskazówki, przez co poszerzał jego horyzonty myślowe.

Później ksiądz Cinzano wspominając owe wakacje z Janem Bosko, w obecności Józefa Buzzettiego i kilku chłopców potwierdzał niezwykle jego zdolności i pamięć. Bo oto razu pewnego, zszedłszy z ambony spytał go o treść swego kazania, a Jan wiernie mu je powtórzył. Wspominał o jego szerokiej wiedzy, pilności w studiach, gorliwości o dobro duchowe kolegów, kreśląc jakby sylwetkę misjonarza. Dodawał, że parokrotnie wyrażał mu pragnienie zostania księdzem, by zajmować się młodzieżą, względem, której czuł jakiś dziwny pociąg.

Stąd wytworzył się stosunek serdecznej i zażyłej przyjaźni, jak między ojcem a synem. Ksiądz Cinzano kilkakrotnie prezentował go księdzu Cafasso, prosząc o względy dla niego. Nie było to polecenie zacnego duszpasterza, ściśle mówiąc konieczne, w każdym razie bardzo korzystne.

Po tylu latach próby, wreszcie Opatrzność otwierała przed Janem Bosko perspektywę powodzenia. Wytrwał on tę heroiczną próbę okazując się godnym swej misji. W tym momencie dzieło jeszcze nie było ukończone: brakowało mu ostatnich uderzeń dłuta. Drzewo zakorzeniło się dostatecznie i rozrosło bujnie nabierając wspaniałej korony, która przerzedzona w miarę, nabierze piękniejszego wyglądu i siły. Dalsza praca wobec niego nie będzie już bolesna, a raczej przynosząca obfity plon. Przyjaźń chrześcijańska dopełni tego dzieła; „Przyjaciel wierny jest lekarstwem żywota i nieśmiertelności, a którzy się Pana boją, znajdą Go. Kto się Boga boi, będzie

miał również przyjaźń dobrą, bo jakim on jest, takim będzie i przyjaciel jego”. /Syr 6, 16-17/.

Po wakacjach Jan przeniósł się do Chieri na kurs retoryki; zamieszkał na stacji u niejakiego pana Cumino krawca, za opłatą 8 lir miesięcznie, które uiszczali dobrodzieje, zwłaszcza panowie Pescarmona i Sartoris. Mała izdebka na parterze ze składem uprząży służyła za sypialnię dla Jana przez kilka miesięcy. Dzięki hojności księdza Cafasso, który dawniej stołował się również u gospodarza, otrzymał niebawem wygodniejszy pokój.

Tymczasem w Chieri zaszły pewne zmiany w liceum, gdyż sędziwy profesor Banaudi wycofał się ze szkoły, a jego miejsce zajął młody profesor Ksiądz Jan Bosko rozpoczynający podówczas dopiero swą karierę profesorską.

ROZDZIAŁ XXXVIII

W klasie retoryki; Przyjaźń z Alojzym Comollo; Pokorne wyznanie; Piękne przykłady przyjaciela.

„Szczęśliwy, kto znalazł przyjaciela wiernego. Wierny przyjaciel jest mocną obroną a kto go znalazł, skarb znalazł. Z wiernym przyjacielem nic porównać nie można i nie masz godnej wagi złota i srebra wobec dobroci wiary jego”. /Przyp/.

Takie właśnie szczęście miał nasz Jan w czasie studiów na retoryce. Jest to stronica jedna z najpiękniejszych w jego życiu dlatego posłuchajmy, co on sam o tym mówi.

„Z początkiem roku szkolnego 1834/35, w czasie gdy uczęszczałem na kurs retoryki w mieście Chieri, znalazłem się przypadkowo w pensjonacie Marchisio Jakuba, gdzie rozmawiano nieraz na temat studentów. Słyszałem, odzywa się gospodarz, o pewnym świątobliwym studenciku. Uśmiechnąłem się biorąc to za uprzejmy żart. Doprawdy tak jest, dodał z naciskiem gospodarz; ma to być podobno jakiś krewniak ks. proboszcza Cinzano, młodzieniec o wybitnej cnotcie, także jego stryj kapłan ma podobną opinię.

Zaprzagnąłem wtedy poznać tego kolegę; niebawem pewne okoliczności ułatwiły mi to. Od pewnego czasu widywałem studenta, którego skromna postawa, rozmowa i odnoszenie się sprawiały niezwykle wrażenie. Zwracał uwagę dokładnością i punktualnością w klasie. Przyszedłszy do szkoły zajmował swe miejsce i powtarzał lekcje. Wiadomo, jakie brewerie wyprawiają studenci, nim przyjdzie profesor. Najwięcej broją tacy, co najmniej są pilni w nauce. Któryś z tych roztrzepańców ciągnął za rękaw owego studenta, by przyłączył się do ich igraszek łobuzerskich.

Ależ mio caro, ja nie umiem, dajcie mi pokój, nigdy się w to nie bawiłem.

Musisz iść, bo inaczej dostaniesz, jak się będziesz opierał.

Możecie mnie bić, ile chcecie, ja nie pójdę, nie mogę.

Ów niegodziwiec widząc, że nic nie wskóra, wymierzył mu głośny policzek. Na ten widok krew mi się wzburzyła; sądziłem, że napadnięty odda napastnikowi, tym

więcej, że wyglądał jakoś na silniejszego; był on jednak całkiem innego usposobienia. Jakież było moje zdumienie, gdy ów cnotliwy chłopiec z wypiekami na twarzy, spojrzawszy ze współczuciem na swego prześladowcę powiedział te słowa; Niech ci Bóg daruje, ja się nie gniewam i przebaczam ci. Ten akt heroicznej cierpliwości przypomniał mi to, co słyszałem o owym młodzieńcu. Tak, to był Alojzy Comollo, krewniak ks. proboszcza Cinzano”.

Alojzy Comollo urodził się 7 kwietnia 1817 r. we wsi Apra, gdzie był proboszczem ks. Józef Comollo jego stryj, również świątobliwy kapłan. Od dziecka wykazywał dużą skłonność do pobożności. W święta otaczał się dziećmi opowiadając im pobożne przykłady; mając lat 10 był powszechnie szanowany i uważany za świętego tak, że na jego widok cichły rozmowy nieprzyzwoite.

Pasając krowy miał przy sobie książkę, z której odczytywał dla innych coś budującego, albo śpiewał pieśni pobożne. Pościł zwłaszcza w dni świąt maryjnych. W dniu pierwszej Komunii św. podarował ubogiemu dziecku ubranko ze swych oszczędności. Lubił nabożeństwa i chciał zostać księdzem. Początków języka łacińskiego nauczył się od swego stryja. Trzy klasy wstępne ukończył w Caselle. Był on zawsze pociechą dla swych rodziców. Opatrznościowo został zaufanym przyjacielem naszego Jana.

Podobny do Alojzego pod względem zamiłowania cnoty, pomimo odmiennego usposobienia, Jan zaprzyjaźnił się z nim serdecznie; przyjaźni tej dotrzymali sobie wiernie do końca życia.

Pełne skromności i taktu zachowanie się Alojzego, który nie nadużywał nigdy zaufania, jakim został obdarzony oraz pewna powściągliwość w obcowaniu w połączeniu z refleksją, oto co najwięcej w nim podobało się Janowi.

„Był on o klasę niżej ode mnie, pisał Jan, uczyliśmy się jednak w tej samej szkole, mając tych samych profesorów. Miałem w nim zaufanego przyjaciela i dzięki niemu pogłębiłem doprawdy życie chrześcijańskie. Zwierzaliśmy się sobie nawzajem. Jeden potrzebował drugiego; ja jego pomocy duchowej; jemu zaś była pomocna moja siła fizyczna dlatego, że Comollo z natury cichy i bojaźliwy był przedmiotem dokuczliwości kolegów, podczas gdy mnie bali się nawet starsi dla mej odwagi i stanowczości. Przekonali się o tym na własnej skórze ci, co próbowali go

maltretować i dokuczać. Gdy miarka się przebrała rzuciłem categorycznie; Niech no tylko, który spróbuje jeszcze raz mu dokuczać, będzie miał do czynienia ze mną. Kilku zuchwałych drągali postawiło się do mnie, podczas gdy któryś uderzył Comollo. Straciłem panowanie nad sobą i nie mając niczego pod ręką, chwyciłem w pół któregoś i robiąc nim młyńca biłem zapalczywie przeciwników. Czterech powaliłem na ziemię, inni umknęli prosząc o litość. Co gorsza, wchodzi do klasy profesor i wśród niesamowitego kotłowiska i zgiełku zaczyna krzyczeć i klaskać w ręce, by położyć kres walce. Nad moją głową zawisła burza; ale gdy opowiedziałem powód mego wystąpienia, profesor się uspokoił. Nie wymierzono mi żadnej kary, na jaką może zasłużyłem”.

Podziwiamy prostotę, z jaką przedstawia Jan owo zdarzenie. Cóż dziwnego, że jego szlachetny duch oburzał się wobec brutalności kolegów. Każdy z nas, choćby mniej odważny, postąpiłby chyba podobnie zgodnie z tym, co mówi Pismo św.: „Wybaw tego, który cierpi krzywdę z ręki pysznego, a nie znoś tego obojętnie w duszy mojej”. /Syr 4,9/.

Być może Jan przesadza trochę. Wszyscy jego koledzy z gimnazjum określają go jako wzór łagodności. Z własnego przeświadczenia wiemy, że poniewierany i znieważany znosił cierpliwie krzywdy nie broniąc się. Skądinąd profesor byłby zareagował inaczej, gdyby ta scena nie miała charakteru słusznej obrony i gdyby ktoś był poszkodowany na zdrowiu. Sam Ksiądz Bosko opowiadając kilkakrotnie to na rekreacji, trochę na serio i na żarty, wywoływał powszechną wesołość.

W każdym razie przykład ten wskazuje na żywiołowość jego usposobienia i jest dowodem na to, ile wysiłków kosztowało go opanowanie się, by zdobyć cnotę łagodności, przez którą jak Mojżesz był uważany za najcichszych z ludzi. Czytamy dalej w manuskrypcie Księdza Bosko: „Comollo dawał mi też inne upomnienia;

Caro mio, rzecze mi na osobności, twoja siła mnie przeraża; wierz mi, Pan Bóg nie dał ci jej dla masakrowania kolegów. On chce, byśmy się miłowali wzajemnie, przebaczali swe urazy i czynili dobrze tym, którzy nas krzywdzą. Doprawdy jego łagodny charakter nie pozwalał mu sprzeczać się z kolegami i na ich dokuczliwości odpowiadał zawsze dobrocią. Podziwiałem to u mego drogiego kolegi i pozwalałem się mu kierować według jego woli. Wraz z kolegą Garigliano chodziliśmy wspólnie do spowiedzi i Komunii św., odprawialiśmy rozmyślanie, czytanie, nawiedzenie

Najświętszego Sakramentu, służyliśmy do Mszy św. Comollo był wszędzie pierwszy. Gdy razu jednego przechodząc obok kościoła zapomniałem zdjąć czapkę, upomniał mnie grzecznie mówiąc:

Mój drogi, jesteś tak bardzo uprzejmy i uważny wobec ludzi, a zapominasz o Domu Bożym. Kiedy indziej w żartach posłużyłem się wyrażeniem z Pisma św. A Comollo zaraz mnie upomniał, że nie należy używać w żartach słów Pisma św.

Raz spytałem go, jakie zna pomniki w Chieri, a widząc, że niezbyt się orientuje rzekłem: Tyle osób przybywa z daleka, by je oglądać, a ty mieszkaniec Chieri nie myślisz o ich zwiedzeniu.

Ech, mój drogi, mówi z uśmiechem, to, co nie przyniesie mi korzyści jutro, tym nie warto się zajmować dzisiaj; chciał powiedzieć, że gdyby miał z tego korzyść w wieczności, to by nie zaniedbywał ich zwiedzenia.

Kiedy indziej przechodząc przez plac del Piano, napotkaliśmy kuglarza, który zabawiał gromadę gapiów i próżniaków.

Patrzcie, patrzcie, jaki zabawny kuglarz, chodźcie przystańmy na chwilę! Lecz Comollo wyrwał się mówiąc:

Powie wam być może 10 słów do śmiechu, a jedenaste gorszące; mój stryj polecał mi nie przypatrywać się widowiskom, mówiąc;

Przyjdzie się z duszą niewinną na widowisko, a cudem musiałoby być, gdyby się odeszło niezbrukanym.

Ostatni przykład wydaje się być pośrednim upomnieniem dla Księdza Bosko, który w podobnych rozrywkach zwykł brać udział od młodości. Gdy się jednak rozważy rzecz należycie, nie dotyczy go wcale, gdyż jego prostota i niewinność, prawe sumienie i szlachetny cel, dla których brał udział lub urządził tego rodzaju rozrywki, usprawiedliwiają go dostatecznie. W jego życiu sprawdza się owo Augustynowe „Ama et fac quod vis”. Stąd całe jego postępowanie nacechowane prostotą i szczerością, bez żadnych zawikłań wewnętrznych, pełna wolność synów Bożych. Miłość, bowiem rozprasza bojaźń. Gdy osiągnął zamierzony cel, zaprzestał uczęszczać na widowiska publiczne. Z czasem zrezygnuje z gimnastycznych pokazów, gdy przekona się, że nie licują one ze stanem osoby poświęconej Bogu. Będzie kontynuował jeszcze przez szereg lat swe sztuczki, ze względu na to, że były one środkiem przyciągania młodzieży oraz miłą rozrywką dla jego przyjaciół. Stanowiły

one dla niego zaprawę do przyszłej misji, uczyniły go śmiałym, bezpośrednim, jowialnym, przystępnym przez osobisty kontakt z ludźmi, zapewniając wpływ skuteczny na dusze. Postawa surowego ascety i pokutnika budziłaby może odrazę w społeczeństwie, wśród którego musiał żyć i działać.

Wzrusza doprawdy jak poważnie brał do serca rady swego przyjaciela, co dowodzi głębokiej pokory. Twierdzi, że od Comollo nauczył się żyć po chrześcijańsku; faktycznie zaś było, że obaj wzajemnie upominali się i zachęcali do poprawiania się ze swych uchybień i postępu do doskonałości.

Comollo miał w Janie wiernego, zaufanego towarzysza w sprawach duchownych.

„Rozmowa na te tematy, pisze Ksiądz Bosko, sprawiała mu wielką przyjemność. Rozprawiał z zapałem o nieskończonej miłości Pana Jezusa w Eucharystii, będącego pokarmem dla dusz. Ilekroć mówił o Najświętszej Dziewicy, wzruszał się serdecznie i zalewał łzami mówiąc: Jeżeli Matka Najświętsza udziela tyle łask dla biednego ciała naszego, to ileż cenniejszych łask daje duszom, które ją wzywają z pobożnością. Och, gdyby ludzie więcej kochali Maryję Najświętszą, jak szczęśliwe byłoby życie na świecie!

Takie akcenty serdecznego nabożeństwa wypływają tylko ze serc zdolnych je zrozumieć i wyżywać się w nim! A do takich należał właśnie Jan Bosko, który z pokory zamilcza swe nazwisko.

Alojzy Comollo mógł być postawiony dla młodzieży jako wzór nieskazitelnych obyczajów, posłuszeństwa i pilności w nauce. W wieku tak wrażliwym i podległym mutacjom utrzymywał się prostolinijnie w praktykowaniu cnót. Zamiłowany w życiu skupionym, niechętnie opuszczał pensjonat. Zawsze pogodny nie zdradzał się ze swych upodobań, nie skarżył się na zmiany klimatu, na wikt, czy zmęczenie. Co więcej, nie szczędził wysiłków, by pomagać innym kolegom w nauce. Chętnie dyskutował o historii, poezji, literaturze i to w sposób umiarkowany, czasem jowialny, wypowiadał swe uwagi z gotowością przyjęcia zdania innych.

Jako uczeń wybijał się niepoślednimi zdolnościami a przy tym pilnością w studiach. Brał żywy udział w stowarzyszeniach szkolnych; pilny i uważny w słuchaniu słowa Bożego, uczestniczeniu we Mszy św., odnoszeniu się ze czcią do kapłanów, nie pozwalając sobie ani innym na ubliżanie im choćby żartem.

W czasie świąt, gdy inni szli na przechadzkę albo wycieczkę, on z Janem przysłuchiwał się katechezom odbywającym się w kościele w mieście.

Co dzień udawał się na nawiedzenie Najświętszego Sakramentu w katedrze; Jan, zbudowany jego zachowaniem się, pisze: „Zazwyczaj klękał gdzieś w kąciaku koło ołtarza głównego, z głową lekko pochyloną, oczyma spuszczoneymi; modlił się nie zwracając uwagi, co się działo dokoła niego. Umawiał się ze mną, by po skończeniu obowiązków przyjść po niego i towarzyszyć mu. Zazwyczaj klęczał nieruchomo, choć dawałem mu znak, że czas odejść; wtedy ocknął się z zadumy i szedł ze mną.

Lubił usługiwać do Mszy św. nawet w czasie zajęć szkolnych, o ile mógł. W czasie wakacji służył do kilku Mszy św. Brał udział w ceremoniach w kościołach miejskich. Wyraz twarzy poważny i skupiony, acz bez zbytniego zakłopotania. Zawsze pełen optymizmu. Uprzejmym, pełnym wdzięku obcowaniem rozweselał towarzyszy mówiąc, że przypadają mu do gustu słowa Proroka Dawida: „*Servite Domino in laetitia*”.

ROZDZIAŁ XXXIX

Jeszcze o sztuczkach Jana; Oskarżony o magię; Jak się usprawiedliwił?

Jak w poprzednich latach, tak i obecnie Jan wszędzie rozniecał radość w otoczeniu. Wśród znajomych w Chieri, w stowarzyszeniu wesołości był zapraszany i oczekiwany z upragnieniem dla swych ciekawych sztuczek. Potrafił je wykorzystywać po mistrzowsku, by pociągać dusze, dokąd chciał.

Na przykład, zabić wróbla, rozetrzeć go na miazgę w moździerz, potem nabić do pistoletu, wystrzelić i ujrzeć jak wylatuje żywy i zdrowy, była to jedna z najczęstszych sztuczek; z tej samej butelki wydobywał wino czerwone i białe, na życzenie. Razu pewnego sprawił, że znikła cała misa pierogów z fajerek i znalazła się w innym domu na wsi. Jedni w ukryciu znaczyli misę a wszyscy ciekawie obserwowali i oto macie; po wymówieniu tajemniczych zaklęć przez Jana, biegną na wyścigi i znajdują, jak Jan zapowiedział. Rozumiemy, jak ta rzecz może się udać, ale tu doprawdy trzeba wielkiej przytomności umysłu, by tak zaabsorbować i zafascynować uwagę patrzących, by nie spostrzeżono się, kiedy i jak się to stało.

Sprytnie potrafił manewrować kulkami tak, że z jednej dużej wylatywały większe od niej, albo wydobywał z małej sakiewki tysiące jaj, to przecież już były rzeczy zaskakujące. A kiedy zdejmował kulki z nosa patrzących, zgadywał, ile ktoś ma pieniędzy w kieszeni; kiedy za dotknięciem, jego palca zamieniały się w proch monety z różnych metali, albo też ukazywał się potwór bez głowy wydając głos, wówczas mogło się zrodzić u niektórych podejrzenie, że Jan był czarnoksiężnikiem, wykonującym swe magiczne czary przy pomocy sił ciemnych.

Ogólną radość powiększał gospodarz domu, pan Tomasz Cumino. Był on gorliwym chrześcijaninem, a przy tym wesołkiem więc Jan wykorzystywał jego dobroduszość dla ogólnej rozrywki. Pewnego dnia chcąc zrobić niespodziankę dla lokatorów, przygotował im kurczę z zimną galaretą: gdy postawiono półmisek na stole i odkryto go, wyskoczył piejący kogucik. Gotował znów zawzięcie makarony

w garnku, by je podać na stół, a oto gdy wysypał na miskę, ukazały się suche otręby. Czasem napełniwszy butelkę winem, wlewał do szklanki czystą wodę; to znów, gdy chciał pić wodę, w szklance znajdowało się wino. Konfitury zamieniały się w kromki chleba; monety w czyjejs kieszeni zamieniały się w kawałki zardzewiałej blachy; kapelusz zamieniał się w czepek, orzechy i kasztany w woreczek drobnego żwiru, to były rzeczy zwykłe u Jana. To znów robił psikus i znikaly mu z nosa okulary, które potem znajdował w swej kieszeni. Schowany starannie przedmiot, na przykład portfel, pojawiał się nieoczekiwanie na stole, a inny, który miał przed oczyma, w momencie stawał się niewidzialny na znak zaklinacza. Często okazywał mu talię kart by wybrał sobie jakąkolwiek z nich, a potem zgadywał, jaką ona była. Kazał pomyśleć jakąś cyfrę, potem pomnożyć, podzielić, odjąć, dodać i zgadywał, jaką on pomyślał. Raz obiecał, że ukaże się klucz, który w tej chwili znajdował się gdzie indziej, a oto znaleziono go na dnie wazy po wyczerpaniu zupy.

Zacny Tomasz na widok tych dziwów, które się działy, co dzień, nie mógł znaleźć innej odpowiedzi, jak ta: Człowiek nie może własnymi siłami czegoś podobnego dokonać; a Pan Bóg nie będzie się zajmował podobnymi głupstwami, zatem przyczyną tego może być tylko szatan. Myślał nawet na serio wydalić Janka ze swego domu. Nie śmiąc o tym mówić z kimś w domu, umyślił zwrócić się do księdza Bertinetti, swego znajomego. Poszedł, więc do niego i z powagą oświadczył:

Signore, przychodzę w pewnej ważnej sprawie. Zdaje się, że mam w domu czarnoksiężnika! i opowiedział dokładnie wszystko w tak żywych kolorach, że omal przekonałby zacnego księdza Bertinetti. Ten uznał za stosowne donieść o tym wizytatorowi szkolnemu, którym był w owym czasie ks. kanonik Burzio, prepozyt katedralny. Jan otrzymał wezwanie na stawienie się.

Kanonik Burzio był osobą wykształconą i roztropną. Jan przyszedł do pokoju, w chwili, gdy kończył brewiarz, a co dopiero dał parę monet ubogiemu. Zacny kanonik powitał go grzecznie i kazał usiąść; potem zaprowadził do swego gabinetu pytając na temat wiary i katechizmu. Jan odpowiadał świetnie, lecz przewidując, do czego to wszystko zmierza, uśmiechał się filuternie. Kanonik spytał następnie, jak spędza dzień. Odpowiedź była zadowalająca. Chłopiec odpowiadał bystro, rozumował logicznie, trudno było w nim odkryć coś nagannego. Egzaminator po chwili przeszedł do dalszych pytań w tonie surowszym:

Słuchaj mój drogi, jestem zadowolony z twojej nauki i zachowania się, lecz coś tam o tobie słyszę: mówiono mi, że znasz cudze myśli, zgadujesz, ile kto ma pieniędzy w kieszeni, pokazujesz białe, co jest czarne itp. Podejrzewają cię, że zajmujesz się magią, że w tych sprawach masz do czynienia z szatanem.

Powiedz mi, kto cię nauczył tych sztuczek i gdzie się ich nauczyłeś? Wyjaw mi to poufnie, a ja ci przyrzekam, nie posłużę się tym na twą szkodę.

Jan pełen animuszu poprosił o parę minut do namysłu i zapytał, która godzina. Kanonik sięgnął ręką po zegarek i nie znalazł go.

Jeśli ks. kanonik nie ma zegarka, poproszę o pięć soldów. Kanonik znów szperał w kieszeni na próżno.

Che diavolo! O ty łajdaku, albo jesteś sługą szatana, albo posługujesz się nim. Porwałś mi już sakiewkę i zegarek! Nie powinienem więcej milczeć i mam obowiązek cię zadenuncjować oraz każe wymierzyć ci porcję kijów. Widząc jednak Jana uśmiechniętego, ochłonął nieco i podjął: No, weźmy rzecz spokojnie; wytłumacz mi tę tajemnicę: jak się to stało, że mój zegarek i sakiewka ulotniły się z mych kieszenie, że ani się spostrzegłem? Gdzie się podziały te rzeczy?

Proszę księdza kanonika. Zaraz mu wytłumaczę. Są to wszystko sprawy zręczności, przemyślności i przewidywania.

Jak to? Co to ma wspólnego z zegarkiem i sakiewką?

Oto widzi ks. Kanonik: gdy wchodziłem do pokoju, ks. kanonik dawał jałmużnę ubogiemu i zostawił portmonetkę na klęczniku. Potem przechodząc do pokoju zostawił zegarek na stoliku. Ja schowałem jedno i drugie, a ksiądz myślał, że ma je ze sobą, podczas gdy znajdują się pod tą umbrą. To mówiąc podniósł umbrę i ukazały się owe przedmioty, które, jak myślał, porwał mu diabeł. Uśmieł się zacny ks. kanonik; kazał dać sobie jeszcze parę pokazów zręczności, którymi bardzo się ubawił. Na zakończenie obdarował Jana i żegnając się z nim powiedział:

Powiedz swym kolegom, że ignorantia est mater admirationis.

Jan usprawiedliwiony, że jego sztuczki nie są żadną czarną lub białą magią, kontynuował je nadal w swym pensjonacie, dokąd schodzili się również księża proboszczowie i kanonicy, by je oglądać. Zapraszany często, Jan produkował się z nimi po sąsiednich plebaniach, zawsze tytułem przyjaźni i rozrywki.

Słynął zwłaszcza z tego, że z daleka (na ośle z Chin) sprowadzał przedmioty nieobecne. Stąd oprócz „sognatore” przydano mu tytuł także „il mago”.

ROZDZIAŁ XL

Wakacje wielkanocne; Wizyty u znajomych; Burza i powrót do Pinerolo, potem Chieri; List do prof. Strambio; Udziela rad dotyczących powołania.

W Chieri Jan zaprzyjaźnił się z kolegą Hannibalem Strambio z Pinerolo. Z okazji ferii wielkanocnych otrzymał od jego rodziców zaproszenie spędzenia parę dni w Pinerolo, z czego chętnie skorzystał, by odetchnąć nieco świeżym górskim powietrzem.

Posiadamy opis tej podróży od niego samego w jedynym liście, jaki zachował się z czasów studenckich.

Opisawszy przyjazd do Pinerolo i powitanie ze strony rodziny Strambio, tak dalej pisze: W dniu następnym postanowiłem udać się do Barga, odległego jakieś 8 kilometrów od Pinerolo. Zwiedziłem malowniczą okolicę wraz z szeregiem miejscowości położonych wśród pagórków i dolin; wreszcie dotarłem do Barga. W Barga odszukałem mieszkanie profesora Banaudi. Nie zastawszy go w mieszkaniu, udałem się do parafii, gdzie właśnie celebrował Mszę św. z Pasją. Z przyjemnością słuchałem jego stentorowego głosu, a po nabożeństwie oczekiwałem go na dziedzińcu kościelnym, obserwując tutejszych mieszkańców; lud to pasterski; mężczyźni rośli i postawni, przyzwoicie ubrani. Ksiądz profesor skoro mnie ujrzał, podbiegł ku mnie, serdecznie przywitał i ucałował nie znajdując słów radości, jaką mu sprawiłem swą niespodziewaną wizytą. Podejmował mnie u siebie dobre dwa dni. Czułem się wprost jak w niebie. Gdzie tylko pokazaliśmy się razem, zapraszano nas do siebie, a gdy wymawialiśmy się, brano pod rękę i wciągano do domu. Byliśmy w gościnie u księży: prefekta szkoły i wikarego, u syndyka i jego zastępcy oraz u właściciela gospody Balbiano. Wszędzie stół był obficie zastawiony. Po upływie dwóch dni zamyślałem udać się w powrotną drogę. Mój profesor na wszelki sposób próbował mnie zatrzymać i schował mi kapelusz. Widząc mnie zdecydowanego, odprowadził parę kilometrów. Przysięgliśmy sobie jeszcze pod drzewem rozmawiając o tym i owym; lecz gdy chciałem się już żegnać, on rozplakał się jak dziecko, mnie również zabrakło głosu od

wzruszenia. Rozmawialiśmy jeszcze parę minut na tematy poufne, poczym uściskiem serdecznym rozstaliśmy się. Wracalem śpiesznie do Pinerolo. Musiałem wiele naopowiadać się o swej podróży i o ks. Profesorze Banaudi'm.

Następna wyprawa była do Fenestrelle. Podwózkę użyczył nam Alberto Nola, znakomity komediopisarz w naszych czasach i zaopatrzył nas we wszystko potrzebne do podróży. Umieściliśmy na niej plecaki i w drogę.

Pierwszą miejscowością napotkaną było Porte, usadowione między skałami, następnie Floe, na szlaku królewskim wzdłuż Chiusone. Rzeka ta wpada do Po. Z drugiej strony wznosiły się okalające łańcuchy górskie. Ujrzelśmy z dala bardzo wysoki szczyt skalisty noszący nazwę Malanagi lub Malandaggio ludzaco podobny do lodowca. Niebawem podjeżdżając blisko przekonaliśmy się, że była to lśniaca naga skała, poprzecinana poprzecznymi fałdami, skąd wydobywano kamień. Ze szczytu zwisały liny, zbocze, bowiem było tak gładkie i strome, że nawet kot nie zdołałby się tam wdrapać. Robotnicy wspinali się po linach i wykuwali otwory dla założenia ładunków wybuchowych. Siedząc na poprzecznej belce podtrzymywanej przez dwa pręty żelazne wpuszczone w skałę drążyli otwory dla min, które wkładali z długim lontem spuszczone na dół. Po przygotowaniu min, na znak trąbką schodzili na dół i wysadzano skałę. Ogromne bloki oderwane spadały w dolinę.

Wspaniałe kolumny znajdujące się na przykład, w kościele Madonny del Piloe, pochodzą właśnie z tych kamieniołomów. W 10 kuźniach zainstalowanych w tym celu naprawiano kilofy, młoty i kliny. Zatrzymywaliśmy się krótko podziwiając tę pracę, następnie ruszyliśmy dalej.

Ujechawszy jakiś kilometr po skale z naniesionym piachem weszliśmy w krajobraz godny szczególniejszej wzmianki. W tej okolicy wszyscy mają wole na szyi; z tym, że u dzieci jest on pojedynczy, większy lub mniejszy; natomiast u dorosłych jest ich trzy lub cztery, do tego stopnia, że dla ulżenia sobie podwiązują je chusteczką tak, że zewnątrz wygląda to, jakby nosili na szyi woreczek pełen koralu. Część ludności jest wyznania katolickiego, część waldeńskiego dlatego w każdej wsi są dwa kościoły; na jednym katolickim widnieje krzyż, na drugim brak go. Strój noszą niedbały, są raczej niskiego wzrostu i mrukliwego usposobienia. Wioskę okala wysoki łańcuch górski do 2.500 metrów wysokości, stromy i niedostępny. Zbocze jest jednak zamieszkałe, mianowicie, wykuwają kilofami otwory w żywej skale; na utworzonych

w ten sposób półkach budują swe szałas, nanoszą ziemi urodzajnej z doliny i na tych poletkach sadzą sobie ziemniaki, fasolę itp.

Pohasawszy nieco w tej mizernej okolicy, udaliśmy się w kierunku Fenestrelle. Wywindowaliśmy się na wysoką górę zwaną Monviso, gdzie zawiął tak gwałtowny wiatr, że cofnął wprost konia, odbierał nam siły w powożeniu i zapierał dech; siekał w oczy tumanem piasku pomieszanego z drobnym żwirem. Na drodze zaległy gęste ciemności. Koń szarpał się to w prawo, to w lewo i nie chciał postąpić kroku. Wobec tego zawróciliśmy w kierunku Pinerolo. Lecz gdyśmy zjeżdżali z góry, oto nowe niebezpieczeństwo. Silna wichura groziła wywróceniem nas z koniem i karocą i strąceniem w przepaść. Opatrznościowym ratunkiem była dla nas obszerna jakby nisza skalna, dokąd ostrożnie zaprowadziliśmy konia, oczekując końca burzy. Po jakiej półtorej godziny wiatr ustał, lecz ciemno, choć oko wykol. Na szczęście wychylił się księżyc oświetlając nam drogę i wróciliśmy szczęśliwie do Pinerolo około godziny 11 w nocy.

Przebyłem jeszcze parę dni wesoło w Pinerolo, potem wsiadłszy na dyliżans przyjechałem do Turynu, następnie do Chieri. Wyprawa ta trwała dni siedem, które upłynęły jak siedem godzin, tak dobrze się czułem w serdecznej gościnie. Wybaczcie, że rozwlokłem się etc., etc”.

Nie tylko odbył podróż do Pinerolo, uprzedźmy nieco fakty, by nie komplikować opowiadania. Młodzieniec Hannibal Strambio okazywał pragnienie wstąpienia do seminarium. Dlatego w roku następnym 1836, Jan pisał do jego ojca: „.... Pisałem parokrotnie do Hannibala; nie otrzymawszy odpowiedzi nie jestem pewien czy list mój doszedł, dlatego mam zaszczyt pisać ponownie w jego sprawie. Nie wiem, czy Hannibal przebywa w Pinerolo lub gdzie indziej; nie wiem również, czy jest klerykiem lub świeckim; oświadczył mi jednak, że ma zamiar przywdziać sutannę i że w międzyczasie spotkamy się; z powodu jednak grasującej dżumy w naszych okolicach, nie mogłem więcej z nim się widzieć. Ja jestem na pierwszym roku filozofii w seminarium w Chieri. Oczekuję wieści od szanownego pana, podobnie jak o pani Strambio, nie mogąc zapomnieć serdecznej gościny użytej mi w Pinerolo. Słyszałem, że Dominik był chory i nie wiem, czy już wrócił do sił. Proszę o wiadomości o rodzinie.....”.

Odpowiedź nadeszła, że Dominik przywdział sutannę. Lecz nie była to droga przeznaczona dla niego. Studiował teologię, gdy zaczął się wahać w sprawie powołania. Dla kleryka wzorowego i sumiennego tego rodzaju skrupuły są bardzo bolesnym przeżyciem, o ile nie ma przy sobie, jakiegoś mądrego i pobożnego doradcy, któryby rozproszył jego obawy i pokierował właściwie jego duszą.

W takiej sytuacji syna, rodzice napisali do Jana, by przybył do Pinerolo i porozmawiał z nim na temat tak bardzo leżący mu na sercu. Bosko odłożywszy swe zajęcia, pospieszył do przyjaciela zatrzymując się parę dni na rozmowie z nim, lecz taktownie, bez nacisku, jak zwykł postępować w takich wypadkach, gdy wola Boża nie była zbyt wyraźna, starał się rozwikłać wątpliwości przyjaciela. Z jego odpowiedzi niezbyt stanowczych i jasnych poznał, że prawdopodobnie nie zdecyduje się zostać kapłanem. Zachęcał, więc, by pozbył się wszelkiej melancholii, podsuwał mu pewne rady, jakie uważał za stosowne, dla uspokojenia go, by szedł drogą, jaką sam sobie obrał. Istotnie, w roku następnym złożył sutannę i opuścił seminarium.

Hannibal Strambio został później konsulem w Marsylii, zachował zawsze przyjaźń względem Księdza Bosko, a w czasie prześladowania zakonów we Francji skutecznie dopomógł do ocalenia domów salezjańskich.

ROZDZIAŁ XLI

Przywiązanie profesorów; Korzystny wpływ na kolegów; Świadczenia o jego cnotach; Umiar w pokarmach; Wątpliwości, co do powołania; Egzamin wstępny do seminarium; Wakacje; Pomoc dobrodziejów w zaopatrzeniu w wyprawę.

W rozdziałach poprzednich wykazaliśmy, jaką życzliwością cieszył się Jan u swych profesorów w Chieri. Szczycił się nim również jako swym współmiennikiem ks. profesor Jan Bosko. Nie omieszczał go zawsze popierać i oddawał mu najwyższe pochwały, ilekroć któryś z księży w Oratorium go odwiedzał. Z jego to właśnie ust czerpiemy następujący epizod.

Pewnego dnia wakacyjnego, gdy profesor odbywał sobie przechadzkę wśród pagórków. Słyszy naraz czyjś głos jakby deklamujący jakiś utwór. Równocześnie miarowe uderzenia, jakby ktoś kopał motyką. Zdziwiony podchodzi bliżej i co widzi; oto młodzieniec Bosko obkopywał winnicę pana Cumino, swego gospodarza, u którego mieszkał na stacji. W drugiej ręce trzymał książkę powtarzając lekcję. Zdumiony tym widokiem profesor, nabrał jeszcze większego szacunku dla swego ucznia.

Na podstawie wielu świadectw stwierdzamy, że w czasie wakacji Jan zajmował się pracą fizyczną i zalecał ją innym jako środek skuteczny do zachowania zdrowia. Jako student pracuje w polu i w domu wykonując różne zawody; wiemy, że nauczył się nawet fryzjerstwa, jak sam opowiadał, dla własnej oszczędności oraz by móc oddawać te usługi innym. Nie zaniedbując własnych studiów udzielał chętnie korepetycji studentom.

Pani Józefina Valimberty wdowa Radino, w roku 1889, opowiadała księdzu Bonettiemu, co następuje:

„Brat mój, kapłan wspominał często o pewnym uczniu, nazwiskiem Jan Bosko. Pomimo, że sam był profesorem, prosił go o korepetycje dla drugiego naszego brata. Był on w klasie ostatnim, lecz dzięki zachętom i pomocy korepetytora, zmienił się zupełnie. Stał się poważniejszy, uważny i pilny w nauce. Mój ojciec nie posiadał się

z radości, a matka dziękowała Bogu, że przyprowadził do naszego domu tak złotego młodzieńca. W tym roku brat dostał promocję, składając pomyślnie egzamin na retorykę. Również syn pana pretora Plebano poprawił swe wyniki, dzięki korepetycjom Jana Bosko i wiele innych rodzin ubiegało się o niego jako korepetytora dla swych dzieci. Bywał on często zapraszany na obiady zwłaszcza w niedzielę. Gdy odezwały się dzwony wybieraliśmy się do kościoła, a Jan zniknął nam z oczu. Początkowo moja siostra Józefina podejrzewała, że niezbyt chętnie uczęszczał na nabożeństwa, a tymczasem okazało się, co innego. Jan zbierał zewsząd chłopców po ulicach i zaułkach, zwłaszcza tych kryjących się przed katechizmem. Gdyśmy szli do kościoła, on tam był pierwszy z gromadą swych chłopców. Mieliśmy go zawsze za świętego, dla jego skromnej postawy i pobożności. Często pod wieczór przewodniczył w naszym Różańcu, dając wszystkim dobry przykład. Byłyśmy trzy siostry nie zawsze posłuszne matce i pilne w nauce, czy pracach domowych.

Czekajcie no, groziła mama, powiem o tym Janowi; pokażę mu wasze zadanie, zobaczymy, co on na to powie!

Dla nas była to największa groźba i fruwałyśmy, by zadowolić mamę. Tak nam zależało na tym, by Jan Bosko miał o nas dobre mniemanie. On jednak nigdy z nami nie rozmawiał, czasem tylko rzucił jakieś zdawkowe słówko i na tym koniec. Nasz tatuś, człowiek kodeksu i paragrafu, wyrażał się przecież, że doprawdy nie miałby nic do zarzucenia studentowi Bosko. Znajdował w nim każdą cnotę, naukę, trzeźwy sąd, zdolności i pobożność i dbałość o dobro wspólne”.

Należy tu podkreślić jedną cnotę, gdzie indziej już wspomnianą, którą podziwiano powszechnie mianowicie, jego umiarkowanie w pokarmach, gdy bywał na obiadach u niektórych obywateli lub księży proboszczów. Posiłał się bardzo skromnie i często niedostatecznie; chleb, ministra, czasem na dodatek owoce. Jest rzeczą naturalną, że gdy zasiądzie przy obfitym stole biedak i głodny, trudno mu się pohamować w smaku. Ale nic podobnego u naszego Jana Bosko. U niego powściągliwość była cnotą wyrobioną. Wydawało się, jakby był obojętny na to, czy stół jest bogato, czy skromnie zastawiony. Nie rozpoczynał jedzenia, dopóki gospodarz pierwszy nie dał znaku i spożywał to, co przed nim postawiono. Zwykle pierwszy kończył jedzenie. Wystarczało mu niewiele wina rozwodnionego. Był

powściągliwy w mowie; milczał i nie przerywał, gdy drudzy mówili; gdy kto go zapytywał, odpowiadał żartobliwie rozweselając współbiesiadników.

Nadchodził miesiąc czerwiec. Życzliwość, cierpliwość i uprzejmość ks. profesora Bosko względem jego uczniów, staranie o ich postępy w nauce, zjednały mu ich wzajemną miłość i wdzięczność.

Okazją do tego były jego imieniny. Jan przewodniczył klasie; sam napisał piękny sonet ku czci profesora. On sam z Alojzym Comollo przystąpili do Komunii św. w dniu 24 czerwca na intencję profesora. Ta wdzięczność względem tych, co świadczyli mu dobro, była zawsze charakterystyczną w jego życiu.

Ks. prof. Bosko urządził dnia następnego wycieczkę wraz z obfitym podwieczorkiem dla uczestników. Deklamowano różne utwory, na które profesor odpowiedział wzruszony. Aplauzów i okrzyków było bez liku! Wszystkim chciało się skakać, tańczyć i śpiewać; słowem radości, co nie miara. Naraz ktoś powiedział, że Comollo zniknął. Obawiano się jakiegoś nieszczęścia, tym bardziej, że ubiegłego roku jeden z tej okazji utonął. Koledzy rozbiegli się w poszukiwaniach. Niebawem znaleziono go i to gdzie? W pobliskiej kaplicy; ukryty między krzewem a pilastrem, modlił się.

Comollo! Zawołał Jan, co tu robisz? Wszyscy cię szukają!

On spojrzał, jakby mu przerwano miłe zajęcie i odpowiedział:

No przykro mi, że was niepokoję, lecz dzisiaj nie odmówiłem jeszcze swego Różańca, dlatego przyszedłem tu spłacić dług Matce Bożej.

Po uspokojeniu kolegów, podziękowano profesorowi i każdy udał się w swoją drogę do Chieri.

Przytaczając to zdarzenie, podkreślamy, zgodnie z tym, co mówił o nim Jan, że kiedy indziej Comollo odkładał modlitwę i nie oddalał się od towarzystwa, naśladując w tym przykład św. Franciszka Salezego przyszłego Patrona Towarzystwa Salezjańskiego, który nie chciał być do tego stopnia ślepo przywiązany do pewnych praktyk pobożnych.

Tymczasem zbliżał się znowu koniec roku szkolnego i Jan pod wpływem jakiejś lektury o niebezpieczeństwach grożących na świecie, znowu wahał się między wyborem klasztoru a seminarium. Ponownie zamyślał wstąpić do jakiegoś innego klasztoru Franciszkanów, który to zakon tak wielce zasłużył się Kościołowi, w tej

myśli, że to nie przeszkodzi mu w wykonywaniu planów przeznaczonych mu przez Boga. Lecz, jak sam pisze, musiał i tym razem zmienić postanowienie:

„W owym czasie zaszedł pewien wypadek, który udaremnił mój projekt; a ponieważ nagromadziło się wiele trudności, postanowiłem naradzić się z Comollo. Polecił mi odprawić nowennę do Matki Najświętszej w celu otrzymania światła w sprawie tak ważnej, a równocześnie napisał do stryja swego proboszcza.

W ostatnim dniu nowenny obaj przystąpiliśmy do Spowiedzi i Komunii św. na Mszy św.; służyłem jeszcze do drugiej w katedrze przy ołtarzu Madonny delle Grazie. Wróciwszy do domu, zastaliśmy list od księdza proboszcza Comollo tej treści; „Zbadawszy dokładnie sprawę radzę twemu koledze odłożyć zamiar wstąpienia do klasztoru. Niech przywdzieje sutannę, a ciągu studiów będzie mógł lepiej poznać wolę Bożą. Niech nie obawia się, że straci powołanie, gdyż w zaciszu seminaryjnym, za pomocą praktyk pobożnych zdoła pokonać wszystkie przeszkody”.

Sam również dał znać o swym postanowieniu, księdzu Cafasso i ks. proboszczowi Cinzano, ale i ci byli zdania, by wstąpił do seminarium, odkładając decyzję wstąpienia do klasztoru w wieku dojrzałszym. Janek z doświadczenia wiedział już, jak bardzo skuteczną jest rada osób uczonych i pobożnych, zgodnie z tym co pisze:

„Uśluchałem mądrej rady i poważnie zacząłem przygotowywać się do przywdziania sukni kleryckiej. Złożywszy egzamin z retoryki, poddałem się egzaminowi przed wstąpieniem do seminarium w Chieri. W tym roku egzamin się nie odbył według zwyczaju w Turynie, ze względu na epidemię cholery. Stolica jednak ocalała, dlatego odprawiono nabożeństwo dziękczynne ku czci nowego błogosławionego Sebastiana Valfre, w kościele św. Euzebiusza, przy udziale dworu królewskiego i Uniwersytetu.

Złożywszy pomyślnie egzamin przed obłóczynami, nasz Jan pożegnał się serdecznie ze swymi profesorami w kolegium. Członkowie Rady Pedagogicznej podziwiali, jak wielką sympatię zyskał sobie Jan Bosko, nie tylko u kolegów, lecz i przełożonych kolegium, z którymi nadal utrzymywał serdeczny kontakt. Już to samo wystarcza dla uświadomienia sobie, w jakim poważaniu był biedny pastuszek z Becchi.

Pociągała doń nie tylko wybitna cnota, lecz także pewien kontrast między niepozornym i ubogim jego stanem a pełną wyrazu osobowością. Stwierdzam to z naciskiem, by czytelnik nie wyrobił sobie jakiejś błędnej opinii. Jan Bosko, był to typ aktywny i przedsiębiorczy, przy tym refleksyjny; umysł szeroki, pełen pomysłów, przystępny dla wszystkich, powściągliwy w mowie, zwłaszcza wobec starszych.

Na widok jego postaci, słyszanych od niego słów, mimo woli przypominały się słowa Eklezjastyka: „Młodzieńcze, zaledwie mów w sprawie twojej. Jeśli cię dwa razy spytają, niech będzie krótka odpowiedź twoja. W wielu rzeczach bądź, jak byś nie wiedział i słuchaj milcząco, jak również pytając. Miedzy panami nie bądź śmiały, a gdzie starzy, niewiele mów. Przed gradem ukaże się błyskanie, a przed wstydlivością pójdzie wdzięk, a dla skromności przybędzie ci dobrej łaski”. /Syr 32,10/.

Student Bosko, po powrocie na wieś opisuje, jakie prowadził życie:

„Przebywając na wakacjach w domu, porzuciłem sztuczki kuglarskie, a oddałem się lekturze, którą muszę wyznać, zaniedbywałem dotąd. Nadal zajmowałem się młodzieżą, bawiąc ich opowiadaniem różnych historyjek, organizując ich zabawy, przeplatane pobożnym śpiewem i modlitwą; uczyłem ich katechizmu, wiedząc, że go dobrze nie znali; przygotowywałem do spowiedzi, nauczyłem pacierza itp. Był to rodzaj Oratorium, do którego uczęszczało około 50 chłopców, którzy mnie kochali i słuchali, jak bym był ich ojcem”.

Było to szczególnie ulubione przez Jana pole ewangeliczne, które uprawiał od paru lat, zwłaszcza w miesiącu wrześniu i październiku. W prawdzie upokarza się, że zaniedbywał lekturę, można rozumieć ascetyczną, lecz nie bardzo to prawdopodobne. Zapewne, przy swych rozlicznych zajęciach nie miał czasu na długie rozmyślanie, jak gdy był pastuszkim; trudno jednak przyjąć, by apostołując wśród innych zaniedbywał swe życie wewnętrzne.

Tymczasem zbliżały się oblóczyny, a Jan nie miał funduszków oraz potrzebnej wyprawy do seminarium. Należało również postarać się o zwolnienie ze służby wojskowej, gdyż wchodził w wiek poborowy. Lecz oto już zabiegał ksiądz Cafasso, stały jego dobroczyńca, który porozumiał się z księdzem Cinzano, co do dalszych kroków i opłacenia pensji w seminarium. W tej sprawie zwrócono się do księdza Alojzego Guala, dyrektora Konwiktu kościelnego w Turynie mającego wielki wpływ

u arcybiskupa Fransoniego. Otóż pewnego dnia, ksiądz Cinzano zabrał ze sobą do Turynu Jana Bosko, by go przedstawić wspomnianemu ks. rektorowi Guala. Zgodził się on przyjąć ubogiego kandydata gratisowo na bieżący rok do seminarium. I tak najważniejsze zostało zrobione. Pozostała jeszcze wyprawa wraz z suknią, której mu matka nie mogła sprawić. Za zachętą ks. proboszcza Cinzano, niektórzy zamożniejsi parafianie przyczynili się do tego. Sprawiono mu sutannę i kapelusz; ksiądz wikary podarował własny płaszcz, inni kupili koloratkę i biret, drudzy trzewiki etc., etc. W taki sposób, jak sam wyzna, Opatrzność przez dobrych ludzi zawsze spieszyła mu z pomocą w przedsięwziętych dziełach!

Ksiądz Cinzano jako gorliwy duszpasterz okazywał się ojcem zarówno dla Jana Bosko, jak potem dla wielu innych młodzieńców z dekanatu, którzy wstępowali do seminarium, między którymi wyróżnił się późniejszy biskup Bertagna. Ale szczególniejszą życzliwością darzył Jana Bosko, przekonany, iż Bóg przeznacza go do wielkich rzeczy. W rozmowie z nim wyrażał się: Vedrete vedrete! Ten młodzieniec w przyszłości dokona wielkich rzeczy. Ja już nie doczekam jego sukcesów, ale wy ujrzycie, że będzie o nim mówił świat cały! Stwierdzał to nam ksiądz Febbraro z Castelnuovo, przeor klasztoru św. Jana w Orbasano, współkolega Jana Bosko z seminarium.

ROZDZIAŁ XLII

Oblóczyny; Zaproszenie niezbyt miłe; Regulamin życia; Wstąpienie do seminarium w Chieri.

Zdecydowany wstąpić do seminarium, Jan gotował się starannie do tego dnia, w którym miał przywdziać suknie duchowną. Był on głęboko przekonany, że od właściwego wyboru stanu zależy zbawienie lub potępienie człowieka; dlatego sam odprawił gorliwie nowennę i polecił się modlitwom innych. W dniu 23 października, ks. proboszcz Antoni Cinzano, pobłogosławił go i przywdział go w strój kapłański.

Tłumnie zebrani świadkowie tej uroczystości (przybyli nawet z dalekich wiosek) podziwiali skromność, powagę i pobożność Jana w czasie dokonywanej ceremonii. On sam tak opisuje swe przeżycia tego dnia uroczystego:

„Kiedy ks. proboszcz kazał mi zdjąć strój świecki słowami: „Exuat te Dominus veterem hominem cum actibus suis”, pomyślałem w swym sercu: Och, jakież to doprawdy ciężar muszę zrzucić ze siebie! Mój Boże, zniszcz we mnie wszelkie złe przyzwyczajenia! A podając mi sutannę powiedział: „Induat te Dominus novum hominem, qui secundum Deum creatus est in iustitia et sanctitate veritatis”. Doznałem wzruszenia na te słowa myśląc sobie: O tak, mój Boże, spraw bym stał się nowym człowiekiem, to jest, bym od tej chwili rozpoczął nowe życie zgodnie z Twą wolą, by sprawiedliwość i świętość stały się ustawicznym przedmiotem mych myśli, słów i czynów. Amen. O Maryjo, wspomagaj mnie!

„Po skończonej funkcji religijnej w kościele, proboszcz życzył sobie, bym wziął udział w odpuście św. Rafała Archanioła, w Bardella, sąsiedniej wiosce należącej do parafii Castelnuovo. Być może chciał sprawić mi tym przyjemność, lecz ja nie bardzo byłem temu rad. Bo cóż za figurę miałem stroić ze siebie!? Po cóż zaraz w nowym stroju wystawiać się na widok publiczny? Po parotygodniowym przygotowaniu na wymarzoną uroczystość, znaleźć się nagle wśród gości rozmaitego stanu i płci, by ucztować, bawić się, wśród ludzi goniących za rozrywkami światowymi, to było dla mnie bezsensowne. Zgoła czułbym się wśród nich obcy, jako świeżo obleczony

w suknię duchową i poświęcony Panu Bogu. Wymawiałem się gorąco, że tam przecież jest kiermasz połączony z festynem i że to nie dla mnie.

Właśnie zostaliśmy tam wszyscy zaproszeni, więc pojedziesz i ty ze mną!

Och, nie bardzo się nadaję do tego kiermaszu; jeśli ksiądz proboszcz pozwoli, zostanę tu na obiedzie.

Tu nie będzie żadnego obiadu; wszyscy idziemy na odpust.

W takim razie pójdę na obiad do brata.

To zbyt daleko, by iść pieszo, zresztą krewni nie są przygotowani i nie czekają na ciebie. Nie wymawiaj się; zabierz się, potrzeba posłużyć w kościele do ceremonii i będzie zawsze coś do roboty w zakrystii.

„Cóż miałem robić? Pojechałem z proboszczem, choć po niewoli wiedząc, że w takich obiadach jest często okazja obrazy Bożej. Służyłem do ceremonii, potem był obiad, nie byłem w humorze. Ksiądz proboszcz spostrzegł się o tym i przy powrocie spytał, dlaczego byłem taki zamyślony i samotny? Opowiedziałem szczerze, że nabożeństwo popołudniowe było całkiem odmienne od tego z rana i dodałem

Siedząc obok osób podchmielonych, u których się tego nie spodziewałem, doznałem przykrego wrażenia względem mego powołania. Gdybym wiedział, że coś podobnego może się dzieć ze mną w przyszłości, wolałbym zdjąć sutannę i żyć raczej w świecie lub wstąpić do klasztoru.

Mój drogi, trzeba brać świat taki, jaki jest, odrzekł proboszcz. Trzeba widzieć zło, żeby go unikać. Nikt nie zostaje dzielnym żołnierzem, kto nie ćwiczy się we władaniu bronią. Podobnie i my, których czeka ustawiczna walka z wrogami duszy.

Umilkłem wobec tych racji, lecz w sercu pomyślałem: Nie pójdę więcej na żaden festyn, z wyjątkiem służby Bożej przy ołtarzu.

„Później zajmowałem się wyłącznie samym sobą. Moje życie dotychczasowe winno było ulec radykalnej zmianie. Wprawdzie w latach poprzednich nie byłem przestępcą, lecz żyłem w rozproszeniu, byłem próżny, hołdowałem ambicji, szukając rozgłosu w pokazach, które dawały mi chwilową satysfakcję, lecz nie zadowalały mego serca. Chcąc więc prowadzić odtąd inne życie, powziąłem i spisałem sobie następujące postanowienia:

1. W przyszłości nie będę brał udziału w widowiskach publicznych, w jarmarkach; nie pójdę na bal lub teatr i o ile można, uchylał się będę od wystawnych obiadów.

2. Nie będę uprawiał pokazów z kulkami, kuglarstwa, woltyżerki; gry na skrzypcach; nie będę chodził na polowanie. To uważam jako nielicujące ze stanem duchownym.

3. Będę prowadził życie ukryte; zachowam umiar w pokarmach i napojach; nie będę zażywał spoczynku więcej ponad ścisłą potrzebę.

4. O ile dawniej służyłem światu poprzez lekturę świecką, to w przyszłości będę służył Bogu oddając się rzeczom duchownym.

5. Zwalczać będę ze wszystkich sił każdą rzecz, lekturę, myśli, słowa, uczynki przeciwne czystości. Nie zaniedbam najdrobniejszych rzeczy, które mogą przyczynić się do zachowania tej cnoty.

6. Prócz zwykłych praktyk, nie opuszczę codziennego rozmyślenia i czytania duchownego.

7. Co dzień postaram się opowiedzieć coś budującego bliźnim. Uczynię to względem kolegów, przyjaciół, krewnych, a gdy nadarzy się okazja drugim, to przynajmniej mej matce.

Postanowienia powyższe spisałem w dniu mych obłóczyn; by zaś utkwily mi w pamięci, odczytałem je przed Obrazem Najświętszej Panny i odmówiwszy modlitwę prosiłem swą Niebieską Protektorkę o pomoc w zachowaniu ich kosztem jakiegokolwiek ofiary.

W dniu 30 października miałem znaleźć się w seminarium. Skromna wyprawa była gotowa. Moi krewni cieszyli się wielce z tego. Tylko moja matka była poważna i wpatrywała się we mnie jakby mi chciała coś doniosłego powiedzieć. Wieczorem dnia poprzedzającego wyjazd, powiedziała mi te pamiętne słowa:

Mój Janku, przywdziałeś suknię duchowną; cieszę się z tego tak jak tylko może się cieszyć matka ze szczęścia swego syna. Pamiętaj jednak, że nie strój zdo bi twój stan, lecz praktyka cnót. Gdybyś w przyszłości miał zwątpić w swe powołanie, to na miłość Boską, nie plam tej sutanny! Raczej zdejm ją. Wolałabym raczej mieć zwykłego wieśniaka, niż kapłana zaniedbującego swe obowiązki. Gdy przyszedłeś na świat, oddałam cię Matce Najświętszej; gdy rozpocząłeś nauki, poleciłam ci nabożeństwo do

Niej; obecnie polecam ci, byś jej całkowicie się oddał. Szukaj towarzystwa przyjaciół nabożnych do Matki Najświętszej a jeśli zostaniesz kapłanem, polecaj i rozszerzaj zawsze to nabożeństwo. Skończywszy te słowa matka była wzruszona, ja także płakałem. Droga mamó – odrzekłem – dziękuję ci za te słowa i za to, co uczyniłaś dla mnie; twoje rady nie pójdą w zapomnienie i będę z nich korzystał w moim życiu!

Wcześniej rano wyjechałem do Chieri, a pod wieczór zgłosiłem się do seminarium mieszczącego się w obszernym byłym konwencie OO. Filipinów, zniesionym przez Francuzów i wykupionym przez monsignora Chiaverotti w 1828 r. na seminarium diecezjalne. Rektorem był ksiądz Sebastian Mottura, dziekan kolegiaty w Chieri; kierownikiem duchownym – ks. Józef Mottura, późniejszy kanonik kolegiaty w Giaveno. Przedstawivszy się przełożonym i zajmivszy swe miejsce w sypialni, wraz z kolegą Garigliano, przechadzaliśmy się po korytarzu czytając tu i tam umieszczone napisy. Między innymi wpadł mi w oko następujący wiersz: „Afflictis lentae celeres gaudentibus horae”. Patrz –zwróciłem się do kolegi – oto nasz program: bądźmy zawsze weseli a czas nam nie będzie się dłużyć.

„W dniu następnym zaczęły się trzydniowe rekolekcje; starałem się je odprawić jak najlepiej. Pod koniec ich poszedłem do profesora filozofii, którym był wówczas ks. Ternavasio z Bra, prosząc, by mi podał normę mego życia, bym mógł być klerykiem ku zadowoleniu moich przełożonych. Jest ona następująca – odpowiedział zacny kapłan: spełnić jak najdokładniej swe obowiązki.

„Wziąłem sobie jako zasadę postępowania tę radę i z całą pilnością przykładalem się do zachowania regulaminu seminarium. Szedłem skąd mnie wzywał dzwonek: do studium, do kaplicy, do refektarza, na rekreację, czy na spoczynek. Ta dokładność zyskała mi uznanie kolegów i życzliwość przełożonych, tak iż 6- letni pobyt w seminarium wspominam sobie jak najmilej. Tym więcej, że miałem tam sposobność pogłębić swe studia.

„Prócz tego, była tu jeszcze świeża pamięć cnót księdza Cafasso: miłość względem kolegów, posłuszeństwo skore, cierpliwość w znoszeniu wad drugich, troska o to by nie urazić nikogo, umiejętnie współzycie z kolegami, niewybredność przy stole znoszenie niewygód i zmian klimatu, chętne uczenie katechizmu dzieci, pilność w nauce i praktykach pobożnych – oto cnoty jakimi się odznaczał

w seminarium kleryk Cafasso. Utało się powiedzenie między klerykami, że Cafasso chyba nie został dotknięty grzechem pierworodnym.

Kleryk Bosko postawił sobie za wzór tego świątobliwego kleryka swego współrodaka. Niezwykłość jego cnót polegała właśnie na tym, że praktykował zadziwiająco wiernie cnoty zwyczajne, powszednie. To założył sobie wstępując w progi seminarium kleryk Jan Bosko i dotrzymał przez całe swe życie kapłańskie.

ROZDZIAŁ XLIII

Życie seminaryjne; Koledzy; Uczęszczanie do Sakramentów świętych; Wykorzystany pilnie czas; Nowy sen; Rekreacje w seminarium.

Seminarium jest przedsionkiem świątynnym gdzie młody lewita słyszy coraz wyraźniej głos Pański powołujący go do służby ołtarza; tam zapala się coraz żywiej miłością dusz, zacieśnia więzy owej miłości, łączącej wszystkich członków Kościoła; tam jest pole ćwiczenia się w nauce i cnocie, tam nabiera tężyzny moralnej i ubogaca swój umysł, by toczyć w przyszłości boje Pańskie. To jest ogród Pański, gdzie znajdują się wybrane kwiaty diecezji, które w przyszłości przesadzone z stamtąd, wydawać będą woń świętości wśród ludu Bożego. Do takiego to azyłu wstępował kleryk Bosko, z gorącym pragnieniem dostąpienia owych łask, które Pan Bóg mu przygotował.

A oto, w jaki sposób on sam opisuje ten okres swego życia:

„Kochałem serdecznie mych przełożonych, a oni także byli względem mnie bardzo dobrzy. Lecz przy tym jedna rzecz bolała mnie: że nie zbliżali się do kleryków. Rektor i profesorzy dawali nam się widzieć dopiero u progu wakacji, gdy klerycy rozjeżdżali się do domu. Nikt nie szedł do nich, jak tylko po otrzymanie jakiejś uwagi. Jeden z przełożonych popełnił z kolei tygodniową asystencję w refektarzu i na przechadzce i na tym koniec. To jedyna przykrość, jaką odczuwałem w seminarium. Ileż to razy pragnąlbym z nimi porozmawiać, spytać o radę i rozstrzygnięcie wątpliwości, a nie mogłem; także ilekroć wypadło któremuś z nich znaleźć się między seminarzystami, to każdy bezwiednie umykał na prawo i lewo, by się z nimi nie spotkać. To tym bardziej budziło we mnie pragnienie zostać księdzem, by móc znaleźć się między chłopcami, by ich asystować, poznawać ich usposobienia, czuwać nad nimi i stawić w niemożliwości popełnienia złego, słowem, by się czuli zawsze dobrze ze mną”.

„Co do towarzystwa, to trzymałem się zawsze rad mej matki, by przyjaźnić się z kolegami, którzy mieli nabożeństwo do Matki Najświętszej, zamiłowanymi w nauce

i pobożności. Muszę zaznaczyć, iż z reguły seminarium spotyka się wielu kleryków o wybitnej cnocie, lecz znajdują się także i lekkomyślni, by nie powiedzieć coś więcej. Trafiają się także tacy, co wstępują do seminarium bez wyraźnego powołania, nie mając wcale ducha ani ochoty być dobrym seminarzystą. Nierzadko są między nimi niezbyt budujące rozmowy. Z okazji zarządzonej rewizji, znaleziono u niektórych książki niereligijne, nawet wprost szkaradne. Prawda, że tego rodzaju sami zdejmowali sutannę lub zostali wydalenii z seminarium, gdy ich rozpoznano; dopóki jednak przebywali wspólnie z kolegami, rozsiewali ujemny wpływ na otoczenie. By odciąć się od tego rodzaju kolegów nieodpowiednich, wybrałem sobie na przyjaciół niektórych uchodzących powszechnie za wzorowych między nimi także Wilhelma Garigliano. Praktyki pobożne seminaryjne odprawiało się wzorowo. Codziennie Msza św. rozmyślanie, częstka Różańca św.; przy stole odpowiednia lektura; w owym czasie historia kościelna Bereastel'a. Spowiedź była obowiązkowa co dwa tygodnie, lecz kto chciał, mógł przystępować każdej soboty. Do Komunii św. przystępowało się z reguły w niedzielę oraz przy jakiejś specjalnej uroczystości. Było możliwe przyjmowanie Komunii św. razy w tygodniu, lecz to się nie obeszło bez wykroczenia przeciw porządkowi dziennemu. Nadawała się na to godzina śniadania; możliwe było przystąpić do Komunii św. W sąsiednim przytykającym do seminarium kościele św. Filipa; potem szło się już na lekcję (oczywiście bez śniadania). Niestosowanie się do przepisów regulaminu było wzbronione, choć w tym przypadku przełożeni patrzyli na to przez palce. W taki sposób udawało mi się częściej przystępować do Stołu Pańskiego, co uważałem za jedyną ostoję mego powołania. /Zmiana w tej dyscyplinie została wprowadzona o wiele lat później dopiero przez arcybiskupa Gastaldiego/.

Dla tego, kto doprawdy kochał Pana Jezusa Eucharystycznego była to bolesna ofiara. Jezus, jego Boska pociecha, umocnienie, życie naszych dusz; bez Niego zdawało się Janowi nie do wytrzymania. On był ośrodkiem jego aspiracji duchownych; dla tego pragnął, by przystępować doń jak najczęściej i cierpiał srodze, gdy nie dane mu było z Nim połączyć się. Nieraz więc rezygnował ze śniadania i rekreacji by móc przystąpić do Komunii św. /Rozumiemy bardziej tę ofiarę mając na uwadze wiek młodzieńczy w tym organizm żywo odczuwa brak dostatecznego odżywienia/. Jan postawił sobie za punkt honoru nie tracić ani chwili czasu; chcąc zgłębić niektóre kwestie filozoficzne, nie zadowalał się tylko wykładami, lecz sięgał do obszerniejszej lektury. „Rekreacje,

pisze on, w dniach zajęć szkolnych były bardzo krótkie; obiad o dwunastej, rekreacja poobiednia trwała półtorej godziny, a następnie szło się do studium; podwieczorek bez kawy na sucho, zaledwie pół godziny; także półgodzinna rekreacja po lekcji wieczornej. Ogólny stan zdrowia kleryków był zadawalający. W razie wolnego popołudnia, klerycy wychodzili na przechadzkę w okolice Chieri. Owe przechadzki były o tyle korzystne dla studiów, gdyż na nich roztrząsano różne kwestie między sobą prócz swobodnej konwersacji. W czasie długich rekreacji poobiednich zbieraliśmy się w sali jadalnej na tak zwane kółka naukowe. Każdy mógł stawiać pytania w kwestiach naukowych, których dostatecznie nie rozumiał, czy nie przestudiował. To mi się bardzo podobało i było korzystne dla pogłębienia wiedzy, pobożności a także dla własnej satysfakcji. Z racji na mój wiek oraz z uznania kolegów, byłem mianowany prezesem owego kółka i bezspornym sędzią. Ponieważ w naszych rozmowach nie zawsze zdołaliśmy rozwiązać pewnych kwestii naukowych, dlatego dzieliliśmy je na wszystkich biorących udział w dyskusji, którzy potem swe wyniki referowali na plenum”.

To jeszcze nie wystarczało żadnemu wiedzy Janowi. Z rana pierwszy zrywał się z pościeli, ubierał się szybko, zaścielał łóżko i porządkował garderobę zgodnie z regulaminem. Potem zasiadał przy stoliku we framudze okiennej wykorzystując kwadrans wolnego czasu na lekturę, dopóki dzwonek nie wezwał do kaplicy. Każde dzieło, które miał w ręku, bez względu na objętość, studiował do końca, gruntownie, a nie po dyletancku, starając się przyswoić wiadomości tam zawarte. Czytał nawet wstęp, gdyż zależało mu na poznaniu motywów i celu, dla jakiego autor pisał. Wracał zawsze do indeksu przy końcu dzieła, by mieć pewną syntezę jego treści. Na lekturę wykorzystywał każdą chwilę czasu, na przykład, profesor przyszedł do klasy, ostatni kwadrans rekreacji, znaczną część półgodzinnego czasu na przygotowanie się do przechadzki, czy przejście do katedry na ceremonie. W takich wypadkach był zawsze pierwszy w uporządkowaniu swej osoby, uważając za marnowanie czasu, gdy kto zbyt długo się guzdrał. Ubiór jego był zawsze schludny i czysty. Dzięki tej skrzętności, zdołał przestudiować wiele dzieł i tak na przykład, w pierwszym roku zdołał przeczytać całego Csesari, Bartoli i innych. Stopniowo zgromadził sobie w ten sposób prawdziwy magazyn wiedzy.

Jego powściągliwość w pokarmach i napojach była doprawdy zdumiewająca, a wypływała z dwóch motywów: z chęci do umartwiania i zamiłowanie do książek, by stać się zdatnym narzędziem w dziele uświęcenia dusz. Chciał, by w dwadzieścia minut po spożyciu posiłku, żołądek nie przeszkadzał mu w jego zajęciu. Dlatego nie miał zwyczaju żalić się na braki przy stole i sprawiało mu przykrość słuchać szemrania niektórych na przyrządzenie potraw, lub, gdy się dowiadywał, że któryś zabiegał pokątnie o żywność bez zezwolenia przełożonych. Gdy czasem dostał od matki lub kogoś ze znajomych coś do jedzenia, to chętnie dzielił się ze swymi kolegami.

Wśród poważnych studiów filozoficznych w seminarium, kleryk Jan czuł w sercu rosnące pragnienie pracy nad młodzieżą. Za wiedzą przełożonych gromadził chłopców na lekcje katechizmu i urządzał im nabożeństwa. Pan Bóg stopniowo wprowadzał go w tę szczególną misję, jaką w przyszłości miał spełniać nad młodzieżą.

Ksiądz Bosko zwierzał się o tym później w Oratorium wobec kilku najzaufańszych, do jakich należeli ks. Jan Turchi i ks. Dominik Ruffino: Kto by mógł wyobrazić sobie, ile światła otrzymywałem wewnątrz, w czasie gdy przerabiałem pierwszy kurs filozofii! Spytano go: Gdzie się to widziało? We śnie lub w jakiś inny sposób?

Tego nie potrzebujecie wiedzieć. Ujrzałem się raz kapłanem w komży i stule i tak ubrany pracowałem u krawca; nie szyłem ubrań nowych, lecz naprawiałem stare, zeszywając wielką ilość skrawków materiału. Początkowo nie mogłem pojąć, co by to znaczyło. Zwierzyłem się z tym komuś; lecz nie mówiłem jasno, dopóki nie zostałem księdzem.

Ten sen pozostał niezatarty w pamięci Księdza Bosko. Znaczył on, że nie był powołany jedynie na to, by wybierać sobie chłopców świętych, by ich nadzorować i udoskonalić w dobrym. Jak raczej gromadzić wokół siebie roztrzepańców i ratować takich, co już zetknęli się ze złem, i którzy dzięki jego troskom zdołali stać się dobrymi chrześcijanami i przyczynić się do odnowienia społeczeństwa.

W taki sposób upływał Janowi czas w zaciszu seminaryjnym, gdzie czuł się szczęśliwy, wykonując dokładnie swe obowiązki i żyjąc w posłuszeństwie. Każdemu wzorowemu seminarzyście budzą się miłe wspomnienia z czasów pobytu w seminarium. Dlatego to Jan wspomina w swych pamiętnikach nawet o rekreacjach,

gdy pisze: „Do najprzyjemniejszych gier zaliczam tzw. „harce” (barra rotta). Początkowo wyżywałem się w tej grze, lecz kiedy spostrzegłem, że zbyt mnie pasjonuje, przestałem ją uprawiać.

W niektórych dniach była dozwolona gra w „taroka” (karty) z niewielką stawką; także w niej brałem udział jakiś czas, lecz i tu mieszały się przyjemne z gorzkim. Mimo że nie miałem specjalnej wprawy w grze, zawsze wygrywałem tak, że przy końcu miałem pełne ręce soldów. Widząc jednak, że moi koledzy przegrywali, sam czułem przykrość większą niż oni. Prócz tego zaznaczyć muszę, że gra ta absorbowала mnie do tego stopnia, że przeszkadzała w modlitwie i nauce. Postanowiłem, więc nie brać więcej w niej udziału, jak w poprzednich. Uczyniłem to w połowie roku 1836. Być może przyczyną bezpośrednią było, że wygrałem pieniądze od kolegi, dla którego skromnej kieszeni i ta niewielka suma stanowiła poważną stratę, a widząc go strapionego zwróciłem mu całą wygraną i od tej chwili postanowiłem więcej nie grać w „taroka”.

Gra w karty nie wydawała się Janowi Bosko właściwa dla duchownych, gdyż rozpala namiętności, powoduje stratę czasu, a może być nieodpowiednia też z innych powodów. Później jako kapłan, głosząc rekolekcje w pewnej parafii został zaproszony do gry w „taroka” odmawiał w niej udziału. Owi zacni księża przez wzgląd na szacunek Księdza Jana odłożyli „taroki” w kasetce i prowadzili z nim konwersację. A Ksiądz Bosko niespostrzeżenie wyciągnął karty z kasetki i schował do kieszeni. Niebawem przeprosił obecnych i wyszedł załatwić jakąś sprawę. Niektórzy poszli również za jego przykładem. Pozostało dwóch najwięcej zapalonych „tarokarzy”. No teraz sobie pogramy! mówili. Otwierają kasetkę, szukają kart, lecz bezskutecznie. Znikły jak kamfora. Gdzie się mogły podziać, pyta jeden. Przecież schowałem je tu, woła drugi. Cóż, trzeba było iść spać bez rozegrania partyjki. Przechodząc korytarzem, przy którym był pokój Księdza Bosko, wypowiadali półgłosem swe żale. W tej chwili jeden z nich przypomniał sobie, że w pokoju ma talię kart. Chodźmy, powiada radośnie do mnie!

Lecz gdy szli po karty, Ksiądz Bosko zaszedł im z tyłu niespostrzeżenie i kładąc ręce na ramionach, pół żartem, a pół serio, kazał iść spać! Była to piękna lekcja.

ROZDZIAŁ XLIV

Oddawanie usług kolegom w seminarium; Najmilsze towarzystwo; Dawni koledzy z gimnazjum; Tężyzna Jana; Wypadek.

Kleryk Bosko, ze swym bezpośrednim obcowaniem, gotowością do usług zyskał sobie niebawem miłość wszystkich kolegów. To jemu samemu sprawiało tak wielką przyjemność służyć komuś, jakby kosztował w sutym bankiecie. / Syr 30,27/. Zawsze był gotów zamiast być w pokoju, przynosić sprzęt, naprawiać walizki, birety, strzyc, golić, naprawiać podarte ubrania, trzewiki, stając się jakby sługą wszystkich. Opiekował się też chorymi, przygotowując różne zioła; rwał zęby z niezwykłą zręcznością, tak, iż pacjent nie czuł zbyt wielkiego bólu. Słowem we wszystkich potrzebach uciekano się do niego.

Także w wątpliwościach, melancholiach szukano u niego porady. W kłopotach szkolnych spieszył z pomocą zwłaszcza dla tępych w nauce, dla których robił wyciągi z autorów, gdy musieli zdawać egzamin i mieli trudności z opanowaniem zbyt obszernych traktatów. Pożyczał chętnie swych książek, przygotowywał kazania dla tych, co mieli je wygłaszać w czasie wakacji, a sami nie umieli ich napisać.

Nie tylko z czasów seminaryjnych, ale nawet później w Turynie proszony wypożyczał swe manuskrypty z kazaniem przyjaciółom, by się nimi posłużyli. Z tego powodu wiele ich zaginęło.

Tak naturalna mu cnota eutrapelii, wykazywała niezmienny spokój jego duszy. W czasie rekreacji bawił swych kolegów niewinnymi zartami i figlami. Proponował przetłumaczenie pewnego wyrażenia zawierającego sens podwójny; czasem manewrował laseczką trzymaną w ręku, która wędrowała z kolei po wszystkich zmysłach wykonując niesamowite skoki, tańczyła, wirowała, aż wreszcie wracała na jego palec. Od czasu do czasu jeszcze ustępując na prośby kolegów pokazywał im niektóre swe sztuczki. Na tym punkcie nie bardzo zgadzał się ze zdaniem księdza Cafasso, który nie pochwalał jego postanowienia zbyt surowego uczynionego w dniu obłóczyn kleryckich. Przy tym miewał wciąż nowe pomysły, celem budzenia humoru wśród swego otoczenia.

Oto pewnego dnia zapowiedział, że będzie się golić drewnianą brzytwą. Koledzy dość już przywykli do jego wyczynów, tym razem robi się, więc zakłady, wyznacza godzinę dla przeprowadzenia próby. Koledzy biegną do jego pokoju i zastają go spokojnie siedzącego i golącego się zwykłą brzytwą stalową.

No Bosko, gdzież jest twoja brzytwa drewniana?

Och, bella! A moje nazwisko jak brzmi?

Bosco!

A ta brzytwa czyja jest?

Twoja!

Zatem: E rasovo di Bosco (to samo co brzytwa z drzewa) a więc przegraliście zakład!

Koledzy początkowo byli zdetonowani, że nie uchwycili rzeczy tak łatwej, lecz ostatecznie przyznali mu rację i salwą śmiechu zakończył się żart.

W opowiadaniu zabawnych historyjek Jan posiadał szczególny talent humorysty. Umiał je tak przyprawić, że budził ogólną wesołość; sam zachowywał powagę, podczas gdy inni pękali ze śmiechu.

W dniu imienin rektora seminarium zazwyczaj występował z poezją grecką. Otóż razu pewnego, wbrew oczekiwaniu ogółu, wyszedł z szumnym sonetem: pierwszy wiersz był po łacinie, drugi po francusku, trzeci po włosku, czwarty po piemoncku itd. Pękano ze śmiechu, tak, iż wystarczyło to za inne poezje.

Ze wszystkich kolegów on miał największą łatwość w rymowaniu i komponowaniu poezji. Ponadto posiadał niewyczerpany wprost zasób wierszy i rymów. Skomponowane przez niego utwory pełne werwy i wyrazu, trzymały się wszakże pewnych reguł; płynęły spontanicznie z natchnienia, choć nie zawsze zrymowane bez zarzutu, czy nawet urwane; lecz skomponowane ad hoc sprawiały swój efekt polotem myśli. Słusznie, więc nazywano go poetą na zamówienie. Utwory jego zawsze przepojone były pewną myślą religijno-moralną lub nutą wdzięczności względem dobrodziejów.

Dawni jego znajomi i przyjaciele z Chieri nie zapominali o nim. Co czwartek, portiernia pełna była studentów, przynoszących mu swe zeszyty z wypracowaniami do poprawki. On zaś chętnie je czytał, poprawiał, tłumaczył i powtarzał lekcje przerabiane w szkole, stwierdzał to ks. Jakub Bosko.

Niecierpliwie wyczekiwał zawsze przybycia Alojzego Comollo studiującego w tym roku retorykę. Comollo była to doprawdy dusza szczerze chrześcijańska. Zdolny, łagodny i cichy z usposobienia, skrupulatnie dokładny we wszystkim, nieskazitelnych obyczajów, wytrwały w dobrym, zamięłowany w modlitwie i przystępowaniu do Sakramentów św., był aniołem w ludzkim ciele, pociągając innych swym przykładem do dobrego. Odwiedzał często Jana w seminarium; chwile te mijały im niepostrzeżenie, gdy obie te dusze miłujące Boga dzieliły się swymi projektami poświęcenia się Bogu w służbie bliźnich! Jan nie miał żadnych tajemnic przed przyjacielem, podobnie jak on przed nim.

Dawni jego koledzy umieszczeni przez rodziców w odległych szkołach lub też pozostali w domu, utrzymywali korespondencję z Janem Bosko. Przyjaźń, bowiem nie gaśnie z powodu odległości, żywiąc się miłością. Listy te zostały zniszczone przez niego z wyjątkiem jednego, który tu przytaczamy. Pisze go kolega studiujący filozofię, nie wiadomo, w jakim zakładzie wychowawczym:

Carissimo amico!

Byłbym ci wcześniej napisał, gdybym miał możliwość przesłania ci wiadomości do rąk własnych za pośrednictwem kogoś, co jak wiem, najwięcej ci się podoba. Oczekiwałem, więc sposobnej okazji. U mnie nic ciekawego, gdyż zamknięty między czterema murami nie mam żadnych wieści z zewnątrz, które mogłyby mnie rozerwać nieco. Jestem, że tak się wyrażę, wśród ustawicznych burz i piorunów ze strony naszych profesorów, którzy nas cisną niemożliwie. Ten na przykład, od logiki wiecznie tylko grozi, a już nad paru uczniami się zemścił; ten drugi od geometrii nieustannie nas piorunuje. Obaj kilkanaście razy na dzień powtarzają, że przy końcu roku niektórzy z nas będą musieli odejść; twierdzą, że jeszcze nigdy nie musieli uczyć takich baranów, jak my, dodając, że nie wiedzą, czyśmy spadli dziś z księżycy lub wczoraj dopiero się narodzili. Możesz sobie, więc wyobrazić, jak rozkosznie możemy się czuć w takiej atmosferze. Posyłam ci pozdrowienia dla dawnych kolegów za pośrednictwem Burzio. Twój najserdeczniejszy przyjaciel etc. /A.A./, 26-1-1836 r.

Nie przechowuje się listu zdawkowego między ważnymi papierami przez tyle lat. Święty nie zniszczył go, dlatego, by mu wiecznie przypominał obowiązek traktowania chłopców zawsze z miłością i starania się, by uprzyjemnić im pobyt w zakładzie wychowawczym. Niewątpliwie odpowiedź Jana musiała być utrzymana

w tonie posłuszeństwa i cierpliwości chrześcijańskiej, gdyż jego system oparty był na autorytecie bez uszczerbku dla miłości, chcąc być wszystkim dla wszystkich, jak tego żąda św. Paweł: „Weselcie się z weselącymi, a płaczcie z płaczącymi”. (Rzym 12,15).

Kleryk Jan Bosko tymczasem przez pobyt w seminarium, umacniając się na duchu i w pobożności, jak stwierdzają świadkowie współcześni, nie czuł się jednak zbyt dobrze na zdrowiu. Mimo to wyróżniał się niezwykłą siłą fizyczną wśród swych kolegów. Potrafił w palcach kruszyć pierścienie brązowe lub żelazne.

Pewnego razu, gdy zadzwoniono na wykłady, nie można było znaleźć klucza od sali. Drzwi były silnie zbudowane. Seminarzyści na próżno próbowali wytrychem otworzyć zamek. Prefekt polecił zawołać ślusarza. Zgłosił się wtedy kleryk Jan, który dotąd stał na uboczu. Mówiąc: Może ja spróbuję.

Co ty? Dałbyś rady, a w jaki sposób?

Jeśli ks. Prefekt każe, otworzę od razu.

Dobrze, spróbuj. Jan wówczas uderzył silnie pięścią drzwi, które natychmiast się otwarły. Koledzy ze zdumieniem obserwowali tę niezwykłą siłę.

Podobna siła omal, że spowodowałaaby się śmiertelny wypadek lub, co najmniej ciężkie obrażenia. Otóż pewnego wieczoru, w czasie rekreacji, Bosko oddalwszy się, wbiegł na schody i wbrew swemu zwyczajowi przeskakując schody, wpadł na wąski i ciemny odcinek korytarza. Podobnie inny kolega, niepostrzeżenie schodził na dół i zbili się w tym samym punkcie. Kolega odrzucony o parę kroków spadł na ziemię; Jan mocniejszy być może trzymał się na nogach, lecz i on niebawem przewrócił się na schodach. Seminarzyści zauważywszy ich nieobecność, szukali i znaleźli obu leżących nieprzytomnych na ziemi. Zaniesiono ich do infirmerii. Pod dłuższym czasie Jan oprzytomniał, a jego towarzysz gorzej poturbowany zdołał odzyskać przytomność dopiero nad ranem, lecz był tak oszołomiony upadkiem, jakby pękła mu czaszka. Dopiero po kilkunastu godzinach wróciła mu przytomność i odzyskał mowę. Niebawem obaj, ku radości kolegów wrócili do życia wspólnego.

W ciągu niniejszej historii, spotykamy się częściej z wypadkami spowodowanymi bądź słabością, bądź też złośliwością ludzką, z których zapewne Ksiądz Jan Bosko bez szczególnej interwencji Opatrzności Bożej nie wyszedłby żywy. Lecz Pan Bóg przedłużył mu jeszcze o 52 lata życie, które on całkowicie poświęcił dla Jego chwały i zbawienia dusz.

ROZDZIAŁ XLV

Nagroda za celujące wyniki w studiach; Odwiedziny dawnych przyjaciół; Asystent i korepetytor w kolegium jezuickim; Udoskonala się w nauce języka greckiego; Ubóstwo.

O pomyślnych wynikach studiów na pierwszym kursie teologii tak wspomina Ksiądz Bosko w pamiętniku: „Odnosiłem w naukach sukcesy, ciesząc się wzięciem u kolegów i uznaniem u przełożonych. Na egzaminie semestralnym zwykło się przyznawać nagrodę dla tego, który uzyska stopnie celujące. Pan Bóg mi widocznie błogosławił, gdyż w ciągu pobytu w seminarium otrzymywałem tę nagrodę w wysokości 60 lir”. Rozjeżdżając się na wakacje, koledzy z żalem się z nim rozstawali.

Pierwsze kroki skierował do swych dawnych gospodarzy Moglia w Moncucco chcąc zrobić przyjemność tej zacnej rodzinie, u której przebywał z górą dwa lata. Jakież było ich zdziwienie, gdy zjawił się na polu, gdzie młócili zboże, jakiś poważny księżulek. Robotnicy stanęli przy cepach przypatrując się pilnie nieznanemu. Ten podchodzi bliżej, ku ich zdumieniu i przedstawia się jako kleryk Jan Bosko. Łzy stanęły w oczach zacnych gospodarzy Moglia.

No cóż, kochani, widzicie, że idę na księdza.

Zacni gospodarze gościli go przez parę dni prześcigając się w uprzejmościach. Ich synek 11-letni obserwując bystro gościa, opowiadał później, że widywał go wciąż zajętego czytaniem, modlitwą, względnie spieszącego do kościoła.

Bosko odwiedził też swą matkę, lecz jego pobyt w domu był krótki z powodów, o których pisze: Leżało mi wielce na sercu studium języka greckiego; poznałem wstępną gramatykę w gimnazjum i tłumaczyłem przy pomocy słowników. Otóż nadarzyła mi się bardzo korzystna sposobność. W roku 1836, wobec groźby cholery, której ofiarą padło w samym Neapolu około 5 tys. zadżumionych, grasującej następnie w Ligurii, OO. Jezuici przenieśli swe kolegium z Turynu do Montaldo, do wspaniałej willei położonej w górach. Lecz to wymagało zdwojonego personelu nauczającego, ze względu na to, że trzeba było objąć również eksternistów. Ksiądz Cafasso zapytywany w tej sprawie, zaproponował mnie właśnie do klasy języka greckiego. To

zmusiło mnie poważnie do zajęcia się nauką tego języka, chcąc samemu być zdolnym do nauczania go. Co więcej, skorzystałem z obecności w kolegium głębokiego znawcy greki, O. Bini. W przeciągu czterech miesięcy potrafiłem z nim przetłumaczyć prawie cały Nowy Testament, dwie księgi Homera oraz niektóre ody Pindara oraz Anakreonta. Zaczynał ten profesor, sekundując mej dobrej woli, dopomagał mi przez dalsze cztery lata, poprawiając może pisemne wypracowania z greki, względnie tłumaczenia z odpowiednimi uwagami. W taki sposób opanowałem język grecki, zwłaszcza biblijny, podobnie jak łaciński. Istotnie w roku 1886 byliśmy świadkami, jak doskonale tłumaczył całe rozdziały z listów świętego Pawła z greckiego i łaciny, znał, bowiem dobrze na pamięć cały Nowy Testament.

W Montaldo kleryk Bosko przez trzy miesiące był asystentem całej klasy uczniów w czasie wakacji. Zapoznał się przy sposobności z niektórymi uczniami z wybitniejszych rodzin, co umiał wykorzystać w przyszłości. Miał okazję zapoznać się ze środowiskiem młodzieży arystokratycznej oraz z trudnościami, z jakimi spotyka się wychowawca mający z nią do czynienia. W przyszłości będzie deklarował, że nie jest powołany do zajmowania się młodzieżą arystokratyczną. Później w 1864 r., oświadczał księdzu Ruffino, który przedkładał pewne projekty dotyczące otwarcia kolegium dla nobilów: To nie dla nas; dopóki ja żyję, to nie nastąpi. Byłoby to naszą ruiną, jak dla tylu innych zgromadzeń zakonnych, mających za cel wychowanie młodzieży ubogiej, którą opuścili, by zajmować się synami szlacheckimi. Mimo to zmuszony był później przyjąć kolegium we Valsalicy na rozkaz arcybiskupa Gastaldiego, w obronie honoru kleru turyńskiego, podejmując się bolesnych ofiar, które tylko Bogu samemu były znane.

W czasie swych zajęć wakacyjnych w Montaldo, kleryk Bosko nie miał czasu na przestudiowanie traktatów na egzamin, jaki czekał go na Wszystkich Świętych. Pomimo to, wróciwszy w listopadzie do seminarium, przewertował traktat z metafizyki i zgłosił się do egzaminu, który złożył pomyślnie.

Nie można by mu zganić ani tego rodzaju przygotowania się, ani rezultatów powierzchownych. Wszak doskonale przyswajał sobie materiał pamięciowo i nieznużenie go przetrawiał we wszystkich podziałach, dystynkcjach, argumentacjach i obiekcjach. Miał umysł tak ścisły i metodyczny, iż postępował stopniowo w rozumowaniu drogą dokładnych definicji i rozróżnień, jakie podawali najlepsi

autorzy. O tym osobiście możemy wydać świadectwo, słuchając jego nauk i kazań w kościele. Zazwyczaj podawał on wprzód definicję danej prawdy, cnoty czy występku stanowiących przedmiot jego nauki; z kolei przytaczał różne dowody i oświeślał przykładami. W taki sposób prawdy podawane przez niego zyskiwały głębokie uzasadnienie i wyryły się słuchaczom w pamięci.

Częstokroć musieliśmy również podziwiać jego trafne i szybkie odpowiedzi, po tylu latach studiów filozoficznych. Otóż znany filozof, ksiądz Ciattino, zwolennik Rosminiego, zmuszony opuścić Wenecję ze względów politycznych, został polecony Księdzu Bosko i blisko przebywał w Oratorium. Pewnego razu, w czasie obiadu rozmowa przeszła na temat pojęć i innych kwestii filozoficznych. Ksiądz Ciattino przedstawił swą opinię w tym względzie. Ksiądz Bosko wysnuł z jego twierdzenia pierwszy wniosek, potem metodą łańcuszkową następne, na które nie było odpowiedzi i przeszedł do konkluzji: Zatem ksiądz jest panteistą. Ksiądz Ciattino wyjąkał coś na obronę, lecz ponieważ argumentacja Księdza Bosko była niezbita, nie chcąc stracić twarzy wobec współsiedzących, zdenerwowany uciekł z refektarza, trzasnąwszy drzwiami. Chłopcy nie umieli sobie wytłumaczyć powodu tego niezwykłego poruszenia. Pod wieczór ksiądz Ciattino siedział na miejscu, jedząc w milczeniu. Ksiądz Bosko mrugając okiem delikatnie: Księżo Ciattino, wybaczy ksiądz, że dziś rano może niechcący go uraziłem. Przyznaję, że wszedłem na dziedziną i posłużyłem się argumentami, które do mnie nie należą. Nie jestem filozofem, proszę mi wybaczyć, jeśli oponowałem... Ksiądz Ciattino podniósł wzrok i rozpozgodzony, grożąc palcem, odrzekł: Och, Ksiądz nie jest filozofem!? Mogę w to uwierzyć... Przy tej scenie obecny był ksiądz Francesia.

Gdzieś około roku 1875 ksiądz Klemens Bretto stawiał Księdzu Bosko zarzut: zwierzęta nie mogą zasługiwać na nagrodę ani karę, dlaczego w takim razie Pan Bóg zezwala na ich cierpienia? Ksiądz Bosko bez wahania odpowiedział: Pomimo, że cierpią, nie są nieszczęśliwe, gdyż szczęście lub nieszczęście zakładają rozum, którego zwierzęta nie posiadają; w następstwie czego nie można wnosić przeciwko Dobroci i Opatrzności Bożej.

Pewnego dnia pytano go: Co to jest strach? Dał natychmiast odpowiedź: Strach jest brakiem rozumu.

Przy wielu innych okazjach, o których nie wspominamy, żeby nie przedłużać, kleryk Jan Bosko dał dowody swych głębokich studiów filozoficznych. A my biorąc rzecz z szerszej nieco perspektywy, musimy zaznaczyć, że tylko baczemu obserwatorowi udałoby się uchwycić jego wielostronną wiedzę i wykształcenie filozoficzne, teologiczne, biblijne, historyczne, moralne, ascetyczne, prawnicze, fizyczne itp. Orientował się doskonale w tym, co było konieczne, by zająć miejsce wyznaczone mu przez Opatrzność w Kościele. Nigdy jednak nie robił z tego rozgłosu, zresztą jego skromne zachowanie się nie pozwalało tego w nim podejrzewać. I tak, okazjnie, ilekroć zachodziła potrzeba, wśród rodzinnych rozmów, rzucał nieoczekiwanie snop światła na roztrąsane kwestie, ku zdumieniu obecnych. Te jednak przebłyski były stosunkowo rzadkie, ponieważ od początku swego apostołstwa był pogrążony w wirze spraw i nie miał czasu na rozprawy filozoficzne, słowa zaś jego zmierzały zasadniczo do tego, by zapalić młodzież do cnoty i wierności Bogu.

W tych latach właśnie kładł on fundamenty swej rozległej wiedzy wśród doprawdy skrajnego ubóstwa. Nie tylko pozbawiony był wielu rzeczy, lecz często brakowało nawet niezbędnych. Nie stać go było na zakup książek potrzebnych do studiów i był zmuszony pożyczać je u kolegów. Oszczędzał swe jedyne ubranie i starannie je reperował przy najmniejszym rozdarciu. Obuwie było tak znoszone i ciągle naprawiane, że nie nadawało się do wyjścia z domu. Pan Maurycy Cappella, portier seminaryjny stwierdzał, że osobiście często pożyczał klerykowi Janowi swe trzewiki, by mógł wyjść do kościoła lub na przechadzkę.

Zrozumiałe, że musiał często prosić o pomoc swego ks. proboszcza Cinzano i księdza Cafasso. Jego ulubionym systemem było wezwanie św. Franciszka Salezego: „O nic nie prosić i niczego nie odmawiać” i wolał żyć ubogo niż prosić dobrodziejów o to, co nie było ściśle konieczne. W tym był on z pewnością ożywiony prawdziwym ubóstwem ewangelicznym. Kto był świadkiem jego długiego życia, może potwierdzić, że był daleki od wygod i bogactw. Obracał olbrzymimi funduszami oddanymi mu do dyspozycji przez Opatrzność, lecz wszystko było dla innych, a nic dla siebie. Ubóstwo Pana Naszego Jezusa Chrystusa było jego ideałem, o którym królewski Psalmista prorokował: „Ubogim i nędzarz od młodości mojej”. /Ps 77,16/.

ROZDZIAŁ XLVI

Alojzy Comollo wstępuje do seminarium; Owoce przyjaźni chrześcijańskiej; Odwiedziny studentów z Chieri; Kółko naukowe i św. przymierze dotyczące zachowania regulaminu seminaryjnego; Studia, jakimi interesuje się Jan; Dwa pocieszające zdarzenia.

W czasie wakacji 1836 roku, przywdział również sutannę anielski młodzieniec Alojzy Comollo i z nowym rokiem wstąpił do seminarium w Chieri. Obecnie dwaj przyjaciele zacieśnili bardziej więzy wzajemnej przyjaźni. W biografii Comolla skreślonej przez Księdza Bosko stwierdzić można wielki wpływ, jaki wywarł on na swoim przyjacielu.

Comollo z miejsca określił swój program życia seminaryjnego na karcie, którą trzymał zawsze przed sobą. Było w niej wypisane następujące zdanie:

„Wiele czyni, kto mało, ale należycie wykonuje; niewiele zgoła, kto sięga daleko, lecz nie spełnia tego, co powinien”.

Dokładny w każdym calu, na głos dzwonka przerywał swe czynności spiesząc tam, dokąd go wzywał. Brzydził się krytyką cudzego postępowania, a sam dbał, by w niczym nie uchybiać. Trzymał się zasady:

„O innych mówić albo dobrze, albo milczeć”.

W czasie rekreacji na kółkach naukowych, na przechadzce rozmawiał o nauce. Notował sobie pewne kwestie, których nie rozumiał, by konsultować się innych.

Ilekróć seminarzyści służyli do ceremonii w katedrze, byli wolni od Różańca; Comollo jednak nigdy go nie opuszczał i gdy inni szli na rekreację, on z przyjacielem udawali się do kaplicy, by spłacać dług swej Matce Niebieskiej.

Dawał wyraz swej miłości do Jezusa Eucharystycznego przez częstą Komunię św. Kleryk Bosko towarzysząc mu był świadkiem jego wzlotów seraficznych. Często wzdychał i zalewał się łzami. Na uwagi Jana, by nieco miarkował swe wzruszenia, by nie podpadać drugim, odpowiadał:

„Czuję, że tak wezbrane mam serce pobożnymi uczuciami, że gdybym nie dał im ujścia, udusiłbym się”.

Pobożność Jana była niemniej szczerą niż przyjaciela, choć nieco o innym zabarwieniu. Bosko odchodził od stołu Eucharystycznego w postawie wyprostowanej z głową lekko pochyloną, z oczyma przymkniętymi i rękoma splecionymi na piersi i tak trwał do końca dziękczynienia. Nie słychać było żadnych westchnień, tylko z drżenia warg poznać można było, że się gorąco modlił. Twarz wyrażała tak głęboką wiarę, iż przykuwała patrzących.

Comollo siedząc przy stole miał zwyczaj zakładać nogę i opierać się łokciami, lecz upomniany przez Jana, poprawił się z tego. Obaj przyjaciele stanowili doprawdy wzór, w który wpatrywali się inni koledzy.

W pamiętniku swym Ksiądz Jan Bosko mimo woli odsłania piękno jego duszy a swoją skromność, gdy na przykład pisze:

„Niekiedy moją rekreację przerywała wizyta Comolla, który pociągał mnie za sobą idąc przed ołtarz z Najświętszym Sakramentem. Ten przyjaciel był doprawdy dla mnie skarbem. W swoim czasie dawał mi upomnienia, zachęcał i pocieszał tak uprzejmymi słowami, że chciałbym ustawicznie dawać mu tego okazję. Odnosiłem się do niego poufale i czułem naturalną chęć naśladowania go; a choć nie dorównywałem mu w cnocie, jemu zawdzięczam, że nie doznawałem wielu roztargnień i utwierdzałem się w powołaniu. W jednej tylko rzeczy nie próbowałem go naśladować: w umartwieniu. Widok młodzieńca 19-letniego tak ściśle zachowującego posty nakazane przez Kościół, który znosił przykrości codzienne za strony kolegów, skrupulatnie wypełniał swe obowiązki, to było doprawdy coś niezwykłego, czym wszyscy się budowaliśmy w seminarium”.

Powyższe słowa należałoby skonfrontować ze świadectwami współczesnych, między innymi księdza Franciszka Giacomellego z Avigliane, który tak pisał:

„Wstąpiłem do seminarium w rok po Księdzu Bosko. Na kursie filozofii spostrzegłem kleryka już w starszym wieku, może o lat dziesięć ode mnie starszego, ujmującej powierzchowności, o kędzierzawych włosach, bladej cerze, ascetycznym wyrazie twarzy. Z pozoru wyglądało, że ledwie wytrzyma do końca roku, on tymczasem z dnia na dzień objawiał więcej wigoru. Był to nasz drogi Ksiądz Bosko. Powziąłem odtąd do niego żywą sympatię; on również spoglądał na mnie ze zrozumiałym współczuciem, za to, że byłem nieraz przedmiotem drwinek ze strony moich kolegów. Znalazłszy się w seminarium z miesięcznym opóźnieniem czułem się

obcy w tym otoczeniu. Otóż kleryk Bosko podszedł do mnie na rekreacji, bawiąc cały czas opowiadaniem wesołych historyjek, by mnie nieco rozerwać. W rozmowie z nim dowiedziałem się, że był chory w czasie wakacji.

Nadal świadczył mi wiele uprzejmości. Pamiętam, miałem biret nieco za wielki, z czego natrzęsali się koledzy; otóż on mi go naprawił. Kochałem go coraz więcej, tak miłe mi było jego towarzystwo. Prowadził mnie do kościoła na odmówienie nieszporów ku czci Madonny, względnie jakiejś modlitwy. Rozmawiał o rzeczach duchownych. Pewnego dnia zaprowadził mnie do szkoły i wyjaśnił hymn o Imieniu Jezus zachęcając do odmówienia 5 psalmów ku czci tego Najświętszego Imienia tłumacząc, jak z początkowych słów psalmów można ułożyć Imię Jezus. Byłem zachęcony tą jego pobożnością dla mnie zupełnie nową. Gdy była mowa o hymnie „Ave Maris Stella”, tłumaczył słowa: „Tulit esse tuus”: „Ten wiersz odnosi się do Jezusa Chrystusa, który narodził się z dziewicy Maryi; lecz mówiąc „Tuus” o Panu Jezusie, przypomnijmy Maryi, że jesteśmy jej dziećmi. Od momentu Wcielenia zostaliśmy ludem Najświętszej Maryi Panny, dlatego do Niej wołamy: „Monstra te esse Matrem”, bądź nam Matką w niebie, naszą Wspomożycielską! Czy nie zdaje się, że sformułował już przysłe wezwanie: Maria Auxilium Christianorum?

Już wówczas Bosko kochał serdecznie chłopców i przyjemnością jego było znajdować się wśród nich. Co czwartek odwiedzało go wielu chłopców z Chieri. Słyszeliśmy często głos odźwiernego: Bosco di Castelnuovo! On schodził na dół, zabawiał się z młodzieżą, pytał o lekcje, książki, praktyki pobożne, wtrącał jakieś upomnienie, potem prowadził do kaplicy na modlitwę. Słowem okazywał im zawsze specjalną życzliwość. Pożegnawszy ich zwracał się do mnie: Wiesz, trzeba przyprawiać nasze rozmowy myślą nadprzyrodzoną. Jest to nasienie, które w swoim czasie wyda owoc. Duch Święty upomina:

„Myśl o Bogu niech ci będzie w rozumie, a wszystka rozmowa twoja o przykazaniach Najwyższego”.

„Jana zwano „Bosco di Castelnuovo” dla odróżnienia od innego kleryka o tym samym nazwisku, który później był dyrektorem stowarzyszenia św. Róży w Turynie.

Zdarzył się wówczas jeden wypadek, na który nie zwrócono uwagi, lecz ja go sobie przypominam. Otóż dwaj klerycy przekomarzali się, jak powinno się ich wołać. Jeden rzecze: Io sono Bosco Nespole, co znaczy drzewo twarde, sękatę. Nasz zaś

Ksiądz Bosko odpowiedział: Ed io mi chiazmo Bosco di Sales, co znaczy: di salice – drzewo łagodne i giętkie. Być może już wówczas myślał o przyszłym patronie św. Franciszku Salezycznym.

Z natury będąc bardzo pobudliwy, dałby się łatwo powodować gniewowi. A przecież widoczne było, jakie wysiłki czynił w kierunku opanowania się.

„W szkole był tak wzorowy. Podziwiałem w nim zamiłowanie do nauki i pobożności. Nie widziałem, by brał udział w rozrywkach nawet godziwych i dozwolonych przez przełożonych, w czasie rekreacji chodził z książką dyskutując zawzięcie z kolegami, opowiadał budujące historie, lub szedł do kościoła na nawiedzenie. Trudno byłoby policzyć, ile w ciągu swego pobytu w seminarium powiedział przykładów wyjętych z historii kościelnej, żywotów Świętych, dzieł mariologicznych.

„Odnosił się serdecznie do swych kolegów, nawet, gdy ktoś próbował z nim współzawodniczyć, tym bardziej go cenił. W wypadku nieporozumienia, interweniował szybko i godził strony”. Dotąd ks. Giacomelli.

Inny kolega z seminarium. Ks. Teodor Dalfi, z diec. turyńskiej później wstąpił do Zgromadzenia Księża Misjonarzy, opowiada:

Był to rok 1836, gdy wstąpiłem do seminarium, w Chieri, gdzie poznałem kłeryka Bosko i jego nieodstępny przyjaciela kl. Comollo. Ostatniego nawet obrałem sobie za towarzysza i monitora, lecz po paru dniach go opuściłem, gdyż będąc zbyt spokojnego usposobienia nie nadawał się do mnie. Widywałem Jana Bosko w otoczeniu grupy kolegów z jego kursu. Najczęściej przestawał ze swymi stowarzyszonymi, jako ich przywódca. Do nich należeli: Comollo, nad którym czuwałem w przeddzień jego śmierci, kłeryk Zucha z pobliskiej wioski Picchiottino, Antoni Avataneo i Burzo Poirinesi, Ronco z Chieri oraz inni, których już nie ma.

„Ja, by powetować sobie trzy lata ślęczenia w aptece, wykorzystywałem do końca rekreację jako fanatyczny przywódca w grze „harce”. Ileż razy próbowałem wciągnąć biednego Bosco do gry, ale nigdy mi się to nie udało! On wcale się nie gniewał, tylko rzucał mi: Tu Dalfi!.. tu Dalfi!.. i trzeba mu było dać spokój. Nigdy go nie widziano goniącego lub grającego w „taroka”, czytającego romanse lub coś podobnego.

„Po rekreacji popołudniowej wzywano go do rozmównicy, gdzie za wiedzą przełożonych udzielał korepetycji przygodnym chłopcom, otrzymując jakiś grosz na swe potrzeby, nie mając innych dochodów. Czasem dzwoniło do drzwi, wywoływano jego nazwisko z numerem pokoju. W akompaniamencie opowiadano portierowi: Bosch` d Castalnev, Bosco di Castalnuovo, Bois de Chateau. Można powiedzieć, że miał tylko wolną rekreację wieczorną, godzinę na opowiadanie.

„Muszę wyznać, że nie widziano go nigdy zagniewanego, choć miałby powód do gniewu; on jednak uśmiechał się, brał rzeczy na wesoło, zmyślając jakieś humoreski, dziwolągi, a nie myślał o obrazie. Szkoda, że tylu, co mogliby więcej powiedzieć o jego życiu wewnętrznym, a byli mu najbliżsi, już wszyscy prawie poprzedzili go lub poszli za nim do wieczności”.

Monsignor Dalfi wspomina tu o grupie kleryków skupiających się wokół kleryka Bosko. Był to jakby sojusz zawiązany dla przestrzegania regulaminu seminaryjnego. Wyróżniali się wśród członków: Wilhelm Garigliano, Jan Giacomelli i Alojzy Comollo.

„Ci trzej towarzysze byli mi najbliżsi, pisał później Ksiądz Bosko. Kółko naukowe zawiązane w poprzednim roku funkcjonowało zawsze sprawnie i powiększyło się w następnym roku o kilkunastu członków. Dyskutowano na temat różnych kwestii filozoficznych nie dość jasnych, posługując się zawsze językiem łacińskim, zgodnie z propozycją Comollo. Wyszło to na korzyść wszystkim, przyczyniając się do opanowania języka łacińskiego w różnych kwestiach teologicznych. Comollo najczęściej wyciągał różnych kwestii. Co więcej, potrafił ożywiać konwersację, wplatając ciekawe szczegóły, czy anegdoty i co u niego warto podkreślić, zachowywał milczenie gdy inni mówili. Dlatego nierzadko ucinał w pół słowa, gdy ktoś chciał ciągnąć dyskusję. Niejaki Dominik Peretti (późniejszy proboszcz z Buttigliera) nie mógł skończyć wywodów. Garigliano natomiast pilnie słuchał innych, a sam tylko dorzucał od czasu do czasu jakąś refleksję.

Dzięki tym dyskusjom, zakładającym oczywiście opanowanie materiału wykładanego w klasie, Bosko opanował doskonale logikę, metafizykę, etykę, arytmetykę i fizykę, jak wyniknie z dalszego opowiadania. „Żelazo ostrzy się żelazem, a człowiek zaostrza oblicze przyjaciela swego”. /Przyp 27,17/.

A oto inny dowód na powyższe stwierdzenie. Na drugim roku filozofii Bosko mógł się lękać o utratę stypendium. Współzawodniczył z nim, bowiem bardzo zdolny alumn. Obaj otrzymali stopnie celujące spośród wszystkich konkurentów tak z egzaminu ustnego jak pisemnego. Zaproponowano, więc podział nagrody. Jan zgadzał się, lecz koledze, mimo że był zamożniejszy, nie przypadało to do gustu. Wówczas profesor zaproponował jeszcze jeden egzamin; temat był bardzo trudny, lecz klerykowi Bosko udało się obronić swą tezę znakomicie. Podobne szczęście miał w latach następnych.

Ale groziło mu, jak sam pisze, inne niebezpieczeństwo. „Pod wpływem studiów klasycznych przesiąknęłam do pewnego stopnia duchem i stylem pisarzy pogańskich i ich mitologią tak, że nie znajdowałam upodobania w prostocie wykładu autorów chrześcijańskich. Nawet dzieła Ojców wydawały się mi nędznym płodem ograniczonych zdolności, z wyjątkiem oczywiście zasad katolickich przedstawionych jasno i przekonująco. Musiało to być konsekwencją pewnych dyskusji z osobami duchownymi, skądinąd doskonale znającymi literaturę klasyczną, lecz lekceważącymi wielkich luminarzy Kościoła, dlatego że ich należycie nie doceniali.

„Z początkiem drugiego roku studiów filozoficznych znalazłem się pewnego razu w kościele i nie mając przy sobie żadnej książki religijnej, zacząłem czytać *De Imitatione Christi*; trafiłem na rozdział o obecności Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie. Rozkoszując się doprawdy wzniosłymi myślami, wyrażającymi głębokie prawdy moralne i dogmatyczne, myślałem sobie: Przecież autorem tego dzieła był człowiek bardzo uczony; kontynuując lekturę spostrzegłem się, że każdy prawie wiersz zawiera treść, jakiej daremnie szukałbym w książkach starożytnych klasyków. Tej właśnie książeczce zawdzięczam, że przestałem lubować się w literaturze klasycznej.

Studiowałem między innymi dzieła Józefa Flawiusza „O starożytnościach żydowskich”, „O wojnie żydowskiej”; „O podstawach religijności” – monsignora Marchetti; czytałem Frassinous`a Balmesa, Zucconiego i wielu innych autorów religijnych; gustowałem w historii kościelnej Fleury`ego nie wiedząc, że to dzieło zakazane. Z większym jeszcze pożytkiem przewertowałem dzieła Cavalca, Passavanti`ego, Segneri`ego oraz wszystkie tomy historii powszechnej Kościoła Henrion`a, która mi utkwiała głęboko w pamięci.

Może powiecie: Zajmując się lekturą musiałem zaniedbać studiowanie traktatów. Ale tak nie było. Pamięć moja mi dopisywała do tego stopnia, że wystarczała uwaga na wykładach, bym orientował się dostatecznie w materii. Dlatego godziny studium prywatnego wykorzystywałem na lekturę wspomnianych dzieł. Oczywiście przełożeni nie mieli nic przeciw temu.

Należy zaznaczyć, że mimo to z pilnością oddawał się lekturze Ojców i Doktorów Kościoła, jak św. Augustyna, Hieronima, zwłaszcza św. Tomasza tak, że zdołał utrwalić w pamięci niektóre tomy tego orła filozofii i teologii chrześcijańskiej. W czasie teologii przeczytał całą Biblię wraz z komentarzem O. Korneliusza a Lapide TJ, Torino oraz zapoznał się z dziełami Bollandystów. Wypożyczał je z biblioteki seminaryjnej, w czasie wakacji korzystał z prywatnych księgozbiorów proboszczów. W warunkach życia studenckiego zrozumiałe było, że nie znał literatury traktującej o religii, ze względu na brak czasu. Za to studia klasyczne stanowiły niezbędne uzupełnienie wiedzy przyszłego wychowawcy i fundatora zakładów wychowawczych. Ksiądz profesor Pecchenino, długoletni przyjaciel Księdza Bosko stwierdzał z podziwem, że był on doskonałym znawcą całej literatury włoskiej i łacińskiej. Każda rzecz ma jednak swój czas. Tenże Eklezjastyk mówi: „Mądrość wszystkich starodawnych badać będzie mądry i będzie się zajmował prorokami”. /Syr 39, 1/.

Tymczasem kleryk Jan Bosko kończył drugi rok filozofii, wzbogacając umysł wiedzą, a serce zapalając miłością do bliźnich. W liście do księdza Bonettiego niejaki Brosio tak pisze:

„Pamiętam z czasów gimnazjum w Chieri, iż kleryk Jan Bosko był powszechnie poważany nie tylko przez młodzież, ale i dorosłych. Kochano go, ponieważ tak serdecznie zajmował się chłopcami, jak nikt w świecie. Rzec można, że żył dla nich. Bywało, gdy klerycy udawali się do katedry na nabożeństwa, ludzie przystawali na ulicy pokazując palcami kleryka z kędzierzawymi włosami, jak go nazywali chłopcy. Pociągnięty jego życzliwością starałem się zawrzeć z nim bliższą znajomość, co mi się też udało. W tymże seminarium był razem z klerykiem Bosko jego przyjaciel Alojzy Comollo, z którego rodziną miałem także styczność. Właśnie skorzystałem ze sposobności, by poznać kleryka Bosko, który zazwyczaj przebywał w towarzystwie kleryka Comollo i cel ten osiągnąłem. Przyjaźń nasza trwała aż do śmierci”.

W owym roku zaszły pewne okoliczności korzystne dla kleryka Jana Bosko. Oto arcybiskup Frasoni w kwietniu wizytował dekanaty Chieri i Castelnuovo. Należy przypuszczać, że ksiądz Cinzano informował go o kleryku Bosko. Z kolei odbyła się wizytacja dekanatów Gassino i Casalborgone.

Wróciwszy do Turynu biskup zachorował poważnie. Jako kuracjusz przebywał w Chieri zamieszkując u pewnego kanonika.

Widocznie musiał mieć wiele przykrości w owych latach, prócz zajęć, ze strony pewnych kół dworskich. Niektórym ludziom na urzędach państwowych jakby zależało na tym, by podsycać niezgodę między państwem a Kościołem, by skończyć całkowitym wyłamaniem się spod jego jurysdykcji. Tak na przykład w roku 1836, sekret królewski nakazywał przedkładać do zatwierdzenia rachunki dzieł dobroczynnych komisji państwowej, zaprzeczając wspomnianym instytucjom charakteru kościelnego. Zabraniano Siostrzom Wizytkom osiedlania się w Thonon; minister Barbaroux unieważnił niektóre ustawy synodalne diecezji Aosta; senat pretendował do zarządu nad cmentarzami kościelnymi. Równocześnie zaprzeczano mocy obowiązującej orzeczeniom sądów kościelnych. Pomimo to król Karol Albert uwzględniał racje arcybiskupa, miarkował niektóre decyzje ministerialne, zwracał się do Rzymu w sprawach wymagających zezwoleń. Niebawem Rada Państwa opracowała projekt odebrania Kościołowi prawa prowadzenia ksiąg stanu cywilnego; król jednak interweniował i prowadził pertraktacje z Papieżem. Już Sobór Trydencki zaprowadził uporządkowanie spraw rodzinnych przepisując, by w parafii prowadzono rejestry aktów urodzonych, ochrzczonych, zaślubionych i zmarłych. Papież broniąc swych praw udokumentował rzecz w taki sposób, że król przystał na to i w roku 1837 polecił ogłosić wspomnianą decyzję w urzędowym dzienniku ogłoszeń.

Podczas, gdy arcybiskup Frasoni nabierał sił w Chieri, niewątpliwie kleryk Jan Bosko złożył mu wizytę synowską, której jak najmiłsze wrażenie pozostało w pamięci arcypasterza. Bez tego nie można by wytłumaczyć, dlaczego zgodził się przyspieszyć jego święcenia kapłańskie, której to łaski udzielano na ogół bardzo rzadko.

W owym czasie kleryk Bosko był pod wrażeniem listu pasterskiego monsignora Frasoniego polecającego zbiorckę, za zgodą monarchy na rzecz Dzieła Rozkrzewienia Wiary, którego cel, korzyści i łaski duchowne obiecywał w swym piśmie tym, którzy

poprą wspomniane Dzieło. Pamiętamy przecież, że jego gorącym pragnieniem było pracować nad zbawieniem dusz pogańskich, które miało się urzeczywistnić otwierając w Kościele nowe, chwalebne stronnice misji katolickich.

ROZDZIAŁ XLVII

Wakacje kleryka Bosko; Życie towarzyskie na wsi; Gra na skrzypcach; Polowanie; Korepetycje; Studium historii biblijnej, geografii, języka hebrajskiego i francuskiego; Ponowienie się snu z Morialdo; Ziszczenie się przepowiedni.

W ciągu niniejszego opowiadania przyjdzie nam częściej podziwiać skromność Księdza Bosko oskarżającego się o pewne przewiny, które w rzeczy samej nie zawierają nic nagannego i tłumaczą się nieuwagą, czy młodzieńczym zapalem. Biorąc to pod uwagę, jak niektóre świadectwa, dochodzimy do wniosku, że chciał on uwydatnić w jaskrawych kolorach pewne błędy i niebezpieczeństwa, na jakie wystawieni są studenci i klerycy na wakacjach. Są to więc przestrogi miłującego ojca, który znając dobrze swych synów zachęca, by pomimo wewnętrznych i zewnętrznych niebezpieczeństw wynikających z ich usposobienia i charakteru dążyli wytrwale do doskonałości właściwej ich stanowi, będąc zdolnymi do wszelkiego dzieła pożytecznego. Oto, co pisze:

„Wielkim niebezpieczeństwem dla kleryków są wakacje, tym bardziej, że trwały długo, bo cztery i pół miesiąca. Zajmowałem czas na czytanie i pisanie; nie zawsze umiałem jednak w pełni wykorzystać długich dni letnich. Próbowałem zabić czas jakimś zajęciem. Robiłem wrzeciona, krążki, kręgle itp. szyłem lub naprawiałem ubrania, robiłem skarpetki, kułem coś z żelaza; wykonywałem roboty murarskie, introligatorskie. Dotąd istnieją w Morialdo zrobione przeze mnie biurko, stół i krzesła w pokoju jadalnym, jako moje arcydzieła z czasów wakacyjnych. Kosilem trawę, zboże, zrywałem winogrona, wyciskałem z nich wino itp. Nadal gromadziłem chłopców w dni świąteczne. Zebrawszy ich na własnym podwórku miałem do nich krótkie przemówienie. Z przyjemnością uczyłem katechizmu starszych, którzy nie umieli prawd wiary. Niektórych uczyłem również czytać i pisać z dobrymi wynikami. Chęć nauczania się czegoś ściągnęła do mnie chłopców w różnych wieku. Nauka, jakiej udzielałem, była bezpłatna; stawiałem jako warunek: pilność w uczęszczaniu na lekcje, uwagę i spowiedź miesięczną.

Początkowo niektórym wydawało się to za trudne i zaprzestawali uczęszczania, co jednak raczej zachęciło innych.

Wspomnianych niebezpieczeństw wakacyjnych doświadczyłem sam na sobie. Otóż zostałem pewnego razu zaproszony na odpust do krewnych. Wzbraniałem się, lecz wobec braku kleryka do służenia, zgodziłem się. Po sumie był obiad. Wszystko szło dobrze, dopóki nie przyszło do toastów obficie zakrapianych winem; potem żarty i nieprzyzwoite rozmowy, których nie mogłem tolerować.

Gdy uwagi moje nie odniosły skutku, wstałem od stołu, by wyjść, lecz stryj zaoponował; ktoś zaczął przeklinać drugiego. Od słów przeszło do czynów: krzyki, wyzwiska, rzucono butelkami, talerzami, widelcami, nawet nożami, tumult nieopisany. Nie pozostało mi nic innego jak umykać, co sił w nogach. Wróciwszy do domu odnowiłem postanowienie uczynione wiele razy: trzymać się z dala od świata, by nie wpaść w grzech”.

„Podobny przykry wypadek zdarzył mi się w Croveglia (Buttigliera). Z racji odpustu św. Bartłomieja, zostałem zaproszony przez drugiego stryja Mateusza, by służyć do ceremonii. W kościele było wszystko w porządku. Obiad odbył się u mego stryja, gospodarza odpustu, więc można było być spokojnym, że nie zdarzy się nic niewłaściwego. Był nawet ksiądz proboszcz. Po obiedzie proszono mnie, bym zagrał na skrzypcach; wstawiał się on, chcąc słyszeć jakąś sonatinę z mej ręki. Wymawiałem się, że pozostawiłem w domu swe skrzypce i że na miejscu nie mam odpowiedniego instrumentu.

Jeśli chodzi o to, powiada jeden z gości, wnet znajdzie się je u kogoś z sąsiadów. Nie umiając odmówić zacząłem grać na skrzypcach jakiś utwór z pamięci. Wtem za oknami słyszę taneczne kroki: na dziedzińcu rozwinął się taniec w takt przygrywanej przeze mnie muzyki. Oburzony powstałem na biesiadników: Jakże to? Mam być przyczyną publicznej zabawy, który często przeciwko niej występuję? O nie! Zabierzcie te skrzypce i zanieście właścicielowi! Zabrawszy się stamtąd wróciłem do domu, porwałem własne skrzypce i połamałem na kawałki, nie chcąc więcej się nimi posługiwać, mimo że grywałem czasem w kościele. I dotrzymałem słowa. Później uczyłem innych gry na tym instrumencie, lecz sam nie grałem więcej”.

„Jeszcze jeden epizod z polowaniem. W lecie szukałem gniazd; w jesieni chwytalem ptaki w sidła, w pułapki, siatki, czasem nawet polowałem flintą. Pewnego

rana wytropiłem zająca i idąc śladami niespostrzeżenie oddaliłem się parę kilometrów od domu. Zobaczywszy zająca postrzeliłem go w nogi tak, że biedne zwierzę przewróciło się na ziemi nieżywe, ku mojemu żalowi. Przybiegli triumfujący koledzy, gratulując mi celnego strzału. Spojrzałem po sobie i stwierdziłem, że byłem tylko w koszuli, bez sutanny, w kapeluszu słomkowym, wyglądając na kłusownika. Było mi tak przykro, jak gdybym został złapany na gorącym uczynku. Przeprosiłem kolegów za zgorzenie dane mym ubiorem i wróciłem do domu, wyrzekając się od tego czasu raz na zawsze polowania. Z pomocą Bożą, tym razem dotrzymałem obietnicy”.

„Wspomniane zdarzenia były dla mnie przykrą nauzką.

Od tego czasu stroniłem od zabaw, przekonany, że kto chce się poświęcić służbie Bożej, winien wyrzec się uciech świeckich. Prawda, że nie zawsze one są grzeszne; pewne jest jednak, że ubiór, rozmowy, towarzystwo stanowią zawsze pewne ryzyko dla cnoty czystości”.

Takie wypowiadał sądy o swych wakacjach pokorny Ksiądz Bosko! Zupełnie odmienne opinie wydawali o nim postronni świadkowie. Oto, co opowiada ksiądz Ropolo: W czasie pobytu na wakacjach, kleryk Bosko utrzymywał się na poziomie swej gorliwości seminaryjnej, zajmując się odpowiednimi studiami oraz pracą fizyczną stosowną do zacisza Sussambrino i Becchi, odpowiednią dla pokrzepienia nadwątłych sił. Wystrzegał się starannie próżnowania. Wiernie odprawiał swe praktyki pobożne: refleksję, czytanie duchowne, Różaniec, nawiedzenie Najświętszego Sakramentu, codzienna Msza św.

Ze względu na zbyt wielką odległość od kościoła parafialnego, czy przejściową niedyspozycję, niekiedy nie mógł przyjść na Prymarię. Przystępował wtedy do Komunii św. na sumie, ku zbudowaniu wiernych. Skwapliwie usługiwał do Mszy św. i innych nabożeństw. Każdej niedzieli katechizował dzieci. Gdy dano znać sygnaturką, że zaopatruje się chorego, spieszył do kościoła nie bacząc na daleką drogę, by towarzyszyć kapłanowi. Słuchał kazań i potrafił z pamięci odtworzyć ich treść swym kolegom. Skromna i pełna powagi jego postawa budowała obecnych i zyskiwała mu wielki szacunek u ziomków.

Zazwyczaj przestawał z księdzem Cinzano, który go bardzo polubił. Na plebani Jan Bosko był gotów do wszelkich posług korzystając z bogatego księgozbioru ks.

proboszcza. Był on doskonałym znawcą literatury i nieprzerwanie studiował dzieła starożytne. On też doceniał zdolności kleryka Bosko rokując o nim wielkie nadzieje.

Dodać tu trzeba, że Bosko posiadał wybitną cechę panowania nad sobą. Jan Filippello wspomina, że był świadkiem, jak pewnego razu ten oczekując na księdza proboszcza w przedpokoju, mimowolnie stał się przedmiotem zaczepki ze strony dwóch młodzieńców, jak on pragnących się dostać w sprawie jakiś dokumentów. Wobec jego ostrzeżenia, by miał się na baczności przed tymi gwałtownikami, odrzekł spokojnie: Ach, zostawmy ich: są młodzi i ich żarty nie wyrządzą mi szkody!

A prof. Franciszek Bertagna dodaje: Jan Bosko udzielał parę razy w tygodniu korepetycji kilku studentom z Castelnuovo, odwiedzających go grupowo lub w pojedynkę: jedni powtarzali przerobiony materiał w klasie, inni przygotowywali się na drugi rok studiów, do jakiego przeszli. Niektórzy rodzice ofiarowywali mu skromną zapłatę miesięczną na jego potrzeby. Biedniejszym pomagał bezpłatnie. Pierwszą lekcją było zawsze kochać Boga i słuchać Jego przykazań; nie było lekcji bez zachęty do modlitwy, bojaźni pańskiej, unikania grzechu i okazji do niego.

Jako kleryk często siadywał na wzgórku winnicy pana Turco położonej w okolicy Renenta, spędzając wiele godzin w cieniu otaczających ją drzew. Czytywał wtedy pilnie dzieła, których nie zdążył przestudiować w ciągu roku szkolnego; zwłaszcza Dzieje Biblijne Starego i Nowego Testamentu Palmeta oraz geografię miejsc św. i gramatykę hebrajską. Byliśmy sami świadkami, jak biegle rozprawił z pewnym profesorem języka hebrajskiego w Rzymie na temat pewnych wyrażen u Proroków, przytaczając inne paralelne miejsca z Pisma św.

Zajmował się też tłumaczeniem Nowego Testamentu z języka greckiego oraz układał swe pierwsze kazania. Przewidując potrzebę języków nowożytnych uczył się w tym czasie języka francuskiego. Po łacinie i włoskim, specjalną predylekcję miał zawsze do hebrajskiego, greckiego i francuskiego. Wspominał często: Moje studia prywatne odbywałem we winnicy Józefa Turco w Renenta. Cóż tedy dziwnego, że był doskonale przygotowany do swej przyszłej misji? Razu pewnego, gdy podszedł do Józefa Turco pracującego w swej winnicy, ten zagadnął go:

Obecnie jesteś klerykiem, a niezadługo zostaniesz księdzem; a później, co będziesz robił?

Jan odrzekł mu:

Nie mam ochoty iść na parafię czy na wikarego; wolałbym gromadzić wokół siebie chłopców, uczyć ich i wychowywać.

Gdy go spotkał następnego dnia, zwierzył mu się ze snu, z którego wynikało, że z biegiem lat ustabilizuje się w pewnym miejscu, zgromadzi wokół siebie mnóstwo chłopców i będzie ich prowadził drogą zbawienia. Nie wyjaśnił gdzie będzie to miejsce. Opowiedział o tym po raz pierwszy w 1858 roku niektórym swym synom w Oratorium, między innymi Cagliero, Rua, Francesia i innym. Ujrzał wtedy dolinę w okolicy Sussambrino zamienioną w wielkie miasto, na którego ulicach hasało mnóstwo chłopców bawiąc się i przeklinając. A gdy nadal bluźnili przeciw Bogu i Madonnie, zaczął ich bić. Na to odpowiedzieli starsi również pięściami i pobili go dotkliwie. Gdy próbował ucieczki, ukazała mu się jakaś Osobistość zatrzymując go i polecając, by zawrócił do owych łobuzów i upominał ich, by byli dobrymi i nie popełniali grzechów. Jan tłumaczył się otrzymanymi razami oraz że może go spotkać od nich coś gorszego. Wówczas owa Osobistość podprowadziła go do szlachetnej Pani stojącej obok i rzekła: Oto moja Matka, poradź się Jej.

Owa Pani spojrzawszy na niego z dobrocią powiedziała: „Jeśli pragniesz pozyskać tych chłopców, nie powinienes ich bić, lecz traktować ich z dobrocią i napominać”. Wówczas jak za pierwszym razem, ujrzał chłopców zamienionych w bestie, a później w owieczki i baranki, na których czele stanął jako pasterz, z rozkazu owej Pani. Być może, że tym razem widział on przyszłe Oratorium ze swymi zabudowaniami, gotowymi na przyjęcie jego łobuzów. To też kiedyś proboszcz Bosio, rodem z Castagnole, kolega Księdza Bosko z seminarium w Chieri, znalazłszy się po raz pierwszy w Oratorium w roku 1890, w otoczeniu Kapituły Wyższej Salezjanów, na widok naszych zabudowań zawołał: Ależ to nic nowego! Ksiądz Bosko w seminarium opisywał mi wszystko w szczegółach, co ja obecnie stwierdzam naocznie! I ze wzruszeniem odtwarzał osobiste wspomnienia o swym dawnym koledze i przyjacielu.

Także ks. Cinzano, w obecności ks. Berto i innych Przełożonych stwierdzał, że Ksiądz Bosko jako kleryk mówił mu, że będzie miał księży, kleryków i wielu chłopców, uczniów i rzemieślników oraz wspaniałą kapelę.

W tym miejscu wypada zaznaczyć, jak coraz dokładniej wyłaniały się w jego snach szczegóły co do przyszłości własnej misji. W 9 roku życia odkrywa zarys swego

posłannictwa; w 16 - obietnicę środków materialnych; w 19 - wyraźny rozkaz uświadamia mu, że nie może się zwolnić z tej misji; w 21 roku dowiaduje się, jaki jest poziom społeczny tej młodzieży, o którą winien się zatroszczyć; w 22 roku zostaje mu wskazane wielkie miasto Turyn, gdzie winien zapoczątkować swe pierwsze fundacje. Tajemnicze wskazówki ciągnąć się będą dalej aż do dokonania dzieła. Czyżby to były fantastyczne urojenia? Dowodem na to, że miał od początku zapewnienie pomocy Najświętszej Dziewicy, będzie fakt następujący: Gdy rodzina Turco skarżyła się Świętemu na huragan niszczący od lat 10 ich winnicę, ten ze skromną swobodą zapewnił: Dopóki pozostanę w Reneta, burza nie spadnie na Was: módlmy się do Madonny, a Ona nas ochroni! I tak było.

ROZDZIAŁ XLVIII

Pierwsze kazanie kleryka Jana Bosko w Alfiano; Polityczne podejście; Nowe dowody pamięci.

W międzyczasie otrzymał kleryk Bosko zaproszenie wygłoszenia kazania na odpust Matki Bożej Różańcowej w parafii Alfiano. Był szczęśliwy, że miał sposobność przemówić do wiernych o Matce Najświętszej, której zawdzięczał swe powołanie kapłańskie. Temat był o Różańcu, którego niebawem rzecznikiem miał stać się Papież Leon XIII w przekonaniu, że przyczyni się on do odnowienia społeczeństwa katolickiego.

W okresie trwania wakacji Comollo nie zapomniał o przyjacielu i w liście pisał: Upłynęły już dwa najgorętsze miesiące wakacyjne, które korzystnie wpłynęły na moje zdrowie. Przestudiowałem początki logiki i krytyki, opuszczone w zeszłorocznych wykładach. Chętnie przeczytałbym Dzieje Józefa Flawiusza, lecz zacząłem już historię herezji. Spodziewam się odrobić to w roku przyszłym. Poza tym w swym pokoiku czuję się jak w raju: mogę czytać, śpiewać, śmiać się dowoli, brakuje mi tylko Ciebie do kompletu. Przy stole, na przechadzce, mam stale przy boku mego kochanego stryja, który mimo sędziwego wieku, jest rześki i wesoły. Opowiada, co dzień nową anegdotkę, która mnie zawsze ubawi. Oczekuje cię w czasie umówionym. Bądź zdrów i pamiętaj o mnie w modlitwach.

Kleryk Bosko dotrzymał obietnicy i skorzystał z zaproszenia Comollo. Dawno już nie był w Cinzano. Przybył tam w towarzystwie kleryka Garigliano, miejscowego jurydyka, sekretarza gminnego i geometry, z którymi się zaprzyjaźnił. Ułożyli wspólne spędzenie dnia u księdza proboszcza. Tymczasem księdza proboszcza nie było w domu: wyjechał z krewniakiem na konferencję duszpasterską. Cóż teraz robić? Na plebani nie przygotowano się na ich przyjęcie. Wracać z niczym? Tak przecież serdecznie go zapraszano tu na spędzenie paru dni. Gospodyni, dzielna niewiasta, trzymała wszystko mocno w garści i niełatwo byłaby skłonna wystawić obiad dla jakichś tam nieznanymi gości, nie mając wyraźnego polecenia. Ale, od czego

dyplomacja? Kleryk Bosko oświadczył skonsternowanym przyjaciółom, że bierze wszystko na siebie.

Zasięgnawszy bliższych informacji w terenie zapukał na plebanię. Gospodyni przyjęła go chłodno, oznajmiając, że proboszcz wyjechał.

Wielka szkoda; jesteśmy przyjaciółmi z dawna. A może mam przyjemność w takim razie zastać panią Magdalenę, o której słyszałem, że jest osobą bardzo taktowną i cieszy się wielkim zaufaniem u księdza proboszcza. Jeśli jej również nie zastałem, no to pazienza! Może, kiedy indziej.

Gospośnia rozpromieniona przerwała mu: Magdalena nie pojechała z proboszczem. Ponieważ Magdaleną jestem ja!!

Ach! Lei signora padrona!

Che padrona! Jestem sobie skromną sługą księdza...

Och, proszę tak nie mówić! Gdyby nie pani, cóżby zrobił biedny ksiądz proboszcz? Wiadomo wszystkim, że zarządza całym jego dobytkiem. Kleryk Comollo opowiadał mi wiele pięknych rzeczy o pani jako osobie bardzo uprzejmej i gościnnej, która stara się mu we wszystkim dogodzić.

Ach, to tylko grzeczność z jego strony! Robię, co mogę. Szkoda doprawdy, że wielebny ksiądz nie zastał proboszcza; ale myślę, że ten nad wieczorem wróci.

No niestety, tak liczyłem, że spędzę z nim dzień. Odchodzę, lecz wrócę niezadługo. Tymczasem cieszę się, że mogłem złożyć uszanowanie pani Magdalenie.

Dokąd ksiądz się wybiera? Czy przynajmniej jest już po śniadaniu?

Jeszcze nie, ale to drobnostka, zaradzi się...

Czy ma tu jakich znajomych?

Po prawdzie, to nie...

No, to proszę wejść do środka.

Ależ, wobec nieobecności gospodarza...

Nic nie szkodzi. Nie ma proboszcza, lecz ja jestem w domu. Proszę, proszę serdecznie.

Ależ pani tak zajęta, nie chciałbym fatygować!

Proszę, proszę, będę miała przyjemność ugościć księdza: czym chata bogata!

Wybaczy pani, ale mam tu ze sobą kilku przyjaciół...

Proszę ich przyprowadzić tu.

Lecz z tego wyniknie dużo pracy dla pani...

Proszę się tym nie kłopotać. Zaradzimy temu.

Doprawdy przekonuję się, że to co mi powiedziano o uprzejmości szanownej pani gospośi.

Moi przyjaciele, to osoby znane we wsi.

Proszę być pewnym, że zostaną dobrze obsłużeni.

Lecz ks. proboszcz zapewne schował klucze do piwnicy?

Klucze są w moim ręku; oto one, rzecz wyjmując je z fartucha. Proszę być pewny, że nie podam wam wody na stół.

Pani Magdalena zakrzętnęła się żywo koło obiadu. Bosko zaś sprowadził swoich przyjaciół. Nie można było sobie życzyć obfitszego i smaczniejszego obiadu. Nie zabrakło i wybornego wina. Wszyscy byli zadowoleni.

Niech żyje zacna gospośia! Niech żyje pani Magdalena! Wznoszono toasty. Magdalena promieniowała.

Biesiadnicy po obiedzie dyskretnie się ulotnili, a gospodyni sprzątnęła dokładnie ze stołu tak, że po uczcie nie pozostało śladu. Tymczasem proboszcz z klerykiem wrócili ze Sciolze. Nastąpiło znowu serdeczne powitanie i gościna dla kleryka Bosko, który nigdy nie wspomniał o tym obiedzie swemu przyjacielowi. Po jego śmierci dopiero opowiedziano o tym staruszkowi dla jego rozweselenia.

Ten wcale przyjemny i zabawny epizod świadczy, jak po mistrzowsku potrafił Bosko naginać wolę innych wykorzystując dane okoliczności. Swą uprzejmością, taktem, a przy tym znajomością psychiki ludzkiej, potrafił utorować drogę do serc najbardziej trudnych, kapryśnych i zamkniętych. Gdy nie było innej drogi, uciekał się do dyplomacji, bez cienia kłamstwa, zręcznie przemawiając do ambicji i po mistrzowsku wygrywał na tej strunie. Otrzymywał wtedy, na czym mu zależało, od swych współpracowników i od osób zewnątrz. Można by złożyć tomy z owych scen tak pełnych humoru i rozrzewniających, a czasem nawet bohaterskich z jego życia codziennego.

Byliśmy świadkami różnych takich sytuacji, kiedy wbrew wszelkim rachubom, uzyskiwał wspaniałomyślne ofiary i akty zaparcia się. To były skutki doprawdy niespodziewane owej jego „dyplomacji”.

Bosko zatrzymał się parę dni w Cinzano budując się anielskimi obyczajami, pobożnością eucharystyczną swego przyjaciela Comollo. On zaś ze swej strony dotrzymywał mu kroku gorliwym nauczaniem katechizmu chłopców przy każdej sposobności. Obaj prowadzili pobożną konwersację na temat życia wewnętrznego czy przyszłych studiów. Comollo zdumiony był na widok fenomenalnej pamięci przyjaciela, uświadamiając sobie, że niewielu otrzymało podobny dar od Boga. Pewnego razu, na przykład, kazał sobie podać tytuł jakiegokolwiek rozdziału 7-tomowej Historii Flawiusza i powtórzył wiernie tekst w nim zawarty.

Teraz spytaj o jakikolwiek fakt opisywany w dziele.

Comollo zajrzał do indeksu i podał jakieś hasło; otrzymał doskonałą odpowiedź bez zająknięcia.

Teraz otwórz gdziekolwiek i powiedz mi tylko początkowy wiersz od góry danej strony. I recytował z pamięci, jakby czytał z książki.

Zgadywał, na której stronie znajduje się opisywane zdarzenie, nawet od jakich słów zaczyna się tekst wspomniany. Dowód takiej pamięci dał poprzednio księdzu proboszczowi Cinzano, który opowiadał o tym wychowankom Oratorium, gdy go odwiedzali na wycieczce.

A oto inny dowód jego pamięci. Gdy Ksiądz Bosko około roku 1870 pisał „Sierotkę z Apenin”, zlecił któremuś z księży, by zaglądnął do książki Bercastela, podając stronicę, na której opisana była historia pustelnicy w Pirenejach. Książki tej nie czytał od czasu, gdy opuścił seminarium.

Znał dokładnie mnóstwo dzieł. Stąd księża pracujący naukowo mieli w nim wielką pomoc i oszczędność w czasie. Mając na przykład, przygotować kazanie, składać egzamin, napisać książkę, zwracali się do niego po wskazówki bibliograficzne; on zaś służył informacjami, określając nawet sposób, w jaki mają korzystać z nich.

W roku 1865, ksiądz Cagliari miał w zastępstwie któregoś z księży wygłosić kazanie o pewnym mniej znanym Świętym. W tym czasie Ksiądz Bosko był poza domem, a termin kazania wypadł właśnie pod jego nieobecność.

Pisze, więc do Księdza Bosko w tej sprawie. Ten zaś z miejsca odpisuje podając tom i stronicę u Bollandystów. Sprawdzono natychmiast informację i okazała się słuszna.

ROZDZIAŁ XLIX

Wieczna jowialność Jana Bosko; Pewne błahostki; Śmieszna dyscyplina; Humorystyczny epizod na śpiewie; Kłopoty pana burmistrza; Dotrzymanie obietnicy.

Bosko utrzymywał się w usposobieniu zrównoważonym i jowialnym. Wśród najtwardszych prób życiowych nie zwątpił nigdy.

Jako kapłan, wyglądało, jakby nosił w sobie zaklętą tajemnicę. Nie pozbył się przecież swej jowialności. Rzec można, nie było dnia, by nie powiedział coś dowcipnego. Wszędzie niecił radość i podnosił ducha wśród młodzieży czy współpracowników, w podróży, wśród bogatych czy ubogich. Jemu, bystremu obserwatorowi życia, nie uszły uwagi najdrobniejsze szczegóły, które potrafił wykorzystać przy sposobności. Spokojne sumienie i ufne zdanie się na Opatrzność nie dawały przystępu depresji i złemu humorowi. Było regułą jego życia zalecenie Mędrca: „Nie podawaj w smutek twego serca i nie trap się w myślach twoich. Wesele serca, to jest żywot wieczny i skarb świętości nieprzebrany... Wielu, bowiem ludzi smutek pobił i nie masz w nim pożytku. Zazdrość i gniew umniejszają dni, a zbytnia troska, starość przed czasem przywiedzie”. /Syr 30, 22-24; 25-26/.

Czystość serca odzwierciedla się na jego twarzy, jakby wciąż uprzytamniał sobie wezwanie św. Pawła zwrócone do Filipian: „Weselcie się zawsze w Panu, powtórnie mówię Wam: weselcie się”. /Flp 4,4/.

Od czasu do czasu wplątamy pewne anegdoty, chcąc uwydatnić niewyczerpany zasób humoru, którym rozweselał otoczenie.

Może ktoś zrobi uwagę, że to błahostki, które można pominąć. Nam również przychodziła taka pokusa; po chwili refleksji uznaliśmy, że byłoby to bezzasadne. Nie mamy pretensji wielkiego pisarza, z jednym tylko zastrzeżeniem, że chcemy być rzetelni. Musimy też mieć na względzie Współbraci Salezjanów, dla których drogie są najdrobniejsze szczegóły dotyczące życia ich Ojca. Dlatego idziemy naprzód opowiadając zdarzenia, jakie słyszeliśmy z ust samego Księdza Bosko.

Otóż pewnego razu na odpuszcie u ks. proboszcza Cinzano, zebrani proboszczowie zagadnęli obecnego kleryka Bosko na temat surowości życia

seminaryjnego. Ustępując ogólnym życzeniom, Jan z powagą opowiadał, w jakich to heroicznych cnotach ćwiczyli się seminarzyści i przytoczył pewien komiczny przykład. Oto na zakończenie rekolekcji dwaj klerycy zapaleni niezwykłą gorliwością postanowili sobie wzajemnie dopomagać w surowej pokucie, praktykując tygodniową dyscyplinę. Zeszli się więc po raz pierwszy na tę pokutę; zdjęli kurtki, jeden wydobył dyscyplinę i zaczął smagać lekko drugiego.

Mocniej! Zwraca uwagę drugi. Otrzymuje więc uderzenie nieco mocniejsze, ale jeszcze zdaniem jego, za słabe.

Bij mocniej! woła. Wówczas towarzysz smagnął go na serio pozostawiając siną pręgę na plecach. Kolega syknął z bólu i rozgniewany wrzasnął:

Ty łotrze, tak mnie traktujesz?!

Obrażasz mnie! Huknął pierwszy i ponowił razy.

Przyszło do bójki między nimi tak, że ledwie zdołano ich rozdzielić. Tak skończyła się niefortunna próba ostrej dyscypliny pokutnej. Proboszczowie zrywali sobie boki ze śmiechu, tylko narrator był poważny.

Ksiądz Bosko przytaczał później częściej ten przykład, by podać naukę, że ilekroć przekracza się samowolnie regułę, zawsze wynikną stąd nieporządki, które mogą pociągnąć poważne konsekwencje. W Castelnuovo dyrygował chórem w czasie odpustu niejaki pan Barba Dominik, który miał dość dobry głos, tylko nie znał nut. Chciał jednak uchodzić za biegłego muzyka i trzymał przed sobą dla fasonu partyturę i biada, gdyby ktoś podawał w wątpliwość jego wiedzę. Otóż zdarzyło się razu pewnego, że spadły mu z nosa okulary, gdy dawał znak batutą na rozpoczęcie *Kyrie eleison*. Wywołało to śmiech wśród chórzystów. Niespeszony ciągnie swą partię i między *Kyrie eleison* szepcem daje znać najbliższemu siedzącemu, by schylił się i podniósł jego okulary. Ten schylony ku ziemi dusi się od śmiechu. *Eleison!* kontynuuje pan Dominik, a równocześnie czyni gest rozpaczliwy: „*Fa presto!*”! Wreszcie otrzymał swe binokle i wsadził na nos, ciągnąc dalej *Kyrie eleison*. Naturalnie trzeba by mieć chyba herkulesową cnotę, by śpiewacy powstrzymali się od śmiechu i wykonali poprawnie swe partie. Gdy Bosko opowiadał przy obiedzie księdzu Cinzano ten epizod, ów zataczał się ze śmiechu i wykonali poprawnie swoje partie.

Basta, basta! Wołał zachłyszawszy się. Nie mógł dokończyć obiadu. Przypominając sobie później tę historię, był tak rozbawiony, iż musiał zabronić powtarzania jej, gdyż zbyt śmiech szkodził mu na zdrowiu.

Kiedy indziej, z okazji wizytacji biskupiej, kleryk Bosko został zaproszony z funkcją do Mszy pontyfikalnej. Miejscowy burmistrz, któremu zależało na tym, by podkreślić swą władzę, prosił kleryka Bosko, by mu napisał przemowę powitalną. Ten wręczył mu kartkę złożoną, polecając, by parę razy sobie przeczytał tekst, nim go wygłosi publicznie.

Tak, tak, możesz być o mnie spokojny! Odpowiadał.

Biskup przybył i wszystko ruszyło na jego powitanie.

Burmistrz, choć przybrany odświętnie, nie zwrócił na siebie uwagi biskupa, który rozmawiał tymczasem z proboszczem, odwracając się plecami do przedstawiciela władzy municypalnej.

Burmistrz zniecierpliwiony tym szarpnął połą kapy biskupiej wyjąknawszy: *Eccellenza qui c`e sindaco!* Biskup odwróciwszy się spytał: *Och! e dov`e?* (gdzie on jest).

Sono io!

Ach to pan burmistrz... przepraszam najmocniej! Nie poznałem go...

Jeśli ksiądz Biskup pozwoli, mam do przeczytania mowę odpowiedział z ukłonem burmistrz.

Volentieri, sentiamo! Tymczasem przygotowano biskupowi tron w kaplicy przystrojonej girlandami zwisającymi z kolumn. Tam zaprowadzono go, by usiadł w otoczeniu kleru i przedniejszych obywateli. Burmistrz pozostał na miejscu, zanim publiczność. Włożył ostentacyjnie okulary na nos i sięgnął ręką do kieszeni szukając kartki z przemówieniem. Szuka raz i drugi nerwowo i na próżno. Goście i publiczność zaczynają się uśmiechać. Burmistrz szukał oczyma kleryka Bosko, który stał przy trybunie honorowej i szeptem go pyta:

Che cosa facciamo adesso? Biedak z zapomnienia zostawił ową kartkę na stoliku w kaplicy, spiesząc na powitanie biskupa. Kleryk Jan znajdując się blisko owego stolika, zobaczywszy kartkę podał mu ją. Burmistrz odetchnął. Nabral odwagi, splunął na ziemię, zrobił uroczystą minę i rozpoczął. Ale cóż? Na jego nieszczęście, przemówienie wypisane było na odwrocie karnetu poniżej podpisu. Otworzył, więc

karnet mając przed oczyma tylko sam podpis: *Suo umilissimo ed obbedientissimo servo Sindaco di B...* z nazwiskiem własnym.

Przeczytał dotąd i nie pomyślał odwrócić stronnicy; zakłopotany mówi: *C'e piu niente! Bosco, Bosco, vien qui!*

Ty to pisałeś więc powiedz, co mam czytać.

Można sobie wyobrazić, co się działo wśród publiczności. Biskup starał się utrzymać jakoś powagę. Proboszcz wygłosił od siebie mowę powitalną, potem udano się do kościoła.

Przy stole nie brakło, dowcipów na temat niefortunnego burmistrza, który był nieobecny na przyjęciu. Zawołano kłeryka Bosko, by wytłumaczył, co zaszło. Biskup i księża śmiali się do rozpuku twierdząc, że nic podobnego jeszcze się im nie wydarzyło. Ale burmistrz stracił przychylność do Jana, przypisując jemu całą gafę.

W taki sposób Bosko spędził swe wakacje bez większych przygód oraz niebezpieczeństw dla zdrowia, jakie groziły wówczas od epidemii cholery, której ofiarą padło w Rzymie około 5.500 ludzi, a w Sycylii 200 tysięcy. Z tego powodu miasto Turyn wystawiło *ex voto* marmurową kolumnę z posągami Matki Bożej, ustawioną na placu obok kościoła *Consolaty*.

Pod koniec wakacji, spełniając przyrzeczenie, udał się w odwiedziny do rodziny Mogli. Pan Alojzy Moglia znał doskonale ciasnotę mieszkania matki Małgorzaty, dlatego życzył sobie, by jej syn częściej u niego przebywał i nawet zamieszkał. Ten chętnie bawił w tej zacnej rodzinie nieraz nawet dłużej, zajmując się chłopcami w domu i w sąsiedztwie, nauczając ich katechizmu i nie szczędząc wskazówek stosownych do ich wieku i potrzeb duchownych. Rozdawał medaliki i obrazki dla chłopców, nie dla dziewczynek, bo nie zadawał się z nimi publicznie.

Tak na przykład, chłopiec Jerzy Moglia, który sypiał w tym samym pokoju, poświadcza, że przypominał mu o pacierzu i zwracał uwagę na to, co zauważył niestosownego w słowach lub postępowaniu. Zachęcał go zawsze do posłuszeństwa rodzicom: „Kto źle traktuje swych rodziców, ściąga na siebie przekleństwo Boże”.

Być może, widział w chłopcu pewne oznaki powołania do służby Bożej, dlatego podsuwał mu myśl: „Najlepszą rzeczą, jaką można uczynić na świecie, jest pomagać duszom do zbawienia”.

Tego lata pan Alojzy Moglia podarował mu nowy kapelusz; pani Dorota traktując go serdecznie jak syna, podarowała kilka par pończoch własnoręcznie zrobionych, co rokrocznie ponawiała. W owym przysiółku imię Jana Bosko było na ustach wszystkich. Wiedziano też, że w seminarium sprawuje się on chlubnie i zyskał sobie uznanie u przełożonych. Proboszcz z Moncucco, odwiedzając parokrotnie owych gospodarzy przynosił zawsze korzystne wieści o kleryku Bosko. Jan ze swej strony okazywał szczególną wdzięczność owej rodzinie; o czym świadczył również pochodzący z Castelnuovo nauczyciel miejski ksiądz Mikołaj Moglia, były profesor Jana Bosko.

ROZDZIAŁ L

Pierwszy kurs teologii; Zamiłowanie do historii kościelnej; Kółka naukowe wśród seminarzystów; Jan Bosko infirmarzem; Wakacje; Wizyty u przyjaciół; Kazania; Przemówienie w Capriglio; Rozmowa z Alojzym Comollo; Powołania kapłańskie.

Z początkiem roku 1837/38 kleryk Bosko wstąpił na pierwszy kurs teologii. Miał za profesorów księdza Prialisa oraz ks. Arduino z Carignano, ówczesnego kanonika i dziekana kolegiaty w Giaveno. Na egzaminie semestralnym kleryk Alojzy Comollo zdobył nagrodę pieniężną w kwocie 60 lir za swą pilność i pobożność.

„Dopóki Pan Bóg zachował przy życiu tego niezrównanego kolegę, pozostawałem z nim w najzażylszej przyjaźni, pisze Ksiądz Bosko. Widziałem w nim prawdziwie świętego młodziana; kochałem go dla jego niezwykłych cnót; obcując z nim usiłowałem go naśladować; on zaś również odpłacał mi wzajemnością, gdyż pomagałem mu w studiach”.

„Jeśli jest prawdą, że miłość znajduje się u równych, względnie czyni równymi obu przyjaciół, możemy wnioskować, że Bosko podobne żywił uczucia, podobną niewinność serca, tę samą praktykował pobożność, wykonywał podobne, co Comollo, akty cnoty. O tym świadczy student drugiego kursu teologii kleryk Jakub Bosko. Otóż opowiadał on w obecności księdza Rua, ks. Francesia, ks. Lazzero, ks. Bonettiego i ks. Lemoine: „Każdej niedzieli, punktualnie przystępowali do Komunii św. Pokora jego była doprawdy wielka. Względem mnie nie miał sekretów. W wątpliwościach zasięgał mego zdania, potem wykonywał bez względu na jakiegokolwiek wyłaniające się trudności. Zawsze ułożony w ruchach i postawie; można go było zastać ustawicznie zajęтым jakąś pracą bądź intelektualną, bądź fizyczną. Był dokładny i punktualny stosując się do regulaminu. Na rekreacji nie śmiał się zbyt głośno, lecz przechadzał się samotnie lub z przyjaciółmi, dyskutując z nimi na różne tematy. Na rekreacjach wieczornych zwykle brał udział w kółkach naukowych, lubił zwłaszcza historię kościelną. Ubolewał nad tym, że wielu autorów traktuje zdawkowo dzieje Papieży,

podczas gdy szeroko się rozwodzi nad postaciami drugorzędnymi. Tak samo bolał nad tym, że zbyt krytykowano posunięcia niektórych Papieży”.

Zaznaczyć należy, że skoro tylko ukazały się 16-tomowe Dzieje Papieży Rohrbachera, przestudiował je uważnie. Podobnie przewertował Historię Salzano wyrażając się, że gdyby ją ujrzał w druku gdy był w seminarium, ucałowałby każdą jej stronicę, właśnie dlatego, że autor włoski odnosi się z wielką czcią do Papieży. Także on kierując się surowymi kryteriami, wzbogaciwszy swe wiadomości historyczne na dziełach Bercastela, Henriona, Fleuryego, Rohrbachera i Bollandystów, zamierzał napisać krótki podręcznik Historii kościelnej dla młodzieży.

Studia historyczne nie przeszkadzały w teologii. Prowadził kółko naukowe rozwijając w czasie dysput z kolegami trudne kwestie, w których należało operować bardzo ścisłymi terminami. Powiada ks. Giacomelli, że kleryk Bosko był zawsze bardzo uważny tak, że nie uszła mu najmniejsza nieścisłość. Razu pewnego, gdy któryś z kolegów wtrącił w czasie dyskusji zdanie zbyt śmiało na temat grzechu pierworodnego, ten natychmiast skorygował go i uspokoił należytych racjami. Podobną jasnością i zdecydowaniem odznaczał się przez całe życie, w każdej okazji, zadziwiając słuchaczy przenikliwością umysłu i głęboką wiedzą.

Równocześnie nie zaniedbywał literatury pięknej.

Otóż Jakub Bosko, jak sam opowiada, urządził akademię, w której duszą był jego imiennik. Składało się na nią około 12-14 seminarzystów, którzy popisywali się znajomością języków, autorów klasycznych, nawet dowcipami. Zebrania odbywały się w czasie ferii, na niektórych rekreacjach. Odczytywano na nich referaty historyczne, literackie, na temat poezji i prozy.

Po odczytaniu każdy zabierał głos, co do treści i formy, podejścia autora do danej kwestii, zwłaszcza, gdy chodziło o kazania. Bosko zgłaszał tak przenikliwe uwagi, iż koledzy przezywali go rabinem gramatyki. Trzeba tu zaraz podkreślić wielką delikatność, z jaką wyrażał się na temat skromności. Otóż raz czytano jakiś elaborat, w którym wymieniano dwie osoby żeńskie z pewnymi nie pochlebnymi epitetami. Bosko spytany o zdanie wyraził się: Wszystko dobrze powiedziane w referacie, lecz dwukrotnie użyto pewnych epitetów pod adresem osób żeńskich w sposób nielicujący klerykowi. Autor powyższego referatu został kapłanem, lecz niestety później przeszedł do sekty starokatolików.

Wśród tego rodzaju zajęć mijał rok studiów seminaryjnych. Opiekując się chorymi kolegami w infirmerii przez czas pobytu w seminarium, Bosko miał sposobność nabyć ważnych wiadomości z zakresu pielęgniarstwa, zapoznać się również z pewnymi chorobami oraz skutecznymi przeciwko nim środkami stosowanymi ogólnie. Te wiadomości praktyczne bardzo mu się przydały w późniejszej jego pracy nad młodzieżą. Dowodem tej wiedzy jest fakt następujący. Otóż pewnego razu odwiedził go lekarz, którego syn zachorował. W czasie rozmowy pytał lekarza na temat różnych schorzeń prosząc o dodatkowe objaśnienia. Lekarz przerwał mu pytając: Czy Ksiądz przed studiami teologii nie zajmował się przypadkiem medycyną?

Nie, odpowiedział Bosko; zasięgałem tylko pewnych informacji na ten temat. Po skończonym roku szkolnym Bosko udał się do matki. Dwóch tylko przyjaciół odwiedziło go w czasie wakacji: kleryk Giacomelli z Avigliana, który u niego nocował oraz parokrotnie Alojzy Comollo.

Często wymieniali ze sobą korespondencję. Matusia Małgorzata znając, jak doniosłą rzeczą jest święta przyjaźń, dokładała starań, by zgotować gościowi jak najmielsze przyjęcie. Były to doprawdy chwile wymarzone dla nich, pozostawiające jeszcze większą tęsknotę. Pragnę zrobić zaszczyt memu synowi, powtarzała z dumą zacna matka.

Niebawem otrzymał od Alojzego bilecik tej treści:

„Donoszę Ci, że zajmuję się pewną sprawą, która mnie z jednej strony podnosi na duchu, z drugiej zaś nieco deprymuje.

Otóż mój stryj zlecił mi na uroczystość Wniebowzięcia NMP wygłoszenie kazania. Zachęta, by przemawiać o naszej Drogiej Matce napędza me serce wielką radością. Z drugiej strony jednak widzę moją nieudolność, że nie potrafię należycie Ją wysławiać. Jakkolwiek jestem ufny w pomoc Tej, o której wypadnie mi przemawiać, jestem gotów spełnić polecenie. Napisałem już kazanie; jutro spodziewam się być u ciebie, by ci je przeczytać, by posłuchać twych uwag, odnośnie treści i gestów. Poleć mnie opiece Anioła Stróża o szczęśliwą podróż etc. Do widzenia.

Comollo był punktualny – pisze Ksiądz Bosko w pamiętniku.

Przybył w odwiedziny, gdy krewni byli zajęci żniwami na polu.

„Przeczytał mi swe kazania na uroczystość Matki Bożej Wniebowziętej; potem jeszcze raz powtórzył je z gestami. Po jakimś czasie przyszedł do wniosku, że pora na obiad. Ale cóż, byliśmy sami w domu. Wnet porozumieliśmy się: Wiesz co? Ja rozpalę ogień, a ty przygotuj coś w rondelku. Doskonale, odrzekłem, weźmy kurczaka, a ten posłuży nam na rosół i do potrawy, tak robi zawsze moja matka.

„Wnet złapaliśmy kurczaka; ale kto go zabije? Ułożyliśmy, że Comollo będzie go trzymał nad pieńkiem, a ja mu utnę głowę. Padł cios i głowa potoczyła się na ziemię. Obaj nie wytrzymaliśmy jednak nerwowo i uciekliśmy.

Ależ my nierozsądni, mówi Comollo; przecież Pan Bóg dał zwierzęta do naszego użytku. Po cóż więc te brewerie?

Zabraliśmy się wspólnie do oskubania kurczaka, ugotowaliśmy go i mieliśmy obiad”.

„Miałem pojechać do Cinzano posłuchać kazania Comollo; niestety, mając sam wygłosić podobne w Alfiano, udałem się nazajutrz do kolegi. Słyszałem zewsząd jak najlepsze opinie o jego kazaniu.

Ach, doprawdy, było to kazanie świętego! Mówiono.

Zaiste, był to prawdziwy anioł na ambonie! Przemawiał z taką skromnością i powagą! Przytaczano nawet niektóre wyrażenia zapamiętane. Stryj wyrażał się, że Pan Bóg oddziaływał skutecznie na serca wiernych za pośrednictwem jego kuzyna.

Ja znając nieśmiałość Alojzego spytałem, w jaki sposób potrafił z taką swadą przemawiać; on odrzekł mi:

W chwili gdy stanąłem na ambonie, zdawało mi się, że straciłem pamięć i drżały mi kolana. Lecz gdy Maryja Najświętsza położyła mi łaskawie swą dłoń, poczułem się silny, rozpocząłem kazanie i ciągnąłem do końca bez zająknięcia się i tremy; to uczyniła Matka Najświętsza nie ja, niech więc Jej będzie za to chwała!”.

„Zatrzymałem u siebie jego kazanie. O tyle tylko nie było jego, o ile posługiwał się znanymi autorami. Natomiast było w nim wiele serdecznych akcentów, właściwych jego szlachetnemu sercu czułem i pałającemu wielką miłością do Matki Bożej”.

Bosko udał się do Cinzano, by pogratulować przyjacielowi kazania, a nie spodziewał się zgoła, że sam będzie przemawiał w innych okolicznościach do ludu, który słuchał w dniu poprzednim Comollo. Oto jak sam o tym pisze:

„Owego dnia (16 sierpnia) obchodzono św. Rocha, którego lud nazywa od garkuchni, jako że sąsiedzi zwykli z tej okazji zapraszać się na obiad oraz brać udział w jakiejś wesołej imprezie. Przy tej okazji okazało się, jak daleko doszła moja czelność. W umówionej godzinie nie stawił się kaznodzieja zaproszony na odpust. Czekano godzinę na próżno. Chcąc wybawić od kłopotu zacnego proboszcza chodziłem od jednego do drugiego z księży proboszczów, którzy zjechali się na odpust, prosząc, by któryś z nich zaimprovizował kazanie, ale nikt się nie kwapił do tego.

Jakże to? Puścić lud w taki odpust bez kazania?!

Znudzeni moim naleganiem, ten i ów odpowiadali sucho:

Myślisz, że powiedzieć kazanie odpustowe, to tyle, co wypić szklanekę wina?

Jeśliś taki mądry, to zamiast nudzić innych powiedz sam! Przyklasnęli wszyscy temu.

Nie śmiałybym nigdy podejmować się tego zadania. Lecz gdy wszyscy odmawiają, wezmę się sam do tego.

Zaintonowano dłuższą pieśń, by dać mi czas na parę chwil skupienia. Przypomniałem sobie niektóre momenty z życia Świętego, które kiedyś czytałem i śmiało poszedłem na ambonę.

Powiedziałem kazanie, które według opinii słuchaczy, było najlepsze z tych, które tu kiedykolwiek wygłoszono”.

Między innymi Józef Turco, jego kolega tam obecny wyraził się:

Kazanie wyglądało na doskonale przygotowane i wygłoszone ze swadą tak, że wywołało powszechne zadowolenie.

A Ksiądz Bosko sam, co sądził o swych pierwszych kazaniach?

Wynosząc Comollo pod niebiosa tak pisze o sobie:

„Będąc na drugim roku teologii głosiłem kazanie o Narodzeniu NMP w Capriglio. Nie wiem, jaki był jego skutek. Faktem jest, że mnie oklaskiwano tak, że wbiłem się w pychę, dopóki nie przyszło rozczarowanie, a było to tak. Następnego dnia po odpuście, spytałem któregoś z najinteligentniejszych, jak mi się zdawało, słuchaczy, który najbardziej chwalił moje kazanie, o czym właściwie mówiłem na ambonie? Odpowiedział mi: Ksiądz mówił o duszach czyścicowych; podczas gdy

tematem były uwielbienia Maryi. Pytałem również o opinię proboszcza z Alfiano, męża według mnie uczonego i pobożnego;

Kazanie Księdza było kwieciste, jasno wyłożone, poparte cytatami z Pisma św. Myślę, że jeśli tak dalej Ksiądz będzie pracował, osiągnie wielkie sukcesy w kaznodziejstwie.

A czy lud zrozumiał mnie? Niewiele; zrozumieliśmy ja, mój brat kapłan i może kilka osób, co najwyżej.

Jakże, przecież mówiłem o rzeczach prostych i łatwych.

Księdzu wydają się łatwe i proste, ale dla ludu są one nazbyt wzniosłe. Pismo święte, Historia Kościoła, to są rzeczy niezbyt zrozumiałe dla prostego ludu.

Cóż, zatem ksiądz mi radzi?

Poniechać języka i stylu klasycznego, używać, jak się tylko da, języka ludowego, względnie posługiwać się włoskim, lecz popularnym. Zamiast dociekliwego rozumowania, używać więcej przykładów, porównań, wykład niech będzie prosty i praktyczny.

Proszę zawsze pamiętać, że lud rozumie z tego wszystkiego niewiele i że prawdy wiary nie są mu dostęпно wyjaśniane”.

„Te ojcowskie rady posłużyły mi na całe życie. Zachowałem swe pierwsze kazania, jak nie powinno się przemawiać, z wyszukany stylem, pełne patosu i na puszone”.

„Dobry Bóg zrzędził, że ta lekcja była skuteczna i owocna i posłużyła mi w kazaniach, w katechizacji, w pisaniu, któremu od tego czasu bez przerwy się oddaję”.

Bosko w czasie wspomnianych wakacji odwiedził po raz drugi swego przyjaciela w Cinzano, by omówić z nim niektóre sprawy w związku z przyszłym rokiem studiów.

„Pewnego dnia, pisze on w życiorysie św. Młodzieńca, wyszliśmy razem na pobliski pagórek, skąd roztaczał się cudowny widok na łąki, pola i winnice. Popatrz, drogi Alojzy, rzekłem, jak słabe plony zapowiadają się z tym roku! Biedni rolnicy! Tyle trudu na marne.

To ręka Boża karząca zawisła nad nami, odpowiedział mi.

Wierz mi, nasze grzechy są tego przyczyną.

Można się spodziewać, że na przyszły rok Pan Bóg da nam lepsze plony.

Ja również mam nadzieję; szczęśliwi ci, co się ich doczekają...

Ależ mój drogi, zostawmy te poważne myśli; na razie pazienza lecz w roku przyszłym winnice obrodzą i będziemy pili wyborne wino.

Ty go będziesz pił...

Czy może nadal zamierzasz pościć i używać czystej wody?

Mam nadzieję, że będę pił wino o wiele szlachetniejsze...

Co chcesz przez to powiedzieć?

No, dajmy temu pokój... Pan Bóg wie, co jest najlepsze dla nas...

Nie pytam o to; chcę tylko się dowiedzieć znaczenia twych słów: „Io spero di bere vino assai migliore”. Może chcesz odejść do nieba?

Mam nadzieję dostać się do nieba przez miłosierdzie Boże; od pewnego czasu czuję tak wielkie pragnienie kosztowania szczęścia błogosławionych, iż wydaje mi się, że niedługo będą moje dni na ziemi. Te słowa mówił Comollo z radością na twarzy i to w chwili gdy cieszył się doskonałym zdrowiem, w przeddzień wyjazdu do seminarium.

Gdy po skończonych wakacjach opuszczał dom, wpatrywał się w swą wioskę i przez chwilę zadumał się. Ojciec podchodząc do niego rzecze: Cóż jest z tobą, Alojzy? Czy nie czujesz się dobrze? Dlaczego tak smętnie patrzysz?

Jestem zdrow i czuję się dobrze, lecz jakoś nie mogę oderwać oczu od Cinzano.

Czy może niechętnie wyjeżdżasz do seminarium?

Ależ nie, pragnę znaleźć się jak najprędzej w tym zacisznym przybytku; spoglądam tylko na wioskę, którą oglądam po raz ostatni.

Ojciec zaniepokojony jeszcze się dopytywał, czy nie chciałby może zostać w domu; on jednak uspokajał go:

Nie, nie wszystko w porządku, chodźmy naprzód, Pan Bóg czeka na nas...”

Powyższą rozmowę powtórzył klerykowi Bosko ojciec Comollo przy okazji widzenia się.

Powyższe smutne prognozy dawały wiele do myślenia Świętemu spragnionemu pomnożenia sług ołtarza dla zbawienia dusz; a wyczuwał, że wnet odejdzie stąd jasna dusza kapłańska.

Widząc, jak cenną łaską jest, gdy Bóg, kogoś powołuje do służby ołtarza, obracając się między chłopcami w Chieri, czy Castelnuovo, umiał w stosownym momencie potrącić o tę wzniosłą strunę w ich duszy, wykazując ścisły obowiązek pójścia za głosem Bożym.

Zgodnie z myślą św. Pawła, że każdy ma własny dar od Boga, starannie studiował, jaki dar przeznaczony było od Boga jego chłopcom. Jeśli spostrzegał w nich zamiłowanie do cnoty, która czyni ludzi podobnymi Aniołom, uważał za pewną oznakę ich powołania do bliższej służby Bogu. Badał następnie, czy mają chęć do stanu kapłańskiego i umiał podsuwać stosowne refleksje.

Jeśli w nich odkrył chęć do kapłaństwa, opiekował się nimi udzielając mądrych wskazówek, pozostawiając Bogu dalszy rozwój cennego nasienia. W taki sposób już od owych czasów wykonywał swą misję życiową. Wychował on tysiące powołań kapłańskich, które inaczej byłyby stracone.

Ksiądz Bosko gotów był na wielkie ofiary, by uratować choćby jedno powołanie Kościołowi. W przyszłości będzie o tym mowa częściej. Wprawdzie nie zawsze osiągał sukces: Bogu samemu są przecież wiadome sekrety serc ludzkich. Niemniej miłość jego sprawiała wiele dobra w duszach.

Wyżej wspomnieliśmy o młodzieńcu Michale Strambio, który wraz z dwoma braćmi Dominikiem i Piotrem był kolegą Janka w gimnazjum w Chieri. Otóż w roku 1838, Piotr dostał list od niego, w którym sugerował mu zostać kapłanem, podając jako powód jego charakter łagodny i wzorowe sprawowanie.

W roku 1898, Piotr Strambio, odznaczony krzyżem kawalerskim jako emerytowany radca prefektury, referował księdzu profesorowi Cerrutiemu, co następuje:

„Nie poszedłem za radą Księdza Bosko, by zostać księdzem. Zawsze jednak zachowałem w pamięci cenną jego radę, której wspomnienie wpływało dodatnio na moje życie. Chowam troskliwie jego list pisany do mnie, który wywołuje wciąż w mym sercu wzruszenie na myśl, jak dobre pojęcie miał o mnie ten mój drogi współkolega i przyjaciel. Trudno mi wyrazić, z jakim szacunkiem odnosiliśmy się do niego, ja i moi bracia. W parę lat spotkaliśmy się z nim w Camagna. Gościliśmy go u siebie bardzo serdecznie; lecz miłe wspomnienia przyćmił pożar, jaki wówczas wydarzył się w tej wiosce. Bosko ze zwykłym spokojem pospieszył z pomocą

w gaszeniu pożaru, uratował wiele mebli i wyniósł z kuchni ugotowaną polentę dla owego kolonisty, właściciela gospodarstwa. Pamiętam, że powiedziałem do niego wówczas: Ty, kochany Bosko, będąc tak cnotliwym i umiejąc działać tyle cudów, spraw, by ten pożar ustał...”. Ta opinia o jego świętości była głęboko zakorzeniona i powszechna wśród jego towarzyszy będąc przyczyną, że tak wielce ceniono jego słowa i chowano troskliwie korespondencję.

ROZDZIAŁ LI

Następne lata teologii; Kleryk Bosko prefektem zakrystii; Pufne rozmowy Comollo z Janem Bosko; Rekolekcje doroczne; Choroba Comollo: sen początkowo przerażający, potem radosny, święta śmierć kleryka; Pierwsze zjawienie.

Z początkiem roku 1838/39 przybył do seminarium nowy profesor Ksiądz Jan Baptysta Appendini z Villastellone. Zrządzeniem Opatrzności, spotkali się trzej przyjaciele na teologii: Giacomelli, Bosko i Comollo. Dwaj pierwsi mieli z tego ostatniego niebawem złożyć ofiarę Bogu, gdyż był już dojrzały do nieba. Giacomelli najwięcej korzystał z pomocy kleryka Bosko w studiach, o czym pisze:

„Na wykładach był on wzorem studenta. Pamięć miał fenomenalną, mimo to nie zaniedbywał studiów. Posługiwał się przyjętymi ogólnie podręcznikami, choć konsultował też innych autorów. Nie wykuwał lekcji na pamięć, jak to robili niektórzy; na pytanie gotów był zawsze dać odpowiedź. Przytaczał też nowe racje, wysuwał obiekcje, cytował opinie różniące się od uznanej szkoły. Pamiętam jak raz profesor go upomniął: „Ucz się tezy dosłownie, podobnie jak inni”! W tej sprawie trudno mu było dostosować się do ogólnego poziomu; wspominając później swe studia teologiczne wyrażał się: Co do studium św. teologii, należy wymagać, by opanowano poszczególne traktaty solidnie, a nie powierzchownie; ogólnie biorąc wystarczy, jeśli klerycy przyswoją sobie, co mówi podręcznik; nie należy jednak robić nikomu zarzutu, że się konfrontuje podręcznik z innymi autorami, byle się było pewnym, że kleryk studiuje sumiennie teologię, orientuje się w materiale, a zapytany należycie odpowiada.

Na drugim roku teologii Bosko zaawansował posadę kościelnego w kaplicy seminaryjnej. Był to obowiązek nie tyle zaszczytny, co odpowiedzialny przed przełożonymi; złączona była z tym premia 60 franków miesięcznie. W taki sposób miał już do połowy pensję zniżoną, resztę zaś dopłacał ze swej kieszeni szczodry ksiądz Cafasso.

Do obowiązków prefekta zakrystii należało dbać o schludność w kaplicy, zakrystii i ołtarzy, utrzymywać w porządku lampę wieczną, lichtarze i inne sprzęty

liturgiczne. Powierzono ten obowiązek Świętemu, ze względu na to, że wyróżniał się wśród seminarzystów wiedzą i cnotą. Była to nowa okazja dla wykazania gorliwości, o czym dawał świadectwo profesor ks. Jakub Bosko:

„Klerycy, filozofowie i teolodzy wprost Ignęli do niego...”.

Znaną jest powszechnie rzeczą, że kto wyróżnia się wiedzą czy cnotą, staje się mimowolnie przedmiotem pewnej zazdrości kolegów. Jednak pokora i dobroć kleryka Jana potrafiła przewyciężyć tego rodzaju nędze ludzkie. Okazywało się to zwłaszcza w wypadku jakiejś niedelikatności ze strony młodszych kolegów, na przykład, gdy który lekkomyślny rzucał pod jego adresem złośliwe przycinki, czy aluzje do jego życia raczej odosobnionego, w rodzaju epitetu: „Bosco d’l’oli per la lampia”, ponieważ często musiał prosić ekonoma o oliwę do lampy wiecznej.

On jednak zawsze zrównoważony i pełen humoru, puszczał mimo uszu te kpinki. Nie był jednak nieczuły na nie. Opowiadał ksiądz Giacomelli, że razu pewnego od któregoś z młodszych kolegów usłyszał obraźliwe słowa: „Tu minchione delle torcie” (chłopak od świec)”. Momentalnie spłonął na twarzy, lecz nie odrzekł ani słowa i oddalił się. Ze strony otoczenia uznano to jednak za poważną obrazę jego i upomniano surowo sprawcę”.

Tymczasem Comollo, pomimo przeczuwanego końca życia, podjął z gorliwością swe studia i złożył chlubnie egzamin półroczny uzyskując nagrodę 60 lir. Pomimo to spędzał rekreacje na wesołych dyskusjach. Ale przyjaciel zauważył coś tajemniczego w jego zachowaniu się. Stwierdził, że z większą niż zwykle gorliwością przykładał się do modlitwy, przystępował częściej do Stołu Pańskiego. Słyszał, jak czasem wzdychał:

Och gdybym tak zasłużył sobie na te pocieszające słowa Zbawiciela: „Huge serve bone et fidelis...”.

Zwykłym jego rozmyślaniami były kary piekielne, by przejąć się większą nienawiścią do grzechu. Ale oddajmy głos Księdzu Bosko:

„Rozmawiał z niezwykłym uniesieniem o Raju i raz tak się odezwał:

„Gdy jestem sam i niezajęty, zwłaszcza w czasie nocy bezsennych, odbywam najprzyjemniejszą przechadzkę. Wyobrażam sobie, że znajduję się na wysokiej górze, skąd mogę obserwować wszelkie piękności natury. Podziwiam morza, lądy, wioski, miasta, ze wszystkimi ich wspaniałościami; następnie kieruję wzrok ku pogodnemu

niebu, podziwiam firmament usiany gwiazdami jak cudne zjawisko. Dodać możesz najśłodsza muzykę odbijającą się echem wśród gór, napełniającą ducha najwyższą rozkoszą; wówczas myślę biegnę do Miasta Bożego. Podziwiam je od zewnątrz, wnिकam do wnętrza, resztę możesz sobie sam wyobrazić, ile cudów mogłem widzieć!”.

I tak opisywał mi swą przechadzkę w kosmosie opowiadając o rzeczach zachwycająco ciekawych i budujących, jakby czynił przegląd różnych rejonów Raju.

W tym właśnie roku wydobyłem od niego sekret, jak modlić się bez roztargnienia. Chcesz wiedzieć, mówił mi, w jaki sposób zabieram się do modlitwy? Używam pewnej podniety, że się tak wyrażę, materialnej. Otóż zamykam oczy i myślą przenoszę się do wielkiej sali podpartej niezliczonymi kolumnami, przystrojonej w najwyszukańszy sposób, w głębi, której wznosi się majestatyczny Tron, na którym wyobrażam sobie Pana Boga w nieskończonym majestacie. Wkoło zaś rzesze Jego wybranych. To wyobrażenie pomaga mi doskonale do podniesienia mego umysłu do modlitwy”.

W ciągu Wielkiego Postu (rok 1839) miały miejsce rekolekcje dla seminarzystów w Chieri. „W tym roku, czytamy w pamiętniku, poznałem jednego z najgorliwszych kaznodziei, głoszącego rekolekcje w seminarium. Przyszedł do zakrystii uśmiechnięty, z miną żartobliwą połączoną z powagą. Obserwując jego przygotowanie i dziękczynienie po Mszy św.; pobożną postawę przy ołtarzu, zrozumiałem, że był to doprawdy godny Sługa Boży.

Był to ksiądz Borel z Turynu. Kazania głosił językiem potoczystym, pobudzając miłość ku Bogu, którą sam płonął; odnieśliśmy wrażenie, że to święty kapłan! Konfesjonał jego był oblężony, gdyż wszyscy klerycy chcieli spowiadać się u niego, otrzymać radę w sprawie powołania, względnie jakąś partykularną wskazówkę. Poszedłem i ja porozmawiać o swej duszy. Prosiłem o radę odnośnie ożywienia w sobie ducha kapłańskiego w czasie studiów i podczas wakacji. Powiedział mi następujące słowa:

„Przez życie skupione i odosobnienie, oraz częstą Komunię św. udoskonala się i zachowuje powołanie i formuje gorliwy kapłan. Rekolekcje wygłoszone przez księdza Borela stanowiły jakby nowy etap w seminarium i po latach odświeżano sobie jego maksymy, które głosił publicznie i objaśniał prywatnie”.

W dniu Zwiastowania NMP. Bosko spotkał na korytarzu Comollo, który na niego czekał i zwierzył się, że nadszedł czas rozstania się. Jan był głęboko tym wstrząśnięty, tym bardziej, że dzień przedtem byli na przechadzce ze sobą i Comollo czuł się zupełnie zdrow. Comollo dodał z przejęciem: Czuję się źle i przejmuję mnie trwoga na myśl, że trzeba stanąć przed Panem Bogiem.

Przyjaciel podniósł go na duchu, by nie przejmował się zbytnio tymi rzeczami; Są to rzeczy poważne, lecz chyba jeszcze dalekie i że ma jeszcze wiele czasu do przygotowania się. Tak rozmawiając weszli obaj do kościoła. Comollo uczestniczył jeszcze we Mszy św., po której uczuł się wyczerpany z sił tak, że trzeba go było wprost zanieść do łóżka. W owej chwili, potwierdza ksiądz Giacomelli, Bosko oświadczył kolegom, że Comollo umrze z tej choroby.

„Po skończeniu ceremonii w kaplicy, pisze on w biografii przyjaciela, udałem się do szpitalika odwiedzić go. Gdy mnie zobaczył wśród obecnych dał znak, bym zbliżył się i tak zaczął mówić: Mówiłeś mi, że to rzecz daleka i że jeszcze mam czas do przygotowania się; lecz tak nie jest: jestem przekonany, że wnet muszę stanąć przed obliczem Boga; niewiele czasu mi pozostaje; chcesz, bym ci to powiedział całkiem jasno?

Musimy się rozstać. Ja jednak nadal uspokajałem go.

Nie, nie potrzebuję się obawiać niczego, odpowiedział.

Myślę tylko, że mam stawić się nieodwołalnie przed Trybunałem Bożym i to mnie przejmuje wzruszenie. Te słowa doprawdy i mnie zasmuciły; dlatego dowiadywałem się, co chwila wiadomości o nim i za każdym razem, gdy go odwiedzałem, powtarzał mi tę samą myśl: Zbliża się czas, gdy muszę się stawić przed Sądem Bożym; musimy się rozstać. Powtarzał mi to jakieś 15 razy w ciągu swej choroby.

„Miał gorączkę, więc pozostał w łóżku poniedziałek następny. Przepowiedział przebieg swej choroby wbrew orzeczeniom lekarzy i tak się stało. Wtorek i środę spędzał również w łóżku, wciąż przejęty tymi samymi myślami pod wrażeniem bliskiego Sądu Bożego. W sobotę poszedłem go odwiedzić.

Ponieważ, powiedział, niedługo rozstaniemy się ze sobą, pragnąłbym żebyś tej nocy czuwał przy mnie. Nasz ojciec duchowny ksiądz Józef Mottura, widząc stan chorego pogarszający się stale zgodził się na to, bym czuwał przy nim w tę Wielką

Noc Zmartwychwstania Pańskiego 30 marca. Dał mi polecenie, bym dał mu znać, gdy nadejdzie zgon. Polecił także notować pewne spostrzeżenia z choroby, by poinformować nazajutrz lekarza.

O godzinie ósmej gorączka wzmogła się; w kwadrans potem dostał silnych ataków febry, tak, iż stracił przytomność. Początkowo wydał spazmatyczny płacz, jakby pod wpływem jakiegoś wstrętnego widziadła. Po półgodzinnej przerwie przyszedłszy nieco do siebie i wodząc oczyma po obecnych, wydobył głos. Ach sąd!

Potem dostał tak silnych konwulsji, że ilu nas było, ledwie zdołaliśmy utrzymać w pościeli. Trwało to przez trzy godziny. Potem znów wróciła mu przytomność. Czas dłuższy jakby się zastanawiał nad czymś; potem porzuciwszy gnębiące go od wielu dni smutne myśli o Sądzie Bożym, był całkiem spokojny i wesoły. Rozmawiał, uśmiechał się, odpowiadał na pytania, jakie mu stawiano, jakby faktycznie uważał się za zdrowego.

Spytano go, skąd taka odmiana. Początkowo zdawał się być zakłopotany. Potem spojrzawszy dokoła, jakby chcąc się upewnić, że nikt go nie podsłuchuje, wyszeptał mi:

Dotąd lękałem się Sądów Bożych; obecnie jestem zupełnie spokojny, nie obawiam się niczego. Chcę ci jako przyjaciel opowiedzieć swoje przeżycia Otóż, gdy znalazłem się w niewymownej udręce z obawy przed Sądem Boga, zdawało mi się, że zostałem jakby przeniesiony do rozległej doliny. Uderzyła mnie fala gwałtownego wichru, zapierającego wprost oddech. W środku tej doliny znajdowała się bezdenne otchłani na kształt wielkiego płonącego stosu, skąd wydobywały się ogniste płomienie. Od czasu do czasu widziałem dusze, z których niejedne znałem, wpadające do tej otchłani z przeraźliwym jękiem, któremu towarzyszyły wydostające się języki ognia i dymu. Na ten widok zacząłem krzyczeć z obawy, by nie wpaść do tej straszliwej otchłani. Obróciłem się wstecz chcąc uciekać. I oto niezliczone stada potworów o najrozmaitszych kształtach goniło mnie chcąc wrzucić do tej przepaści. Zacząłem krzyczeć przeraźliwie i przeżegnałem się. Na ten znak monstra owe odwracały się w przestachu i cofały się ode mnie. W tej samej chwili ujrzałem zastępy uzbrojonych wojowników, którzy uderzyli na owe potwory, ćwiartując je czy kładąc pokotem; reszta rzuciła się do ucieczki. Uwolniony od tego niebezpieczeństwa zacząłem biec przed siebie przez ową obszerną dolinę, aż przybyłem do stóp wysokiej góry, na którą

wypadło wspinać się po schodach, obsiadłych ogromnymi węzami gotowymi pożreć każdego, kto by śmiał tędy przechodzić. Nie było innego sposobu przejścia. Opadłem całkiem z sił i straciłem odwagę. W tej chwili ukazała się Dostojna Pani, którą jak myślę była nasza Niebieska Matka, wspaniale ubrana. Wzięła mnie za rękę mówiąc: „Pójdź za mną. Pracowałeś dla mojej chwały i wzywałeś mnie tylekroć; słuszną jest rzeczą, byś otrzymał za to nagrodę. Komunie przyjęte na moją cześć zasłużyły na wybawienie cię od niebezpieczeństwa, na które cię wystawił nieprzyjaciel dusz. Dała mi znak, bym postępował śmiało schodami.

Gdy postawiła stopę na schodach, wszystkie owe węże odwracały swą jadowitą paszczę w drugą stronę. U szczytu schodów znalazłem się w rozkoszным ogrodzie, gdzie ujrzałem rzeczy, o których nigdy nie śniłem, a owa Pani powiedziała do mnie: Teraz jesteś zbawiony. Moimi schodami dosięgniesz Najwyższego Dobra. Odwagi mój synu, czas jest krótki. Kwiaty w tym ogrodzie zasadzone przez Aniołów, którzy z nich uplotą ci koronę chwały wśród mych synów w Królestwie Niebieskim.

To powiedziawszy znikła. Wszystko to, zakończył Comollo, tak zachwyciło me serce, że daleka jest mi już obawa śmierci; pragnę, by przyszła jak najprędzej, bym mógł połączyć się z Aniołami w niebie, by śpiewać chwałę Bogu”. Takie były słowa chorego.

„Cokolwiek by ktoś pomyślał, faktem jest, że jak przedtem Comollo obawiał się stanąć przed Bogiem, tak obecnie pragnął, by ta chwila jak najszybciej nadeszła. Zniknęła melancholia z twarzy, śmiał się i żartował, chcąc śpiewać pieśni, hymny, psalmy”.

„Pomimo, że stan jego znacznie się poprawił, nad ranem jednak radziłem mu przyjąć Sakramenty św. w dniu uroczystym Paschy. Bardzo chętnie, odpowiedział mi, sumienie niczego mi nie wyrzuca; pomimo tego mając na uwadze mój stan obecny, chciałbym pomówić parę chwil z moim spowiednikiem przed przyjęciem Komunii św”.

„Chwila przyjęcia Komunii św. była dla wszystkich wielkim zbudowaniem. Odprawił swoją spowiedź i przygotował się na przyjęcie Wiatyku. Ksiądz Rektor procesjonalnie, w towarzystwie seminarzystów przyniósł Najświętszy Sakrament do jego pokoju. Wówczas Comollo z rozplamioną twarzą, z uniesieniem zawołał składając ręce: O jakaż to dla mnie błogosławiona wizyta! O jakaż to cudny widok!

Wygląda jak słońce wśród gwiazd, w otoczeniu orszaku Aniołów, schylających przed Nim swe czoła! Ach! Obym i ja mógł znaleźć się w tym orszaku i pokłonić się temu Słońcu! To mówiąc chciał wstać i klęknąć przed Najświętszym Sakramentem. Usiłowałem go zatrzymać w łóżku, łyzy stanęły mi w oczach na widok tak seraficznej miłości, nie umiałbym znaleźć dla niej wyrazu. On zaś jeszcze goręcej pragnął przyjąć Najświętszy Sakrament i przyjął Wiatyk oraz nie uspokoił się, aż go otrzymał. Po przyjęciu Ciała Pańskiego pozostał przez chwilę nieruchomy i skupiony w gorącym dziękczynieniu. Z uniesieniem wymawiał przez czas dłuższy gorące akty strzeliste. Wreszcie przywołując mnie do siebie prosił, by nie mówiono mu o niczym więcej jak o rzeczach duchownych, twierdząc, że zbyt drogie są te ostatnie chwile życia ziemskiego i że chce je skierować jedynie ku Bogu, dlatego nie będzie odpowiadał na inne pytania”.

„Po chwili chory zdawał się słabnąć i jakby zasypiać. Seminarzyści tymczasem poszli na nabożeństwo do katedry. Po chwili wypoczynku będąc sam na sam ze mną zaczął mówić:

Oto mój drogi przyjacielu, nadszedł moment, kiedy wypadnie nam na pewien czas się rozstać. Myśleliśmy, że będziemy sobie pomagali w różnych kolejach życia; służyli radą w tym, co mogło pomóc do zbawienia duszy. Lecz inne były wyroki Boże! Pomagałeś mi zawsze w rzeczach duchownych, nauce i sprawach doczesnych, za które ci teraz serdecznie dziękuję. Niech ci Bóg za to wynagrodzi. Nim się rozstaniemy, przyjmij teraz parę uwag od przyjaciela. Przyjaźń wymaga nie tylko wzajemnych usług za życia, lecz spełnienia obietnic danych sobie i po śmierci. Dlatego dopóki żyć będziesz na ziemi, przyrzeknij mi, że będziesz się modlił za mnie.

Na te słowa ledwie mogłem powstrzymać łyzy i przyrzekłem, czego żądał. Potem zakomunikował mi jeszcze kilka uwag i tak kończył: Chciałbym jeszcze o jedną rzecz prosić cię serdecznie. Gdy pójdziecie na przechadzkę koło cmentarza, to powiesz kolegom: Tam spoczywa nasz kolega Comollo! Poprosisz, by odmówili z tobą Ojciec nasz i Wieczny odpoczynek o uwolnienie mej duszy z czyśćca.

Miałbym jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia, lecz czuję, że choroba mnie ściska, dlatego poleć mnie modlitwom przyjaciół. Niech ci Bóg błogosławi i będzie z tobą, aż kiedyś ujrzymy się, gdy On zechce.

Pod wieczór dnia świątecznego był tak osłabiony, że ledwie mógł wymówić jakieś słowo. Gdy zdjęły go ataki febry i konwulsje. Dręczony cierpieniami, gdy tylko usłyszał: „Comollo, dla kogo cierpimy? Natychmiast odzyskując przytomność odpowiadał: Dla Jezusa Ukrzyżowanego.

W tym stanie, nie skarżąc się w boleściach spędził noc i dzień następny. Od czasu do czasu śpiewał jakby pełen sił psalm Miserere, Litanie Loretańską, Ave Maris Stella i inne pieśni. Ponieważ śpiew go męczył, poddawano mu niektóre krótsze modlitwy”.

„O godzinie 6-ej pod wieczór dnia 1 kwietnia, ze względu na pogorszenie się, ks. Rektor postanowił udzielić mu Namaszczenia. Na ten moment jakby odzyskał siły, odpowiadał na wezwania i modły kapłana. Tak samo, gdy stwierdziwszy występujący pot zimny na czole, udzielał mu papieskiego błogosławieństwa z odpustem zupełnym”.

„Przyjąwszy wszystkie pociechy św. religii nie wyglądał na ciężko chorego, lecz takiego, który sobie spoczywa na łóżku; był całkiem przytomny i spokojny, nawet wesoły wznosząc od czasu do czasu akty strzeliste do Jezusa Ukrzyżowanego i Najświętszej Maryi Panny oraz Świętych. Dlatego ks. Rektor wyraził się:

„On nie potrzebuje, by się za niego modlono, bo sam doskonale to czyni”.

O północy głosem dość silnym zaintonował: „Ave Maris Stella” ciągnąc aż do końca, mimo że koledzy prosili, by się nie męczył. Twarz jego doprawdy miała w sobie coś anielskiego.

Spytany przez kolegę: Co cię najbardziej cieszy na świecie? Odpowiedział:

„To, że uczyniłem coś dla miłości Najświętszej Maryi Panny oraz że przystępowałem często do Komunii św.”.

„O godzinie pół do drugiej w nocy, 2 kwietnia, zdawał się tracić oddech. Przyszedłszy do siebie tak gorąco i rzewnie wzdychał do Najświętszej Panny, że obecni mieli łzy w oczach. Widząc, że słabnie mu puls zrozumiałem, że zbliża się chwila rozstania się ze światem; szeptałem mu, więc do ucha, co zwykłem czynić w takich wypadkach. On rozumiał wszystko doskonale, co poznać można było ze drżenia warg; ze spokojem wpatrywał się w Krucyfiks trzymany w ręku i usiłował powtarzać akty strzeliste. Na dziesięć minut przed skonaniem zawołał mnie po imieniu

coś szepcząc o wieczności i żegnał się ze mną; potem wymawiał akty: „Jezu, Maryjo, Józefie św., Wam oddaję duszę moją”. To były ostatnie jego słowa.

Obecni byli przy zgonie dwaj diakoni, którzy odmawiali „Proficiscere”. Gdy kończyli słowa: „Jezu, Maryjo, Józefie święty”, na ustach jego pojawił się uśmiech, jakby oglądał przedmiot wielkiej radości. W tym momencie dusza jego rozstała się z ciałem ulatując, jak się ma nadzieję, do nieba”. Zgon nastąpił o godzinie drugiej przed świtem, dnia 2 kwietnia 1839 r., w wieku lat 22 bez pięciu dni.

„Tej nocy, opowiada ks. Jakub Bosko, kleryk Vercellino, który spał w celi naprzeciw kleryka Bosko, zbudził się i zaczął wołać na głos: „Tu jest Comollo, tu jest Comollo!”. Wszyscy się zbudzili, biegli do niego pytając, co widział. Jakub Bosko wice prefekt oświeca salę; ten jednak powtarza: „Comollo umarł, Comollo umarł!”. Koledzy mówili, że to niemożliwe, gdyż poprzedniego dnia czuł się lepiej. A ja go jednak widziałem tu. Comollo wszedł do celi i powiedział: Zmarłem obecnie. Potem zniknął. Gdy tak się sprzeczali weszli diakoni Fiorito i Sassi, którzy tej nocy czuwali nad chorym i oświadczyli, że Comollo zmarł.

O której godzinie? Pytano gorączkowo.

Przed dwunastu minutami”. Zdumienie ogólne w sali. A więc to nie było żadne złudzenie.

ROZDZIAŁ LII

Pogrzeb Comollo; Zjawia się wobec całej sypialni; Jan w czasie wakacji; Jerzy Moglia; Wizyty u proboszcza Comollo i ks. Józefa Cafasso; Dwa historyczne zdarzenia.

Na wieść o śmierci kleryka Comollo powstała ogólna żałoba w seminarium. Ogólna opinia była: „W tej chwili nasz Comollo jest w niebie i modli się za nas!”. Na wyścigi ubiegano się o zdobycie jakiejś pamiątki po nim.

Rektorowi seminarium ze względu na okoliczności jego zgonu nie wydawało się słuszne, by jego ciało spoczęło na wspólnym cmentarzu. Dlatego wyjechał nazajutrz do Turynu, by wyjednać u władz kościelnych i świeckich zgodę na pochowanie go w kościele św. Filipa przyległym do seminarium.

W dniu 3 kwietnia, zatem przy tłumnym udziale duchowieństwa i wiernych ciało jego wprowadzono do wspomnianego kościoła i odprawiono uroczyste obrzędy pogrzebowe przy trumnie z ciałem zmarłego. Potem złożono trumnę ze zwłokami w murowanym grobie tuż za balustradą, naprzeciw głównego ołtarza. W taki sposób zmarły spoczął w pobliżu Jezusa Eucharystycznego, którego miłością seraficzną płonął za życia.

Po śmierci zjawiał się po raz wtóry wobec całej sypialni seminarzystów. A oto jak Ksiądz Bosko opisuje to niezwykle zjawisko.

„Wobec tak zażyłej przyjaźni naszej rozmawialiśmy często o możliwej między nami każdej chwili rozłące przez śmierć któregoś z nas. Otóż jednego dnia, nawiązując do tego, co czytaliśmy w żywotach świętych na pół żartem a pół serio umówiliśmy się, że ten, który pierwszy umrze, przyjdzie powiadomić swego przyjaciela o swym zbawieniu”.

Nie znałem całej powagi tej obietnicy i wyznaję, że była to wielka lekkomyślność z naszej strony i nie radziłbym nikomu dawać podobnej obietnicy. Między nami była to jednak umowa, której zobowiązaliśmy się solennie dotrzymać. Kilkakrotnie ją potwierdziliśmy wspólnie, zwłaszcza w czasie ostatniej choroby

Comollo, zawsze z warunkiem, o ile Pan Bóg na to zezwoli i jeżeli to Mu się spodoba. Ostatnie słowa Comollo utwierdziły mnie w tym przekonaniu.

„Niektórzy koledzy byli o tym poinformowani i oczekiwali z zaciekawieniem ziszczenia tej obietnicy. Ja też byłem bardzo niespokojny oczekując jej jako pociechy w moim smutku.

Byłem w łóżku, lecz nie spałem myśląc o tamtej obietnicy i przeczuwając jej spełnienie, znajdowałem się w stanie niezwyklego podniecenia.

Naraz o północy usłyszałem jakiś łoskot na korytarzu, zbliżający się ku mnie, coraz gwałtowniejszy i odczuwalny. Podobny był jakby do karety ciągniętej przez tabun koni, względnie do biegnącego pociągu, czy kanonady armatniej. Nie umiałbym inaczej wyrazić złożonych a wibrujących a zarazem gwałtownych tonów. Słyszący je musiałyby osłupieć z przerażenia. Odgłos ten zbliżając się do drzwi sypialni przelewał się po ścianach, sklepieniach i posadzce korytarza, jakby czyjeś potężne ramię uderzało po położonych na nim płytach żelaznych”.

„Seminarzyści zbudzili się, lecz nikt nie śmiał otworzyć ust. Jest już w sypialni. Otwierają się gwałtownie drzwi: zapanowała ciemność, wśród niej subtelny błysk jakby mieniącego się kolorowego światła, będącego jakby regulatorem wspomnianego hałasu. W momencie zapadłej ciszy rozbłysło jaskrawo owo promieniste światło i słychać było wyraźny, lecz cichszy niż za życia Comollo jego głos trzykrotnie rozbrzmiewający:

Bosko, Bosko, Bosko! Jestem zbawiony!!!”.

„W tym momencie sypialnia została oświetlona bardziej jaskrawym błyskiem znowu dał się słyszeć potężny grzmot, jakby burzy przelewającej się po całym domu, wreszcie ustał i światło zgasło.

Koledzy wyskakiwali z łóżek przerażeni i uciekali w popłochu, skupili się w jakimś kącie drżąc ze strachu i dodając sobie wzajemnie ducha. Tak spędzili resztę nocy oczekując poranka. Wszyscy przeżyli okropny wstrząs nerwowy. Niektórzy słyszeli głos, ale nie rozumieli słów: „Jestem zbawiony”. Niektórzy podobnie jak ja słyszeli je wymówione nad moją głową, o czym długo mówiono później w seminarium. Było to przeżycie bardzo wstrząsające tak, że w tym momencie zdawało mi się, że wolałbym nie żyć. Nawet na samo wspomnienie jego doznawałem

przerażenia. Na skutek tego popadłem w chorobę, z którejomalże nie znalazłem się nad grobem i której ślady pozostały na długie lata”.

„Bóg wszechmocny, Bóg jest miłosierny! Szczęście, że nie wysłuchuje tego rodzaju paktów: niekiedy jednak w swym miłosierdziu zezwala na ich spełnienie, jak w wypadku opisanym przeze mnie. Ale nigdy nie radziłbym nikomu czegoś podobnego. W zetknięciu, bowiem świata przyrodzonego z nadprzyrodzonym biedna natura ludzka bardzo na tym ucierpi, zwłaszcza, gdy te rzeczy nie są konieczne dla naszego zbawienia. Dlatego bądźmy pewni o istnieniu duszy i życia pozagrobowego nie szukając innych dowodów. Wystarcza nam to, co objawił Pan Nasz Jezus Chrystus”.

Gdy Ksiądz Bosko przedrukowywał biografię Alojzego Comollo, żyli jeszcze niektórzy świadkowie tego zjawiska. Odbitki z korekty przejrane były przez przełożonych seminarium i kolegów, naocznych świadków zdarzenia. Wywołało to nawet duży rozgłos poza seminarium, a początek dał dzwonnik katedralny pan Dominik Pogliano.

Ostatnie przeżycia, jak również wyczerpane studia doprowadziły Bosko prawie do grobu, jak sam wyznaje. Był też wśród kleryków pewien duch niespokojny i nierozważny spoza sypialni Bosko, który spotykając go sarkastycznie powtarzał: Bosko, Bosko, Bosko, sono salvo! A temu odnawiała się niezagojona rana i pomimo, że słowa te ubodły go boleśnie, uśmiechał się, a czasem pogroził palcem i milczał. Tenże kleryk zostawszy później księdzem przyznawał się do tych błazeństw, wszystko to świadczy o cierpliwości Jana Bosko i wysokim stopniu jego panowania nad sobą, jakie osiągnął na skutek wyczerpanej pracy wewnętrznej.

Z końcem czerwca, z nadwątlonym zdrowiem udawał się na wakacje na wieś. Państwo Moglia spragnieni widzieć swego syna Jerzego księdzem, oddali go pod opiekę Janowi. Ten przez trzy miesiące udzielał mu codziennie lekcji łaciny. Prócz wspomnianego przebywali jeszcze inni spragnieni korepetycji z łaciny.

W czasie jednej z przechadzek ze swymi podopiecznymi, jak opowiadał wspomniany Jerzy Moglia, Jan Bosko spotkał dwóch chłopców w zaniedbanym stroju.

Dokąd idziecie? Spytał.

Idziemy za chlebem. Jan spojrzał na nich wzruszony i odpowiedział: Jeśli tak, to chodźcie za mną, a znajdziecie go. I zabrał ich ze sobą. Ten szlachetny uczynek

objawiał się pełną gotowością gromadzenia pod skrzydła opatrnościowej opieki tysięcy ubogich chłopców.

Chłopiec Jerzy Moglia pod kierunkiem tak życzliwego nauczyciela poczynił wielkie postępy w nauce: niemniej jednak z końcem wakacji oświadczył, że nie czuje ochoty zostać księdzem.

Dobrze, mówi Jan, czyń jak uważasz, w każdym stanie można się zbawić, jeśli się żyje uczciwie, jak przystało na wzorowego katolika. Staraj się zawsze przeciwdziałać złu, jakie widzisz w drugich, bacz pilnie, byś się nie zepsuł w świecie i swym dobrym przykładem dopomógł do zbawienia bliźnich w stanie, jaki ci Bóg przeznaczył. Przeciwdziałaj w swym otoczeniu złym rozmowom i przekleństwom, zwracaj uwagę lekkomyślnym, by liczyli się z obecnością młodszym i nie dawali im zgorszenia.

Bosko często odwiedzał księdza Comollo proboszcza z Cinzano, szukając wzajemnej pociechy w rozmowach o jego krewnym i swym przyjacielu. Zaczął spisywać pewne fakty o tym anielskim młodzieńcu, również na zaproszenie proboszcza wygłaszał do wiernych kilkakrotnie kazania.

Wśród wspomnianych zajęć złożył kilkakrotnie wizytę księdzu Cafasso, który tej jesieni odpoczywał w domu rodzinnym po trudach całorocznych, na profesurze teologii moralnej w Konwikcie św. Franciszka z Asyżu w Turynie.

Mówi Eklezjastyk: „Jeśli ujrzysz mądrego, spiesz do niego od rana, a noga twoja niech wyciera progi drzwi jego”.

Jan Bosko raz po raz przybywał w te progi błogosławione tak w Castelnuovo jak w Turynie. Z ust św. Kapłana i dobroczyńcy swego odbierał chciwie wskazania, dzielając w pełni jego poglądy. Zapewne dzielił z nim radość z powodu wyniesienia w tym roku na ołtarze św. Alfonsa Maryi Liguoriego. W jego kanonizacji kler włoski otrzymał prześwietny wzór posłuszeństwa Stolicy Apostolskiej oraz światło w nauce moralności katolickiej, rozpraszające smutne opary jansenizmu. Miłość i ufność w Bogu, zjednoczenie z Najwyższym Pasterzem Kościoła, Zastępcą Jezusa Chrystusa na ziemi, miało zgrupować wiernych w walce ze złem, podważającym wszelki porządek religijny, moralny i społeczny.

Zaczynając od roku 1838 w Pizie, Turynie, Genui a ostatnio w Casala odbywało się szereg tajnych zebrań pod kierunkiem przywódców sekciarskich, maskujących się pozorem kongresów naukowych, by nie wpaść w oko czujnej policji.

Podczas, gdy tak naiwnie obradować na tematy naukowe, rolnicze, zawodowe, aktywy sekciarskie porozumiewały się między sobą, by w odpowiednim momencie proklamować republikę we Włoszech, a przede wszystkim obalić tron papieski. Książęta zaś włoscy w swym zaślepieniu, w obawie przed uzurpacją papieską przeciw ich prawom książęcym udzielali poparcia wspomnianym kongresom. Papież Grzegorz XVI przejrzał skrytą robotę sekt i wynosząc na ołtarze książąt Savoira Humberta i Bonifacego, zapobiegał złu, a zarazem udzielał zbawiennych przestróg wspomnianym panującym. Święci owi zyskali wieczną chwałę oddając, co należało Bogu, który przekazał Chrystusowi Panu władzę nad wszystkimi ludami, nakazując ochrzcić ich, nauczać, zachować wszystko, co on przykazał. /Mt 28,18/.

Nikt, przeto z książąt nie może się wywyższać ponad Kościół i to wszystko, co stanowi jego strukturę wewnętrzną boską i ludzką i każdy winien mu szacunek i posłuszeństwo. Kościół katolicki obejmuje wszystkie królestwa: państwa katolickie istnieją w Kościele rządzonym przez Papieża rzymskiego z pełną władzą. W konflikcie obu władz trzeba raczej słuchać Boga niż ludzi.

Ku czci wspomnianych błogosławionych książąt z domu sabaudzkiego odbyły się uroczystości w Turynie na zarządzenie arcybiskupa Fransoniego w dniach 26 oraz 29 i 30 czerwca. Król Karol Albert zgodnie reprezentował imię swych przodków i popierał Kościół. Pomimo, że żywił aspirację do korony całych Włoch. Popierał dążenie liberałów we wszystkich państwach do zjednoczenia Włoch i przygotował środki do wojny o niepodległość królestwa, nie miał jednak intencji ujmowania w czymś władzy Papieża. Zaprowadził i popierał w swym państwie niektóre zakony, życzył sobie, by wychowanie młodzieży oparte było o zasady katolickie, w różnych okazjach dawał wyraz chęci uregulowania stosunków ze Stolicą Piotrową, ustanawiał nuncjaturę. W roku 1840 na wezwanie Rady Państwa w Sardynii, by zniósł dziesięciny na wyspie nie chciał zrobić tego kroku bez porozumienia się ze Stolicą Piotrową.

W roku 1841 zawarto porozumienie z Papieżem dotyczące ograniczenia osobistej nietykalności duchowieństwa, zgadzając się, by sądy państwowe ścigały zbrodnie, a sądy kościelne zwykłe przestępstwa: w wypadkach skazania na śmierć,

biskup miał dokonywać rewizji wyroku i mógł odesłać sprawę do ponownego rozpatrzenia z trzema biskupami w państwie. Jeżeli ci uznali winę skazanego, należało w ciągu miesiąca przystąpić do jego degradacji o wykonanie wyroku.

Szacunek dla Stolicy Apostolskiej okazał król promulgując swój Kodeks Cywilny z roku 1837. Po przedmowie, w której mówiono, że pragnieniem monarchy jest dać swym poddanym jednolite ustawodawstwo zgodne z zasadami katolickiej monarchii postanawiał: „Religia katolicka apostolska rzymska jest jedynym wyznaniem w państwie. Władca szczeni się, że jest obrońcą kościoła i dbać będzie o przestrzeganie jego praw w zakresie mu przysługującym. Urzędy dbać będą, by utrzymywano jak najlepsze stosunki między Kościołem i państwem. Inne wyznania dotąd istniejące będą tolerowane.

W 1839 r. ogłaszając Kodeks karny ustanawiał karę więzienia dla tych, co śmieliby zmącić, przeszkadzać wykonywanie św. czynności w kościołach lub poza nimi: za osobistą zniewagę ministrów kultu w czasie wykonywanych przez nich czynności, za publiczne bluźnierstwa przeciw Bogu i Świętym za ataki prasowe i publiczne wystąpienia przeciw religii państwowej.

Sankcjonował równocześnie postanowienia karne dotyczące niezachowania świąt. Karał skazaniem na roboty przymusowe za bezczeszczenie świąt. Karał skazaniem na roboty przymusowe za bezczeszczenie naczyń świętych. Relikwii lub obrazów w kościołach, zakrystiach, lub poza tymi miejscami z okazji publicznych funkcji religijnych, postanawiał karę więzienia w wypadku, gdy zbeszczeszczania dokonano poza miejscami świętymi. Śmiercią karany był, kto w jakikolwiek sposobów znieważał Postacie Eucharystyczne.

Wspomniana gorliwość monarchy tłumaczy serdeczne stosunki między nim a kanonikiem Cottolengo, z którym często rozmawiał na temat jego Dzieła Małego Domu Opatrzności, również zaufanie, z jakim odnosił się do króla Ksiądz Bosko, który wyniósł z domu, jak każdy prawy Piemontczyk, miłość do osoby króla, jako przedstawiciela na ziemi Tego, w imię, którego rządzą wszyscy jego panujący. Wiemy również, jak modlił się zawsze za panującego i jego dom i nie wahał się podejmować poświęceń, jakie mu dyktowały obowiązki poddanego.

W przykrych zaś wypadkach, jakie miały nieraz zakrwawić jego serce kapłańskie, nigdy nie słyszano z ust jego słów wrogich lub lekceważących.

Postępowaniem jego kierowały zawsze słowa św. Piotra: „Bądźcie wtedy poddani wszelkiemu ludzkiemu stworzeniu dla Boga, czy to królowi jako rządzącemu panu, czy urzędowi, jako posłanym przez niego na pomstę złoczyńcom, a na chwałę dobrym”. /1P 2,13-14/.

ROZDZIAŁ LIII

Choroba i wyzdrowienie Jana; Święcenia mniejsze; List od dawnego nauczyciela; Spełniona przepowiednia; Porażenie piorunem; Skrócenie studiów teologicznych; Kazania; Subdiakoniat.

Z rokiem 1839/40 podejmował studia teologiczne. Nie należy sądzić, że tak dalece był fizycznie wyczerpany, iż brak mu było owej tężyzny, o jakiej była mowa w pierwszym śnie: „Stań się mocnym i silnym”. Pewnego wieczoru opowiadając na rekreacji kolegom coś wesołego zaczął opisywać swe wyczyny sportowe w młodości, zwłaszcza sławetne zawody z kuglarzem. Wielu kleryków, spoza Chieri nie dowierzało mu, wśród nich także kleryk Giacomelli. Jan w pewnej chwili zawołał, „Nie wierzycie mi? Wobec tego proszę! i chwyciwszy bardzo ciężkie krzesło uniósł je jedną ręką w górę, obracał, postawił sobie na brodzie stojąc na jednej nodze i tak skakał z nim czas jakiś po podłodze.

Kleryk Giacomelli, który nam to opowiadał, był zdumiony tą niezwykłą siłą muskuł i zawołał: Teraz już wierzę!

Pomimo to zdrowie Jana Bosko było nadwątlone i pogarszało się coraz bardziej. Chorował przez cały prawie rok i wreszcie musiał się położyć. Nie mógł przyjmować pokarmów, trapiła go bezsenność, lekarze już nawet zwątpili w jego wyzdrowienie. Od miesiąca leżał ciężko chory, gdy odwiedziła go matka przynosząc butelkę dobrego wina i chleb z mąki prosa. Wprowadzona do infirmerii, wnet spostrzegła się o ciężkim stanie chorego i chciała nawet zabrać ten chleb, jako niezbyt strawny dla pacjenta. Ale syn prosił, by go zostawiła. Po odejściu matki, w pewnej chwili przyszedł mu dziwny apetyt ułamując po kawałku chleba zjadł go całego i popił winem. Potem zasnął i spał całą noc i dwa dni następne. Przełożeni sądzili, że to chyba zapowiedź bliskiej śmierci: on tymczasem na przekór wszystkim prognozom wyzdrowiał. Pozostały jednak pewne ślady tej choroby, która miała się jeszcze powtórzyć, całkowicie wyzdrowiał dopiero w schronisku w Turynie.

W tym roku kilkakrotnie udawał się na wieś dla poratowania zdrowia. Za to w nagrodę swej pilności w studiach teologii otrzymał 25 marca 1840 r., w niedzielę Laetare, tonsurę wraz z 4 minorkami.

W tych latach podtrzymywał nadal kontakty z dawnym swym profesorem z Capriglio. Pisywał do niego kilkakrotnie i składał mu wizytę. A oto jeden z listów owego profesora:

Ponzano, 4-5-1840 r.

Carissimo mio commendabile amico!

O ile dawno nie miałem od was wiadomości za to ostatni długi list wynagrodził to z nawiązką. Co do mnie, to mam wymówkę, że pisanie zgodnie z moją zasadą nie jest obowiązkiem przyjaźni, jak tylko w wypadku, gdy jednemu i drugiemu na tym zależy, a w takim razie postanawiam nie zaniedbać się. Wieści o was uradowały mnie jak i waszą ciocię. Niech Bóg udzieli wam łaski byście mogli jak najszybciej zostać godnym sługą Kościoła, ja wskazuję wasze wzorowe sprawowanie się. Wioska tutejsza pozbawiona wszelkich wygod, podobna jest do dawnego Capriglio. Żyję tu jak na prawdziwym pustkowiu, z którym się już zżyłem. Nie znajduję się dotąd w swym właściwym ośrodku, a jeśli Pan Bóg przedłuży mi życie, pragnę dać „światu kopniaka” i zamknąć się w klasztorze. Gdy zechcecie mnie odwiedzić, przywieźcie ze sobą trzy tomiki Biblii. Proszę pozdrowić ode mnie pana Józefa Scaglia wraz z rodziną, z którymi się tak dawno nie widziałem z woli Opatrzności. Marianna ma się dobrze, sicut in quantum, pozdrawia was serdecznie. Proszę być zdrowym etc. Vostro buon amico prete Giu. Lacqua.

Ów zacny kapłan w liście zdradza wstąpienie do zakonu; to zaś mogło mieć wpływ na adresata zwłaszcza, że od młodości okazywał niechęć do bogactw oraz skłonność do życia zakonnego. Z listu wynika również, że oddawał się studiom biblijnym gromadząc sobie bogaty zasób, z którego będzie czerpać w przyszłości w swym apostołstwie.

Pozostawało niewiele ponad miesiąc do zakończenia roku, gdy przybył do seminarium wysłany przez ojca chłopiec Jerzy Moglia, z zaproszeniem dla Bosko, by trzymał do chrztu ostatniego jego syna. Chrzestną miała być córka wspomnianego pana Moglia, która jednak się krępowała wystąpić publicznie z duchownymi, ojciec wszakże domagał się tego stanowczo. Jan pojechał na chrzest. Dowiedziawszy się,

że matką chrzestną ma być córka pana Moglia, oświadczył mu, że już przyprowadził ze sobą chrzestną z Chieri.

Mogę więc wobec tego zrezygnować z mej córki?

Oczywiście!

A kto to taki? spytał zaciekawiony ojciec.

Będzie nią Madonna wraz z Kościołem, to wystarczy, oświadczył Jan. W taki sposób córka została zwolniona z obowiązku, do którego się nie czuła. Chłopcemu nadano imię Jan.

Po dokonaniu obrzędów religijnych i skromnym poczęstunku kleryk Jan Bosko przed odjazdem odwiedził panią Dorotę, która żaliła się mu na kompletne wyczerpanie oraz wyraziła swe obawy, że już nie zdoła podnieść się na siłach. Jan oświadczył jej:

Proszę być dobrej myśli: pani dożyje szczęśliwie dziewięćdziesiątki. Istotnie, chora wyzdrowiała i odtąd głęboko wierzyła w obietnicę daną sobie przez Księdza Bosko. Kilkakrotnie zapadała na zdrowiu, lecz nie chciała przyjmować leków przepisanych przez lekarzy twierdząc: Ksiądz Bosko mnie zapewnił, że dożyję lat dziewięćdziesięciu.

Przepowiednia się sprawdziła i staruszka w wieku lat 91 z obrazkiem Świętego na piersiach oddała Bogu ducha.

Dla dobrodziejów pociechą wielką było, że wspierając Księdza Bosko, współdziałali z Bożymi planami, tym bardziej, gdy Sługa Boży utrzymywał z nimi ustawiczną korespondencję. Do tych zaliczał się ks. proboszcz Cinazano, któremu Święty dawał dowody synowskiej miłości, zwłaszcza z okazji jego imienin. Szkoda, że ta korespondencja zaginęła po śmierci zacnego dziekana w roku 1870, kiedy następca porządkował jego papiery spalił wiele listów z podpisem księdza Bosko.

Dwa znaczące zdarzenia miały miejsce z końcem owego roku. On sam wspomina o nich następująco:

„Pod koniec tego roku o mało był bym już nie żył. Było to w dniu rozjazdów kleryków na wakacje. Padał deszcz, a ja wyglądałem z okna obserwując burzliwe niebo. Naraz uderzył piorun w parapet mojego okna. Oderwane cegły uderzyły mnie w żołądek tak, że upadłem na ziemię nie przytomny. Koledzy zanieśli mnie do łóżka, spryskali twarz wodą, a ja przyszedłszy do siebie wyskoczyłem uśmiechnięty z łóżka.

Po upływie tego roku studiów teologii, zrodziła się we mnie myśl skrócenia czasu nauki dzięki temu, że wykorzystywałem czas na wakacjach. Podzieliłem się tą myślą z ks. Cinzano, a on ku mej radości zaaprobował mój projekt. W tym celu w tajemnicy przed wszystkimi udałem się do arcybiskupa Fransoniego prosząc o zezwolenie przestudiowania traktatów teologicznych z czwartego roku w czasie bieżących wakacji, by w ten sposób zakończyć z przyszłym rokiem quinquenium z teologii. Jako powód przytoczyłem mój spóźniony wiek 24 lat skończonych.

Ten święty Prałat przyjął mnie łaskawie i sprawdzwszy wyniki moich dotychczasowych studiów w seminarium, zgodził się na to, pod warunkiem zdania egzaminów z wymienionych traktatów, to jest De Penitentia i de Eucharystia przed mym dziekanem. W ciągu dwóch miesięcy przerobiłem wspomniane traktaty i zdałem ów egzamin”.

Równocześnie udzielał korepetycji, względnie nauki łaciny wielu chłopcom, wśród których wyróżniał się młodzieniec Jan Bptysya Bertagna, przyszły wybitny profesor moralista w Konwickie kościelnym, następnie biskup sufragan kardynała Alimondy w Turynie.

Przy nadarzającej się okazji wygłaszał kazanie, jak na przykład na uroczystości św. Anny w Aramengo, św. Bartłomieja w Castelnuovo, z których pozostały szkice. W przeddzień odpustu w Castelnuovo znajdował się na dziedzińcu plebańskim, gdzie księża grali w boccie. W pewnym momencie nadszedł ksiądz proboszcz Cinzano zawiadamiając, że otrzymał list od kaznodziei usprawiedliwiającego swą nieobecność: wobec tego obowiązek kazania spaść na księdza wikarego Ropolo. Ten zaoponował: Daruje ks. proboszcz, nie zdołam na jutro przygotować kazania; gdyby chodziło o zwykłą homilię, dałoby się radę, ale kazanie odpustowe, to inna para kaloszy. Również drugi kapłan odmówił. Ks. Cinzano nie miał już komu powierzyć tego obowiązku; ponieważ Bosko miał za parę dni egzamin, wtedy z pewnym wahaniem mu proponuje: A może ty mój drogi, zechciałbyś się tego podjąć? Ten otrząsnąwszy się ze swych myśli z uśmiechem, odpowiedział: Jak nie ma już innych, to jestem gotów, spróbuję. Kazanie jego zrobiło wielkie wrażenie na ludziach, obecnych księżach i klerykach, którzy mówili: Ot, pokazał, co potrafi!

Jan Filippello świadek kazania, jeszcze po 48 latach o nim wspominał.

Bosko swym zwyczajem gromadził chłopców wiejskich każdej niedzieli i święta, prócz tego zawierał liczne znajomości z niektórymi rodzinami nie tylko w Castelnuovo i Chieri, lecz także z okolicznymi ziemianami. Sam wprawdzie o tym nie wspomina w pamiętniku, lecz w manuskrypcie, biografii Alojzego Comollo, jaki przygotował do druku, znajdujemy następujące zadanie: „Szczególnie o kleryku Alojzym Comollo, seminarzyście w Chieri, opowiedziane przez Alojzego Larisse hrabiego dziedzica”.

Przekonujemy się o tym z listu do pewnego młodzieńca, dla którego rodzice utrzymywali w domu nauczyciela. Upomina go za stratę czasu i zachęca, by powetował to wzorowym sprawowaniem w przyszłości:

Castelnuovo, 28-8-1840 r.

Bardzo mi przykro, mój drogi, że nie udało się zadowolić życzenia twych rodziców. Zbadawszy dokładnie swe sumienie, przekonasz się, że wina jest po twojej stronie. O ile byś przerabiał pilnie lekcje, jakich udzielał ci nauczyciel w domu, nie dziwiłbyś się temu, że twoi koledzy otrzymali promocje, a ty nie. Uważam, że to mniej korzystnie tracić rok nie będąc promowanym, niż przysiąc fałdy i otrzymać promocję do następnej klasy. Dlatego jeśli bym miał udzielać rady, to nie należy zdawać się na miłosierdzie nauczycieli, lecz liczyć na to, że będą wymagający i uczyć się, a tak uzyskać dobre stopnie za własną pracę, a nie za miłosierdzie profesorów. Ponieważ niestety wielu myśli inaczej, muszą ponosić konsekwencje tego i wracać do domu z końcem roku z dwójami na cenzurze. Więc postaraj się poprawić koniecznie, ucząc się pilnie w roku przysłym, a będę ci zawsze twoim „intimo amico”.

Bosco Gio.

Tymczasem pod kierunkiem księdza Cianzano pilnie studiuje traktaty: przerabia dziennie ze 20 stron z autorów wskazanych, utrwalając pilnie w pamięci ich treść.

Poświadcza to ksiądz Febbraro proboszcz Orbassano, wówczas kleryk: „Jan Bosko studiował 4 lata teologii, nie tylko z racji na swój wiek, lecz, że posiadał dużą znajomość teologii. Byłem świadkiem jego egzaminu z czwartego kursu teologii dla uzyskania promocji na piątą. Ksiądz dziekan, który egzaminował go na polecenie arcybiskupa, zawołał nas kleryków, byśmy podziwiali jasność i dokładność odpowiedzi oraz rozwiązywanie, wystawił mu świadectwo złożonego egzaminu”.

We wrześniu Jan Bosko przygotował się na święcenie subdiakonatu. Oto jak sam opisuje ten moment: „Wobec tego, że szczupły mój majątek odziedziczony po ojcu nie wystarczał na patrimonium ecclesiasticum, mój brat Józef odstąpił mi swoją własność. Otrzymałem więc święcenia subdiakonatu w suche dni wrześniowe. Znając swe braki w należytych przygotowaniach do święceń zasięgałem opinii księdza Borela. Od tej chwili z zapałem wcielałem w życie jego radę:

„Przez skupienie i częstą Komunię św. zachowuje się i utwierdza swe powołanie”.

ROZDZIAŁ LIV

Głosi kazanie odpustowe MB Różańcowej w Avigliana; Pielgrzymuje do kaplicy św. Michała Archanioła; Romantyczna wycieczka do Coazze; Uroczystość w Bardella; Zmartwychwstanie nieboszczki.

W czasie ostatnich wakacji Bosko podjął się kazania na odpust Matki Bożej Różańcowej w Avigliana ojczyźnie przyjaciela Giacomellego, który z początkiem października zabrał go ze sobą na pamiętną wycieczkę. A ksiądz Cinzano na pożegnanie wypowiedział do niego słowa prorocze: „In omnem terram exivit sonus eorum et in fines orbis terrae verba eorum”. Nie chcąc mieć trzęsionki wolał podróż odbyć pieszo. Przenocowano najpierw w Chivasso. Następnie w Turynie kupili trochę kasztanów i chleba dla posilenia się i załatwiwszy niektóre zlecenia w tym samym dniu wybrali się do Avigliana. Następnego dnia po południu prowadził swobodnie konwersację z księżmi proboszczami. Przyjaciel od czasu do czasu pociągając Jana Bosko za rękaw szeptał: A kazanie masz już gotowe? Jest jeszcze czas, odpowiadał i nadal prowadził rozmowę z proboszczem Pautasso, który pod wrażeniem jego erudycji powiedział: Zdaje mi się, że ksiądz dokona wielkich rzeczy!

Gdy Bosko wszedł na ambonę, Giacomelli usunął się do zakrystii nie chcąc być świadkiem jego niepowodzenia. Wnet jednak odetchnął słysząc doskonałe exordium i jasny wykład treści popartej przykładami. Gdy kaznodzieja zszedł z ambony, ksiądz Pautasso zbliżył się szepcząc: Mirabilia fecit!

Po odpuście dwaj przyjaciele wybrali się w pielgrzymkę do kaplicy św. Michała Archanioła na górze Pirchiriano, wysokość 877 m., z której szczytu roztacza się widok na cały Piemont i łańcuchy alpejskie. Tu w roku 1836, na zaproszenie króla Karola Alberta i za zgodą Papieża otwarli także swój dom Ojcowie Instytutu Miłosierdzia (Rosminianie). Zakonnicy obsługiwali sąsiednie parafie w dolinie Susa i w okolicach Turynu. Kleryk Giacomelli oprowadzał przyjaciela po starożytnym opactwie benedyktyńskim, ze wspaniałym gotyckim kościołem z grobowcami książąt piemonckich. Byli gościnnie podejmowani przez tamtejszych Ojców Rosminianów,

skąd datuje się nieprzerwanie przyjaźń Księdza Bosko z Rosminianami. Między innymi, O. Flecchia, wówczas młodzieniec, który żył ponad 90 lat, był zawsze gorącym wielbicielem dzieł Księdza Bosko.

Zaprowadziła go tam Opatrzność, gdyż miał powołać do życia Zgromadzenie zakonne o nowej formie ślubu ubóstwa, dzięki czemu uniknął ostrza ustaw fiskalnych. Wydaje się, że już wtedy powziął projekt takiego zgromadzenia, jak sam często przyznawał. Miał być może tę samą intuicję, co św. Paweł od Krzyża, który przewidywał złupienie dóbr kościelnych przez rewolucję.

Bosko i Giacomelli zeszli na dół, szli drogą w kierunku Coazze wśród Alp, gdzie proboszczem był kuzyn Giacomellego. Dwaj klerycy musieli wyglądać doprawdy przerażająco, kiedy napotykanii chłopcy umykali przed nimi, co sił w nogach. Stanęli wreszcie w Coazze, gdzie około godziny 10 wieczór, gdy wioska pogrążona była we śnie a wszystkie bramy plebani były pozamykane. Zadzwonili raz i drugi bez skutku. Po długim oczekiwaniu wychyliła się czyjaś głowa z okna, które zaraz szczelnie zamknęła. Chłód wionący z gór przejął ich w dodatku spoconych dotkliwym zimnem tak, że szczękali zębami. Stali tak dobrą godzinę kołacząc do drzwi. Wreszcie po raz drugi otwarło się okno a Giacomelli ujrzał w nim gospodynię, która nieśmiało wyglądała chcąc sprawdzić, kto się tak tłucze.

Otwórzcie, jestem Giacomelli, kuzyn proboszcza!

A kto ty? A ten drugi, kto jest?

To mój przyjaciel.

A dlaczego przybyliście o tak późnej porze?

Ponieważ nie mogliśmy wcześniej. Otwórzcie, na miłość Boską! Jesteśmy spoceni i zdrożeni, możemy się zaziębić.

Zaraz, zaraz, ale dlaczego tak późno? - mruzczała zaspana służąca. Musieli poczekać jeszcze parę minut, nim otwarto drzwi. Usłyszeli za chwilę człapanie na schodach proboszcza, który ukazał się w nocnej piżamie, a rozpoznawszy w jednym swego krewniaka. Ach, to ty?, zawołał. Dał rozkaz wpuszczenia podróżnych. Zapalił lampę, wprowadził ich do swego pokoju podróżnych i rozpytywał o nowiny. Rozmowa byłaby się przeciągnęła, lecz Giacomelli poprosił o rozpalenie ognia w kominku, by mogli się rozgrzać. Gospościa przyniosła wiązki chrustu i wnet buchnął duży ogień, przy którym podróżni rozgrzali się i oczekiwali na jakiś posiłek.

Tymczasem proboszcz jakoś się nie domyślał, a gospodyni przykucnąwszy na stołku drzemała. Jan porozumiewał się znacząco z kolegą, od południa nic nie mieli w ustach. Ten przerywając rozmowę rzucił: Kuzynie, czy nie ma coś do zjedzenia, bo jesteśmy głodni.

Co? O tak późnej porze chcielibyście wieczerzać?

Myślisz, że mieliśmy jeść kamienie?

Mogliście powiedzieć wcześniej, non ci aveva pensato!

Magdaleno! przygotuj no coś do jedzenia!

Służąca zbudziła się i poczłapała do kuchni. Zjadło się, co Bóg dał i poszli spać. Stały dwa łóżka w jednym pokoju, lecz bez materaców, tylko z prześcieradłami i kocem. Pokładli się, więc obaj koło siebie i przykryli kocami, pomimo że o tej porze w górach panował chłód dotkliwy. Zziębnięci zbudzili się niebawem i zaczęli żartować:

Śpisz? czy nie? pytali jeden drugiego.

Zimno ci czy ciepło? Śpij, więc, jak możesz, chichotali.

Proboszcz słysząc ich głosy wstał i przyniósł parę koców. Dopiero nad ranem zasnęli. Ksiądz Bosko nieraz opowiadał chłopcom fantastycznie o tej sławnej wycieczce w góry, lecz pominął pewną okoliczność, którą uzupełnił ks. Giacomelli. Mianowicie proboszczowi, u którego nocowali, podpadła niezwykła inteligencja i wiedza kleryka Bosko. Ten kleryk ma wielką przyszłość przed sobą, mówił z przekonaniem.

W tym miejscu wypada zaznaczyć, że Ksiądz Bosko gdziekolwiek korzystał z gościny, zachowywał się bezpretensjonalnie, choć czegoś brakowało, lub coś mu się nie podobało. Szorstkie przyjęcie, zapomnienie, niewygody, duszne pokoje w lecie, czy niedogrzone w zimie, późne obiady, pokarmy niestrawne dla jego żołądka, przeciągane rozmowy, mimo że był przemęczony, wszystko umiał zrozumieć, nie okazując znudzenia i nie żaląc się nikomu.

Przyjmował wszystko z jednakowym uśmiechem, jak gdy bywał przyjmowany przez dobrodziejów i przyjaciół z wystawną hojnością. Dziękował z wdzięcznością za wszelkie usługi, zapewniając o swej pamięci tak, że tym zobowiązywał swych dobrodziejów.

Wróciwszy z podróży, kleryk Bosko towarzyszył proboszczowi na odpust do Bardella i służył do Mszy św. jako subdiakon. Odbywało się tam również wesele i na obiad został zaproszony proboszcz i gospodarz odpustu. Kleryk Bosko wierny swemu postanowieniu nie wziął w nim udziału. Po obiedzie ks. proboszcz udał się do domu gospodarza. Tymczasem niespodziewany atak apopleksji odbiera życie młodej żonie zamieniając wesele w żałobę. Pospieszono jej z pomocą, w końcu jednak trzeba było stwierdzić zgon. Po dwóch dniach niesiono ciało na cmentarz, gdy ktoś podszedł do proboszcza mówiąc:

Wydaje się, że zmarła kołace się w trumnie.

Gdy Pan umrze, mówi proboszcz z przekąsem, myślę, że nie będzie sobie urządził podobnej rozrywki!

Obecni przyjęli to jak żart, gdyż nie wydało się im to prawdziwe, co mówił ów człowiek. Złożono trumnę na katafalku i odśpiewano egzekwie. Gdy ludzie odeszli, także grabarz spuszczając trumnę do dołu, usłyszał jakieś szmery; postawił trumnę na ziemi i zamyślał otworzyć wieko, lecz w tej samej chwili przyszło mu na myśl, że niedozwolone jest nikomu otwierać trumny bez pozwolenia władz. Biegnie więc do gminy, wzywają lekarza i stwierdzają, że niewiasta była jeszcze ciepła. Tętno było ledwie wyczuwalne; puszczo jej krew i przywieziono do mieszkania męża. Niestety, już nie ożyła.

Kleryk Jan Bosko był świadkiem powyższego faktu i mógł stwierdzić namacalnie, że „radość miesza się z bólem, a smutek zastępuje wesele”. /Prz 24,13/.

Również w czasie tych wakacji odwiedził rodzinę Moglia w towarzystwie kolegi Giacomello, gdzie ugoszczeni serdecznie przenocowali. Bosko pozostawał zawsze w kontakcie z tą zacną rodziną i jej głową panem Moglia. Ten ilekroć znalazł się w Turynie zachodził również do Księdza Bosko, który go zawsze uhonorował wraz z młodzieżą. A pani Dorota ze swej strony polecała się modlitwom Księdza Bosko, wierząc głęboko w ich skuteczność.

Zeznaje Jerzy Moglia: „Ksiądz Bosko okazywał wiele wdzięczności mej rodzinie za to niewiele dobrego, jakie zaznał od nas. Często gościł mnie u siebie przy wspólnym stole. Pewnego dnia zwróciwszy się do mnie w obecności swych księży i innych gości powiedział: To jest mój dawny pan! A w pierwszych latach Oratorium, gdy miał niewielką grupkę chłopców odbywał z nimi wycieczki do Moncucco, chcąc

byśmy uważali jego Oratorium za swój własny dom, ilekroć udawaliśmy się do Turynu, z jakimiś sprawami. Wtedy przy sposobności delikatnie przypominał mi o pacierzu, spowiedzi wielkanocnej, oddawaniu czci Madonnie, miłości Boga i bliźniego, o obowiązkach dobrego katolika”.

Jego syn Jan Moglia również doznawał szczególnych względów ze strony Księdza Bosko. Jako student przebywał w Oratorium przez trzy lata, często zapraszany do stołu z Księdzem Bosko.

Przy podziale ojcowizny dostała mu się winnica zasadzona przez jego dostojnego ojca chrzestnego, która jeszcze po latach wciąż owocowała, podczas gdy inne dawno musiały być zastąpione przez nowe szczepy. Nawet pomimo, że zaniedbano ją spryskać siarczanem miedzi i tak dawała obfitszy plon niż inne. W roku 1886, na życzenie Księdza Bosko, tenże Jan Moglio przyniósł mu koszyk winogron z tej właśnie winnicy, jak sam to stwierdził.

Tejże jesieni, Bosko zaprzyjaźnił się ze studentem niejakim Joachimem Rho z Pecetto, który później został profesorem literatury i kuratorem szkolnych prowincji Turyn. Ten napisał do księdza Picollo, który posłał mu ze Sycylii mowę pogrzebową z okazji pogrzebu Księdza Bosko: „Miałbym chęć odczytać w przemówieniu wielbnego księdza wzmiankę o naszym czcigodnym współrodaku, księdzu Antonim Cinzano, dziekanie w Castelnuovo d’Asti. Przypominam sobie, że szczyił się on, że miał za ucznia Księdza Bosko i jeszcze jakiegoś innego parafianina, którego przygarnął do siebie na wakacje jesienne już jako kleryka. Poznałem Księdza Bosko na plebani w Castelnuovo w 1840 r. wraz z księdzem Febbraro, późniejszym proboszczem w Orbassano, księdzem Allora i innymi. Błogosławione wspomnienie tego św. Kapłana, który dokonał swych dni w otoczeniu kleryków przez niego uformowanych.

ROZDZIAŁ LV

Kleryk Bosko prefektem w seminarium; Pochwała kleryka Józefa Burzio; Stosunki między dwoma przyjaciółmi; Zainteresowanie się Instytutem Misyjnym Oblatów NMP.

Kleryk Jan Bosko wróciwszy na ostatni rok teologii do seminarium w Chieri został przez przełożonych ustanowiony duktorem kleryków, to jest bezpośrednim asystentem odpowiedzialnym za ich sprawowanie się. Z jaką gorliwością sprawował swój nowy urząd, poznać można z opinii wystawionej pewnemu klerykowi nazwiskiem Józef Burzio, rodem Ceconato, który wstąpił do seminarium w roku 1840, ostatnim roku pobytu Jana Bosko w Cheri. Wspominamy kleryk poszedł niebawem do Zgromadzenia Oblatów NMP w Pinerolo, gdzie wkrótce zmarł w opinii świętości. Na prośbę przełożonego Oblatów, opinię powyższą przesłał Ksiądz Jan Bosko do ich Nekrologu.

Autor biografii owego kleryka wypowiedział również pod adresem naszego Założyciela wybitne pochwały, zamieszczając przy sposobności jego list z 16 kwietnia 1843 roku i tak pisał: List rzuca również światło na osobę młodego lewity Księdza Jana Bosko, duktora naszego kleryka, o którym wyrażając się najpochlebniej, daje świadectwo również o sobie, jakim duchem kapłańskim był ożywiony w seminarium.

A oto ów list Księdza Bosko: „Zaproszony przez Waszą Przewielebność do skreślenia kilka szczegółów względem zachowania się kleryka Józefa Burzio, czynię to z radością, jako jego asystent w seminarium, gdzie pozostawił po sobie jak najmiłsze wspomnienia”.

„Z trudnością mógłbym nakreślić sylwetkę świętobliwego kleryka, który według opinii kolegów był naprawdę świetlanym wzorem i posiadał wszelkie zalety wymagane od kandydata przez regulamin seminaryjny. Obowiązki seminaryjne spełniał ochoczo, wesoło i z zachwycającym wdziękiem”.

„Od pierwszej chwili okazywał ducha kapłańskiego i zapał do pracy nad sobą, wykorzystując wszelkie środki w seminarium”.

„Od rana do wieczora był wszędzie punktualny. Przywiązywał wielką wagę do każdego szczegółu regulaminu: wykazywał inicjatywę i sumienność”.

„Roztropnie i uprzejmie wymawiał się od towarzystwa kleryków niezbyt przykładnych, wybierając sobie za przyjaciół kilku podobnych do siebie, z którymi obcował zachęcając do postępu w cnocie”.

„Przykładał się pilnie do nauki i osiągał postępy; wykorzystywał skrupulatnie każdą chwilę czasu na to, nie zajmując się zbędną lekturą poza przepisaną; brał żywy udział w kółkach naukowych w swej klasie”.

„Dyskutował z kolegami w czasie rekreacji na temat wykładów; gdy rozmowa przechodziła na tematy obojętne, słuchał biernie; lecz gdy powracano do przedmiotów naukowych lub religijnych, ożywiał się. W czasie studium nie nudził się nauką (próżnowanie było mu nieznane). Gdy nad czymś się zastanawiał głęboko, nie zwracał uwagi na żadne szmery czy potrącanie kolegów, niczego nie widział poza swym przedmiotem. Właściwe skupienie i nie rozpraszenie uwagi na drobnostki, przyczyniło się do postępu w naukach. Posiadał w wybitnym stopniu dar pobożności. Zresztą nie miałbym w nim nic specjalnego do zauważenia, gdyż nie wyróżniał się specjalnie od innych. Kto jednak znał jego mądre otwarte usposobienie, konsekwentne postępowanie, mógłby widzieć coś więcej na temat jego życia wewnętrznego”.

„Nie mogę powiedzieć, by praktyki pobożne spełnił ze zwyczaju i rutyny; przeciwnie, sprawiał wrażenie świeżości objawiających się na jego twarzy. Z miejsca, gdy rozpoczynał praktyki pobożne lub gdy sam wstępował do kaplicy, wkładał całą swą duszę i gorącą wiarę”.

„Niezależnie od tego czy przełożeni byli obecni w czasie praktyk religijnych, Burzio był niezmiennie tej samej postawy wobec Boga”.

„Odnośnie Sakramentów św., nie zadawała się przepisanyymi regulaminami, lecz korzystał z każdej sposobności, gdy był spowiednik by przystąpić do Sakramentu Pokuty, zwłaszcza z okazji soboty i dni wigilijnych.

„Prócz zwykłych praktyk odznaczał się specjalnym nabożeństwem do Pana Jezusa Eucharystycznego i Najświętszej Maryi Panny, prywatnie wzbudzał akty strzeliste miłości i wdzięczności Bogu. W czasie rekreacji bywał często na nawiedzeniu, na rozmowie z Jezusem i Madonną”.

„Miał swego monitora, który zwracał mu uwagę na różne niedociągnięcia”.

„Odnosnie postępowania, wystarczy powiedzieć, że przy końcu roku uzyskał na skrutynium stopień „egregie”, który rzadko, komu udało się otrzymać”.

„Odznaczał się szczególną cnotą skromności w tak wysokim stopniu, że nazywałbym ją ponad ludzką i wprost anielską. Nie można by mu nic wytknąć, wszystko na miejscu, serdeczne i ludzkie tak, że patrzano na niego z radością. Co do mnie, wyznaję, byłem pociągnięty wprost, by podejść i porozmawiać z nim, mimo pewnego dystansu co do wieku i studiów”.

„Podkreślam szczególnie jego skromność w spojrzeniach na przechadzce, w kościele, na procesjach: zachowywał się jak anioł. Słowem można bez przesady powiedzieć, że u Burzio znajdowała się skromność przepisana przez Sobór Trydencki w znanym dekrete: „Sic decet omino clericos...”.

„Był tak uprzejmy i skromny w towarzystwie, że gdy niektórzy chciał go czasem w żartach poklepać po ramionach lub po twarzy, wtedy on z powagą odsuwał się mówiąc: Zostaw, zostaw mnie i odchodził w tej chwili”.

„Na rekreacjach przestrzegał form towarzyskich. Do przełożonych odnosił się z pełnym szacunkiem; nie słyszano, by żalił się na braki przy stole, jak często się zdarza; nie mógł tego zrozumieć, żeby z ust seminarzysty mogły wyjść słowa mniej przyzwoite lub przeciwne miłości bliźniego, względnie krytyka przełożonych”.

„Ujawniał pokorę i cichość, gdy któryś z kolegów miał mu coś do zarzucenia wobec przełożonych, wtedy pokornie i cierpliwie to znosił przekonując skuteczniej o swej niewinności i zyskując tym większy szacunek i miłość kolegów”.

„Miał paru zaufanych kolegów, z którymi wzajemnie zachęcał się do wytrwania w obranym stanie; rozmowy ich obracały się, jeśli nie wokół przedmiotów naukowych, to zmierzały zawsze do wzniosłych myśli względem stanu kapłańskiego, unikanie świata i gorliwości o dusze”.

„Chętnie przytoczę parę wypowiedzianych przez niego myśli, co posłuży do wykazania piękności jego duszy. Raz spytał mnie, na przykład, jaki środek uważałbym za skuteczny celem wzrostu w miłości ku Matce Najświętszej; odpowiedziałem mu, jak mogłem najlepiej, po tym spytałem:

Czy sądzisz, że Maryja ma nam wiele pomóc?

On spojrział na mnie zdziwiony i odpowiedział: Czy byłbym klerykiem, gdybym, w to wątpił? Potem dodał: Jeślibym się nie zmylił, powiedziałbym,

że Maryja jest w pewien sposób równa Bogu, gdyż quod Deus imperio, tu prece, Virgo, potes, powtarzał kilkakrotnie, że według Ojców Kościoła, Matka Najświętsza jest wszechmocną dzięki łasce, jak Jezus Jej Syn, ze swej natury. Raz spytałem go, czy czuje się dobrze w seminarium?

Bardzo dobrze, odparł, gdyż tu mogę nauczyć się, zostać dobrym kapłanem.

A czy bardzo pragniesz zostać kapłanem?

Pragnę tego bardzo gorąco, rzecz w tym, że nim się zostanie księdzem, należy najpierw być świętym.... świętym.... świętym.

„W końcu dodam niektóre epitety przydane mu przez moich kolegów, o których zdanie pytałem. Otóż jeden nazwał go wzorem cnoty; inny - przykładem skromności kleryckiej; trzeci - godny by żył wiecznie za swój wzorowy przykład życia kleryckiego; inny jeszcze - młodzieńcem zdolnym o niezrównanej cnotcie.

Wielu mnie pytało, czy napisano jego życiorys prosząc, by to nastąpiło jak najprędzej. Pewien seminarzysta z Chieri, w liście z 24 lutego pisze mi: Zapytuję Księdza, czy biografia Burzio ukazała się już w druku; jeśli tak, proszę o przesłanie mi kilku kopii. Serdecznie go o to proszę nie ze względu na mnie, lecz inne osoby.

„Tyle mam wspomnień o zachowaniu się jego w seminarium, co zresztą nie dorównuje piękności tej duszy drogiej Bogu i ludziom, której pamięć jest błogosławiona i będzie szerzyć się nadal, gdy jest pożądane, ukaże się jego życiorys. Proszę o przyjęcie etc. do Konwiktu kościelnego

Turyn, 16-4-1853 r.

XJB

Pochwały wydane o kleryku Józefie Burzio przez Księdza Bosko, nie tylko rzucają światło na jego własne życie, lecz być może, ich wspólne pragnienie wstąpienia do Zgromadzenia Oblatów. Istotnie, Bosko wciąż jeszcze nosił się z myślą wstąpienia do jakiegoś zakonu, zdawało mu się, bowiem, że Pan Bóg go powołuje do takiego życia. Pragnął żyć w zakonie pod posłuszeństwem i samą myśl o swobodzie, a tym więcej rozkazywania drugim, przerażała go. Rozmawiając często z klerykiem Burzio na temat stanu zakonnego, być może nabrał chęci zostania zakonnikiem oblatem. Gdy parę razy odwiedził przyjaciela w klasztorze Consolaty oddanym przez arcybiskupa Fransoniego Oblatom w roku 1853, Burzio przedstawił go swym

przełożonym, którzy starali się go pociągnąć do siebie, nawet zapraszali pisemnie, lecz nie zdecydował się na ich propozycję.

Niemniej przyjacielskie kontakty trwały z O. Feliksem Giordano, który w liście do księdza Michała Rua z 1888 r., wyrażał swą przyjaźń i cześć względem dawnego swego przyjaciela Księdza Bosko wraz z paru innymi ojcami Oblatami. Mógł, więc Ksiądz Bosko zapoznać się doskonale z regułami i duchem tego zgromadzenia. Założyciel jego Pius Bruno Lanteri, zmarł w 1830 r., był niez mordowanym apostołem dusz. Założył pobożne stowarzyszenie we Florencji, w celu położenia zapory szerzącemu się zepsuciu, dla wychowania młodzieży piemonckiej w zasadach wiary i moralności katolickiej oraz wierności domowi panującemu, nadto celem szerzenia dobrej prasy.

W czasie, gdy Pius VII był więziony w Savonie, potajemnie, z niebezpieczeństwem własnym, przysyłał Papieżowi ważne dokumenty dotyczące spraw Kościoła oraz ofiary zbierane wśród wiernych w Turynie. Był śledzony przez policję napoleońską i dwukrotnie przesłuchiwany, w jego mieszkaniu przeprowadzono ścisłą rewizję, choć bez rezultatu; był internowany w swej willi w Bardassano przez 4 lata. Znakomity pisarz popularny, wydawał wiele książek dla ludu, które krążyły w rękopisach, gdy nie można było ich wydrukować z powodu obostrzeń cenzury wrogiej dla Kościoła.

Podkreślał w nich i bronił nieomyślności Papieża, gdy przemawia jako nauczyciel wiary *ex cathedra*. Swego ducha przelał w założone przez siebie Zgromadzenie Oblatów NMP, któremu za cel postawił głoszenie misji ludowych, zwalczanie współczesnych błędów, pracę nad formacją kapłańską seminarzystów, skuteczną obronę i podtrzymanie praw Papieża rzymskiego. Jego reguła nie miała w sobie nic z surowości mniszej, natomiast tchnęła duchem gorliwości i doskonałości starych zakonów tak zasłużonych dla Kościoła.

Przez opatrnościowe zbliżenie się do Oblatów, Ksiądz Bosko uzupełnił swą formację rozpoczętą w Morialdo; coraz żywiej stawał mu przed oczyma ideał Zgromadzenia, które miało realizować w sposób możliwie najpełniejszy potrzeby społeczeństwa w różnych zawodach, z którymi sam miał możliwość się zetknąć jako chłopiec i młodzieniec. Widział na przykładzie O. Lanteri wzór kapłana nie zajmującego się polityką, którego misja sprowadzała tak dobroczynne owoce

w społeczeństwie, w którym żył, a jego zgromadzenie, najbardziej może aktualne, co do formy, mogło być przyjęte we wszystkich krajach, nie podpadając przeciwnikom zakonów.

ROZDZIAŁ LVI

Składa ostatni egzamin z teologii; Pochwały ze strony współkolegów; Rekolekcje przed święceniami; Pierwsza Msza św. Dar skuteczności słowa; Wzniosłe nauki Matki Małgorzaty.

Jesteśmy przy końcu pierwszej części naszego opowiadania. Jan Bosko wielkim krokiem zbliżał się ku swej mecie. Już niewiele dni dzieliło go od chwili, gdy stanąć miał przy ołtarzu, otwierał się przed nim szeroki horyzont apostołstwa dla zbawienia dusz. Był słabym, ubogim, pozbawionym środków; a oto Pan Bóg spojrział na niego łaskawie, podniósł i wywyższył; dlatego wielu wraz nim chwalić będzie w najwyższym podziwieniu Boga! /Syr 11,12/.

Wróciwszy z wakacji, kleryk Jan Bosko składał według zwyczaju egzamin i otrzymał stopień „optima”, jak wynika z wykazu podpisanego przez profesora Appendini, który zachowuje się w naszym Archiwum. Pan Bóg dopuścił jednak na niego pewne upokorzenie. Oto na następnym egzaminie, 17 lutego 1841 r., uzyskał tylko „fere optima”. Mianowicie, zapytany przez kanonika Wawrzyńca Gastaldiego na temat pewnej kwestii, której albo nie miał czasu przestudiować lub może sądził, że nie należy do materiału egzaminacyjnego, bez zająknięcia się zaimprovizował pewien kanon Soboru Trydenckiego, który mu przyszedł na myśl.

Tak, naprawdę mówi Sobór Trydencki? Rzucił pytanie kanonik pod wrażeniem jego pewności siebie.

Kleryk Bosko zaczął się śmiać, czym rozbroił także egzaminatora.

W sobotę „Sitientes” przed Niedzielą Pasyjną roku 1841, został promowany do diakonatu. W dniu 15 maja złożył egzamin przed święceniami otrzymując stopień „plus quam optime”.

Było to zgodne z dawnym zwyczajem panującym w seminarium, że przełożeni i profesorowie pod koniec roku zbierali się na konferencję, podczas której odbywało się ściśle scrutiny o każdym kandydacie, a stopnie ich przechowywano w archiwum. Otóż w archiwum Kurii turyńskiej w katalogach seminarzystów za rok 1841, na marginesie nazwisko Jana Bosko czyta się uwagę: „Zelante di buon riuscita”.

Zatem rok szkolny skończył się i Jan Bosko z pewną przykrością opuszczał seminarium. Oto, co sam pisze o tym: „Przełożeni mnie kochali okazując mi na każdym kroku życzliwość. Koledzy ze swej strony byli przywiązani do mnie tak, że rzecz można, żyliśmy jedni dla drugich. Jakże przykrą była mi ta rozłąka! Opuścić miejsce, gdzie się żyło przez sześć lat, gdzie nabrałem wiedzy i ducha kapłańskiego, gdzie zaznałem doprawdy życzliwość i pomocy wszechstronnej!

Będzie tu chyba na miejscu przytoczyć garść wspomnień o nim jego kolegów z seminarium.

Ksiądz Antoni Giacomelli pisze: „Od pierwszego spotkania z nim w seminarium uważałem go jakby za kapłana dla jego wiedzy i dojrzałości duchowej.

Ks. Karol Alloras: „W Seminarium dawał nam przykład pobożności i posłuszeństwa. Tak wielkiego zażywał szacunku u kleryków, że uważany był jakby za przełożonego. My zaś jako koledzy mieliśmy go za świętego”.

Ks. Franciszek Oddenino: „Kleryk Bosko zajmował skrupulatnie czas, wciąż zatopiony był w lekturze, koledzy udawali się do niego raz po raz w różnych kwestiach naukowych, jakby do wyroczni, cieszył się ogólnym szacunkiem ze względu na swą pobożność i świętość”.

Ks. Albin Massa proboszcz Corio: „W seminarium był wzorem alumna”.

Ks. Kanonik Wincenty Sosso: „W seminarium nazywano go powszechnie „padre”, tak głębokie było jego życie wewnętrzne”.

Ks. Grassini, proboszcz w Scalenghe: „Ksiądz Bosko był rozjemcą i rzecznikiem zgody wśród kolegów”.

Ks. Kan. Ferrero proboszcz Pontedarano: „Wielu kolegów Księdza Bosko upewniało mnie, że był klerykiem najbardziej wzorowym, prawdziwy ”Bosco” czarujący...”. Wielu świadczyło: „Ten nasz kolega był doprawdy lubiany i szanowany”.

Ks. Proboszcz Bosio” „Byłem jego kolegą przez lat pięć w seminarium i drugie tyle w Konwikcie i Schronisku; nie spostrzegłem w nim żadnego uchybienia, raczej pod każdym względem przykład cnoty”.

Monsignor Jan Byptysta Appendini jego profesor: „Kleryk Bosko czynił wielkie postępy w nauce i pobożności, nie robiąc specjalnej pozy, odznaczał się charakterem prawym i miłym w obcowaniu”.

Pewien kleryk salezjanin odbywając służbę wojskową w Giaveno słysząc, że tamtejszy kanonik kolegiaty, ks. Arduino był nauczycielem Księdza Bosko w seminarium w Chieri, gdy odwiedził go, usłyszał z miejsca świadectwo o Księdzu Bosko: „Ach, Ksiądz Jan! Zawołał ze łzami w oczach, przecież znam go doskonale, pamiętam z czasów szkolnych: jak był pobożnym, pilnym i przykładnym, uczniem! Nikt nie przypuszczał wtedy, że zostanie on tym, kim jest obecnie. Muszę stwierdzić, że zawsze był poważny i dokładny we wszystkim. Jakże mu się obecnie powodzi? Proszę przypomnieć mu o mnie w Turynie, by jego modły wyjednały łaskę dobrej śmierci!”.

W dniu 26 maja św. Filipa Nereusza, diakon Bosko przybył na rekolekcje do domu Księży Misjonarzy. Odprawił je wzorowo, jak stwierdza ks. Giacomelli. Brał głęboko do serca nauki słyszane, rozważał wielką godność, której niebawem miał dostąpić: „Quis ascendent in montem Domini? Quis stabit in sanctuario Tuo?”. W rozmowach ze swymi przyjaciółmi dawał wyraz przejęcia się myślami psalmisty odpowiadającego: „Niewinnych rąk a czystego serca, który nie użył do próżności duszy swojej, ani przysięgał zdradliwie bliźniemu swemu”. „Ten weźmie błogosławieństwo od Boga Zbawiciela swego”.

W pamiętniku swym zapisał, co następuje: „Postanowienia z rekolekcji przed święceniami kapłańskimi: kapłan nie idzie sam ani do piekła ani do nieba. Jeśli postępuje święcie, pójdzie do nieba wraz z duszami zbawionymi jego przykładem; jeśli daje zgorszenie, pójdzie na potępienie z duszami, które pociągnął złym przykładem. Dlatego dołożę starań, by praktykować następujące postanowienia:

1. Nie składać wizyt, jak tylko dla ważnych powodów, na przykład dla odwiedzenia chorych itp..
2. Wykorzystywać pilnie swój czas.
3. Cierpieć, pracować, znosić upokorzenie, zawsze i we wszystkim, ilekroć chodzi o zbawienie dusz.
4. Miłość i łagodność św. Franciszka Salezego będą mi towarzyszyć w każdej sprawie.
5. Będę się zadowalał pokarmem, jaki mi podadzą, byle nie był szkodliwy dla zdrowia.

6. Wina będę używał rozcieńczonego z wodą i tylko ze względu na niedomaganie żołądka.

7. Praca jest skuteczną bronią przeciw wrogom duszy, dlatego nie dam swemu ciału więcej odpoczynku ponad to, co jest niezbędne dla zdrowia; nie będę, więc spał dłużej jak pięć godzin. W ciągu dnia, zwłaszcza po obiedzie, nie będę zażywał odpoczynku w łóżku, z wyjątkiem choroby.

8. Każdego dnia poświęcę czas na rozmyślanie i czytanie duchowne; w ciągu dnia odprawię Nawiedzenie Najświętszego Sakramentu. Odprawię przez kwadrans przygotowanie i dziękczynienie po Mszy św.

9. Nie będę prowadził rozmów z niewiastami, z wyjątkiem spowiedzi lub innej potrzeby duchowej.

Postanowienia powyższe spisał w roku 1841. W pamiętniku swoim zapisał jeszcze, co następuje:

„Święcenie kapłańskie otrzymałem w wigilię Przenajświętszej Trójcy, dnia 5 czerwca, z rąk arcybiskupa Alojzego Fransoniego, w jego kaplicy biskupiej. Pierwszą Mszę św. odprawiłem w kościele św. Franciszka z Asyżu, gdzie prowadził swe konferencje duchowne ks. Józef Cafasso, mój dobrodziej i kierownik duchowny. Byłem oczekiwany w swej rodzinnej parafii, gdzie od lat nie było prymicji kapłańskich. Wolałem jednak na razie odprawić swą pierwszą Mszę św. w skupieniu i bez rozgłosu, przy ołtarzu św. Anioła Stróża z lewej strony nawy kościoła. W tych dniach przypadała uroczystość Przenajświętszej Trójcy, zaś w archidiecezji turyńskiej Odpust Cudu Przenajświętszego Sakramentu. Ów dzień zaliczam do najmilszych w moim życiu. W Memento mszalnym wspominałem przed Bogiem o mych profesorach, dobrodziejach, zwłaszcza o księdzu Calosso, którego zawsze miałem za największego dobroczyńcę i ojca. Istnieje pobożne mniemanie, że Pan Bóg zwykł udzielać w tym dniu nowemu kapłanowi łaski, o którą Go prosi w swej Mszy prymicyjnej; dlatego ja gorąco prosiłem Boga o dar skuteczności słowa kapłańskiego, by móc jak najwięcej zdziałać dla dobra dusz. Zdaje mi się, że Pan Bóg wysłuchał mojej prośby”.

Ksiądz Bosko w swej pokorze mówi skromnie „mi pare”, lecz ci co go znali i słuchali, stwierdzają, że otrzymał tę łaskę w sposób nader obfity. W ciągu swej pracy kapłańskiej, prywatnie lub publicznie przemawiając, głosząc kazanie, spowiadając, tak skutecznie wywierał wpływ na dusze ludzkie, że pociągał je ku Bogu skłaniając do

wielkodusznych postanowien, zaszczerpał zarodek solidnej świętości, okazującej się w działaniach zewnętrznych. Słowem ojcowskim zapalał młodzież do szczytnych ideałów, potrafił wykrzesać cnotę u złych, dobrych pociągał wzwyż do doskonałości młodzieńczej, jak św. Alojzego, św. Stanisława Kostkę, których im dał za patronów. Jakże często jedno rzucane słowo działało nadzwyczajny skutek zmieniając wprost wolę oraz wzbudzające serce na powołanie!

Jakże mogło być inaczej skoro prócz wewnętrznej wartości Boskiej Ofiary, obok niewątpliwej skuteczności łaski działające *ex opere operato*, Ksiądz Bosko sprawował św. Tajemnice z gorącą wiarą, nadzieją i miłością, mieszkającymi w duszach zaufanych przyjaciół Bożych! Dowodem na to odprawianie przez niego Mszy św. do końca życia. Wielu świadków patrzących na niego z daleka potwierdza to, cośmy oglądali u niego, co dzień i z bliska. Tylekroć przecież uczestniczyliśmy w jego Mszy św. i zawsze wzruszała nas do głębi jego wiara, pobożność przebijające z postawy, dokładne wykonywanie ceremonii, dziwne namaszczenie, z jakim wymawiał słowa modlitewne. Wrażenie to było niezatarte w duszach. Dokądkolwiek udawał się, nawet poza granicami Italii, na samą wiadomość, że Ksiądz Bosko będzie w pewnym kościele celebrował, gromadziły się liczne tłumy przy jego ołtarzu. Chcąc zadowolić swe pragnienie, by choć raz go ujrzeć przy ołtarzu, wielu ludzi odbywało daleką podróż, by przybyć do Turynu, a gdy Ksiądz Bosko wychodził ze Mszą św. do kaplicy św. Piotra (w bazylice Matki Bożej Wspomożycielki) setki osób wstawało ze swych miejsc i spieszyło za nim przed ołtarz, gdzie odprawiał.

To Święty, to Święty, mówiono odchodząc z kościoła.

W następnym dniu po uroczystości Przenajświętszej Trójcy, Ksiądz Bosko celebrował w kościele MB Pocieszenia, by podziękować, jak sam pisze, Wielkiej Matce Boga za niezliczone łaski, jakich mi wyjednała od swego Boskiego Syna.

„We wtorek, kontynuuję, udałem się do Chieri i odprawiłem Mszę św. w kościele św. Dominika, gdzie rezydował mój profesor P. Giusiana, który tam mnie oczekiwał. W czasie Mszy św. miał łzy w oczach. Spędziłem z nim cały dzień, jak najmilej”.

„We środę, z kolei odprawiałem w miejscowym tumie”.

„We czwartek, w Uroczystość Bożego Ciała, dla zadowolenia swych współziomków, udałem się do Castelnuovo, gdzie odprawiłem Msze św. uroczystą

i prowadziłem procesję eucharystyczną. Proboszcz zaprosił na obiad moją rodzinę, miejscowy kler oraz przewodniczących gminy. Wszyscy brali udział w mej radości, byłem doprawdy kochany szczerze przez mych współziomków i każdy chciał mi to w jakiś sposób okazać. Pod wieczór udałem się do swych krewnych. Gdy znalazłem się koło domu oglądając w duchu sen z lat chłopięcych, nie mogłem powstrzymać łez ze wzruszenia. O jakże niezbadane są wyroki Opatrzności! Pan Bóg doprawdy podniósł z nędzy biednego chłopca wiejskiego, by go posadzić z książętami w swym narodzie!”.

„Moja matka powiedziała mi w owym dniu te pamiętne słowa: Mój synu, zostałeś kapłanem: odprawiasz Mszę świętą. Od tej chwili, więc jesteś bliżej Jezusa Chrystusa. Pamiętaj jednak, że odprawiać Mszę świętą, to znaczy zacząć cierpieć z Nim razem. Nie spostrzeżesz tego może od razu, ale wkrótce przyznasz rację swej matce. Jestem pewna, że będziesz o mnie zawsze pamiętał za życia i po śmierci i to mi wystarcza. Od tej chwili myśl już wyłącznie o zbawieniu dusz, a nie martw się o mnie”.

Oj! Jakże to święta i wspaniałomyślna matka, która zdziałała tyle cudów, mówiąc słowami ks. proboszcza Cinzano, zniosła tak wiele poświęceń, upokorzeń, cierpień, by dopomóc swemu synowi zostać kapłanem! Pan Bóg pozwolił jej doczekać tego, że mogła ucałować konsekrowaną dłoń swego syna. Właśnie przed kilkunastu dniami spadła z konaru wiązu, gdzie ścinała liście na pokarm dla jedwabników; konar, na którym stała, ułamał się i spadła na dół, szczęście, że nie bezpośrednio na ziemię, lecz na oderwaną gałąź i dzięki temu upadek nie był śmiertelny.

Jak dobry jest Bóg dla tych, którzy się Go boją! Jak obficie wynagrodził ją za to, że ustrzegła tego skarbu, który jej powierzył w osobie syna Jana.

Napisane jest: „Kto ćwiczy syna swego, będzie chwałą dla niego, a między domownikami będzie się z niego chlubił”. /Syr 30,2/. Lecz nagrodą największą dla Małgorzaty będzie widzieć, jak w sercu jego krzewiły się bujnie cnoty, które w nim posiadała; czytała w jego oczach niezmacony pokój duszy i szczęśliwość płynącą z odpowiedzi na głos Boży, widziała, że żyje tylko pragnieniem szerzenia chwały Bożej; podziwiała, jak nieustannie zabiega o zbawienie dusz, zniszczenie grzechu, radowała się, że dusza jego pozostaje w ścisłym zjednoczeniu z Bogiem, jak opisuje Prorok Królewski: „Będę śpiewał Panu za żywota mego, będę grał Bogu, póki mi

życia staje. Niech mu będzie wdzięczna wymowa moja a ja będę się rozkoszował w Panu! Niechaj ustaną grzesznicy z ziemi i złościcy, tak iżby ich nie było!”

Błogosław duszo moja Panu!

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE KSIĘDZA INSPEKTORA	5
CURRICULUM VITAE KS. CZ. PIECZEŃCZYKA	7
PRZEDMOWA AUTORA	10
ROZDZIAŁ I	
Wojna sekt przeciw Papiestwu.....	13
ROZDZIAŁ II	
Małgorzata Occhiena, matka Księdza Bosko, jej młodość, charakter, czasy burzliwe; Wybitne cnoty tej niewiasty.....	21
ROZDZIAŁ III	
Franciszek Bosko wzór dobrego ojca rodzin; Oplakany stan Kościoła w Piemontcie; Zaślubiny Franciszka z Małgorzatą Occhiena; Narodziny Janka; Śmierć ojca.....	28
ROZDZIAŁ IV	
Wielki głód w Piemontcie; Bieda w rodzinie Bosko; Obraz chrześcijańskiej wdowy; Mądrość Małgorzaty w wychowaniu synów.....	36
ROZDZIAŁ V	
Katechizm; Myśli o Bogu; Modlitwa; Pierwsza spowiedź; Zajęcia codzienne; Pierwsze oznaki przyszłego powołania Janka.....	40
ROZDZIAŁ VI	
Mądra matka; Synowie posłuszni; Powrót z jarmarku; Sprawozdanie.....	44
ROZDZIAŁ VII	
Upomnienia; Roztropna cierpliwość macierzyńska; Triumfy odniesione.....	47
ROZDZIAŁ VIII	
Babcia; Odnoszenie się Małgorzaty do swej teściowej; Jedność rządów w rodzinie; Janek oręduje za swym bratem u babki.....	52
ROZDZIAŁ IX	
Małgorzata dba o schludność w ubiorze synów; Przezorność w postępowaniu i zaprawie ich do życia twardego i umartwionego.....	55
ROZDZIAŁ X	
Pewne niedobre zajęcie; Kradzież indyków i lekcja.....	59
ROZDZIAŁ XI	
Zamiłowany pasterz; Pokora i umartwianie w pokarmach; Zamiłowanie w modlitwie.....	65
ROZDZIAŁ XII	

Rodzeństwo; Portret Janka; Uczy się czytania i pisania; Nauczyciel ks. Lacqua i postępy Janka; Przebacza zniewagi; Wyczyny wśród chłopców.....	69
ROZDZIAŁ XIII	
Kuglarstwo; Janek ćwiczy się w popisach zręcznościowych; Niefortunny dentysta.....	75
Rozdział XIV	
Janek poszukiwacz gniazd ptasich; Dowcipne przygody i pouczenia matki; spada z drzewa z niebezpieczeństwem życia; wielkoduszne postanowienie.....	70
ROZDZIAŁ XV	
Źródła niniejszego opowiadania; Drogocenny manuskrypt; Pierwszy sen Janka; jego misja życiowa.....	85
ROZDZIAŁ XVI	
Skutki pierwszego snu; rozwój zdolności i pamięci Janka; Teżyzna fizyczna i niezwykła odporność; Niektóre anegdoty.....	90
ROZDZIAŁ XVII	
Janek wśród swych rówieśników; opowiadanie; Wieczory zimowe; linoskoczek, początki oratoriów świątecznych; Przeszkadza obrazie bożej za pomocą śpiewu; rozrywek i sztuczek.....	94
ROZDZIAŁ XVIII	
Matusia Małgorzata wzór miłosierdzia chrześcijańskiego; Opatrznościowa pomoc; Odwiedzanie potrzebujących.....	99
ROZDZIAŁ XIX	
Janek uczy się od matki gorliwości o chwałę Bożą oraz walki z grzechem i zabieganie o zbawienie dusz.....	103
ROZDZIAŁ XX	
Zgon babki; Janek przystępuje do Pierwszej Komunii św. Postanowienia dziecięce; Misja w parafii; Spotkanie z księdzem Canosso; Niezwykła pamięć Janka; Nadzieja co do jego przyszłości.....	108
ROZDZIAŁ XXI	
Szkoła w Morialdo; Spotkanie z klerikiem Cafasso, dalsze prześladowania.....	113
ROZDZIAŁ XXII	
Cnota wystawiona na próbę; Janek wysłany przez matkę do Moncucco na służbę; Posłuszeństwo, pilność w pracy, pobożność Janka; Dobry przykład; Opieka nad małymi dziećmi chlebowodawcy; Twierdzi, że zostanie księdzem; Oratorium w Moncucco.....	117
ROZDZIAŁ XXIII	
Janek wraca do Becchi; Miłe wspomnienia z pobytu u Państwa Moglia; Nieudane próby podjęcia studiów; Budujące przykłady.....	126
ROZDZIAŁ XXIV	
Ks. Calosso przyjmuje Janka do siebie; Podział schedy rodzinnej; Zgon ks. Calosso; Bezinteresowność Janka; Oplakuje stratę swego dobroczyńcy.....	131
ROZDZIAŁ XXV i XXVI	
Małgorzata posyła Janka do szkoły w Castelnuovo; Na stacji u niejakiego Roberta Jana; Janek zdobywa uznanie u kolegów; Jego postępy w nauce; Pociecha dla matki; Unika niebezpiecznych towarzystw; Kontynuuje swa misję wśród chłopców; Jakim by chciał mieć kapłana wśród młodzieży?.....	135
ROZDZIAŁ XXVII	

Na wakacjach; Szczególna rozrywka na rekreacji; Pierwszy list pasterski monsignora Fransoni; Drugi sen; Wstępuje do kolegium w Chieri; Składki na seminarzystę.....	145
ROZDZIAŁ XXVIII	
Wyjazd do Chieri; Życzliwość profesorów; Pierwsze klasy gramatyki; Anegdota niełatwa do wytłumaczenia.....	151
ROZDZIAŁ XXIX	
Roztropność Janka w doborze przyjaciół; Dopomaga kolegom w nauce; Towarzystwo wesołości; Praktyki pobożne; Dobry spowiednik.....	157
ROZDZIAŁ XXX	
Janek apostołuje wśród kolegów; Przechadzki wakacyjne; Nabożeństwo do Madonny; Stosunek do rodziny; Śmierć Pawła Braja; Wakacje w Castelnuovo.....	162
ROZDZIAŁ XXXI	
Jan wraca do Chieri i zapisuje się do klasy gramatyki; Wzięcie u profesorów i kolegów; Jego pokora; Korepetycje dla uczniów w Chieri; Przyjęcie Sakramentu Bierzmowania; Egzamin końcowy; Szkoła niedzielna w Morialdo; Prymicje ks. Cafasso.....	167
ROZDZIAŁ XXXII	
Zastanawia się nad powołaniem; Zamyśla wstąpić do Franciszkanów; W Chieri w kawiarni usiłuje przeszkodzić złym rozmowom; Znakomite pochwały względem jego sprawowania się; Bezpłatna nauka łaciny dla zakrystianina w katedrze.....	173
ROZDZIAŁ XXXIII	
Proboszcz ks. Dassano oznajmia matce Małgorzacie decyzję Jana wstąpienia do Franciszkanów; Wspaniałomyślna postawa matki chrześcijańskiej; Braki znoszone przez Jana w czasie studiów; Wdzięczność względem dobrodziejów.....	178
ROZDZIAŁ XXXIV	
Jan składa egzamin do nowicjatu u Franciszkanów; Sen; Rada ks. Cafasso; Kontynuuje studia w Chieri.....	182
ROZDZIAŁ XXXV	
Miłość Jana względem kolegów; Dusza zabaw; Wygrywa zawody z kuglarzem; Przeszkadza złym rozmowom.....	186
ROZDZIAŁ XXXVI	
Studium klasyków włoskich i łacińskich; Przyjaźń z Izraelitą Jonaszem; Nawraca go na katolicyzm.....	192
ROZDZIAŁ XXXVII	
Imieniny profesora Banaudi i pewien przykry wypadek; Jan kończy gimnazjum celującym egzaminem dojrzałości; Spotkanie z księdzem proboszczem Cinzano.....	197
ROZDZIAŁ XXXVIII	
W klasie retoryki; Przyjaźń z Alojzym Comollo; Pokorne wyznanie; Piękne przykłady przyjaciela.....	201
ROZDZIAŁ XXXIX	
Jeszcze o sztuczki Jana; Oskarżony o magię; Jak się usprawiedliwił?.....	201
ROZDZIAŁ XL	
Wakacje wielkanocne; Wizyty u znajomych; Burza i powrót do Pinerolo, potem Chieri; List do prof. Strambio; Udziela rad dotyczących powołania.....	211
ROZDZIAŁ XLI	

Przywiązanie profesorów; Korzystny wpływ na kolegów; Świadczenia o jego cnotach; Umiar w pokarmach; Wątpliwości, co do powołania; Egzamin wstępny do seminarium; Wakacje; Pomoc dobrodziejów w zaopatrzeniu w wyprawę.....215

ROZDZIAŁ XLII

Obłóczyny; Zaproszenie niezbyt miłe; Regulamin życia; Wstąpienie do seminarium w Chieri.....221

ROZDZIAŁ XLIII

Życie seminaryjne; Koledzy; Uczęszczanie do Sakramentów świętych; Wykorzystany pilnie czas; Nowy sen; Rekreacje w seminarium.....226

ROZDZIAŁ XLIV

Oddawanie usług kolegom w seminarium; Najmilsze towarzystwo; Dawni koledzy z gimnazjum; Teżyzna Jana; Wypadek.....232

ROZDZIAŁ XLV

Nagroda za celujące wyniki w studiach; Odwiedziny dawnych przyjaciół; Asystent i korepetytor w kolegium jezuickim; Udoskonala się w nauce języka greckiego; Ubóstwo.....237

ROZDZIAŁ XLVI

Alojzy Comollo wstępuje do seminarium; Owoce przyjaźni chrześcijańskiej; Odwiedziny studentów z Chieri; Kółko naukowe i św. przymierze dotyczące zachowania regulaminu seminaryjnego; Studia, jakimi interesuje się Jan; Dwa pocieszające zdarzenia.....241

ROZDZIAŁ XLVII

Wakacje klero Bosko; Życie towarzyskie na wsi; Gra na skrzypcach; Polowanie; Korepetycje; Studium historii biblijnej, geografii, języka hebrajskiego i francuskiego; Ponowienie się snu z Morialdo; Ziszczenie się przepowiedni.....250

ROZDZIAŁ XLVIII

Pierwsze kazanie klero Jana Bosko w Alfiano; Polityczne podejście; Nowe dowody pamięci.....256

ROZDZIAŁ XLIX

Wieczna jowialność Jana Bosko; Pewne błahostki; Śmieszna dyscyplina; Humorystyczny epizod na śpiewie; Kłopoty pana burmistrza; Dotrzymanie obietnicy.....261

ROZDZIAŁ L

Pierwszy kurs teologii; Zamiłowanie do historii kościelnej; Kółko naukowe wśród seminarzystów; Jan Bosko infirmarzem; Wakacje; Wizyty u przyjaciół; Kazania; Przemówienie w Capriglio; Rozmowa z Alojzym Comollo; Powołania kapłańskie.....266

R O Z D Z I A Ł L I

Następne lata teologii; Klerik Bosko prefektem zakrystii; Pofne rozmowy Comollo z Janem Bosko; Rekolekcje doroczne; Choroba Comollo: sen początkowo przerażający, potem radosny, święta śmierć klero; Pierwsze zjawienie.....275

ROZDZIAŁ LII

Pogrzeb Comollo; Zjawia się wobec całej sypialni; Jan w czasie wakacji; Jerzy Moglia; Wizyty u proboszcza Comollo i ks. Józefa Cafasso; Dwa historyczne zdarzenia.....284

ROZDZIAŁ LIII

Choroba i wyzdrowienie Jana; Święcenia mniejsze; List od dawnego nauczyciela; Spełniona przepowiednia; Porażenie piorunem; Skrócenie studiów teologicznych; Kazania; Subdiakoniat.....291

ROZDZIAŁ LIV

Głosi kazanie odpustowe MB Różańcowej w Avigliana; Pielgrzymuje do kaplicy św. Michała Archanioła; Romantyczna wycieczka do Coazze; Uroczystość w Bardella; Zmartwychwstanie nieboszczki.....297

ROZDZIAŁ LV

Kleryk Bosko prefektem w seminarium; Pochwała kleryka Józefa Burzio; Stosunki między dwoma przyjaciółmi; Zainteresowanie się Instytutem Misyjnym Oblatów NMP.....302

ROZDZIAŁ LVI

Składa ostatni egzamin z teologii; Pochwały ze strony współkolegów; Rekolekcje przed święceniami; Pierwsza Msza św. Dar skuteczności słowa; Wniosłe nauki Matki Małgorzaty.....307